

**Paul Kearney**  
**DRUGIE**  
**IMPERIUM**



**Księga IV cyklu Boga Monarcha**



**KEARNEY PAUL**

**Boze monarchie #4 Drugie**

**imperium**

**PAUL KEARNEY**

**The Second Empire**

**Księga IV cyklu Boże Monarchie**

**Przekłóżył: Wojciech Szypuła**

**Wydanie oryginalne: 2000**



**Wydanie polskie: 2004**

**Johnowi McLaughlinowi**

**PROLOG**

**Prowizoryczny rumpel wrywał im się z rąk i boleśnie obijał żebra. Hawkwood razem z innymi przyciskał go z całej siły do posiniaczonej piersi i zaciskał zęby. W duchu kłął jak szewc, dając ujście frustracji i złości na przekłętą wiatr, statek, morze i na rozległy, obojętny świat, przez który pędzili na złamanie karku.**

**Wiatr lekko się odwrócił: Hawkwood czuł, jak lodowatym deszczem siecze go prosto w prawe ucho. Otworzył usta tylko na krótką chwilę, żeby przekrzykując wicherę wydać rozkaz:**

**–Brasować! Wiatr się zmienia! Brasować reje na grotmaszcie, na Boga!**

**Na zmywany wodą pokład wyszło więcej ludzi: chwiejnym krokiem wynurzyli się z zakamarków rozhuśtanej karaki i zgromadzili na śródkręciu. Byli w łachmanach. Niektórzy wyglądali jak wynędzniali żołnierze; strzępy mundurów wciąż opinały ich torsy. Poruszali się ospale i niezdarnie w strugach wody, jakby ich miejsce było raczej w izbie chorych niż na pokładzie miotanego sztormem stateczku.**

**Spod pokładu dobiegł okrutny, gardłowy warkot. Wzniósł się ponad skowyt wiatru, łoskot fal i trzeszczenie takielunku. Można by pomyśleć, że to jakiś olbrzymi, spętany w klatce potwór wygraża całemu światu. Żeglarze przy linach znieruchomieli na**

chwile, niektórzy uczynili w powietrzu Znak Świętego. Na ułamek sekundy w ich oczach, otępiałych ze zmęczenia, pojawił się strach. Zaraz jednak wrócili do swoich zajęć.

Reje zostały zbrasowane i ludzie przy sterze odczuli wyraźną ulgę; rudel nie szarpał się już z takim impetem jak przed chwilą. Docisnęli go do belki bakburty i karaka cięła morze jak koń brnący w głębokim po pierś śniegu. Szli tylko na zrefowanym grocie, reszta żagli była zwinięta i przywiązana do rei. W miejscu stengi bezanmasztu tkwił smutny kikut, opleciony trzepoczącymi resztkami płótna.

To już nie może być daleko, myślał Hawkwood. Odwrócił się do trzech towarzyszących mu przy sterze mężczyzn.

–Teraz, z baksztagiem, będzie łatwiej. – Musiał krzyżeć, żeby go usłyszeli. – Trzymać kurs. Jeżeli wiatr się wzmoże, będziemy pędzić przed sztormem jak potępiący.

Jednym z jego towarzyszy był wysoki, szczupły i blady jak ściana mężczyzna o twarzy zeszpeconej z boku paskudną blizną. Na grzbiecie miał strzępy skórzanej jeździeckiej kurtki.

–Dawno temu zostaliśmy potępieni, Hawkwood, my i całe to nasze przedsięwzięcie. Lepiej się poddać i zatopić statek, dopóki to monstrum w ładowni jest skute łańcuchami.

–Cały Murad! – prychnął Hawkwood. – Mój druh. Jesteśmy już prawie w domu!

–Prawie w domu, też coś! Co z nim zrobisz, kiedy dotrzemy na miejsce? Myślisz, że będzie ci służył jak pies?

–Ratował nam już życie...

–Tylko dlatego, że jest w zмовie z tymi potworami z zachodu.

–Jego mistrz, Golophin, wyleczy go.

–Powinniśmy wyrzucić go za burtę.

–Tylko spróbuj, a sam będziesz pilotował ten przeklęty statek. Zobaczymy, jak daleko dopłyniesz.

Spojrzeli po sobie, nie próbując nawet ukryć wzajemnej nienawiści, zanim Hawkwood odwrócił się i napał wraz z resztą na rozedrgany rudel, żeby utrzymać karakę na wschodnim kursie. Na kursie do domu.

**Pod ich stopami, w ładowni, bestia rykiem wtórowała wichurze.**

26 miderialona roku Świętego 552

Wiatr NNW, przechodzący w NW, bardzo silny. Kurs SSE, płyniemy na zrefowanym grotzagli. Trzy stopy wody w zęzie, pompy ledwie nadążają.

Hawkwood podniósł pióro. Siedział z podkulonymi nogami, zaparty kolanami o zamocowany na stałe stół w sterówce, trzymając w lewej ręce kałamarz. Ledwie udawało mu się utrzymać równowagę. Długie fale doganiały od rufy karakę, która z braku balastu zrobiła się kapryśna i nieprzewidywalna. Woda w ładowni przy każdym wstrząsie przelewała się na boki. Dobrze przynajmniej, że wiatr wiał z tyłu; strata bezana była przez to mniej odczuwalna.

Odczekał, aż kołysanie statku trochę się zmniejszy, i wrócił do pisania.

Z dwustu sześćdziesięciu sześciu ludzi, którzy siedem i pół miesiąca temu wypłynęli z Abrusio, zostało osiemnastu. Na środkowej wachcie fala zmyła za burtę biednego Garolva. Niech Bóg zlituje się nad jego duszą.

Hawkwood podniósł wzrok i z żalem pokręcił głową. Garolvo przeżył rzeź na zachodzie, uszedł z życiem z tego koszmaru, żeby zginąć, kiedy ojczyste brzegi znalazły się niemal w zasięgu wzroku.

Od blisko trzech miesięcy jesteśmy na morzu. Na podstawie nawigacji obliczeniowej szacuję, że przebyliśmy około czterech i pół tysiąca mil na wschód i połowę tego dystansu na północ. Ostatnio jednak południowy wiatr ucichł i zdryfowaliśmy z kursu. Ze wskazań kwadrantu wnioskuję, że znajdujemy się mniej więcej na szerokości geograficznej Gabrionu. Jeżeli chcemy przybić do brzegu w Normanii, musimy czekać, aż wiatr jeszcze bardziej zmieni kierunek. Złożyliśmy nasze życie w ręce Boga.

–Ręce Boga – powtórzył półgłosem.

Z nasiąkniętej morską wodą brody kropla kapnęła mu na dziennik. Pospiesznie osuszył stronicę. W sterówce – podobnie zresztą jak i w innych pomieszczeniach na statku – chlupocząca woda sięgała kostek. Dawno zapomnieli, co to znaczy mieć suche ubranie i pełny żołądek. Zęby psuły im się i wypadały, zabliznione przed dziesięciu laty rany ociekały śluzem... Klasyczne objawy szkorbutu.

Jak mogło do tego dojść? Co zdziesiątkowało doskonałą załogę dumnej małej flotylli? Hawkwood, rzecz jasna, znał odpowiedź – znał ją aż za dobrze. Nie pozwalała mu zasnąć na psiej wachcie, chociaż udręczone ciało błagało o chwilę zapomnienia. Ryczała i wyla w ładowni biednego *Rybołowa*. Żyła w nocnych koszmarach Murada.

Zakorkował kałamarz i zawiązał dziennik pokładowy w kawałek natłuszczonej bawełny. Wziął ze stołu prawie pusty bukłak, zawiesił go sobie na szyi i brodząc w wodzie dotarł do drzwi w grodzi naprzeciw wejścia. Przez próg sztormowy wszedł do znajdującego się za nim korytarza. Panował tu mrok, podobnie jak w całym wnętrzu statku; zostało im niewiele świec i najwyżej kwarta bezcennej oliwy do latarni sztormowych. Jedna z nich wisiała właśnie tutaj, na schodach, kołysząc się na haku. Wziął ją i poszedł w stronę dziobu, do miejsca, gdzie w podłodze znajdował się wąż do ładowni. Tu zawahał się, wsłuchany w skrzypienie statku i chlupot wody omywającej mu nogi. Potem jednak zaklął głośno i zaczął otwierać pokrywę włazu. Dźwignął ją i ostrożnie zszedł po drabinie w ziejący czernią otwór.

U stóp drabiny wcisnął się w kąt i ze schowka w podstawie latarni po omacku wyjął krzesiwo. Minęło dużo, bardzo dużo czasu, zanim wreszcie nasączony oliwą knot zajął się ogniem od którejś z mozolnie krzesanych iskier i Hawkwood mógł zamknąć szklaną osłonkę. Wstał w kałuży żółtego blasku.

Rozległa ładownia sprawiała niesamowite wrażenie; była prawie pusta, stało w niej tylko kilkanaście beczulek z gnijącym solonym mięsem i cuchnącymi resztkami wody pitnej. Słona woda wciskała się do środka wszystkimi szczelinami. Nieszczęsny *Rybołów* jęczał z bólu jak żywa istota, a po drugiej stronie poszycia morze srożyło się i ryczało niczym dziki zwierz. Hawkwood dotknął wręgi; czuł, jak drewno pracuje pod naporem fal. W wodzie pływały strzępki smołowanych pakuł. Kadłub rozłaził się w szwach. Nic dziwnego, że ludzie przy pompach nie dawali sobie rady z potopem. Statek konał.

Zwierzęcy skowyt, który dobiegł z dołu, był wyraźnie słyszalny mimo ogłuszającego zawodzenia wiatru. Hawkwood skrzywił się odruchowo, potknął i ruszył dalej, w stronę włazu prowadzącego jeszcze głębiej, do samej zęzy.

Powietrze na dole okropnie cuchnęło. *Gabrioński rybołów* miał od dawna nie wymieniany balast, który w tropikalnym klimacie Zachodniego Kontynentu wyjątkowo się zaśmierdział. Nie był jednak jedynym źródłem przykrych zapachów. W zęzie dominowała inna woń, piżmowa, zwierzęca, która przywodziła Hawkwoodowi na myśl klatkę dużej, dzikiej bestii w objazdowym cyrku. Przystanął na chwilę. Serce biło mu tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Zmusił się do zrobienia kilku następnych kroków. Musiał się schylić, żeby nie zahaczyć głową o poprzeczne rozpory kadłuba. W świetle rozhuśtanej latarni migają mu na przemian jasne i ciemne plamy, a brudna woda w tym miejscu sięgała powyżej kolan.

I coś się w niej poruszało. Metal szczękął o metal. Kiedy stwór zobaczył człowieka, przestał się szarpać. W ciemności błysnęło dwoje żółtych ślepi. Hawkwood zatrzymał się zaledwie dwa metry od cielska, które leżało w wodze, przykute łańcuchem do kilu karaki.



**Stwór zamrugał i – co zabrzmiało makabrycznie – z jego zwierzęcego pyska wydobyły się ludzkie słowa:**

**–Pan kapitan... Miło cię widzieć.**

**Hawkwoodowi kompletnie zaschło w gardle.**

**–Witaj, Bardolinie – wykrztusił.**

**–Przyszedłeś sprawdzić, czy bestia dalej spoczywa w swym leżu?**

**–Mniej więcej.**

**–Toniemy?**

**–Na razie nie... Na razie.**

**Olbrzymi wilk obnażył kły w grymasie, który mógłby być uśmiechem.**

**–No to powinniśmy się cieszyć.**

**–Jak długo będziesz taki jak teraz?**

**–Nie wiem. Uczę się to kontrolować. Dziś rano... Na pewno rano? Jak się tu siedzi, to trudno mieć pewność... W każdym razie prawie przez pół wachty byłem człowiekiem. Dwie godziny. – Warkot, który dobył się z gardła bestii, do złudzenia przypominał jęk. – Na Boga, dlaczego nie pozwolisz Muradowi mnie zabić?**

**–Murad jest obłąkany, a ty nie, mimo tego... tego, co się z tobą stało. Jesteśmy przyjaciółmi, Bardolinie. Ocaliłeś mi życie. Kiedy wrócimy do Hebrionu, zabiorę cię do twojego mistrza, Golophina. On cię wyleczy.**

**Nawet w uszach samego Hawkwooda jego słowa nie brzmiały przekonująco. Zbyt często je powtarzał.**

**–Wątpię. Na czarną zmianę nie ma lekarstwa.**

**–To się okaże – odparł z uporem kapitan. Zauważył, że w wodzie pływają również grudy solonego mięsa. – Nie jesz?**

**–Tęsknię za czymś świeższym. Bestia pragnie krwi. Nic na to nie poradzę.**

**–Chce ci się pić?**

**–Jeszcze jak!**

**–Zaczekaj.**

**Hawkwood powiesił latarnię na haku, zdjął z szyi bukłak i wyciągnął zatyczkę. Schylił się pod belką, usilnie starając się nie zwymiotować. Smród przyprawiał go o mdłości. Od wilka biło nienaturalne ciepło. Zmusił się, żeby stanąć tuż obok potwora, a kiedy ten odchylił łeb do tyłu, wetknął mu wylot bukłaka do pyska i patrzył, jak pije. Czarny jęzor zlizął najmniejsze ślady wilgoci.**

**–Dziękuję ci – powiedział wilk. – Pozwól, że spróbuję pewnej sztuczki.**

**Powietrze zadrżało i stało się coś, za czym wzrok Hawkwooda nie był w stanie nadążyć. Czarna sierść zniknęła bez śladu i w miejscu wilka kucał skulony czarodziej Bardolin – nagi, zarośnięty, o ciele pokrytym wrzodami od słonej wody.**

**Hawkwood uśmiechnął się niepewnie.**

**–Miło cię znów widzieć.**

**–Gorzej się czuję w tej postaci. Jestem słabszy. Na litość Boską, Hawkwood, przynieś mi jakieś żelastwo! Jedno draśnięcie i będzie po mnie!**

**–Nie.**

**Łańcuchy, którymi skuto Bardolina, były z brązu; ogniwa zostały odlane z metalu uzyskanego z przetopienia jednego z okrętowych falkonetów. Nieobrobione krawędzie raniły go do żywego mięsa na przegubach i kostkach, ale przy każdej przemianie czarodzieja rany częściowo się goiły. Hawkwood zdawał sobie sprawę, że skazuje Bardolina na nieustanne tortury, ale nie było innego sposobu spętania wilka, który mógł w każdej chwili w niego wstąpić.**

**–Przykro mi, Bardolinie. Czy on... wrócił?**

**–Tak. Przychodzi na nocnej wachcie i siada tam, gdzie ty stoisz. Mówi, że należę do niego i że pewnego dnia będę jego prawą ręką. A ja, Hawkwood, łapię się na tym, że go słucham... i mu wierzę.**

**–Walcz z tym! Pamiętaj, kim jesteś. Nie daj łajdakowi wygrać.**

**–Jak długo jeszcze? Ile mamy do przepłynięcia?**

**–To już blisko, tydzień, najwyżej dziesięć dni żeglugi. Przy sprzyjającym wietrze nawet mniej. To przelotna burza, taki dłuższy szkwał. Niedługo na pewno się skończy.**

**–Nie wiem, ile jeszcze pożyję. Bestia wżera mi się w mózg jak robal... Cofnij się!**

**Nadchodzi! Słodki Boże...**

**Bardolin krzyknął przeraźliwie i szarpnął się konwulsyjnie w pętach. Hawkwood miał wrażenie, że jego twarz eksplodowała. Krzyk przeszedł w zwierzęcy ryk bólu i wściekłości. Ciało czarodzieja wyginało się we wszystkie strony, skóra pękała, w szczelinach kielkowała sierść, z czaszki wyrosło dwoje przypominających rogi uszu. Wilk wrócił. Zawył z bólu i napiął łańcuchy. Roztrzęsiony kapitan cofnął się odruchowo.**

**–Zabij mnie! – zaskowyczał wilk. – Zabij! Chcę wreszcie zaznać spokoju!**

**Słowa przeszły w obłąkańczy ryk. Hawkwood zabrał latarnię i wrócił przez zalaną zębę pod właz. W mrocznych trzewiach statku Bardolin musiał sam stoczyć walkę o swoją duszę.**

**Jaki bóg godził się na istnienie takich potworności w świecie, który sam stworzył? Jaki człowiek wyrządza taką krzywdę drugiemu człowiekowi?**

**Chcąc nie chcąc, Hawkwood wrócił myślami do przesyconej krwią i magią szmaragdowej dżungli. Chcieli podbić nowy świat, a ledwie uszli z życiem. Pamiętał każdą dławiącą, przerażającą chwilę pobytu na Zachodnim Kontynencie. W miotanym falami truchle niegdyś dumnego statku nieproszone wspomnienia stanęły mu przed oczami żywe, barwne, niezatarte.**

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## POWRÓT ŻEGLARZA

### JEDEN

Powłócząc nogami zeszli po popielnych stokach Undabane jakieś dwa, trzy kilometry, zanim wycieńczeni runęli na ziemię, jeden na drugiego, niczym dziecięcy domek z kart. Nie mieli siły oddychać, ich piersi nie chciały chłonać otaczającej ich wilgoci. Legli jak dłudzy w półmroku, w pokrywającej ziemię mazi. Kątem oka dostrzegali zwierzęta i ptaki, które pohukiwały i wrzeszczały na nich z gałęzi drzew, jakby cała kraina naśmiewała się z ich porażki. Chwyтали rozpaczliwie powietrze, pot ściekał im po twarzach, owady unosiły się chmurą nad ich głowami.

Hawkwood pierwszy doszedł do siebie. W przeciwieństwie do Murada nie był ranny, a w odróżnieniu od Bardolina nic nie zmąciło mu zmysłów. Usiadł w grubej warstwie próchnicy, w której roiło się od pasożytów, spuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Żałował, że żyje; śmierć oznaczałaby koniec koszmaru. Przed dwudziestoma czterema dniami wyprowadzili z Fortu Abeleius siedemnastoosobowy oddział. Teraz zostało ich trzech. Ten tętniący zielenią świat nie nadawał się dla zwykłych śmiertelników; przetrwać w nim mogły jedynie takie ohydne, mordercze istoty, jak te zamieszkujące wnętrza góry. Pokręcił głową na wspomnienie niedawnej rzezi. Przypomniął sobie ludzi odzieranych ze skóry jak króliki, rozszarpywanych i patroszonych; ich wyrwane wnętrzności zmieszane z kradzionym złotem; leżącą na trakcie czarną głowę Masudiego, w którego martwych oczach połyskiwał blask księżyca.

Dźwignął się na nogi. Bardolin siedział z głową między kolanami, Murad zaś leżał na wznak nieruchomy jak trup. Paskudna rana głowy odsłoniła kość czaszki.

–Chodźcie. Nie możemy tu zostać. Złapią nas.

–Oni nie chcą nas złapać – odparł Bardolin. Nie podniósł głowy, ale mówił głośno i wyraźnie, choć głos miał przepełniony bólem. – Murad miał rację.

–Tego nie wiemy – warknął Hawkwood.

–Ja wiem.

Murad otworzył oczy.

–A nie mówiłem? Swój do swego ciągnie. – Zaśmiał się paskudnie. – Ależ z nas głupcy, Hawkwood. My, zwykli żołnierze i żeglarze, oddaliśmy bandę wiedźm i

czarowników prosto w ręce ich mistrzów. Bardolinowi włos z głowy nie spadnie, o nie. Wysyłają go z powrotem do swoich, a ty, kapitanie, będziesz jego przewoźnikiem. Jeżeli o kimś można mówić, że uciekł, to tylko o mnie. Ale co to za ucieczka? Niedaleko uszedłem.

Kiedy usiadł, z rany natychmiast zaczęła się sączyć gęsta, ciemna krew. Muchy zleciały się do niej jak do miodu.

–Ach tak, jesteśmy ocaleni – ciągnął Murad. – Skryliśmy się w błogosławionej dżungli, a od wybrzeża dzieli nas zaledwie kilkaset mil. Lepiej się poddać, Hawkwood.

Jęknął, usiadł ciężko i przymknął powieki.

–Może masz rację – przyznał Hawkwood, stając przed nim. – Ale ja mam, a przynajmniej do niedawna miałem statek. Zamierzam wyrwać się z tej przeklętej krainy i wrócić na morze. Nowy Hebrion, też coś! Jeśli zamiast rozczulać się nad sobą potrafisz wykrzesać z siebie jakieś resztki poczucia obowiązku, Muradzie, to przyznasz mi rację: musimy wrócić do domu, chociażby po to, żeby ostrzec innych. Jesteś żołnierzem i szlachcicem i chyba nadal rozumiesz, co to obowiązek, prawda?

Murad otworzył przekrwione oczy.

–Nie praw mi kazań, kapitanie. Za kogo ty się masz? Jesteś wypierdkiem wyłowionym z gabriońskiego rynsztoku.

–Teraz jestem lordem rynsztokowych wypierdków, Muradzie. Zapomniałeś? Sam nadałeś mi szlachectwo. Siebie zaś obwołałeś gubernatorem tego... – Zamaszystym gestem Hawkwood ogarnął prastare drzewa i cały rozjazgotany las. Wzbierał w nim gorzki, pusty śmiech. – A teraz dźwignij tę swoją szlachetną dupę, bo musimy poszukać wody. Pomóż mi, Bardolinie. Przestań tak dumać, jakby niebo właśnie zważyło się nam na głowy.

O dziwo, obaj go posłuchali.

Zatrzymali się na noc jakieś pięć mil od podnóża góry, nad strumieniem. Hawkwood zmusił Bardolina do przyniesienia opału i gałęzi na posłania, a sam przez ten czas obejrzał rany Murada. Wszystkie były poszarpane i wyglądały nie najlepiej, ale rana głowy była jedną z najpaskudniejszych, jakie w życiu widział. Zerwany z czaszki kawał skóry zwisał luźno nad lewym uchem.

–Mam w sakwie dobrą żaglomistrzowską igłę i trochę nici – stwierdził. – Nie jestem specjalistą, ale jakoś cię chyba pozszywam. Będzie bolało.

–Nie wątpię – przytaknął przeciągle Murad, któremu z wolna wracał chyba dawny humor i maniery. – Bierz się do roboty, póki nie jest za ciemno.

–Najpierw oczyszczę ranę. Zalęgły się w niej robaki.

–Nie! Zostaw je w spokoju. Widywałem ludzi gorzej pochlastanych ode mnie, którym mięso gniło, bo nie mieli w nim paru porządnych robali. Zaszyj mi je w ranie. Wyżrą martwe mięso.

–Na Boga, Murad...

–Rób, co mówię. Uparłeś się, że mamy przetrwać, więc zachowujmy się tak, jakbyśmy faktycznie mieli szansę. Gdzie ten francowaty czarodziej? Mógłby się do czegoś przydać. Wyczarowałby bandaż czy coś.

Bardolin wynurzył się z półmroku, niosąc naręczce chrustu.

–Zabił mojego chowańca – poskarżył się. – Odebrał mi część dweomeru. On mi zabił chowańca, Hawkwood!

–Kto?

–Aruan. Ich przywódca. – Bardolin rzucił drewno na ziemię, jakby paliło go w ręce. Oczy miał przygaszone, matowe, martwe jak dwie płytki łupku. – Ale jeśli chcesz, obejrzę go. Może będę mógł jakoś pomóc.

–Nie podchodź do mnie! – wrzasnął Murad i odsunął się od niego. – Ty łajdaku. Ty morderco! Gdybym miał trochę więcej siły, łeb bym ci zgruchotał! Od początku byłeś z nimi w zмовie!

–Spróbuj rozpalić ogień, Bardolinie – polecił znużonym tonem Hawkwood. – Ja go opatrzę. Później porozmawiamy.

Kapitan odruchowo krzywił się na dźwięk igły przebijającej skórę i ścięгна, ale

**Murad nawet nie jęknął podczas brutalnego zabiegu. Tylko chwilami jego ciało przebiegały gwałtowne skurcze, jak u konia, który próbuje przepłoszyć natrętnego gza. Kiedy Hawkwood uporał się z szyciem, dzień miał się ku końcowi. Rozpalone przez Bardolina ognisko jaskrawożółtą plamą odcinało się od czerni leśnego poszycia.**

**Kapitan obrzucił swoje dzieło krytycznym spojrzeniem.**

**–Na pewno od tego nie wyładniałeś – stwierdził.**

**Murad wyszczerzył zęby w uśmiechu, który upodabniał go do szkieletu. Szwy biegly w poprzek jego skroni jak kolumna marszowa mrówek, a pod skórą wiły się larwy.**

**Napili się wody ze strumienia i ułożyli do snu na posłaniach z zebranych przez Bardolina gałęzi. Mrok tymczasem zgęstniał i otoczyła ich całkowita ciemność. Insekty obsiadły ich całą chmarą, ale nikt nie miał dość siły, żeby się od nich opędzić. Hawkwood pierwszy otrząsnął się z sennego nastroju.**

**–Myślicie, że naprawdę pozwolili nam uciec? Może tylko czekają, aż pośniemy, żeby się na nas rzucić?**

**–Pięćdziesiąt razy mogli się na nas rzucić – zauważył cierpko Murad. – Nie idziemy zbyt szybko, nie jesteśmy też przesadnie ostrożni. Dlatego moim zdaniem faktycznie dali nam spokój. Może mają nadzieję, że dżungla nas wykończy. Może nie chcieli zabijać swojego druha czarodzieja. A może darowali nam życie z zupełnie innego powodu. Zapytaj maga! To on się bratał z ich wodzem.**

**Obaj spojrzeli na Bardolina.**

**–No więc? – zapytał Hawkwood. – Chyba mamy prawo wiedzieć. Powiedz, Bardolinie, co ci się przydarzyło?**

**Czarodziej siedział ze wzrokiem utkwionym w płomienie. Milczenie się przedłużało.**

**–Sam nie za bardzo wiem – odparł w końcu Bardolin. – Gosa przeniósł chochlika na szczyt piramidy stojącej w centrum miasta. Był zmiennokształtnym...**

**–Co ty powiesz... – prychnął Murad.**

**–Tam spotkałem ich wodza, mężczyznę o imieniu Aruan. Twierdził, że dawno temu, w czasach pontyfika Willardiusa, zajmował wysoką pozycję w Gildii Taumaturgów w Garmidalanie, w Astaracu.**

**–Willardius? – Murad zmarszczył brwi. – Przecież on zmarł ponad czterysta lat temu.**

–Wiem o tym. Aruan twierdzi, że jest praktycznie nieśmiertelny. Ma to ponoć coś wspólnego z wszechobecnością dweomeru w tej krainie. Kiedyś istniała tu wysoko rozwinięta cywilizacja, ale jakiś naturalny kataklizm przyniósł jej zagładę. Jej czarodzieje władali mocą, o jakiej my w Starym Świecie możemy co najwyżej pomarzyć. Ale nie tylko to nas różni...

–To znaczy?

–Oprócz tego, że mieli moc, byli zmiennymi. Wszyscy, cały naród.

–Na krew Boga... – szepnął Hawkwood. – Myślałem, że to niemożliwe.

–Ja też. To niespotykane, ale na własne oczy widzieliśmy, jak wygląda prawda.

–Jesteś tego pewien, Bardolinie? – spytał z namysłem Murad.

–Wolałbym nie być, naprawdę. Ale to nie wszystko. Aruan twierdzi, że ma w Normanii setki posłusznych agentów.

–Złoto... – wychrypiął kapitan. – To były normannijskie korony. Taką sumą można by przekupić króla. Albo kupić za nią armię.

–Wygląda na to, że ten twój zmienny i czarodziej w jednej osobie ma spore ambicje – prychnął szyderczo Murad. – Jaką rolę przewidział dla ciebie w swoich planach, Bardolinie?

–Nie wiem. Klnę się na Błogosławionego Świętego, że nie mam pojęcia.

*Kiedy znów się spotkamy, uznasz we mnie swojego pana, ale i przyjaciela.* Pożegnalne słowa Aruana płonęły żywym ogniem w pamięci Bardolina. Nigdy nikomu ich nie zdradzi. Był panem samego siebie – i zawsze nim będzie, mimo ohydnej obcej natury, która, jak czuł, krążyła w jego żyłach.

–Ale wiem jedno – ciągnął. – Ci magowie-zmienni nie zamierzają tu zostać na zawsze. Chcą wrócić do Normanii. Wszystko, co słyszałem, to potwierdza. Podejrzewam, że Aruan chce zostać jednym z królów naszego świata. I chyba już zaczął się sposobić do tej roli.

–Skoro potrafi zrobić wilkołaka z inicjanta, jego słowa należy traktować poważnie – mruknął Hawkwood. Przypomniawszy sobie rejs na zachód, Orteliusa i spustoszenie, jakie kapłan siał na statku.

–Rasa magołaków – odezwał się Murad. – Człowiek, który twierdzi, że ma ponad czterysta lat. Siatka zmiennych-szpiegów w Normanii, która wykonuje jego polecenia i płaci jego złotem. Gdybym nie widział tego, co widziałem, uznałbym cię za



wariata. Ten kontynent to prawdziwe piekło na ziemi. Hawkwood ma rację: musimy dotrzeć na statek, wrócić do Hebrionu i powiedzieć o wszystkim królowi. Musimy ostrzec Stary Świat. Wytrzebimy bestie, które znalazły sobie miejsce wśród nas, a potem wrócimy tu z potężną flotą i armią, aby zetrzeć resztę potworów z powierzchni ziemi. Nie są takie straszne: wystarczy je drasnąć żelazem, a padają jak muchy. Na Boga, pokażemy im, co potrafi pięć tysięcy hebrionów arkebuźników!

Chociaż raz Hawkwood musiał przyznać, że całkowicie zgadza się z wychudzonym gubernatorem. Za to Bardolin najwyraźniej nie był zachwycony.

–O co chodzi? – zapytał kapitan. – Nie podobają ci się zamiary tego Aruana, prawda?

–Oczywiście, że nie! Ale musimy pamiętać, że on i jemu podobni trafili tu, kiedy lud dweomeru wygnano z naszego świata. Wiem, do czego doprowadzi propozycja Murada: takich pogromów moich pobratymców jeszcze świat nie widział. Zacznie się rzeź, w której będą ginąć tysiącami. Nikt nie będzie pytał, kim naprawdę są. W ten sposób pchniemy normannijskich magów wprost w objęcia Aruana. A jemu właśnie o to chodzi. Tym bardziej, że jego tajnych wysłanników wcale nie będzie łatwo zdemaskować. Mogą być wszędzie, nawet wśród szlachty. Ucierpią niewinni, a nasi prawdziwi wrogowie będą spokojnie wyczekiwać dogodnej chwili.

–Zwykli żołnierze chętnie podejmą takie ryzyko – zauważył Murad. – Na ziemi nie ma już dla was miejsca, Bardolinie. Jesteście zarazą. Wasz koniec zbliża się od dawna. My tylko przyspieszymy nadejście tego, co nieuniknione.

–Trudno się z tobą nie zgodzić – mruknął Bardolin.

–Po której jesteś stronie? – zapytał Hawkwood.

Bardolin spojrzał na niego z ukosa.

–Nie rozumiem...

–Murad ma rację. Nadchodzi czas, w którym twoi bracia staną do walki ze zwykłymi ludźmi. Będziesz musiał albo przyłożyć ręki do ich unicestwienia, albo wystąpić z nimi przeciwko nam. I o to właśnie pytam.

–Nie dojdzie do tego. Nie może do tego dojść!

Hawkwood chciał coś powiedzieć, ale Murad uciszył go dyskretnym gestem.

–Wystarczy. Rozejrzyj się. Na razie zanoszą się na to, że nie będziemy musieli się martwić takimi sprawami, bo nasze kości zgniją tutaj, w dżungli. Proponuję zawieszenie broni, magu. Jeżeli któryś z nas ma wrócić na wybrzeże, musimy sobie

**pomagać. Do dysput na tematy polityczne wrócimy na pokładzie statku. Zgoda?**

**–Zgoda – przytaknął Bardolin i z goryczą zacisnął wargi.**

**–Doskonale. – Słowa Murada aż ociekały ironią. – Ty, kapitanie, będziesz naszym dyżurnym nawigatorem. Czy jutro wskażesz nam właściwy kierunek marszu?**

**–Być może. Pod warunkiem, że uda mi się wypatrzeć słońce, zanim chmury je zakryją. Ale jest inny, lepszy sposób. Przetrząśnijcie kieszenie, zrobimy spis ekwipunku. Muszę wiedzieć, z czym pracuję.**

**Z pobliskiego krzewu oderwali szeroki liść i przy blasku ogniska rozłożyli na nim zawartość kieszeni i sakiewek. Bardolin i Hawkwood mieli szczelnie zapakowane krzesiwa i zwitki suchej wełny na rozpałkę. Czarodziej miał oprócz tego kozik z brązu i cynową łyżkę. Murad wyciągnął złamane żelazne ostrze noża, długie na kilkanaście centymetrów, składany cynowy kubeczek i manierkę z korkiem, którą nosił przy pasie. Hawkwood dorzucił igłę do szycia żagli, kłębek mocnej przędzy, ołowiany pocisk do arkebuza i kościany haczyk na ryby. Wszyscy mieli w kieszeniach okruchy okrętowych sucharów, Murad zaś dodatkowo kawałek suszonej wieprzowiny, twardy jak drewno i całkowicie niezjadliwy.**

**–Nędzny ten nasz sklepik, jak mi Bóg miły – mruknął Murad. – No, Hawkwood, co nam z tego wyczarujesz?**

**–Myślę, że dam radę zmontować kompas. W razie potrzeby możemy polować i łowić ryby. W dzieciństwie przeżyłem katastrofę statku na Wybrzeżu Malacarskim; kiedy morze wyrzuciło nas na brzeg, mieliśmy niewiele więcej. Z przędzy zrobimy linkę na ryby: haczyk mamy, pocisk go dociąży, a mięsa użyjemy na przynętę. Po przywiązaniu ułamanej klingi do kija będziemy mieli włócznie. Poza tym jest pod dostatkiem owoców. Nie umrzemy z głodu, ale szukanie pożywienia w dżungli zabrałoby nam dużo czasu. Lepiej będzie zacisnąć pasa, jeśli chcemy wrócić na wybrzeże przed nadejściem wiosny.**

**–Coś podobnego! – wykrzyknął Murad. – Słowo daję, własne buty zjemy, ale wrócimy przed wiosną do fortu!**

**–W tę stronę szliśmy blisko miesiąc, i to głównie traktem. Powrót będzie trudniejszy. Może i pozwolili nam uciec, ale mimo wszystko wolałbym nie korzystać z ich dróg.**

**Hawkwood przypomniał sobie odór i ciepło bijące od ciała olbrzymiego wilkołaka, który legł obok niego w gęstwinie, tam, we wnętrzu góry...**

***Miałbym cię skrzywdzić, kapitanie? Ciebie – nawigatora i sternika? Nie, nie zrobię tego.***

**Wzdrygnął się na to wspomnienie.**

W nocy zmieniali się na warcie. Ten, który nie spał, dorzucał do ognia i gapił się na czarną ścianę lasu; ci, którzy zeszli z posterunku, zapadali w płytki, nerwowy sen. Bardolin prawie w ogóle nie spał. Był wyczerpany, ale bał się zasnąć. Bał się tego, co mogło czyhać na niego w snach.

Aruan zmienił go w wilkołaka.

Tak w każdym razie twierdził. Bardolin odbył stosunek z Kersik, dziewczyną, która sprowadziła ich do Undabane i która później poczęstowała go upolowaną przez siebie zwierzyną. To podobno wystarczało. Właśnie taki rytuał miał wywoływać chorobę.

Miał wrażenie, że czuje rozwijającą się czarną zmianę, która z każdym uderzeniem serca zmienia jego ciało i duszę. Czy powinien się do tego przyznać? Hawkwood i Murad i bez tego byli wobec niego nieufni. Co z nim będzie? Jakim potworem się stanie?

Przyszło mu do głowy, że mógłby wstać, odejść od ogniska i przepaść w dżungli, albo nawet wrócić do Undi niczym jakiś syn marnotrawny. Był jednak z natury dumny i uparty. Zamierzał do końca walczyć z chorobą, opierać się jej, póki będzie się w nim tliła choć jedna iskierka dawnego Bardolina, syna Carnolana. Kiedyś był żołnierzem; teraz też się nie podda.

Takie myśli przebiegały mu przez głowę, kiedy siedział na warcie i dorzucał do ognia. Jego towarzysze spali. Hawkwood kazał mu pocierać igłę wełną wyjętą z pudełka z krzesiwem. Bardolin nie widział w tym żadnego sensu, ale przynajmniej miał czym zająć ręce i odegnać senność.

Leżący z boku Murad jęczał przez sen. W którymś momencie wstrząśnięty Bardolin usłyszał, jak wypowiada imię Grielli, plebejskiej kochanki, którą zabrał na pokład statku. Nie wiedział, że jest zmienną. Jakież ohydny związek ich połączył? Nie doszło do gwałtu, ale nie była to też miłość, którą darzy się drugiego człowieka z własnej woli. Nie, przypominało to raczej obustronną degradację, która boleśnie odciskała się na ich naturze, ale sprawiała, że pragnęli się coraz goręcej.

A Bardolin, niemądry staruch, był o Griellę zazdrosny.

Siedział przy ognisku i łajał się w duchu za wszelkie przewiny i fanaberie starzejącego się samotnika bez domu i rodziny. Nocny mrok pogłębiał jego ponury nastrój. Dlaczego Aruan go oszczędził? Jaki los mu przeznaczył? Szlag by trafił te niekończące się serie pytań!

Użył słabego zaklęcia i wywołał malutki błędny ognek, który migotał słabo i pluł iskierkami na wszystkie strony. Nagle ogarnął go lęk. Puścił ognek po okręgu wokół ogniska, na granicy światła i ciemności, aby na krótką chwilę odepchnąć mrok. Ognik śmignął jak rozochocony świetlik – i zgasł. Za szybko. Był za słaby. Bardolin czuł się jak człowiek, który po odjęciu kończyny nadal odczuwa fantomowe bóle w palcach. Napił się wody z manierki Murada. Oczy piekły go z żalu i zmęczenia. Robił się za stary na takie eskapady. Powinien mieć pomocnika, który pomógłby mu dźwigać brzemię zmartwień. Kogoś takiego jak młody Orquil, który w Abrusio spłonął na stosie.

*A ja Bardolinie? Ja ci nie wystarczę?*

Poderwał głowę. Omal nie zasnął. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że po drugiej stronie ogniska ktoś siedzi: młoda dziewczyna o gęstych włosach barwy miedzi. Nocne powietrze źle mu robiło na głowę. Przetarł pięściami oczy i czuwał dalej, niecierpliwie wyczekując świtu.

Zbudzili się, gdy tylko pierwsze nieśmiałe promienie słońca przedarły się przez liściaste sklepienie. Po śniadaniu, na które złożyły się resztki sucharów popite wodą ze strumienia, Murad i Bardolin stanęli nad Hawkwoodem, który położył igłę na liściu w napełnionym wodą kubku Murada. Chwilę kręciła się bez celu, ale w końcu znieruchomiła. Kapitan z satysfakcją pokiwał głową, chociaż minę nadal miał ponurą.

–To ma być ten twój kompas? – zapytał z niedowierzaniem Murad. – Zwycła igła?

–Każdy kawałek żelaza może wskazać północ – usłyszał w odpowiedzi. – Nie wiem, dlaczego tak jest, ale to prawda. Dziś pójdziemy na południowy wschód. Muradzie, rozglądaj się za odpowiednim drzewcem do włóczni. Ja spróbuję zmajstrować łuk. Daj mi swój nóż, Bardolinie. Będziemy musieli znakować drzewa, żeby nie zboczyć z kursu. Gotowi? No to idziemy.

Murad i Bardolin, trochę zaskoczeni, ruszyli za nim.

Szli bez przerwy mniej więcej do południa, kiedy to zaczęło się chmurzyć przed tradycyjną codzienną ulewą. Murad zdążył przez ten czas umocować ułamany nóż na dwumetrowej długości drągu, Hawkwood zaś niósł garść cienkich, prostych patyków i jeden długi, gruby na trzy palce kij. Byli wygłodniali i ociekali krwią, pocięci przez insekty i pokaleczeni przez niezliczone pijawki. Murad miał kłopoty z utrzymaniem narzuconego przez Hawkwooda tempa; kapitan i mag coraz częściej musieli zatrzymać się i czekać na niego. Kiedy jednak Hawkwood zasugerował postój, gubernator odpowiedział niechętnym warknięciem.

Kiedy niebo się rozdarło i z góry runęły potoki wody, schronili się pod olbrzymim uschniętym drzewem. Ziemia, na której przysiedli, szybko zmieniła się w lepkie błoto, a deszcz był tak gęsty, że mieli kłopoty z oddychaniem. Hawkwood przycisnął brodę do piersi, ale w wolnej przestrzeni przy jego twarzy natychmiast zaroilo się od moskitów, które, chcąc nie chcąc, wciągał do płuc przy każdym wdechu i wypluwał z wydychanym powietrzem.

Potop skończył się równie gwałtownie jak rozpoczął. Jeszcze przez kilka minut siedzieli w błocie, wsłuchani w bulgotanie wody, przemoczeni, wyczerpani i wściekle głodni. Murad wyglądał, jakby w każdej chwili mógł stracić przytomność; Hawkwood czuł bijącą od niego gorączkę, kiedy ten oparł się o niego.

Zbierali się bez słowa, z mazołem, potykając się i zataczając jak starcy, gdy nagle w wodzie pod ich stopami mignął jaskrawo ubarwiony wąż. Murad wrzasnął wniebogłosy – i gwałtownie otrzeźwiał. Włócznią przyspilił węża do ziemi, trafiwszy go w samą nasadę głowy. Wąż miotał się przez chwilę w agonii, aż w końcu owinał

**się wokół drzewca i zwiotczał. Murad z uśmiechem spojrział na swoich kompanów.**

**–Panowie... – powiedział. – Podano do stołu.**

# DWA

Haptman Hernan Sequero powiódł wzrokiem po swoim małym, brudnym królestwie i skrzywił się z niesmakiem. Zabębnił palcami w stół, starając się nie zwracać uwagi na kroplę potu, która zawisała mu na brwi.

–To za mało – stwierdził. – Nie mamy co marzyć o samowystarczalności, dopóki ci cholerni ludzie będą umierać. Przecież podobno są czarodziejami, do stu diabłów! Nie mogą pomóc sobie magią?

Otoczający go mężczyźni zaczęli pochrząkiwać, przestępować z nogi na nogę i spuszczać wzrok. Tylko jeden odważył się odpowiedzieć – młody, rumiany chorąży o złotoblond włosach:

–W kolonii jest troje zielarzy, panie haptmanie. Robią, co mogą, ale nie znają się na tutejszych roślinach. Działają metodą prób i błędów.

–A tymczasem cmentarz jest najszybciej rozwijającym się elementem naszej osady – zauważył oschle Sequero. – Cóż, nie można chyba sprzeciwiać się naturze, ale drażni mnie to. Lord... To znaczy, jego ekscelencja nie będzie zachwycony.

Znów odpowiedziało mu szuranie stóp i zalęknione spojrzenia.

Oprócz Sequero przy stole stało jeszcze trzech ludzi, odzianych w skórzane hebrionkie mundury. Znajdowali się na jednej z wysokich wież strażniczych, które wybudowano w rogach palisady. Na tej wysokości czuło się powiew znad oceanu. Z wieży było nawet widać *Gabriońskiego rybołowa*, który kołysał się bezpiecznie na kotwicy pół mili od brzegu. Na horyzoncie morze zlewało się z niebem.

Im bliżej, tym widok robił się bardziej przygnębiający. W obrębie palisady, która otaczała około dwóch akrów lądu, rozsiane były dziesiątki prymitywnych szałasów; niektóre z nich niewiele się różniły od zrzuconych na stertę naręczy gałęzi. Jedynym budynkiem z prawdziwego zdarzenia była rezydencja gubernatora – drewniana willa o małych oknach, zbudowana jak blokhauz.

Głęboki rów, dzielący obóz na dwie części i ciągnący się w głąb dżungli, służył za rynsztok. Ziemia przy jego brzegach zmieniła się w cuchnące, rojące się od komarów grzęzawisko. W kilku miejscach przerzucone w poprzek pnie drzew udawały mosty. Koloniści próbowali kopać studnie, ale zbierająca się w nich woda cuchnęła paskudnie, więc czerpali wodę ze strumienia, który Murad znalazł pierwszego dnia. W kącie fortu urządzono zagrodę dla ocalałych koni, lecz wyglądało na to, że za parę dni zagroda na dobre opustoszeje. Kiedy ostatnie konie padną, ich mięso zostanie zasolone, a potem zjedzone, tak jak ciała poprzednich.



–Ten kraj nie nadaje się ani dla ludzi, ani dla zwierząt – mruknął Sequero z marsem na czole. Przypomniawszy sobie, jakie piękne stworzenia wioził z Hebrionu; najlepsze wierzchowce z ojcowskich stajni. Ale tutaj nawet owce nieszczęśliwie sobie radziły. Gdyby nie dzikie świnie i sarny, które co jakiś czas przynosiły wysłani do dżungli myśliwi, już dawno żywiliby się korzonkami i jagodami. – Ilu dzisiaj?

–Dwoje – odparł di Souza. – Miriam di...

–Nie pytałem o nazwiska! – warknął Sequero. – Ilu zostało? Osiemdziesięciu kilku, tak? Nadal całkiem sporo. Bogu niech będą dzięki, że żeglarzy i żołnierzy ulepił z twardszej gliny. Sierżancie Berrino, jak tam nasi ludzie?

–Trzymają się dzielnie. Za pozwoleniem, panie haptmanie... To był świetny pomysł, żeby pozwolić im chodzić bez pancerzy. Oddział Garolva przyniósł rano trzy dziki.

–Doskonale. Dobry z niego żołnierz, chyba najlepszy, jakiego mamy. Panowie, trafiliśmy do piekła, ale piekło jest teraz własnością naszego króla, więc musimy je jak najlepiej wykorzystać. Możecie być pewni, że gubernator po powrocie z ekspedycji nie pożałuje wam awansów. Fort Abeleius na razie nie wygląda imponująco, ale za kilka lat wyrośnie w tym miejscu miasto z prawdziwego zdarzenia, z kościołami, gospodami i innymi atrybutami cywilizacji.

Podwładni słuchali go z należytą uwagą, on jednak ani przez chwilę nie wątpił, że traktują jego słowa z najwyższym sceptycyzmem. Do brzegu przybili przed dwoma i pół miesiącami. Zdawał sobie sprawę z powszechnego przekonania, że jeżeli gubernator w ogóle jeszcze żyje, to przepadł na dobre w bezkresnej dżungli. Od wyruszenia prowadzonej przez niego ekspedycji upłynęło zbyt wiele czasu, a pod jego nieobecność niezadowolenie i strach w obozie narastały z każdym dniem. Żołnierze zaczęli podzielać przekonanie cywilów, że rozpaczliwa walka o ten niepewny przyczółek na Zachodnim Kontynencie nie przyniesie im nic dobrego; lud dweomeru oswajał się z myślą, że lepiej będzie wrócić do Abrusio i ryzykować spalenie na stosie, niż umrzeć od chorób i z głodu – a taki los coraz częściej stawał się ich udziałem. Chwilami Sequero czuł się jak pływak walczący z coraz silniejszym prądem, który pewnego dnia i tak go pochłonie.

–Chorąży di Souza, ile dział okrętowych mamy w tej chwili na lądzie?

–Sześć dużych rarogów i dwa lekkie falkony, panie haptmanie, rozłokowane w taki sposób, żeby kryć ogniem wszystkie dojścia do fortu. Velasca, ten żeglarz, zamierza się osobiście panu poskarżyć. Twierdzi, że działa są własnością kapitana Hawkwooda i powinny zostać na pokładzie.

–Niech złoży skargę na piśmie – odparł Sequero. Podobnie jak większość arystokratów starej daty, nie umiał czytać. – Jesteście wolni, panowie. Tylko z

panem, di Souza, chciałbym zamienić jeszcze dwa słowa. Sierżancie Berrino, proszę rozdać dziś ludziom po racji wina. Zasłużyli na to. Ciężko pracowali.

Berrino – mężczyzna w średnim wieku, o twarzy bandyty – cały się rozpromienił.

–Ależ... Dziękuję, panie...

–To wszystko. Możecie odejść.

Żołnierze zeszli po drabinie umocowanej do jednej z podpór wieży. Sequero i di Souza zostali na górze sami.

–Napij się, Valdanie – zaproponował swobodnym tonem Sequero, wskazując zawieszony na kołku pękaty bukłak z winem.

–Dziękuję, panie haptmanie.

Di Souza pociągnął solidny łyk ciepłego jak krew trunku i otarł usta wierzchem dłoni. Do chwili lądowania byli z Sequero równi szarżą. Dopiero później Murad awansował Sequero do rangi haptmana, wojskowego dowódcy kolonii. Wybór był oczywisty: di Souza nie był szlachetnie urodzony, lecz zaledwie adoptowany przez arystokratę, Sequero zaś wywodził się z jednego z najlepszych rodów królestwa i był równie blisko spokrewniony z władcą jak sam Murad. Fakt, że był niepiśmienny i nie odróżniał lufy arkebuza od kolby, nie miał znaczenia.

–Od wyruszenia prowadzonej przez gubernatora ekspedycji minęło prawie jedenaście tygodni – mówił dalej Sequero. – Jeśli Bóg pozwoli, za tydzień, najdalej dwa powinni być z powrotem. Przez cały ten czas kryliśmy się tchórzliwie za palisadą jakbyśmy byli oblężeni. To się musi zmienić. Nie dostrzegam w tym kraju niczego, co uzasadniałoby taką defensywną strategię. Jutro wydam kolonistom rozkaz, aby zaczęli karczować ziemię pod przyszłe uprawy. Ogniem i mieczem wydrzemy dżungli kilka akrów i przekonamy się, czy uda się coś na nich wyhodować. Jeżeli sprawy ułożą się po naszej myśli, będzie można odesłać część kolonistów z fortu, żeby budowali sobie domy na własnej ziemi. Chciałbym, Valdanie, abyś spisał, kto jest głową domu w którym domostwie i każdemu przydzielił działkę. Otrzymają je w dzierżawę od hebrionńskiej korony. Rzecz jasna, trzeba będzie opracować system zbierania dziesięciny. Zorganizujesz patrole... Chcieliście coś powiedzieć, chorąży?

–Tylko tyle, że rozkazy lorda Murada nie przewidywały opuszczania fortu, panie haptmanie. Nie było w nich ani słowa o karczowaniu ziemi.

–To prawda. Ale nieobecność gubernatora znacznie się przedłużyła, a my powinniśmy od czasu do czasu wykazać choćby minimum inicjatywy. W dodatku w przeludnionym forcie panują warunki szkodliwe dla zdrowia. Poza tym należy zmusić do pracy tych przeklętych marynarzy. Ilu mamy sprawnych żołnierzy?

–Osiemnastu, nie licząc nas dwóch. Velasca, zastępca Hawkwooda, wysłał chyba z tuzin swoich ludzi na patrol przybrzeżny. Przydzielił im dwie szalupy. Poza tym są zajęci wyławianiem drewna i metalowych części z wraku karaweli, która osiadła na rafach. Następnym dwudziestu pracuje przy odparowywaniu soli, soleniu mięsa na powrót i tak dalej. Czterech jest w forcie. Szkołą naszych w obsłudze rarogów.

–To dobrze. Widzę, że lubią się wyróżniać... Ale to również wkrótce się zmieni. Powiedz Velasce, że dwunastu marynarzy z bronią ma się stawić w forcie i natychmiast oddać pod komendę sierżanta Berrino. Potrzebujemy więcej ludzi do obsadzenia palisady.

–Tak jest – odparł di Souza z kamienną twarzą. – Coś jeszcze, panie haptmanie?

–Nie... To znaczy, tak. Zjesz jutro ze mną kolację w rezydencji gubernatora?

–Dziękuję za zaproszenie.

Di Souza zasalutował i zszedł po skrzypiącej drabinie. Sequero wytarł pot z twarzy i pociągnął solidny łyk wina.

Nie miał jeszcze wyrobionego zdania, czy nowa kolonia jest jego wielką szansą na awans, czy raczej cmentarzyskiem jego ambicji. Gdyby został w Hebrionie, mógłby teraz być dowódcą regimentu. Zasługiwał na to, choćby z racji urodzenia. Z drugiej strony... Może król uznał, że jego krew jest zbyt błękitna i dlatego zesłał go do tej przeklętej, pozał się Boże, kolonii. Jeśli jednak ktoś tu miał ambicje, to przede wszystkim jego przełożony, lord Murad. On z pewnością nie wzięłyby udziału w tak ryzykowanym przedsięwzięciu, gdyby nie widział w nim korzyści dla siebie. Zatem lepiej być tutaj niż na dworze. W warunkach polowych przełożeni czasem ginęli; na dworze byłby skazany na odwieczne podchody w walce o władzę i wpływy, które przy silnym królu i tak na nic by się nie zdały. A Abeleyn, choć młody, był silnym władcą. Sequero nawet go lubił, chociaż uważał, że przywiązuje za małą wagę do etykiety i nazbyt chętnie słucha gorszych od siebie.

Czy Murad zginął? Trudno było w to uwierzyć. Gubernator zawsze sprawiał wrażenie człowieka stworzonego pół na pół z mięśni i żelaznej woli. Ale minęło dużo czasu. Bardzo dużo. Pierwszy raz w życiu Sequero nie wiedział, co robić. Żołnierze uwierzyli, że nad kolonią zawisła klątwa i byli o krok od buntu. Bez Murada, który swoim autorytetem utrzymałby ich w ryzach...

Drabina zatrzeszczała pod wojskowymi butami. Żołnierz, który wgramolił się na platformę, miał twarz czerwoną z gorąca.

–Za przeproszeniem, panie haptmanie... To moja kolej na objęcie straży. Przysłał mnie chorąży di Souza.

**–Doskonale. Właśnie skończyłem. – Jakżeż ten człowiek się nazywał? Sequero zirytował się, nie mogąc sobie przypomnieć jego nazwiska. Ale jakie to miało znaczenie? To był po prostu jeden z wielu śmierdzących szeregowych. – Miej oczy szeroko otwarte... Ulbio.**

**No proszę. Jednak sobie przypomniał.**

**–Tak jest.**

**Żołnierz zasalutował. Dopóki haptman nie zszedł z wieży, Ulbio był prawdziwym wzorem wartownika. Dopiero kiedy stracił z oczu Sequero, splunął w dół. Zastrany szlachetka, pomyślał. Oni wszyscy mają swoich podwładnych głęboko w dupie.**

Rezydencja gubernatora była na terenie kolonii jedynym budynkiem z prawdziwego zdarzenia. W jej ścianach rozmieszczono liczne otwory strzelnicze (na wypadek, gdyby miała kiedyś stać się ostatnim bastionem obrony), ale miała również długą werandę, na której można było zasiąść wieczorem do kolacji – i nawet mieć z tego jaką taką przyjemność. Drewno rosnących w okolicy drzew było niewiarygodnie twarde i drobnoziarniste, przez co doskonale nadawało się na meble. Marynarze zbudowali napędzaną pedałami tokarkę, dzięki czemu Sequero i jego goście zasiedli do podłużnego stołu wspartego na pięknie toczonych nogach. Nie brakowało kryształowych kielichów, srebrnej zastawy i długich świec, których światło padało na zaczerwienione twarze biesiadników i wabiło ćmy. Gdyby nie duszący upał i niemilknące odgłosy dżungli, można by pomyśleć, że spotkali się w szlacheckiej posiadłości w Hebrionie.

Zgromadzenie wypadło skromnie. Oprócz Sequero i di Souzy na kolację przybyło jeszcze tylko trzech gości: Osmo z Fulku, spasiony pochlebca, handlarz winem i właściciel prywatnego zapasu gaderiańskiego trunku, którego już choćby z tego powodu warto było zaprosić; Astiban z Pontifidad, wysoki, siwiejący mężczyzna o ponurej twarzy, który w Abrusio zawodowo zajmował się zielarstwem, a hobbistycznie – wszelkimi naukami przyrodniczymi; oraz Fredric Arminir, który do Hebrionu przybył – o dziwo – z Almarku i uchodził za przemysłowca.

O ile Sequero wiedział, żaden z tej trójki nie był czarodziejem, wszyscy jednak mieli we krwi mniejszy lub większy ślad dweomeru – w przeciwnym razie nie byłoby ich tutaj. Miał irracjonalną ochotę zmusić ich do jakiegoś pokazu, do popisania się jakąś sztuczką, toteż ucieszył się jak dziecko, kiedy Osmo wyczarował niebieskie błędne ogniki, które oświetliły werandę. Insekty zlatywały się do nich i skwiercząc ginęły całymi setkami, dzięki czemu biesiadnicy mogli spokojnie jeść i pić, zamiast bezustannie się od nich oganiać.

–Nauczyłem się tej sztuczki w Macassarze – wyjaśnił niedbałym tonem Osmo. – Mają tam dość podobny klimat.

–Ty, Astibanie, jako przyrodnik musisz być zachwycony mnogością stworzeń, które oblażą nas i kęsają na tym nowym kontynencie – zauważył Sequero.

–Istotnie, wiele istot jest mi zupełnie nieznanych, lordzie Sequero. Za pozwoleniem chorążego di Souzy towarzyszę czasem żołnierzom na polowaniach. Widziałem w dżungli tropy, jakich nie zostawiłoby żadne zwierzę ze znanych w Starym Świecie bestiariuszy. Obszedłem również teren w promieniu kilkuset metrów od palisady. Sądząc po śladach, zwierzęta podchodzą w okolice fortu, kręcą się chwilę w miejscu, a potem wycofują. Dziesiątki razy widziałem taki powtarzający się wzór.

**–Co one robią? – spytał rozbawiony Fredric. – Przychodzą nas sobie obejrzeć?**

**–Tak mi się wydaje. Moim zdaniem jesteśmy obserwowani, chociaż nie potrafię powiedzieć przez kogo.**

**–Sugeruje pan, że te potwory mają rozum? – Sequero nie ukrywał zaskoczenia.**

**–Nie posuwałbym się aż tak daleko... Ale cieszę się, że mamy solidną palisadę i wartowników. Jestem pewien, że podczas ekspedycji gubernator pozna ten kontynent znacznie lepiej i, być może, wyjaśni tajemnicę mojego odkrycia.**

**Astiban mówił z manierą uniwersyteckiego wykładowcy, czym okropnie irytował Sequero. No, ale przynajmniej wierzył w powrót gubernatora. Sądząc z kosych spojrzeń, Fredric i Osmo nie podzielali jego przekonania.**

**–Jesteśmy pionierami – przypomniał Sequero. – Czekające nas nagrody rekompensują nam ryzyko, które podejmujemy.**

**–Pionierami, owszem – przytaknął Astiban. – Ale przede wszystkim jesteśmy uchodźcami. Dla nas alternatywa była oczywista: miejsce na jednym ze statków kapitana Hawkwooda, albo stos.**

**–Istotnie. W każdym razie teraz jedziemy na jednym wózku i musimy jak najlepiej wykorzystać daną nam szansę.**

**W dusznym powietrzu rozległ się odgłos wystrzału. Biesiadnicy znieruchomieli. Di Souza wstał pierwszy.**

**–Za pozwoleniem, panie haptmanie...**

**–Naturalnie, Valdanie, idź, zobacz, co się dzieje. Podejrzewam, że znów któryś z wartowników strzela do cieni.**

**Ogłuszający huk rozdarł ciemność; jedno z dział na palisadzie plunęło ogniem. Dało się słyszeć pokrzykiwania ludzi. Di Souza popędził na złamanie karku w mrok, w biegu chwytając swój miecz, wiszący na kołku przy wejściu na werandę. Sequero spokojnie sączył wino, wiedząc, że pozostali goście wpatrują się w niego wybałuszonymi oczami.**

**–Panowie, obawiam się, że nasza kolacja dobiegła końca...**

**Rozległ się ryk jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Odpowiedziała mu kanonada z muszkietów; wystrzały były widoczne jako szafranowe iskierki. Na całej palisadzie zapalały się pochodnie; ktoś zaczął bić na trwogę w okrętowy dzwon. Sequero wstał i przypasał miecz.**

**–Wracajcie do domów i uspokójcie swoich bliskich, ale później każdy zdolny do noszenia broni męczyzna ma jak najszybciej stawić się na palisadzie. Idźcie już.**

**Dopił gaderiański trunek, odprowadziwszy wzrokiem trójkę gości. Szkoda by było, gdyby takie wino miało się zmarnować.**

**Tymczasem bitwa rozgorzała na dobre. Odstawił pusty kieliszek na stół i zszedł z werandy, kierując się odgłosem wystrzałów. Wyczarowane przez Osmo ogniki zaskwierczały ostatni raz i pogasły.**

# TRZY

Hawkwood przebudził się gwałtownie.

–Co się stało? – zapytał, widząc stojącego nad nim Bardolina. Czarodziej nasłuchiwał.

–Coś słyszałem... Jakiś hałas, daleko stąd, w stronę wybrzeża. Prawie można by pomyśleć, że to wystrzał z działa.

Hawkwood w mgnieniu oka otrząsnął się z resztek snu i zerwał na równe nogi.

–Wiedziałem, że jesteśmy blisko, ale nie sądziłem...

–Ćśś! O, znowu!

Tym razem obaj usłyszeli stłumiony huk.

–Tak, to działa – wyszeptał Hawkwood. – Jeden z moich rarogów. Może przewieźli je na brzeg? Na bożą krew, Bardolinie, zostało nam najwyżej kilka mil do przejścia! Jesteśmy prawie w domu!

–W domu – powtórzył w zadumie czarodziej. – Ale powiedz mi, Hawkwood, po co strzelają z armat w środku nocy? To na pewno nie wróży nic dobrego.

Usiedli przy ognisku. Po jego drugiej stronie leżał Murad, nieruchomy jak trup, z otwartymi ustami i twarzą oszpeconą blizną.

–Jutro się przekonamy – stwierdził kapitan. – Przejdziemy te parę mil i wszystko się skończy. Wsiądziemy na *Rybołowa* i zwiejemy jak najdalej od tej przeklętej krainy. Znów odetchniemy świeżym powietrzem, poczujemy podmuch wiatru na twarzy... Pomyśl o tym, Bardolinie. Tylko pomyśl.

Odległa kanonada trwała mniej więcej godzinę, włączając w to jeden głośniejszy łoskot, który zabrzmiał jak oddana ze statku salwa burtowa. Później w dżungli zapadła cisza, ale Hawkwood zdążył przez ten czas ustawić kompas i namierzyć się na odgłosy wystrzałów, żeby rano móc pójść prosto w tym kierunku. Potem, wyczerpany, położył się i zasnął.

Bardolin nie spał. Dawno już przestali trzymać regularnie straż, ale w miarę upływu czasu zauważył, że on sam potrzebuje coraz mniej snu.

Podróż okazała się niewiarygodnie ciężka; na dobrą sprawę prawie ich zabiła. Zmieniła ich w oblepionych błotem fanatyków o zmierzwionych włosach i zapadniętych oczach, których jedynym celem w życiu był marsz, którzy czcili



prymitywny kompas Hawkwooda niczym najświętszą relikwię i którzy byli gotowi walczyć jak zwierzęta o wszystko, co choćby z grubsza przypominało jedzenie. Niekończąca się udręka, brud i żar dżungli zdarły z nich cienką patynę cywilizacji. Kilkakrotnie postanawiali, że dalej nie idą i zrezygnowani wyczekiwali śmierci, która z czasem wydawała im się coraz bardziej atrakcyjnym wyjściem. Jednak zawsze w tych krytycznych chwilach przychodziło niespodziewane ocalenie: natykali się na strumień z czystą wodą, znajdowali świeżo upolowanego jelenia, napotykali lecznicze ziele, które Hawkwood rozpoznawał ze swoich podróży po Macassarze. Zrywami przemierzali las od jednego szczęśliwego znaleziska do drugiego, kierując się wskazaniem kompasu, przy pomocy którego kapitan co rano ustalał kierunek marszu. I zanosilo się na to, że jednak przeżyją; Bardolin wiedział o tym już od dawna – i doskonale rozumiał, dlaczego tak się stanie.

Co dzień w najczarniejszej nocnej godzinie leżał przy ognisku i zmagał się z chorobą, ale ta za każdym razem posuwała się coraz dalej, zanim wreszcie udawało mu się ją pokonać.

Tej nocy było tak samo. Miał wrażenie, że owiewa go błogosławiony podmuch zimnego powietrza, chłodny i ożywczy, od którego wymizerowane ciało natychmiast nabierało sił. Coś się zmieniło w jego zmyśle wzroku – nagle zaczął dostrzegać rzeczy, których normalnie nie widział. Bijące serce Murada trzepotało jak jaskrawo upierzony ptak, uwięziony w jego klatce piersiowej. Żyły, które wystąpiły mu na rękach, pulsowały płynnym światłem.

Bardolinowi wydawało się, że kości mu trzeszczą, jakby nagle próbowały popękać i kompletnie zmienić ustawienie. Wodził językiem po zmienionych zębach. Wnętrze ust miał gorące jak palenisko; rozchylił wargi i zaczął łapczywie dyszeć, a kiedy to zrobił, język zwisał mu poniżej dolnej wargi. Po języku ściekł pot.

Spojrzał na swoje dłonie, które stały się czarne i chropowate. Stawy palców strzelały donośnie; przy jego wyczulonym słuchu hałas wydawał się nie do zniesienia, ale zarazem działał hipnotyzująco. Nagle zaczął widzieć i słyszeć całe mrowie stworzeń ożywiających tropikalny las.

To właśnie była największa pokusa: chwilami zaraza przynosiła mu ulgę. Mógł zmienić się w jakąś większą, lepszą istotę, bardziej intensywnie smakować życie i zapomnieć o starczych słabościach.

Przez moment wił się na ziemi, zawieszony w pół drogi między pragnieniem, by choroba zwyciężyła, i swoją upartą odmową poddania się jej – a w następnej chwili już jej nie było. Kolejny raz ją pokonał i leżał teraz przy ogniu jak nowonarodzony kociak. Dżungla otaczała go niczym czarny mur.

–Brawo – usłyszał. – Nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś z takim uporem walczył z

czarną chorobą. Podziwiam cię, Bardolinie, mimo że twoje wysiłki są chybione i skazane na niepowodzenie.

Wyczerpany Bardolin uniósł głowę.

–Dawno cię nie widziałem, Aruanie. Byłeś zajęty?

–W pewnym sensie. Słyszeliście strzały. Domyślasz się, co mogą oznaczać. Statek jednak jest nietknięty, osobiście tego dopilnowałem. Bałem się tylko, żeby ci, co przeżyli bitwę, nie odpłynęli zanim jutro dotrzecie na wybrzeże. Wywołałem więc wiatr od morza. Nie podniosą kotwicy, jeśli nie chcą, żeby zepchnął ich na skały.

–Zapobiegliwy jesteś.

–Myślę o wszystkim. Sądzisz, że dotarlibyście tak daleko bez mojej pomocy? Chociaż muszę przyznać, że ten wasz żeglarz jest bardzo zaradny. I uparty. Podoba mi się. W młodości byłem taki sam. Masz szczęście do przyjaciół, Bardolinie. Ja go nie miałem.

–Aż mi serce krwawi, kiedy cię słucham.

Aruan pochylił się nad ogniem. W świetle ogniska jego twarz przypominała maskę.

–Jeszcze będzie krwawić. Na razie muszę cię zostawić. Walcz, jeśli chcesz, Bardolinie, ale wiedz, że tylko robisz sobie krzywdę. Chyba spróbuję przyzwać kogoś, kto rozjaśni ci w głowie... Proszę bardzo, gotowe. Powodzenia. Kiedy znów się spotkamy, będziesz miał pod stopami szeroki ocean.

Aruan zniknął. Bardolin pociągnął chciwie z drewnianej manierki Murada, a kiedy ją opróżnił, oblizał szyjkę. Czując muśnięcie chłodnych palców na obolałym karku, poddał się ich dotykowi, zamknął oczy i westchnął.

–Co on ci zrobił, Griello?

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek.

–Dał mi życie. Cóż innego?

–Nikt nie potrafi wskrzeszać umarłych. Tylko Bóg.

Uklękła przed nim. Mogła mieć jakieś piętnaście lat. Jej miedziane włosy przypominały lity hełm, kiedy połyskiwały złotawo w blasku ognia. Rysy twarzy miała delikatne, drobne, a stojąc nie sięgała Bardolinowi nawet do mostka.

Była wilkołakiem i zginęła kilka miesięcy wcześniej, zanim ktokolwiek z wygnańców postawił stopę na Zachodnim Kontynencie. Bardolin nawet sobie nie wyobrażał – i

wolał się nie domyślać – jak potwornej magii wymagało jej ożywienie. Przychodziła do niego kilkakrotnie podczas okropnej wędrówki z Undabane, a każda jej wizyta przynosiła mu zarazem ulgę i udrękę, zapewne zgodnie z wolą i przewidywaniami Aruana. Podczas rejsu na zachód zakochał się w Grielli, choć ta miłość przyprawiała go o okrutne wyrzuty sumienia.

–Gdybyś przestał się opierać, Bardolinie, moglibyśmy już zawsze być razem – powiedziała. – Mamy tę samą naturę, a czarna zmiana nie jest taka straszna. Wiem, że on nie jest dobrym człowiekiem, ale nie jest też zły. Poza tym zwykle mówi prawdę.

–Griello! – wyjęczał czarodziej.

Była niby taka sama, a zarazem zupełnie inna. Instynkt podpowiadał mu, że ma do czynienia z wyrafinowanym konterfektem, sztucznym tworem, niewiele różniącym się od chochlików, które sam hodował. Nie zmieniało to jednak faktu, że rozpływał się na widok ukochanej twarzy.

–Powiedział, że kiedy pogodzisz się ze swoim losem, będę mogła zostać twoją uczennicą. Mówiłeś mi kiedyś, że zmienni nie mogą być czarodziejami, prawda? Cóż, nie miałeś racji. Ale co ty na to? Byłabym twoją uczennicą, uczyłbyś mnie magii, a ja uczyłabym cię czarnej zmiany.

Wzrok Bardolina padł na Murada, który leżał po drugiej stronie ogniska i miotał się przez sen w drgawkach.

–A co z nim?

Na twarzy Grielli najpierw odmalowało się zmieszanie, a zaraz potem strach.

–Coś pamiętam... To złe wspomnienia. Pożar... Murad robił ze mną... Nie, nic nie widzę.

Zasłoniła twarz ręką, opuściła ją, skubnęła dolną wargę. Jej oczy zionęły pustką. Sekundę później rozwiała się w powietrzu, błyskawicznie, nienaturalnie szybko, podobnie jak wcześniej Aruan.

–Oj dziecko, dziecko... – mruknął smutno mag.

Griella była odpowiednikiem chowańca powołanym do życia za pomocą dweomeru. Był wściekły na Aruana za jego okrucieństwo, za beztroskę, z jaką igrał z życiem ludzi i siłami natury. Nikt, kto tak się zabawiał, nie mógł być całkowicie normalny.

Rankiem Hawkwood z Bardolinem opowiedzieli Muradowi o nocnej kanonadzie. Nie był ani zbyt zdziwiony, ani przesadnie uradowany tą informacją. Długą chwilę siedział w zadumie, drapiąc szpecącą mu twarz bliznę.

–Koniec strzelaniny oznacza jedną z dwóch możliwości – mówił tymczasem Hawkwood. – Albo fort został zdobyty, albo udało się odeprzeć atak.

Nikt mu nie odpowiedział. Przed oczami stanęły im fantastyczne stwory, które w Undi pomordowały ich towarzyszy. Mało kto wytrzymałby zmasowany atak takich bestii, zwłaszcza że uśmiercała je wyłącznie żelazna broń.

–Chodźmy – zaproponował Murad. Kiedy wstał, do złudzenia przypominał zagłodzonego stracha na wróble. – Niedługo wszystkiego się dowiemy.

Jeszcze przed południem teren po prawej stronie zaczął się wznosić, a szmaragdowe sklepienie dżungli przebiły ostre pagórki, przypominające nadpsute zęby. Hawkwood przystanął, przyjrzał się im i zawołał pozostałą dwójkę.

–Wiecie, co to jest? Kolista Grań! *Heyeran Spinero!* Na Boga, została nam mila, najwyżej dwie marszu!

Minęły blisko trzy miesiące, zanim wrócili w znajome okolice, które badali w pierwszych dniach po wylądowaniu. Dalej ruszyli z większą ostrożnością. Po tak długim czasie obawiali się żywić nadzieję, że w obozie czeka ich coś dobrego.

Pierwsze zwłoki znaleźli nad strumieniem, z którego osada czerpała wodę pitną. Sądząc po ubraniu, zabita była kobietą w średnim wieku, chociaż ciało zostało tak zmasakrowane, że trudno było mieć pewność. Mrówki i żuki oblażyły je zresztą tysiącami. W tym upale mięso zaczynało się już rozkładać.

Nawet Murad był poruszony. Nie patrząc na siebie poszli dalej. Znaleźli się na zboczach, które z takim wysiłkiem sforsowali pierwszego dnia po przybiciu do brzegu, a które zmieniło się przez ten czas w istne trzęsawisko. W błocie co i rusz natrafiali na porzucone przedmioty: prochownicę, kawałek skózanego kaftana, strzęp koszuli. Z boku polany, pod krzakiem, odkryli następne dwa ciała cywilów. Jedno było bez głowy. Wnętrznosci zabitych leżały na trawie jak tłuste, oblepione muchami sznury.

Z mazołem zeszli ze wzgórz. Serca waliły im jak młotem, ale w końcu dżungla się skończyła i zaczęli się potykać o pniaki wykarczowanych drzew na odkrytym terenie. Ich oczom ukazały się pokrzywione słupy pustej palisady. Powietrze cuchnęło spalenizną i zgnilizną. Po drugiej stronie polany między drzewami przezierało morze.

**–Hej tam! – zawołał Murad łamiącym się z wysiłku głosem. – Jest tu kto?**

**Wyrwana z zawiasów brama obozowiska leżała płasko na ziemi. Obok dostrzegli kilkanaście ciał i wdeptany w błoto arkebuz. Nad kałużami krwi unosiły się tabuny meszek.**

**–Boże święty... – mruknął Hawkwood. Murad zakrył dłonią oczy.**

**Fort Abeleius zmienił się w cmentarzysko. Rezydencja gubernatora spłonęła ze szczętem i straszyla dymiącymi zgliszczami. Z innych chat zostały tylko kupy połamanych i osmalonych bali. Wszędzie wały się dziesiątki ciał i ich fragmentów.**

**Bardolin zwymiotował.**

**Hawkwood wierzchem dłoni zatkał nos.**

**–Sprawdzę, czy statek ocalał...**

**Puścił się biegiem. Potykał się o zwłoki, przeskakiwał nad drewnianymi elementami konstrukcji, aż zniknął w lesie, kierując się ku plaży. Murad tymczasem przypominał żerującego ghula na cmentarzu, kiedy chodził po obozie, odwracał ciała na plecy, kiwał do siebie głową i próbował ogarnąć cały makabryczny widok.**

**–Najpierw przełamali palisadę na północy – stwierdził. – W ten sposób nasi ludzie zostali podzieleni na dwie grupy. Część próbowała bronić się przy bramie, ale większość schroniła się chyba w rezydencji gubernatora...**

**Powłócząc nogami wszedł w zgliszcza budowli, z której kiedyś miał rządzić kolonią.**

**–To Sequero – ciągnął. – Poznaję po oznaczeniach na tunice. Tak, stłoczyli się w rezydencji... – Kopnął zwęgloną kość. – Bronili się, ale wtedy od lontu jakiegoś idioty zajęła się strzecha. Albo może proch się zapalił. Gdyby nie to, mogliby się bronić nawet do rana. A tak wszystko skończyło się szybko. Bardzo szybko. I wszyscy zginęli. Panie Boże przenajświętszy...**

**Osunął się na kolana wśród spalonych belek i spopielonych ciał. Nasadami dłoni potarł oczy.**

**–Trafiliśmy do piekła, Bardolinie. Znaleźliśmy je na ziemi.**

**Bardolin wiedział swoje, ale milczał. I tak czuł się jak zdrajca. W forcie było ponad stu czterdziestu ludzi. Aruan obiecał, że oszczędzi karakę, ale skąd teraz wezmą załogę?**

**–Chodźmy na plażę – zaproponował. Wziął Murada pod rękę. – Może statek ocalał.**

Otępiały Murad nie protestował i razem zaczęli brnąć przez pogorzelsko, dławiąc się trupim odorem, dopóki nie zanurzyli się w las. Tu już wyraźniej czuło się sól w powietrzu, a z całkiem bliska dochodził szum bijących o brzeg fal – dźwięk pochodzący z innego, dawno zapomnianego świata.

Oślepiła ich biel piasku. Ciągące się po horyzont morze było tak ogromne, że z początku nie potrafili ogarnąć go wzrokiem. Przywykli do dusznej dżungli, w której wzrok nie sięgał daleko, toteż widok olbrzymiej półkuli nieba i odległego widnokrzęgu był po prostu oszałamiający. Chłodna bryza dmuchnęła im w twarz; wiała od morza, tak jak zapowiedział Aruan.

–Chwała Bogu! – westchnął Bardolin.

*Gabrioński rybołów* kołysał się na kotwicy pół mili od brzegu. Sprawiał wrażenie nienaruszonego i kompletnie pustego, przynajmniej dopóki Bardolin nie dostrzegł jakiegoś poruszenia na forkasztelu. Ktoś do nich machał. Dopiero wtedy zauważył czyjąś głowę, wystającą z morza w pół drogi do statku: to Hawkwood płynął na *Rybołowa*, od czasu do czasu machając na powitanie resztkom załogi. Kapitan prawie ochrypl od krzyku. Bardolin i Murad patrzyli, jak dopływa do karaki, czepia się kurczowo kadłuba i nie ma siły podciągnąć się na górę. Kilku mężczyzn podeszło do relingu – głównie marynarze, ale dwóch nosiło także skórzane wojskowe kamizelki. Pomogli Hawkwoodowi wgramolić się na pokład. Jeden z nich objął kapitana.

Murad osunął się na piasek.

–No, czarodzieju – powiedział tonem dawnego Murada. – Przynajmniej jeden z nas jest szczęśliwy. Chyba pora się zbierać. Zasiedzieliśmy się w gościnie. Oto koniec Nowego Hebrionu.

Bardolin miał jednak świadomość, że nie wszystko kończy się razem z Nowym Hebrionem. Nie wiedział dokładnie, co ma na myśli, ale coś dopiero się zaczynało.

# CZTERY

Król był martwy. Jego ciało spoczywało na wysokim katafalku w głównej nawie torunnańskiej katedry. Kraj pograżył się w żałobie, wszystkie budynki publiczne przyozdobiono kirem, proporce opuszczono do połowy masztów. Lofantyr nie dożył trzydziestki. Nie zostawił potomka.

\*

Ze zmęczenia Corfe słyszał bezustanny szum w głowie. Stał u wezgłowia katafalku, odziany w wypolerowany półpancerz i wsparty na starym oburęcznym mieczu. Oddychał słodką wonią kadzidła i gęstym dymem płonących na okrągło świec. Po drugiej stronie katafalku w podobnej pozie stał Andruw. Z nisko pochyloną głową stanowił ucieleśnienie smutku i żalu po stracie monarchy, Corfe dostrzegł jednak, że z trudem tłumi ziewnięcie. Sam ledwie powstrzymał się od uśmiechu.

Katedrę wypełniał tłum, nad którym unosił się szmer ściszonych rozmów i odór wilgoci. Ludzie klęczeli w ławkach i na posadzce, tłoczyli się całymi setkami, by móc pożegnać się z suwerenem. Kolejka nie miała końca. Poddani byli nie tyle zrozpaczeni po stracie króla, co raczej oszołomieni uroczystym nastrojem i surowym splendorem martwego monarchy. Lofantyr rządził zbyt krótko, aby go pokochali; był dla nich imieniem pozbawionym znaczenia, jednym z wielu figurantów w sztywnej hierarchii świata.

Dobiegające z zewnątrz odgłosy sprawiały wrażenie, jakby morskie fale bez wytchnienia uderzały w oszronione mury katedry. Tam tłum był o wiele większy i mniej zdyscyplinowany. Szum ludzkich głosów, przypominający łoskot przyboju, brzmiał złowrogo, przerażająco. Na placu przed bramą świątyni zebrało się ćwierć miliona ludzi. Trudno było powiedzieć, po co właściwie przyszli; chyba nawet oni sami mieliby kłopot z odpowiedzią na to pytanie. Pospółstwo nie wiedziało, co myśleć. Z publikowanych przez pałac biuletynów wynikało, że armia odniosła zwycięstwo w niedawnej bitwie. Skoro tak, to czemu król leżał martwy w katedrze, a osiem tysięcy Torunnan nie doczekało się pogrzebu na skutej mrozem równinie? Ludzie czuli się oszukani. Wzbierał w nich gniew. Najmniejsza iskra mogła spowodować wybuch.

Tymczasem, rozmyślał Corfe, ja muszę czuwać przy zwłokach, chociaż jestem naczelnym dowódcą osłabionej armii. Tradycja! Jej tryby kręcą się niezamordowanie nawet w takich chwilach.

Ale pełniąc straż honorową mógł przynajmniej spokojnie pomyśleć. Od batalii na torunnańskiej równinie minęły dwa dni, a ludzie już zaczęli o niej mówić jako o „Królewskiej Bitwie”. To dziwne, że każda potyczka musiała się jakoś nazywać.

**Nazwa nadawała dziwną spójność, pozory sensu czemuś, co w gruncie rzeczy było po prostu koszmarną, chaotyczną rzezią. Ale historycy najwyraźniej lubili porządek.**

**Dwadzieścia siedem tysięcy ludzi tworzyło Ostatnią Armię, która wyruszyła na północ bronić stolicy. Torunna wykazała się niezwykłym talentem, jeśli chodzi o wytracanie wojska. Jedna armia połowa przepadła w oblężeniu Aekiru, druga została zdiesiątkowana na Wale Ormanna, a Ostatnia Armia w swojej pierwszej potyczce skurczyła się o jedną trzecią. A Merducy? Wedle zgrubnych szacunków około stu tysięcy poległo pod Aekirem, trzydzieści tysięcy nie przeżyło szturmu na Wał, dalsze czterdzieści padło w Królewskiej Bitwie. Jakim cudem jeden naród mógł otrząsnąć się z takich strat? Hordy wojowników wschodu mogły uchodzić za nieprzeliczone, ale Corfe'owi nie mieściło się w głowie, żeby potrafiły zlekceważyć tak okrutną arytmetykę. Z pewnością zawahają się przed następnym natarciem i następną rzezią. Na to liczył. Na tym opierał wszystkie swoje nie do końca ukształtowane plany. Potrzebował czasu.**

**W końcu doczekali się z Andruwem zmiany warty: ich miejsca ze sztywną, defiladową powagą zajęli pułkownicy Rusio i Willem. Cofając się do wyjścia, Corfe zauważył złowrogie spojrzenie Willema; oczy pułkownika pałały nienawiścią do parweniusza, którego wyniesiono do rangi najwyższego wojskowego dowódcy zachodniego świata. Corfe nie był tym zdziwiony, ale zdawał sobie sprawę, że niechęć podwładnych skomplikuje mu życie. Zresztą cały świat był skomplikowany, nawet kiedy w grę wchodziła jedna z najpowszechniejszych, zdawałoby się, czynności: zabijanie.**



W pałacowych apartamentach generalskich mały regiment służących pomógł mu zdjąć zbroję. Jego nowa siedziba składała się z olbrzymich, wykładanych marmurem, lodowatych komnat, w których czuł się równie nieswojo, jak absurdalnie. Nie można jednak było dopuścić, by generał jak dawniej bratał się z szeregowymi żołnierzami, pijał piwo w jadalniach dla pospólstwa albo sam oskrobywał sobie buty z błota. Królowa wdowa, nowa władczyni Torunny i jedyna przedstawicielka monarchii, nalegała, żeby wraz z rangą przyjął wszystkie należne jej przywileje.

Dużo czasu minęło, zadumał się Corfe, odkąd uciekając z Aekiru dzieliłem się surową rzepą ze ślepcem. To był inny świat.

Służący chrząknął dyskretnie.

–Panie generale, w pańskiej jadalni nakryto do stołu. To proste, niewyszukane jadło. Proponuję, żeby posilił się pan zanim wystygnie. Nasz kucharz...

–Zjem później. Przyślijcie mi pałacowego szambelana, niech przyniesie przybory do pisania. Sprowadźcie też tych dwóch skrybów, którzy towarzyszyli mi wczoraj wieczorem. I zawiadomcie pułkownika Andruwa Cear-Adurhala.

Lokaj zamrugnął ze zdziwienia, aż biały puder posypał mu się ze skroni. Skąd się wzięła ta idiotyczna moda? zdziwił się Corfe.

–Jak pan sobie życzy... Z jednym zastrzeżeniem. Królewski szambelan, czcigodny Gabriel Venuzzi, jest bezpośrednim sługą suwerena Torunny. Proszę o wybaczenie, ale nie podlega pańskim rozkazom. Cieszy się w pałacu sporym szacunkiem i gdybym przekazał mu tak... tak bezpośrednie wezwanie, mógłby się poczuć urażony. Za pozwoleniem, panie generale... Jestem majordomusem i powinienem móc zaspokoić pańską ciekawość we wszystkich kwestiach związanych z prowadzeniem pałacowego gospodarstwa, a także protokołem określającym zachowanie wszystkich jego mieszkańców i gości.

Ostatnie zdanie zawierało kpinę tak dyskretną, że prawie uszła uwagi Corfe'a. Prawie. Nachmurzył się i spojrzał z góry na upudrowanego służącego.

–Jak się nazywasz?

Dworak uklonił się.

–Damian Devella, panie generale.

–Posłuchaj, Damianie, chyba powinniśmy sobie wyjaśnić parę spraw. Oczekuję, że

w przyszłości zarówno ty, jak i twoi podwładni zetrzecie z gąb to białe świństwo, zanim zaczniecie mi usługiwać. Nie jesteście dwórkami ani aktorami w pantomimie, przynajmniej na razie. A poza tym masz do mnie przysłać tego całego Venuzziego, i to migiem! Jeśli chcesz, porozum się w tej sprawie z Jej Królewską Mością, ale jeżeli za kwadrans nie zobaczę tu jego upudrowanego tyłka, klnę się na Boga, że ty i twoja wesoła ferajna z miejsca traficie do wojska. Przekonamy się, czy pod tymi aksamitami i koronką zostało wam choć z sześć cali kręgosłupa. Zrozumiano?

Devella poruszył bezgłośnie ustami.

–A... E... Tak, panie generale.

–To świetnie. A teraz wynocha.

Skrybowie, biurko i karafka z winem pojawili się błyskawicznie. Corfe wyszedł na taras, czekając, aż za jego plecami służba przekształci jadalnię w coś na kształt biura. Służący wyroili się jak mrówki ze szturchniętego kijem mrowiska.

Wiatr od Gór Cymbryckich niósł deszcz ze śniegiem. Na Placu Katedralnym wciąż kłębił się tłum; głosy ludzi łączyły się w niezrozumiały z tej odległości szum. Połowę zgromadzenia stanowili uchodźcy z Aekiru, pozbawieni nie tylko domów, ale także wszelkich widoków na poprawę losu. Jeżeli tylko zdoła, będzie musiał coś na to zaradzić. To byli także jego ludzie. Nie powinien zapominać, że sam też jest uchodźcą.

–Co tam słyhać, generale? – zapytał wesoło Andruw.

Corfe odwrócił się. Jego przyjaciel przebrał się w stary mundur polowy i wygodne buty, tylko galowy sznur pułkownikowski błyszczał nowością – chociaż wyglądał tak, jakby sam go sobie naszył. Lód skuwający serce Corfe'a troszkę skruszał. Musiałyby nadejść naprawdę sądne dni, żeby Andruw stracił pogodę ducha.

–Próbuję załatwić parę spraw przed pogrzebem – odparł Corfe. – Takie zgromadzenie to nie przelewki, chociaż ludzie sami jeszcze pewnie nie zdają sobie z tego sprawy. Masz dokumenty?

–Są na stole. Boże słodki, dziś będę spał jak zabity. I otworzę okno w sypialni, żeby wywietrzyć smród papieru i atramentu. Tych papierzysek jest tyle...

–Wyobraź sobie, że to amunicja. A teraz... przepraszam cię na chwilę, Andruw.

Do komnaty wszedł odziany z przepychem mężczyzna, wsparty na hebanowej lasce, będącej oznaką pełnionego urzędu. Służący wprowadzili go i przywitali z pompą godną orientalnego władcy. Był bardzo wysoki i bardzo chudy, a twarz miał śniadą jak Merduk. Corfe domyślał się, że pochodzi z Kardikii lub z południowego Astaracu.

**–Gabriel Venuzzi?**

**Przybysz uklonił się lekko – a właściwie tylko skinął głową.**

**–Tak, to ja. Natomiast pan, jak miemam, jest generałem Cear-Inafem.**

**–Zgadza się. Posłuchaj, Gabrielu. Mamy tu pewien kłopot, ale wydaje mi się, że możesz pomóc nam go rozwiązać.**

**–Czyżby? Miło mi to słyszeć. O co dokładnie chodzi, generale? Jej Królewska Mość przykazała mi udzielić panu wszelkiej możliwej pomocy, ja zaś, co oczywiste, muszę być jej posłuszny.**

**–Oto i nasz problem. – Corfe wskazał widok rozciągający się z tarasu. – Tam, na dole.**

**Venuzzi stanął w otwartych drzwiach, skrzywił się, czując na twarzy zimny powiew wiatru i spojrzał na kłębiący się na placu tłum.**

**–Obawiam się, że nie do końca pana rozumiem, generale. Nie jestem oficerem milicji, lecz zaledwie rządcą królewskiego pałacu. Jeżeli chce pan rozpędzić tłum, powinien pan chyba zwrócić się do któregoś ze swoich oficerów. Ja nie zadaję się z plebsem.**

**Buta i zarozumiałstwo szambelana były niemal godne podziwu. Corfe się uśmiechnął.**

**–Teraz się pan zadaje.**

**–Proszę mi wybaczyć moją ignorancję, ale nadal nie rozumiem.**

**–Nic nie szkodzi, Gabrielu. Chętnie ci to wyłożę. – Corfe wziął do ręki przyniesiony przez Andruwa plik papierów. Większość poranka przed objęciem zaszczytnej służby w katedrze spędzili w zatęchłym jak grób labiryncie archiwum służby pałacowej, w którym przechowywano wszelkie dokumenty. – Mam tu spis wszystkich wiktuałów zmagazynowanych w pałacu. Właściwie nawet nie tyle w pałacu, co w rozsianych po całym mieście i państwie królewskich magazynach. Otóż mój drogi Gabrielu, pałacowe gospodarstwo zawłaszczyło i ukryło setki ton pszenicy, kukurydzy, wędzonego mięsa, a także...**

**–A także sztokfisz, sucharów, oliwy i wina – dokończył Andruw. – Proszę nie zapominać o winie: było go osiemset beczek, generale.**

**–Nie wspomnę już o brandy, solonej wieprzowinie i figach. – Corfe nadal się uśmiechał. – Proszę, wyjaśnij mi zatem, Gabrielu, po co chomikujecie tak**

niewiarygodne ilości jedzenia.

–Wydawało mi się, że nawet dla pana powinno to być oczywiste, generale – odparł Venuzzi, przeciągając głoski. Nawet powieka mu nie drgnęła. – To królewskie zapasy. Na bieżąco uzupełniamy z nich zaopatrzenie pałacu, a oprócz tego gromadzimy je na wypadek oblężenia.

–A wszystko po to, żeby mieszkańcy pałacu najadali się do syta, tak? – spytał półgłosem Corfe.

–Ależ naturalnie. Nawet w czasie wojny należy przestrzegać pewnych standardów. Nie możemy przecież pozwolić... – Na szczupłą twarz Venuzziego wypłynął porozumiewawczy uśmiech. – Nie możemy pozwolić, aby szlachta głodowała. Jak by to wyglądało? Co by świat o nas pomyślał?

–To nie jest kwestia głodowania albo niegłodowania. Chodzi o to, że gromadzicie zapasy, którymi można by wykarmić tysiące poddanych, dla zaspokojenia potrzeb kilkuset ludzi.

Było w głosie Corfe'a coś takiego, że krzątający się po komnacie służący zamarli w bezruchu. Venuzzi cofnął się, nie mogąc znieść jego spojrzenia.

–Panie generale, ja...

–Milcz. Być może uszło to twojej uwagi, Venuzzi, ale jesteśmy w stanie wojny. Zamierzam wydać rozkaz rozdania królewskich zapasów uchodźcom z Aekiru i wszystkim potrzebującym mieszkańcom Torunnu. Jeszcze dziś obwieszczenia tej treści zostaną rozwieszane w całym mieście. Skrybowie zrobili już pięćdziesiąt kopii. Dowiedziałem się jednak, że aby uzyskać dostęp do magazynów, potrzebny jest twój podpis.

–Niczego nie podpiszę! To niedorzeczne!

Corfe zrobił krok w stronę szambelana.

–Podpiszesz – powiedział tak cicho, że tylko Venuzzi go usłyszał. – Bo jak nie, to zrobię z ciebie szeregowca. Wiesz, że mam do tego prawo. Mogę wcielić do armii, kogo zechcę.

–To blef! Nie odważysz się!

–Przekonajmy się.

Cisza, która zapadła w komnacie, aż dzwoniła w uszach. Zaciśnięte na urzędowej lasce palce Venuzziego zbieleły, ale w końcu odwrócił się, pochylił nad biurkiem i

wziął pióro do ręki. Nagryzmolił wydłużony zawijas na rozłożonych na blacie dokumentach.

–Dziękuję – odezwał się półgłosem Corfe.

Szambelan spiorunował go wzrokiem.

–Królowa o wszystkim się dowie. Co ty sobie myślisz, że ja nie mam przyjaciół w pałacu? Nic jeszcze nie wiesz. Za kogo ty się masz? Jesteś prowincjonalnym kmiotem, któremu słoma z butów wyłazi.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, otoczony chmarą służących. Drzwi się za nimi zamknęły. Andruw westchnął ciężko.

–No, Corfe, dyplomatą to ty nie jesteś.

–Wiem. – Corfe pochylił głowę. – Jestem zwykłym żołnierzem, nikiem więcej. – Spojrzał przyjacielowi w oczy. – Coś ci powiem, Andruw. Przy południowej bramie powstał nowy cmentarz. Aekirski. Jest na nim już ponad sześć tysięcy grobów. Ci, którzy w nich gniją, w większości zmarli z głodu, kiedy my ucztowaliśmy w pałacu. Więc nie mów mi o dyplomacji ani teraz, ani w przyszłości. Dopilnuj, żeby rozkazy rozwieszono w całym mieście. Ja muszę zrobić przegląd wojsk.

Andruw odprowadził go wzrokiem. Milczał.

Późną nocą w dyskretnym pokoju na piętrze dobrze prosperującej gospody spotkała się grupa mężczyzn. Mieli na sobie zwyczajne, niczym nie wyróżniające się ubrania do jazdy konnej: wysokie buty i długie płaszcze, ubłocone po wędrowce ulicami Torunnu. Niektórzy nosili u pasa wojskowe szable. Zasiedli przy podłużnym stole o blacie noszącym ślady licznych popijaw. Na stole stały świece, w osłoniętym kratą kominku buzował ogień.

–Tak dłużej być nie może! – stwierdził jeden z obecnych, mężczyzna pięćdziesięcioletni, siwobrody, czerwony na twarzy: pułkownik Rusio z miejskiego garnizonu.

–Ponoć jest synem chłopca ze Staed – odezwał się inny – Byłeś tam, Arasie. Myślisz, że to może być prawda?

Pułkownik Aras, młodszy o dobre dwadzieścia lat od reszty gości, czuł się nieswojo i za wszelką cenę chciał się przypodobać starszym.

–Pewności mieć nie można. Wiem tylko, że doskonale radzi sobie z tymi przeklętymi dzikusami. Zdajecie sobie przecież sprawę, panowie, że sam zdławił bunt na południu, zanim zdążyłem dotrzeć na miejsce. Takie są fakty. Pięciuset ludzi! Narfintyr dysponował ponad trzema tysiącami i nie miał z nim szans.

–Można by pomyśleć, że go pan podziwia, pułkowniku – wtrącił hrabia Fournier, szef resztek torunnańskiej służby wywiadowczej. Jego głos przypominał pomruk kota. Fournier przeszył pułkownika wzrokiem i pogładził wypielęgnowaną bródkę, szpiczastą jak grot włóczni.

–Może... Może rzeczywiście tak jest – zająknął się Aras. – W Królewskiej Bitwie oddałem mi swoich Fimbrian, dzięki czemu utrzymałem zajęte pozycje. A potem zmiażdżyłem nalbeńskich konnych łuczników na lewej flance. Powstrzymałem dwadzieścia tysięcy jeźdźców z Nalbeni!

–*Swoich* Fimbrian – mruknął Rusio. – Słodki Boże! Oddał ci też *moje* działa! Zapomniałeś o tym?

–Mam nadzieję, drogi Arasie, że nie obudziły się w tobie żadne wątpliwości – dodał Fournier. – Bo jeśli tak, to nie powinno cię tu być.

–Wiem, co jest najważniejsze – zapewnił go pospiesznie Aras. – Dobro szlachty i społeczny ład służą interesowi całego królestwa. Chciałem tylko zwrócić waszą uwagę na fakty, to wszystko.

–Cieszę się, że tak mówisz. – Fournier podniósł głos. – Panowie, jak wam wiadomo, zebraliśmy się tutaj, żeby omówić sprawę tego... tego feniksa, który znienacka pojawił się wśród nas. Nie można mu odmówić wiedzy wojskowej. Wiemy też, że cieszy się przychylnością królowej. Jest jednak prostakiem, który woli dowodzić dzikusami i Fimbrianami, zamiast swoimi rodakami. W dodatku nie ma za grosz szacunku dla tradycyjnych wartości, którym hołdujemy w naszym państwie. Mam rację, Venuzzi?

Szambelan był czerwony ze złości. Pokiwał głową.

–Czytaliście zawiadomienia... Są wszędzie w mieście. W takiej chwili rozdysponowuje królewskie zapasy! Włamuje się do magazynów i rozdaje jedzenie wszystkim przybłędom i żebrakom!

–Taką hojnością zaskarbi sobie miłość biedoty – zauważył inny z mężczyzn: niski i krępy, z wygoloną czaszką i przepaską na jednym oku. Pułkownik Willem był dowódcą miejskiego garnizonu, kiedy armia Lofantyra wyruszyła stoczyć Królewską Bitwę. – Sprytne posunięcie. Ten Corfe ma głowę na karku.

–Nie poskarżyłeś się królowej? – zapytał Fournier Venuzziego. – Przecież rozdaje jej własność.

–Oczywiście, że się poskarżyłem. Ale, jak już mówiłem, królowa jest w nim bez pamięci zadurzona. Zabroniła mi sprzeciwiać się jego woli.

–Musi mieć solidny oręż oprócz tej szabli Mogena, którą mu dała – burknął Rusio. Odpowiedziały mu chichoty zgromadzonych, tylko Fournier i Venuzzi przybrali zbolale miny.

–Ma to, o co od lat zabiegała – stwierdził lodowatym tonem Fournier. – Władzę formalną i faktyczną. Jest pełnoprawną władczynią Torunny, już nie szarą eminencją, lecz najprawdziwszą królową. A Cear-Inaf jest zbrojną pięścią nowego reżimu. Jeszcze wspomnicie moje słowa, panowie, kiedy polecą głowy kilku z nas, siedzących przy tym stole.

–Może nawet dosłownie – mruknął Rusio. – Powiedz mi, Fournier, czy śledztwo w sprawie próby zabójstwa zostanie wznowione?

Fournier poczerwieniał.

–Nie sędzę.

–Ale to ty i król za tym staliście, prawda?

–Cóż to za potworne oskarżenie! Naprawdę myślisz, że zniżyłbym się do...

**–Panowie, panowie... – wtrącił poirytowany Willem. – Dość tego. Jesteśmy sprzymierzeńcami. Nie możemy się nawzajem obrzucać błotem. Spotkaliśmy się, aby odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: jak pozbyć się tego parweniusza?**

**–A czy na pewno chcemy się go teraz pozbyć? – spytał zaniepokojony Aras. – Jak by nie patrzeć, chwilowo jest dość użyteczny. Wygrywa wojnę.**

**–Na Boga, pułkowniku! – nie wytrzymał Rusio. – Naprawdę mam wrażenie, że uległ pan urokowi tego łotra. Co pan wygaduje? Przed kilkoma dniami straciliśmy osiem tysięcy ludzi, w tym króla. To ma być wygrywanie wojny?!**

**Aras zbladł jak ściana. Nie odpowiedział.**

**–Cokolwiek postanowimy, musimy działać w majestacie prawa – zagał Fournier, gładko prześlizgując się nad chwilą krępującego milczenia. – I nie wolno nam narazić królestwa na niebezpieczeństwo. Było nie było, walczymy o przetrwanie. Nie można odmówić racji Arasowi: ten Corfe potrafi być przydatny. Powiem więcej: wątpię, żeby armia chciała w tej chwili wojować pod innym dowództwem.**

**Słyszając te słowa, Rusio poruszył się niespokojnie, ale nic nie powiedział.**

**–Na razie jesteśmy na niego skazani. Dopóki cieszy się zaufaniem królowej, jest praktycznie nietykalny, ale każdy człowiek ma swoje słabe punkty. Mówiłeś, Arasie, że Corfe stracił w Aekirze żonę.**

**–Zgadza się. Sam nie lubi o tym mówić, ale słyszałem, jak wspominał o tym Andruw, jego przyjaciel.**

**–Ach tak... Warto by się tym bliżej zainteresować. Dręczą go wyrzuty sumienia, to oczywiste. Próbuje je zagłuszyć, dokarmiając tę aekirską hołotę, którą gościmy w stolicy. Musisz się do niego zbliżyć, Arasie. Podziwiasz go, bez dwóch zdań; to dobry początek. Nie zapominaj, że nie chcemy go zniszczyć. Po prostu uważamy, że zbyt wysoko zaszedł.**

**Aras skinął głową.**

**–I pamiętaj, po czyjej jesteś stronie – upomniał go Rusio. – Co innego podziwiać człowieka, a co innego patrzeć beczynnym, jak depcze instytucje, które są spoiwem królestwa.**

**Odpowiedział mu pomruk aprobaty. Willem zabrał głos:**

**–Wieczorem pod miastem zameldowało się kolejnych sześćuset dzikusów z Gór Cymbryckich. Chcą zaciągnąć się pod jego chorągiew. Kwatermistrz Passifal właśnie wydaje im ekwipunek. Uwierzcie mi, panowie, jeśli nie przytrzymamy mu nosa, wyrośnie**



**z niego wojskowy dyktator. Nie musi nawet zabiegać o poparcie rodaków. Dopóki dowodzi barbarzyńcami i Fimbrianami, dysponuje siłą, która nie mieści się w naszej hierarchii dowodzenia. Ci ludzie nie chcą służyć pod nikim innym; stało się to jasne na ostatniej naradzie, której przewodził król, tutaj, w stolicy. A teraz, zamiast rozpraszać aekirski motłoch i spychać go jak najdalej na południe, próbuje go podburzyć. To nie przypadek. Moim zdaniem mierzy prosto w tron.**

**–To rzeczywiście niepokojące – zgodził się z nim Fournier. – Być może... To tylko luźna sugestia, nic więcej, ale może i my powinniśmy poszukać sprzymierzeńców poza granicami królestwa, aby stworzyć przeciwwagę dla jego armii najemników.**

**–Gdzie? – zapytał bez ogródek Rusio.**

**Fournier nie odpowiedział od razu. Powiódł wzrokiem po twarzach siedzących przy stole mężczyzn. Dobiegający z dołu charakterystyczny dla gospody gwar był na piętrze ledwie słyszalny. Najgłośniejszym odgłosem w pokoju był trzask ognia na kominku.**

**–W tym tygodniu otrzymałem wiadomość przesłaną mi przez kuriera z Almarku. Jak wicie, Almark znalazł się na linii frontu. Merducy wysyłają patrole na drugą stronę Przesmyku Torrinu. To tylko rekonesans, nic poważnego, ale Almark jest zaniepokojony. I słusznie.**

**–Almark to himeriańskie królestwo – zauważył Rusio. – Ponoć rządzone bezpośrednio przez Kościół.**

**–Owszem. Prałat Marat jest regentem, ale to pragmatyk. Do tego wpływowi. Jeżeli zgodzimy się na pewne... warunki, będzie skłonny posłać nam na pomoc almarkańską ciężką jazdę.**

**–Co to za warunki? – zainteresował się Willem.**

**–Musielibyśmy przyznać, że są uzasadnione powody, aby wątpić w tożsamość człowieka podającego się za Macrobiusa.**

**Rusio parsknął śmiechem.**

**–To niby mało? Wykluczone. Wiem, co mówię. Poznałem Macrobiusa, kiedy jeszcze rezydował w Aekirze. Pontyfik, któremu udzieliliśmy schronienia w Torunnie, jest żalostną karykaturą tamtego człowieka, ale to z całą pewnością on. Himerianie chcą nas skłócić. Wojna i rebelia zawiodły, więc próbują dyplomacji. Klechy! Gdyby to ode mnie zależało, pozbyłbym się ich wszystkich, co do jednego.**

**Fournier z wdziękiem wrzucił ramionami.**

**–Ja tylko przedstawiam wam różne opcje. Podobnie jak wy, wolałbym nie oglądać almarkańskich oddziałów w Torunnie, ale sama możliwość ich użycia może być cennym argumentem przetargowym. Przedstawię tę inicjatywę królowej. Powinna wiedzieć, co się święci.**

**Nie wspomniał o innej, delikatniejszej ofercie, która pojawiła się całkiem niedawno. Sam jeszcze nie wiedział, co o niej myśleć.**

**–Zrobisz jak zechcesz. Ja jednak wolałbym, żeby to nasi bracia Torunnie wyciągnęli nas z bagna, a nie cudzoziemscy heretycy, dowodzeni przez knujących spiski kapłanów.**

**–Niewielu nam zostało tych braci. Potężna niegdyś torunnańska armia jest dziś cieniem samej siebie. Jeżeli nie zareagujemy stanowczo na obecne wydarzenia, nasze północno-zachodnie pogranicze będzie zagrożone. Almark może zaatakować, kiedy my zwrócimy wszystkie siły przeciw Merdukom. A wtedy almarkańska armia i tak znajdzie się na naszej ziemi, z tą różnicą, że przybędzie bez zaproszenia.**

**–Chcesz powiedzieć, że nie mamy wyboru?**

**–Być może. Zobaczymy, co powie królowa. Jest wprawdzie kobietą, ale bystrością umysłu nie ustępuje żadnemu z nas.**

**–Odbiegliśmy od tematu naszego spotkania – przypomniał zniecierpliwiony Willem.**

**–Niezupełnie. – Fournier zetknął dłonie czubkami palców i obrzucił zebranych hardym spojrzeniem. – Jeżeli naprawdę chcemy pozbawić Cear-Inafa władzy, jaką niezastąpienie zyskał, może się okazać, że liczne drobne i dyskretne zabiegi będą skuteczniejsze niż jedno dramatyczne posunięcie. Nam będzie wtedy łatwiej zachować anonimowość, a jemu trudniej kontratakować.**

**–Cear-Inaf nie kieruje się ambicją – wypalił Aras. – Naprawdę mam wrażenie, że walczy dla kraju i dla swoich ludzi, nie dla siebie.**

**–Ten brak ambicji całkiem daleko go zaprowadził – zauważył oschle Fournier. – Ty, Arasie, widywałeś go najczęściej z nas wszystkich. Jak go oceniasz?**

**–Jest... – Młody pułkownik zawahał się. – Dziwny. Inny niż większość najemników. Zgorzkniały, twardy jak marmur, ale ludzie go uwielbiają. Nazywają drugim Johnem Mogenem. Odkąd zobaczyli, jak walczy jego szablą, chodzą nawet słuchy, że jest jego nieślubnym synem...**

**–Mogen! – prychnął Rusio. – Następny prostak i kochaś królowej.**

**–Dość tego, pułkowniku – warknął Fournier. – Generał Menin, niech Bóg zlituje się**

**nad jego duszą, musiał docenić talent Cear-Inafa. W przeciwnym razie by go nie awansował.**

**–Martin Menin wiedział, że wkrótce zginie. Ta świadomość zaćmiła mu umysł – zripostował ponuro Rusio.**

**–To nie jest wykluczone, ale nigdy się tego nie dowiemy. Czy wiadomo, czego możemy się w najbliższym czasie spodziewać po naszym nowym dowódcy?**

**–Armia dostała wycisk. Jej reorganizacja i wymiana wyposażenia trochę potrwa. Merdacy na razie się wycofali i obozują w pół drogi do Searilu, więc chwilowo możemy odsapnąć. Niestety, Berza milczy. Nie wiemy, co z flotą. Jeżeli udało im się zniszczyć merducką bazę zaopatrzeniową nad Morzem Kardiańskim, możemy mieć spokój aż do wiosny.**

**–W takim razie mamy trochę czasu. Świetnie. Panowie, jeśli nie ma więcej pytań, proponuję zakończyć spotkanie. Mam nadzieję, Venuzzi, że twoi ludzie trzymają rękę na pulsie?**

**Szambelan skinął głową.**

**–Wcześniej od niego będziemy wiedzieli, co zje na śniadanie.**

**–Doskonale. – Fournier wstał. – Dobranoc panom. Proponuję, żebyśmy nie wychodzili wszyscy razem. Lepiej nie rzucać się w oczy.**

**Opuszczali gospodę pojedynczo i dwójkami, aż zostali tylko Aras i Willem. Willem wstał i położył dłoń na ramieniu młodszego kolegi.**

**–Widzę, że nieufnie traktujesz ten nasz mały spisek, Arasie.**

**–Może... Czy to źle, marzyć o zwycięstwie bez względu na to, kto nas do niego poprowadzi?**

**–Nie, skądże. Ale my, jako przywódcy państwa, musimy sięgać wzrokiem dalej niż bieżący kryzys. Musimy myśleć o przyszłości.**

**–W ten sposób z żołnierzy stajemy się politykami.**

**–Tylko na pewien czas. Nie gryź się tak. I nie zapominaj, po której jesteś stronie. Ten Corfe to spadająca gwiazda: dziś świeci jasno, jutro nikt nie będzie o nim pamiętał. Przeżyjemy go, gdy żądza chwały zaprowadzi go do grobu.**

**Willem poklepał Arasa po ramieniu i wyszedł.**

**Aras został sam. Z parteru dobiegały odgłosy nocnej zabawy, zza okna turkot**

wozów na bruku. Pogrążył się we wspomnieniach. Przypomnił sobie widok ciężkiej merduckiej kawalerii, szarżującej w górę stoku, wprost w paszcze dział; kwiczące konie, nadziewane na fimbriańskie piki; ludzi walczących i wrzeszczących w morderczym szale. Właśnie tak rozstrzygały się wszystkie ważne sprawy świata: w wojennym zgiełku. Człowiek, który umiał narzucić swoją wolę bitewnemu chaosowi, musiał zwyciężyć. Przed Królewską Bitwą Aras uważał się za ambitnego człowieka i urodzonego przywódcę, lecz teraz nie był już tego taki pewien. Poraziło go brzemień odpowiedzialności spoczywające na dowódcy.

–Co będzie dalej? – zapytał na głos, wpatrując się w żar ognia na kominku i płomyki świec.

Bez względu na rozwój wydarzeń, będzie musiał coś – lub kogoś – zdradzić.

# PIĘĆ

Drewniane stopy klekotały o posadzkę jak kastaniety, na których tancerki wybijają sobie rytm. Próbowwała namówić go, żeby wzał buty, ale najwyraźniej fascynował go widok własnych drewnianych palców na marmurze. Często ślizgał się i potykał; wtedy wspierał się na niej i odzyskiwał równowagę, a jej przenikliwy ból zapierał dech w piersi. Wcześniej, kiedy próbowała go przytrzymać, żeby Golophin mógł spokojnie czynić swoje czary, kopnął ją tym nowym, drewnianym kolaniem w żebra. Teraz jednak takie drobiazgi przestały się liczyć. Hebrion znów miał króla. Wsparty na Isolli przemierzał królewskie komnaty, spacerując po nich w tę i z powrotem jak lew zamknięty w klatce.

Mam męża, pomyślała nieoczekiwanie. A raczej będę miała. Mężczyznę, który w połowie jest człowiekiem, a w połowie... Właściwie kim?

–Nie do wiary – mruknął Abeleyn, król Hebrionu. – Golophin naprawdę przeszedł sam siebie. Tylko dlaczego drewno? Stary Mercado ma twarz ze srebra, czy ja nie mogłem dostać nóg ze stali albo chociaż żelaza?

–Golophin się spieszył – wyjaśniła Isolla. – Dzisiaj odbędzie się głosowanie w kwestii regencji. A drewno było pod ręką.

–No tak, moi szlachetni krewni krążą nade mną jak sępy i każdy chciałby uszczknąć kawałek królewskiego truchła. Ale się zdziwią, nikczemnicy, kiedy do nich przyjdę! Bo przyjdę, Isollo. W kolczudze i z bronią.

–Tylko nie przesadz. Nie chcemy, żebyś wyglądał jak zjawa.

Abeleyn uśmiechnął się szeroko. W dzieciństwie na taki widok Isolli serce zaczynało szybciej bić. Kiedy się uśmiechał, mimo blizn i siwiejących włosów nadal wyglądał chłopięco.

–Posłuchaj, Issy. Golophin zafundował mi nowe nogi, to prawda, ale poza nimi nadal jestem człowiekiem z krwi i kości. Co powiesz na małżeństwo z arcydziełem stolarki artystycznej?

–Nie jestem bohaterką romansu, Abeleynie. Ludzie naszej krwi pobierają się ze względów politycznych. Założę twoją obrączkę, bo to będzie korzystne dla Astaracu i Hebrionu.

–Nic się nie zmieniłaś: cały czas ta sama poważna dziewczynka, która dźwiga na barkach cały świat. Chodź, pocałuj nas.

–Ależ Abeleynie!

**Próbował ją objąć i przytulić, ale pośliznął się na marmurze i z głośnym trzaskiem runął na podłogę, pociągając Isollę za sobą. Wylądowali na ziemi spowici w jedwabno-brokatową chmurę jej sukni. Król wybuchnął śmiechem, chwycił Isollę jedną ręką za kark i mocno pocałował w usta. Odsunęła się, czując, jak krew napływa jej do twarzy.**

**–No, no, ależ się zarumieniłaś – prychnął. – Wyrosłaś, Issy, i wylądowałaś. Te suknie skrywają piękną figurę.**

**–Wystarczy, mój panie. Możesz sobie zrobić krzywdę. Poza tym to nie wypada.**

**–Ja żyję, Isollo. Żyję! Chcę na chwilę zapomnieć o godności króla i posmakować świata.**

**Musnął jej odsłonięty obojczyk i zsunął dłoń niżej, pieszcząc pierś, ściśniętą i wypchniętą do góry w dekolcie sukni. Isollę przeszył dreszcz, od którego zaschło jej w ustach. Nikt nigdy jej tak nie dotykał. Chciała, żeby Abeleyn natychmiast przestał. I chciała, żeby to uczucie trwało wiecznie.**

**–Widzę, mój panie, że czujesz się lepiej – zabrzmiał głęboki, melodyjny głos.**

**Rozdzielili się i Isolla pomogła Abeleynowi wstać. Golophin stał w drzwiach z założonymi na piersi rękoma. Na jego ustach błąkał się kpiarski uśmiezek.**

**–Golophin, ty stary capie! – zawołał król. – Jak zwykle masz perfekcyjne wyczucie czasu.**

**–Wybacz, chłopcze. Zaprowadź go do łóżka, Isollo. Jak na jeden ranek, wystarczy mu tej ekscytacji.**

**Isolla w milczeniu odprowadziła Abeleyna do łoża, które do niedawna miało cztery kolumny i baldachim. Kolumny zostały tylko dwie – z dwóch pozostałych mag stworzył królewskie nogi.**

**–Poddani muszą mnie zobaczyć! – stwierdził z zapalem Abeleyn. – Nie mogę tak siedzieć w zamknięciu jak zgryźliwa stara panna. Issy co nieco mi zdradziła, ale niewiele. Twoja kolej, Golophinie. Widzę po twojej twarzy, że masz mi sporo do opowiedzenia. Co się wydarzyło?**

**Kiedy wesołość ustąpiła z królewskiego oblicza, wyczerpany i obolały Abeleyn w mgnieniu oka postarzał się o piętnaście lat.**

**–Pewnie i tak się domyślasz. – Golophin sięgnął po stojącą przy łóżku karafkę i nalał wina do trzech kieliszków. Swój opróżnił do połowy jednym haustem. – Minęło zaledwie parę tygodni, ale twoja kochanka, pani Jemilla...**

–Była kochanka – poprawił maga Abeleyn. Zerknął na Isollę, której zrobiło się ciepło na sercu. Wzięła go za rękę. Dłoń miał suchą i rozpaloną, ale odpowiedział uściskiem na jej uścisk.

–Twoja była kochanka – ciągnął Golophin – okazała się nielichą intrygantką. W tej chwili hebrionńska szlachta zbiera się w starym inicjanckim opactwie, żeby pokłócić się trochę i ustalić, kto będzie regentem.

Abeleyn długo milczał, wpatrzony w swoje nowe, drewniane nogi.

–Pewnie Urbino – powiedział w końcu, podnosząc wzrok. – Stary pierdziel. Jest najbardziej wpływowy, a Jemilla będzie nim mogła łatwo sterować.

–Brawo, mój panie. Istotnie, Urbino jest głównym kandydatem.

–Zdawałem sobie sprawę, że jest ambitna, ale chyba jej nie doceniłem.

–Tak, to rzeczywiście nieprzeciętna kobieta.

–Kiedy głosowanie?

–Wieczorem, o szóstej.

–No to mam niewiele czasu. Wezwij mojego służącego, Golophinie, muszę się wykapać. Poza tym będzie mi potrzebne porządne ubranie.

Czarodziej stanął nad królem i oparł mu dłoń na ramieniu.

–Jesteś pewien, że dasz sobie radę, chłopcze? Nawet jeśli Urbino zostanie dziś regentem, będzie musiał złożyć urząd, gdy tylko pokażesz się publicznie. Może lepiej by było, żebyś jeszcze trochę odpoczął?

–Nie. Tysiące ludzi oddały życie, żebym mógł wrócić na tron. Nie odbierze mi go jakaś podstępna suka, pociągająca za sznurki zaszuszonej marionetki. Wołaj służbę! Chcę też porozmawiać z Rovero i Mercado. Chyba urządzimy sobie po południu małą demonstrację siły. Najwyższy czas, żeby ktoś pokazał tym zawszonym spiskowcom, gdzie ich miejsce.

–Wedle życzenia, mój panie. – Golophin skłonił się nisko. – Pozwól tylko, że znajdę takich służących, którzy umieją milczeć. Im dłużej uda nam się utrzymać w tajemnicy fakt twojego ozdrowienia, tym większe poruszenie wywoła twoja wizyta.

Czarodziej oddalił się bezszelestnie.

Abeleyn osunął się na poduszki.

**–Pomóż mi, Isollo. Ważą chyba z tonę.**

**Pomogła mu ułożyć drewniane nogi na łóżku. Nie mógł oderwać od nich wzroku.**

**–Nic nie poczułem – powiedział półgłosem. – Nic a nic. To dziwne. Człowiek w jednej chwili traci pół ciała i nawet tego nie zauważa. Co innego teraz: swędzą mnie i bolą jak prawdziwe. Święty Boże, Isollo, za kogo ty się wydajesz?**

**Objęła go mocno, z całej siły. O dziwo, ten gest wydał się jej całkowicie naturalny.**

**–Wychodzę za mąż za króla, mój panie. Za wielkiego króla.**

**Ścisnął ją za rękę z taką siłą, że krew na moment przestała płynąć, i wtulił głowę w zgięcie jej ramienia. Kiedy znów się odezwał, jego głos był chrapliwy, zdławiony, zbyt głośny:**

**–Gdzie są ci przekłęci służący?! Widzę, że służba pałacowa schodzi na psy!**



\*

Kiedyś Abrusio liczyło ćwierć miliona mieszkańców. W walkach zginął co piąty z nich, a dziesiątki tysięcy spakowały dobytek i na dobre wyprowadziły się ze stolicy. W dodatku handel, na którym opierała się pomyślność portu i miasta, dziesięciokrotnie się zmniejszył. Tysiące ludzi pracowały przy odgruzowywaniu zniszczonych nabrzeży, odbudowie ostrzelanych magazynów i rozbiórze budynków, dla których nie było ratunku. Szeroki pas starego miasta zmienił się w wypalone pustkowie, na którym dalsze tysiące obozowały w improwizowanych schronach, szałasach i namiotach.

Górne miasto prawie nie ucierpiało w czasie szturmu. W rezydencjach hebrionńskiej szlachty i siedzibach cechów jedynym śladem niedawnych starć były armatnie kule, tkwiące tu i ówdzie w murach na podobieństwo czarnych wrzodów, oraz płytkie wyrwy w ulicznym bruku, szybko wypełniane żwirem.

Ze szczytu jednego z dwóch górujących nad Abrusio wzgórz stary inicjancki klasztor i opactwo srogim wzrokiem spoglądały na port i miasto. W olbrzymim refektarzu zebrała się cała ocalała arystokracja Hebrionu, aby zdecydować o przyszłości królestwa.

\*

Oczywiście do ostatniej chwili dobijano targów i uzgadniano szczegóły dyskretnych paktów; arystokraci rzucili się w wir intryg i zmieniali sojusze jak rękawiczki, byle tylko stać się częścią nowego ładu. Jednak w ogólnych zarysach wydarzenia rozwijały się zgodnie z przewidywaniami Jemilli. Książę Urbino z Imerdonu miał zostać regentem Hebrionu i publicznie ogłosić, że pani Jemilla jest matką dziedzica okaleczonego władcy. Zostanie faktyczną królową kraju.

Ciekawe, co by na to powiedział Richard Hawkwood? pomyślała, obserwując zasiadających przy podłużnym stole arystokratów. Zbierali się niespiesznie, powoli, co doprowadzało ją do szału. Ale przynajmniej Urbino się uśmiechał.

Na zewnątrz opactwa zebrał się tłum, czekający na wynik wyborów. Służący Jemilli zapłacił kilkuset miejskim włóczęgom i biedakom, żeby wiwatowali, kiedy tożsamość regenta zostanie podana do publicznej wiadomości. Dołączyła do nich, jak to zwykle bywa, kilkutysięczna zbieranina gapiów, którzy przez skórę wyczuwali, że w opactwie dzieje się coś interesującego. Jemilla zadbała również o to, by w różnych punktach miasta rozstawiono łącznie pięćdziesiąt beczek z winem, którym obywatele będą wznosić toasty za zdrowie regenta, gdy heroldowie ogłoszą jego nazwisko. Wino powinno uspokoić mieszkańców i złagodzić wyrzuty sumienia u ewentualnych rojalistów. Niczego nie przegapiła, była panią sytuacji. Od czego zacznie? Ach tak,

od tej astarackiej suki, Isolli. Odeśle ją do domu.

Kiedy gwar w refektarzu przycichł i szlachetnie urodzeni zajmowali swoje miejsca, dało się słyszeć dobiegający z zewnątrz podekscytowany szmer, który nagle wyraźnie się wzmógł. Zupełnie jakby wiwatowali, durnie, pomyślała Jemilla. Kraj w ruinie, ale wystarczy im chlapnąć po kubku taniego wina, a będą świętować.

Arystokraci usadowili się wreszcie zgodnie z etykietą i wszelkimi niuansami rangi. Urbino, siedzący na prawo od pustego królewskiego tronu, wstał. Z najwyższym trudem powstrzymywał się od uśmiechu, które to próby nadawały jego pociągłej, smętnej twarzy dziwaczny wyraz. Przetargi i rozgrywki, które od kilku dni pochłaniały ich bez reszty, dobiegły końca. Wszyscy już znali wynik głosowania, ale musieli przestrzegać protokołu. Za parę minut stanie się faktycznym suwerenem Hebrionu, jednym z największych władców na świecie.

–Moi drodzy kuzyni... – zaczął i zawiesił głos.

Na zewnątrz radosny zgiełk jeszcze bardziej się wzmógł, ale w tym momencie zagłuszyła go salwa artylerii.

–Co tam się dzieje? – zdziwił się Urbino i spojrzał pytająco na Jemillę. Zmarszczyła brwi i pokręciła przecząco głową. Nie miała z tym nic wspólnego.

Zapadła całkowita cisza. Sądząc po kanonadzie, można by pomyśleć, że rozpoczęło się regularne bombardowanie miasta.

–Na Boga, Rycerze-Bojownicy wrócili! – wypalił jakiś idiota.

–Zamknij się! – uciszył go ktoś.

Wszyscy wytężyli słuch. Urbino stał jak skamieniały, nastawiwszy ucha. Łoskot dobiegał z bardzo bliska, jakby strzelano z murów pałacu. Ale po co? Jemilla zrozumiała pierwsza. Serce jej zamarło. To był salut.

–Liczą salwy! – krzyknęła, nie bacząc na to, że głos się jej łamie.

–Dziewiętnaście – odparł jeden ze starszych dostojników. Hardio z Pontifidad, rojalista, przypomniała sobie Jemilla. Na jego twarzy nadzieja walczyła o lepsze z przerażeniem.

Huk przewalił się w końcu nad miastem, echo strzałów ucichło, ale tłum nie przestawał wiwatować. Dwadzieścia osiem salw – to był salut na cześć króla. Co tam się działo, do diaska?

–Może to na cześć nowego regenta – zasugerował ktoś, ale Hardio pokręcił głową.

**–Byłyby dwadzieścia dwie.**

**–A może król umarł – podpowiedział inny tępak. – Po śmierci króla też się strzela.**

**–Niech nas Bóg broni... – jęknął Hardio, ale większość obecnych odetchnęła z ulgą.**

**Jemilla pierwsza doszła do siebie.**

**–Nie wydurniaj się. – Jej głos ociekał szyderstwem. – Nie słyszysz tych tłumów? Naprawdę myślisz, że ludzie by się tak cieszyli ze śmierci króla?**

**Czuła, że sprawy wymykają się jej spod kontroli. Golophon i Isolla pokrzyżowali jej szyki. Ale jak?!**

**Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Z zewnątrz dobiegł ogłuszający jazgot trąbek i tętent kopyt. Trębacze powtarzali królewską fanfarę. Rozległ się miarowy tupot wielu stóp i wrota refektarza zadźwięczały pod uderzeniem czyjejs pięści.**

**–Otwierać w imieniu króla!**

**Zalęknieni służący, których Urbino sprowadził ze swojej rezydencji, nie wiedzieli, jak się zachować. Spoglądali pytająco na swojego pana.**

**–Otwórzcież te przekłete drzwi! – warknęła w końcu Jemilla.**

**Posłuchali jej. Wszyscy zebrani jak na komendę wstali; dziesiątki krzesel jednocześnie zazgrzytały na kamiennej posadzce. Oczom arystokratów ukazały się dwa długie szeregi hebrionskich arkebuźników w błękitnych mundurach królewskiej armii. Chorążowie wzniesli do góry jedwabne, drżące na wietrze proporce Hibrusydów. Na czele orszaku stała wysoka postać w czarnym półpancerzu i czarnej przyłbicy z opuszczoną zasłoną. Na hełmie spoczywała połyskująca złotem i klejnotami hebrionńska korona.**

**Żołnierze bez słowa weszli do sali i stanęli pod ścianami. Arkebuzy miały pozapalane lonty, toteż w refektarzu natychmiast rozeszła się gryząca woń palonego prochu. Człowiek w czarnej zbroi też przekroczył próg sali, na końcu zaś weszli chorążcy, którzy zamknęli drzwi. Dostojnicy stali jak wrośnięci w ziemię, dopóki czyjs gromki głos nie przywołał ich do porządku:**

**–Pokłońcie się królowi!**

**Postać w czerni zdjęła hełm.**

**Hebrionscy arystokraci wytrzeszczyli oczy – i zrobili, co im kazano. Człowiekiem w czarnej zbroi był bez wątplenia Abeleyn IV, król Hebrionu i Imerdonu.**

Był wyższy, niż go zapamiętali, a postarzał się tak bardzo, że spokojnie mógłby być ojcem władcy, którego nie tak dawno znali. Nie zostało w nim nic z chłopca, który został królem. Kiedy wodził wzrokiem po klęczących przed nim dostojnikach, jego oczy przypominały dwa odłamki czarnego lodu. Jemilla nie wstała z fotela przy ogniu; siedziała jak sparaliżowana, niezdolna wykonać ruchu, on zaś nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem. Smród palonego prochu szedł w zawody z wszechobecnym odorem strachu. Abeleyn mógł kazać ich rozstrzelać, tu i teraz, a oni nie zdążyliby nawet palcem kiwnąć.

Hardio i ci nieliczni jego poplecznicy, którzy od początku przeciwstawiali się ustanowieniu regencji, promienieli.

–Nie posiadam się ze szczęścia, widząc cię w dobrym zdrowiu, mój panie – odezwał się Hardio. – To wspaniały dzień dla całego królestwa.

Zacięta twarz króla złagodniała; dało się na niej dostrzec cień tego młodzieńczego wyrazu, który znali sprzed kilku miesięcy.

–Dziękuję, Hardio. Szlachetni kuzyni, powstańcie, proszę.

Zbiorowe westchnienie ulgi utonęło w szuraniu butów i szelestach szat. Jednak darował im życie.

–O ile mi wiadomo – ciągnął spokojnie Abeleyn – zebraliście się tutaj, aby przedyskutować sprawę niezwyklej wagi, dotyczące mojego królestwa.

Nikt nie przeoczył odstępstwa od tradycyjnego królewskiego „my” i „naszego” i delikatnego nacisku na „mojego”.

–Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zajmiemy nasze miejsce na czele tego szacownego zgromadzenia.

–Ależ... Ależ naturalnie... – wyjąkał Urbino. – Pozwól, panie, że i ja pogratuluję ci powrotu do zdrowia i pełni władz umysłowych.

Abeleyn zasiadł na tronie u szczytu stołu. Dziwnie chodził: miało się wrażenie, że ma za długie nogi, w dodatku kołysał się lekko z boku na bok, jak marynarz na pokładzie miotanego sztormem okrętu.

–Nic nam nie wiadomo o tym, żebyśmy postradali władze umysłowe, Urbino – odparł lodowato. Jego słowa zmroziły atmosferę. Arystokraci nagle znów boleśnie uświadomili sobie obecność stojących za ich plecami żołnierzy. – Tym niemniej zapamiętam twoją troskę. Możesz być tego pewny. – Rozejrzał się po sali i tym razem jego wzrok zatrzymał się na Jemilli. – Mamy nadzieję, że znajdujemy cię w dobrym zdrowiu, pani.

**Język odmówił jej posłuszeństwa.**

**–Czuję się dobrze, mój panie – wykrztusiła dopiero po dłuższej chwili.**

**–Znakomicie. W twoim stanie nie powinnaś jednak przydawać sobie zmartwień i troszczyć się o sprawy wagi państwowej. Możesz odejść.**

**Rzecz jasna, nie miała wyboru. Dygnęła niezgrabnie i wyszła. Drzwi zatrzęsły się za nią z hukiem, odcinając ją od marzeń i ambicji. Szła z podniesioną głową, obojętna na triumfalne okrzyki tłumu i uśmiechniętych od ucha do ucha żołnierzy. Dopiero w zaciszu swoich prywatnych komnat dała upust nagromadzonej złości i rozpacz.**

–Sytuacja jest wysoce zadowalająca – stwierdził Himerius, wielki pontyfik ramusiańskich królestw zachodu.

Dzień był pogodny. Oślepiające promienie słońca odbijały się od otaczających Charibon ośnieżonych Wzgórz Nariańskich, a na wschodzie lśniły na zalodzonych wierzchołkach Gór Cymbryckich. Himerius nic sobie nie robił z lodowatego wiatru, który dął z ponurych górskich wyżyn i błyskawicznie porywał skroploną parę z jego oddechu. Otaczający go mnisi, odziani w inicjancką czerń, kulili się w swoich habitach i dyskretnie – choć daremnie – rozcierali ręce w głębinach szerokich rękawów. Palce i tak im marzły.

–Istotnie, Wasza Świątobliwość – przytaknął czerwony z zimna Betanza. – Lepiej być nie może. Regent Marat właśnie szykuje armię liczącą około ośmiu tysięcy ludzi. Jeżeli pogoda się utrzyma, będą u nas za dwa tygodnie.

–Czy wysłano już kurierów do Alstadt?

–Wczoraj, Wasza Świątobliwość. Wyruszyli w eskorcie Rycerzy-Bojowników. Jeżeli moje przewidywania się sprawdzą, za trzy miesiące będziemy mieli ufortyfikowany garnizon w Przesmyku Torrinu. Dzięki niemu nie tylko rozprawimy się z Merdukami, gdyby zapuścili się tam na rekonesans, ale także będziemy mieli doskonały przyczółek dla dalszych działań.

–Jakie wieści z Vol Ephrir?

–Król Cadamost godzi się na garnizon na granicy z Astarakiem, pod warunkiem, że załoga nie będzie się składać z Almarkan. Tylko Rycerze-Bojownicy... Proszę zrozumieć, Wasza Świątobliwość, to kwestia dumy narodowej. Niestety, chwilowo nie mamy dość Rycerzy.

–Almarkanie są obecnie takimi samymi sługami Kościoła jak Rycerze-Bojownicy. Jeżeli to ulży sumieniu Perigraine, możemy ich przebrać w mundury Bojowników, ale musimy jak najszybciej wprowadzić nasze oddziały na południe królestwa. Czy to jasne, Betanza?

–Całkowicie, Wasza Świątobliwość. Natychmiast się tym zajmę.

–Oczywiście Cadamost zostanie honorowym prezbiterem. To mu się należy, jest wiernym synem Kościoła. Nie możemy jednak myśleć tylko o Perigraine. Czasy są ciężkie. Musimy się zjednoczyć przeciw heretykom. Jeżeli almarkańscy żołnierze nie przeszkadzają Skarpathinowi z Finnmarku, nie widzę powodu, żeby Cadamost burzył się przeciwko nim.

**–Naturalnie, Wasza Świątobliwość. To sprawa prestiżowa. Skarpathin władza księstwem, które zawsze było bliskim sojusznikiem Almarku, natomiast Perigraine jest suwerennym królestwem. Dlatego potrzebne są delikatne zabiegi dyplomatyczne.**

**–Wiem o tym, Betanza, nie jestem dzieckiem. Załatw to. Nie interesuje mnie, jakich użyjesz sztuczek. Musimy rozmieścić nasze wojska we wszystkich królestwach, które uznają zwierzchnictwo Kościoła. Żyjemy w czasach kryzysu. Nie dopuszczę, aby znów zdarzyła się katastrofa, do jakiej doszło w Hebrionie. Straciliśmy całe królestwo na rzecz heretyków, ponieważ zabrakło nam żołnierzy. To się nie powtórzy!**

**–Tak jest, Wasza Świątobliwość.**

**–Jeżeli mamy na nich uderzyć, to tylko od zachodu przez Przesmyk Torrinu, i od północy, na wschodni Astarac... Są wieści z Fimbrii?**

**–Nie, Wasza Świątobliwość. Rozeszły się natomiast plotki, że armia wysłana przez elektorów na wschód połączyła się z niedobitkami garnizonu z Wału Ormanna, ale została potem pokonana w ogromnej bitwie na północy Torunny.**

**–Plotki? Czy nasza polityka ma się opierać na plotkach?**

**–Bardzo trudno jest zdobyć wiarygodne informacje na temat toczącej się na wschodzie wojny, Wasza Świątobliwość. Słyszałem ponadto, że u bram Torunnu rozegrała się walna bitwa, ale nic nam nie wiadomo o jej wyniku.**

**–Czyżbyśmy nie mieli ani jednego rzetelnego informatora w Torunnie?**

**–Owszem, mamy, ale dopóki Torunn jest praktycznie obleżony, musimy się liczyć z opóźnieniem w otrzymaniu wiadomości.**

**Himerius nie odpowiedział. W ostrym świetle zimowego słońca twarz miał ściągniętą i wychudzoną, rysy ostre, ale jego oczy płonęły jak rozżarzone węgle. Ostatnie dni dowiodły, że wprost kipi niezwykłą jak na swój wiek energią; harował do późna w nocy, wzywając tylko coraz to nowych skrybów, mędrców i almarkańskich oficerów. Betanza zastanawiał się w duchu, jak długo będzie w stanie tak pracować. Kościół Ramusiański – a właściwie jego najnowsza inkarnacja – w kilka tygodni zmienił się w olbrzymie imperium, obejmujące nie tylko Almark, lecz także Finnmark, Perigraine i kilka innych, mniejszych księstw. Cadamost z Perigraine, wstrząśnięty krwawymi rzeziami w heretyckich Hebrionie, Astaracu i Torunnie, czym prędzej pospieszył pod opiekuńcze skrzydła Charibonu. Rzeczywiście, pomyślał Betanza, jest wiernym synem Kościoła. Szkoda tylko, że nie ma jaj.**

**On sam z mieszanymi uczuciami przyjmował tę niespodziewaną przemianę Kościoła.**

Był wikariuszem generalnym zakonu inicjantów, drugim co do powagi urzędu dostojnikiem w kościelnej hierarchii, ale kumulacja władzy, której był świadkiem, budziła jego wątpliwości. Torunn stał się centrum oporu przeciw najazdowi Merduków, a Charibon był teraz ośrodkiem nowego bloku politycznego, którego terytorium rozpościerało się od Malvennoru na zachodzie po Góry Cymbryckie na wschodzie, na północy zaś sięgało granic sułtanatu Hardukh u podnóży północnego ramienia Gór Jafrarskich. Tylko Fimbria w dniach swojej największej potęgi obejmowała równie wielki obszar lądu. Jednakże tym razem ludzie, którym ta olbrzymia odpowiedzialność spadła z nienacką na barki, byli kapłanami, nie politykami, i nie mieli wielkiego doświadczenia w rządzeniu. Nieswojo się czuł z tą myślą. Nie podobało mu się również, że głowa kościoła ramusiańskiego w Normanii spędza po dwadzieścia godzin dziennie na wydawaniu rozkazów, kierowaniu zaciąganiem wojsk i planowaniu ruchów armii. Nie po to wstąpił do Kościoła, żeby być w nim generałem. W swoim świeckim życiu dość się nawojował.

Zapatrzył się w dal, na złowrogo spiętrzone szczyty Gór Cymbryckich, białe i niezdobyte. Wiatr zwiewał z nich pióropusze śniegu, przez co wyglądały, jakby dymiły. Cały świat płonął. Świat, który Betanza znał w dzieciństwie i w latach młodości, znalazł się o krok od rozpadu. Złapał się na tym, że zastanawia się, co by się stało, gdyby Aekir nie został zdobyty... I gdyby Macrobius przeżył.

Takie myślenie było nie tylko absurdalne, ale także niebezpieczne. Donikąd nie prowadziło. Dlaczego jednak tak się bał przyszłości? Może z powodu zmiany, jaka zaszła w Himeriusie. Pontyfik zawsze był człowiekiem dumnym i próżnym, bezlitosnym intrygantem. Ostatnio jednak miało się wrażenie, że ambicja zupełnie zagłuszyła w nim wiarę. Pontyfik już się nawet nie modlił! Czy tak powinna się zachowywać głowa Kościoła? I jeszcze ten blask w jego oczach, zwłaszcza nocą: był taki niesamowity, nie z tej ziemi... Niepokojący.

Jestem zmęczony, pomyślał Betanza. Zmęczony i starszy niż mi się wydaje. Może należałoby ustąpić ze stanowiska? Wstąpiłbym do klasztoru, oddał się kontemplacji tego drugiego, wiecznego świata i istoty Boga, jego stwórcy. Po to przecież przywdziałem habit.

Ale już zadając sobie to pytanie, znał na nie odpowiedź. Nie ustąpi, ponieważ boi się o to, kto z woli Himeriusa zostałby jego następcą. Połowa kościelnej hierarchii już została przetasowana. Escriban, prałat Perigraine musiał odejść; był niepokorny i nie chciał się pogodzić z Nowym Ładem. Himerius zastąpił go Pieterem Gonerilem, figurantem, który będzie posłuszny każdemu jego słowu. A prezbiter Quirion, Rycerz-Bojownik, najlepszy z ludzi, którzy dobywali miecza w obronie Kościoła, i osobisty przyjaciel Betanzy? Również zniknął ze sceny, przeniesiony do prowincjonalnego garnizoniku. Stracił Hebrion i ponad tysiąc Rycerzy. Takich błędów się nie wybaczają.



**Charibon upodabnia się do dworu królewskiego, a my – do chłopców na posyłki na usługach odzianego w czerń monarchy. A nasza wiara? Co się z nią stało?**

**Nawet przed samym sobą trudno mu się było przyznać do wątpliwości, które dręczyły go najbardziej i sprawiały, że nawet w najzimniejsze noce budził się zlany potem. Pamiętał strzęp starej przepowiedni, wyśnionej przez szaleńca, ale szaleńca, który był przecież jednym z ojców założycieli Kościoła.**

***I przyjdzie bestia na ziemię, a stanie się to w dniach drugiego imperium. Przybędzie z zachodu, a blask jej ślepi straszliwy będzie. Z jej nadejściem nastanie Czas Wilka, a brat podniesie rękę na brata. Wszyscy ludzie padną na twarze i będą czcić bestię.***

**Zanim zawiesił książęce szaty na kołku i przywdział czarny habit, Betanza niewiele czytał. Właściwie, mówiąc wprost, nie umiał czytać. W Kościele opanował jednak tę sztukę, która z czasem stała się jego ulubionym zajęciem. W swoich apartamentach miał całe regały z książkami – także takimi, które, gdyby znaleziono je w rękach nowicjusza, posłałyby owego nowicjusza prosto na stos. Zaczął je kolekcjonować po tym, jak w podziemiach biblioteki świętego Garaso w tajemniczych okolicznościach zginął Commodius, główny bibliotekarz.**

**Teraz, na wspomnienie cytatu z „Księgi Honoriusa”, przeszedł go dreszcz. Co to było – majaczenia szaleńca, czy prawdziwa wizja przyszłości? Tego nikt nie wiedział. A dlaczego Commodius został zamordowany? I na to pytanie nie znał odpowiedzi. Śledztwo, które prowadził, zabrnęło w ślepy zaułek. Dwaj główni podejrzani, mnisi z Charibonu, rozplynęli się w mrokach nocy. O dziwo, Himerius zupełnie się tym nie przejął. Bardziej interesowało go zamknięcie i opieczętowanie drzwi prowadzących do katakumb pod biblioteką, niż znalezienie morderców.**

**Na Boga, ależ był ziąb! Czy ta wiosna nigdy nie przyjdzie? Co za fatalny rok.**

**Ostatnio Himerius coraz chętniej spacerował po blankach katedry w towarzystwie gromadki skrybów i innych podwładnych. Twierdził, że w takich okolicznościach lepiej mu się myśli. Właśnie dlatego teraz też się tu wdrapali, niczym insekty pełzające po grzbiecie drzemiącego kamiennego olbrzyma. Oglądany z tej wysokości Charibon wyglądał jak miasto lalek. Brzegi Morza Tor wciąż były zamarznęte; tłumy mieszkańców wyległy na lód i łowiły ryby. Zima mocno dała im się we znaki, zwłaszcza odkąd w prywatnych domach zakwaterowano żołnierzy. A miało się wrażenie, że codziennie przybywają do Charibonu nowe oddziały. Klasztorne miasto zmieniało się w obóz wojskowy.**

**Himerius oddalił się, dyktując coś skrybom. Betanza nie ruszył się z miejsca. Tylko jeden z kleryków wziął z niego przykład: stary Rogien, zarządca dworu pontyfika. W bezlitosnym świetle słońca jego pomarszczona twarz zdawała się niemal**

przezroczyista; na skroniach wyraźnie rysowały się niebieskie żyłki.

–O czym tak myślisz, bracie?

Betanza się uśmiechnął.

–Mam wiele spraw do przemyślenia.

–Tak jak my wszyscy. Jego Świątobliwość jest wyjątkowym człowiekiem.

–Istotnie, wyjątkowym.

–Jesteś jakiś markotny, bracie.

–Ja? – Betanza spojrział na Himeriusa z orszakiem. Byli poza zasięgiem głosu. Znał Rogiena od lat. – Nie jestem markotny, bracie. Może trochę wystraszony, ale nie markotny.

–Trwa wojna. Każdy ma prawo się bać.

–Ale my nie jesteśmy żołnierzami.

–Czyżby? Nie nosimy wprawdzie kolczug i nie władamy mieczami, ale w pewnym sensie także jesteśmy wojownikami.

–A Charibon nie powinien być koszarami dla całego almarkańskiego wojska.

–Ależ Betanza, jesteśmy prawie na linii frontu. Podobno widziano już Merduków nawet na wschodnim brzegu Morza Tor. Cymbryckie plemiona złupiły już raz Charibon. Chciałbyś, żeby znów do tego doszło?

Betanza się skrzywił.

–Wiesz, że nie o to mi chodzi.

–Być może... – Rogien zniżył głos i podszedł bliżej. – Ale głośno ci nie przytaknę.

–A czemuż to? Czy w Charibonie nie wolno już mówić tego, co się myśli?

–Oj Betanza, Betanza... – Rogien parsknął śmiechem. – A czy kiedykolwiek było to w Charibonie dozwolone?

Betanza się nie uśmiechnął.

–Ty mówisz o herezji. Ja o polityce.

**Rogien nie dał się jednak zbić z pantaląku.**

**–Dzisiaj walka z herezją i polityka to jedno. Jeżeli jeszcze tego nie zauważyłeś, to źle z tobą. Bracie, byłeś przecież księciem, miałeś świecką władzę... Naprawdę jesteś taki naiwny? Odśwież sobie umiejętności, które posiadałeś, zanim włożyłeś habit. W najbliższym czasie będą bezcenne.**

**–Psiakrew, Rogien! Nie po to wstąpiłem do zakonu, żeby zostać jakimś klasztornym arystokratą.**

**–Ależ bracie, jesteś członkiem najbardziej upolitycznionego zakonu na świecie. Ba, jesteś jego przełożonym. Nie udawaj udręczonego ascety. Gdybyś mówił serio, nosiłbyś szary habit, chodził boso i nauczał biedotę na jakimś astarackim zadupiu.**

**Betanza nie odpowiedział. Rogien miał rację, ale to mu wcale nie pomogło.**

**–Chodź. – Skinął głową w stronę oddalającego się orszaku pontyfika. – Zagapiliśmy się.**

**–Nie, bracie – odparł oschle Rogien. – To ty się zagapiłeś.**

# SZEŚĆ

Stara sala narad torunnańskiego dowództwa była ogromna i mroczna niczym jaskinia. Do olbrzymich kominków, znajdujących się na obu końcach pomieszczenia, swobodnie wszedłby wyprostowany mężczyzna. Wysoko sklepiony sufit wspierał się na marmurowych filarach i ginął w ciemnościach. Z prastarych krokwi zwieszały się wojskowe chorągwie i proporce o barwach wyblakłych od wieku, dymu, kurzu – i krwi tych, którzy zginęli, niosąc je do bitwy. Gmach pochodził z czasów Hegemonii Fimbriańskiej, ale od lat go nie używano. Król Lofantyr wolał spotykać się z generałami w przytulnych apartamentach pałacowych. Dopiero królowa Odelia, aktualna władczyni Torunny, zarządziła ponowne otwarcie sali, w której ongiś John Mogen i Kaile Ormann przedstawiali swoje plany strategiczne. Miało się wrażenie, że duchy tych dwóch wielkich żołnierzy czają się w półmroku, obserwując zbierające się na naradzie dowództwo torunnańskiej armii.

Żołnierze przywdziali na tę okazję galowe mundury: artylerzyści niebieskie, piechota czarne, kawaleria bordowe. W masie prezentowali się imponująco, chociaż doświadczony obserwator zwróciłby zapewne uwagę na fakt, że oficerowie są albo niezwykle młodzi, albo wyjątkowo starzy jak na swoją szarżę. Wszyscy najbardziej utalentowani dowódcy polegli: John Mogen i Sibastion Lejer w Aekirze, Pieter Martellus na Wale Ormanna, Martin Menin w Królewskiej Bitwie. Z niegdyś potężnej maszyny wojennej zostały zaledwie nędzne resztki. Torunna znalazła się na krawędzi przepaści: rezerwy się skończyły, a nikt nie oczekiwał, że fimbriańscy elektorzy przyślą na pomoc drugą armię – nie po tym, jak pierwsza poniosła bezsensowną klęskę na Północnych Wrzosowiskach. Prawdą było, że z Gór Cymbryckich przybywało coraz więcej barbarzyńców, gotowych walczyć ramię w ramię z Torunnanami, ale zebrani w sali oficerowie nie mieli najlepszego zdania o ich walorach bojowych, nawet biorąc pod uwagę osiągnięcia armii dzikusów dowodzonej przez generała Cear-Inafa. Jego armia stanowiła tylko wyjątek potwierdzający regułę. W powszechnej opinii zaproszenie dzikusów na pogrzeb króla było posunięciem w najgorszym guście, ale gawiedź przepychała się i tłoczyła zawzięcie, żeby podziwiać słynnych, egzotycznych jeźdźców w szkarłacie, trzymających straż honorową przy królewskim grobie.

Rozmowy umilkły jak nożem uciął, kiedy do sali weszła królowa, wsparta na ramieniu generała Cear-Inafa. Odelia zasiadła u szczytu długiego stołu, który zajmował cały środek sali. Oficerowie również zajęli swoje miejsca, choć nie obeszło się bez znaczących, pełnych niedowierzania spojrzeń. Kobieta na naradzie wojennej! Uwagi bardziej spostrzegawczych nie uszły spojrzenia, jakie królowa posyłała swojemu świeżo promowanemu wodzowi naczelnemu. Może jednak w krążących po dworze plotkach kryło się ziarno prawdy...

Generał Cear-Inaf wstał i poprosił o uwagę. Wszyscy zwrócili się ku niemu z

**należyłą powagą; to na jego barkach spoczywała troska o przetrwanie królestwa. Poza tym od niego zależała przyszłość – i kariera lub degradacja – wszystkich obecnych.**

**–Znacie mnie – zaczął generał. – A ci, którzy mnie nie znają, na pewno o mnie słyszeli. Służyłem w Aekirze pod Mogenem, ale uciekłem z posterunku, kiedy miasto padło. Służyłem również na Wale Ormanna, podobnie jak obecni tu Andruw i Ranafast. Dowodziłem naszymi wojskami w bitwie na Północnych Wrzosowiskach i prowadziłem odwrót po Królewskiej Bitwie. Los zrządził, że zostałem waszym wodzem naczelnym, w związku z czym bez względu na osobiste przekonania będziecie słuchać moich rozkazów i wykonywać je, jakby pochodziły od samego Boga. Tak to już jest w wojsku. Zawsze chętnie wysłucham waszych pomysłów i sugestii, o każdej porze dnia i nocy możecie domagać się osobistego spotkania ze mną. Ale w sprawach wojskowych moje słowo jest święte i ostateczne. Jej Królewska Mość pochlebiła mi, obdarzając swoim zaufaniem i każąc toczyć tę wojnę, ale zagwarantowała mi przy tym wolną rękę. Nie będę tolerował sporów o starszeństwo i prestiż wśród kadry oficerskiej. O awansie będą decydowały wyłącznie wasze zasługi, nic więcej; nie interesują mnie niczyje koneksje rodzinne ani staż służby. Czy są jakieś pytania?**

**Nikt się nie odezwał. Spodziewali się takich słów: nie oczekiwali, żeby wieśniak, który zrobił błyskawiczną karierę, hołdował takim wartościom jak tradycja lub pozycja społeczna.**

**–Doskonale. Przed godziną przybyła do portu kurierska galera z meldunkiem od admirała Berzy. Donosi mi, że znalazł i zniszczył dwie merduckie bazy zaopatrzeniowe na wybrzeżu Morza Kardiańskiego...**

**Rozległ się szmer rozmów, który ucichł jednak natychmiast, gdy tylko Corfe dał znak podniesioną ręką.**

**–Pisze też, że Merducusy stracili tysiące ludzi i trzy do czterech milionów racji żywnościowych, które nasi ludzie puścili z dymem. Sam jednak również odniósł poważne straty. Ocalała niespełna połowa żołnierzy piechoty morskiej, zniszczone zostały dwa z dwudziestu trzech okrętów. Tuż przed wysłaniem meldunku ponownie wyszedł w morze, tym razem na spotkanie nalbeńskiej floty, która posuwa się ponoć na północ z zadaniem zabezpieczenia szlaków łącznościowych i zaopatrzeniowych merduckiej armii. Wysłałem mu już rozkazy, w których, najprościej rzecz ujmując, daję mu wolną rękę. Admirał Berza jest dobrym dowódcą i najlepiej z nas wszystkich zna się na wojnie morskiej. Na razie flota nie wraca do stolicy.**

**–Ale to znaczy, że brzegi Torrinu pozostaną bez osłony – zauważył pułkownik Rusio. – Merducusy będą mogli go sforsować kiedy zechcą i gdzie zechcą i uderzyć na nas z flanki!**

–Owszem. Z informacji, które dostajemy od zwiadowców, wynika jednak, że główna merducka armia polowa wycofała się na ponad sto dwadzieścia mil od Torunnu i zajęła odbudową Traktu Zachodniego do Aekiru. Chcą w ten sposób otworzyć sobie drugi szlak zaopatrzeniowy, nie narażony na ataki naszych okrętów. W tej chwili wróg jest zbyt zajęty, aby przeprowadzić szturm na miasto. Andruw, bądź łaskaw...

Corfe usiadł, Andruw zaś wstał i powiódł niepewnym spojrzeniem po zwróconych ku niemu twarzach oficerów. Odchrząknął, zerknął na trzymany w ręce plik kartek i zaczął:

–Główne siły Merduków istotnie się wycofały. Nasi zwiadowcy donoszą jednak, że lotne brygady w sile około tysiąca żołnierzy zapuszczają się na północny zachód aż pod Przesmyk Torrinu. Najwidoczniej próbują dokonać rekonesansu i wy badać możliwość przedostania się tamtędy na Równiny Toriańskie. Ludzie uciekający przed tymi podjazdami przeprowadzają się przez Searil; niektórzy dotarli już nawet do Torunnu. Merducusy łupią napotkane wsie i miasteczka, a wedle niepotwierdzonych doniesień budują tam fort – lub forty, które mogą im w przyszłości posłużyć jako bazy wypadowe. Niewykluczone, że na północy działa praktycznie cała druga armia merducka.

Andruw usiadł. Wyraźnie mu ulżyło, że zdołał wygłosić tę przemowę bez zajknięcia.

–Łotry... – mruknął ktoś przy stole.

–W tej chwili nic nie możemy na to poradzić – odparł zniecierpliwiony pułkownik Rusio. – Musimy się skoncentrować na obronie stolicy. Armię należy zreorganizować i uzupełnić jej wyposażenie, zanim będzie mogła gdziekolwiek wyruszyć.

–Zgadza się z panem, pułkowniku – powiedział Corfe. – Mamy jednak mało czasu. A braki w liczebności musimy nadrabiać odwagą. Nie zamierzam siedzieć biernie w Torunnie i patrzeć, jak Merducusy swobodnie łupią nasz kraj. Muszą zapłacić za każdą piędź torunnańskiej ziemi, którą odważą się okupować.

–Słusznie! Tak trzeba! – wyrwał się jeden z młodszych oficerów, ale umilkł zaraz, skarcony lodowatymi spojrzeniami starszych dowódców.

–Dlatego proponuję, abyśmy wysłali na północ własną lotną brygadę. W niedawnej bitwie mój oddział poniósł mniejsze straty niż główny trzon armii, a poza tym dołączyła do niego nowa grupa rekrutów. Zabiorę go na północ kraju i wracając do stolicy, oczyszczę Torunnę przynajmniej z części merduckich rabusiów. Będzie to operacja wojskowa i wywiadowcza jednocześnie; musimy zdobyć informacje o liczebności i stanie nieprzyjacielskich oddziałów stacjonujących na północnym zachodzie. Dotychczas w zbyt dużym stopniu polegaliśmy na wiadomościach przekazywanych przez uchodźców i kurierów.

**–Mam nadzieję, generale, że nie poddaje pan w wątpliwość fachowości moich ludzi  
– warknął hrabia Fournier, szef torunnańskiego wywiadu wojskowego.**

**–W żadnym wypadku, panie hrabio. Co nie zmienia faktu, że cudów nie są w stanie zdziałać, a poza tym są mi bardziej potrzebni tam, gdzie są w tej chwili, czyli w pobliżu głównej armii. Dla oczyszczenia północnego zachodu potrzebna jest operacja zakrojona na szerszą skalę. Mój oddział przełamie ewentualny opór Merduków, a przy okazji udowodni mieszkańcom, że o nich nie zapomnieliśmy. Warto spróbować.**

**–Odważny plan – przyznał Rusio, cedząc słowa. – Kiedy chce pan wyruszyć, generale? I kto pod pana nieobecność będzie dowodził obroną stolicy?**

**–Wyruszymy najdalej za tydzień. Pan, pułkowniku, obejmie dowództwo miejskiego garnizonu. Królowa łaskawie zaakceptowała moją propozycję awansowania pana do stopnia generała. – Corfe wziął do ręki leżący na blacie opieczętowany zwój i rzucił go Rusiowi. – Moje gratulacje.**

**Rusio nie posiadał się ze zdumienia.**

**–Nie wiem, jak wyrazić... To znaczy... Wasza Wysokość, jestem Waszej Wysokości dozgonnie wdzięczny...**

**–Nie dziękuj nam – ucięła krótko Odelia. – Generał Cear-Inaf zapewnił nas, że zasługujesz na ten awans, więc go zatwierdziliśmy. Nie zawieź naszego zaufania, generale.**

**–Wasza Królewska Mość, zrobię... zrobię co w mojej mocy.**

**Starsi oficerowie, tacy jak Willem, śledzili tę rozmowę, patrząc spode łba na Rusia. Kilku wstało i pogratulowało nowemu generałowi, większość jednak po prostu siedziała zatopiona w myślach.**

**–Pańskie zadanie, Rusio – ciągnął tymczasem Corfe – będzie polegało na doprowadzeniu armii do stanu pełnej gotowości. Wrócę mniej więcej za miesiąc. Chciałbym, żeby do tego czasu nasi ludzie byli gotowi do wymarszu.**

**Rusio bez słowa pokiwał głową. Ścisnął kurczowo rozkaz o awansie, jakby bał się, że ktoś spróbuje mu go wyrwać. W jednej chwili urzeczywistniły się jego plany i marzenia. Był kompletnie oszołomiony.**

**–Miesiąc, generale, to za mało, żeby podejść pod Thurian i wrócić – zauważył hrabia Fournier. – To będzie jakieś sto pięćdziesiąt mil w jedną stronę.**

**–Ponad dwieście – poprawił go Corfe. – Ale nie będziemy całą drogę szli pieszo. Pułkowniku Passifal?**

**Główny kwatermistrz skinął głową.**

**–W porcie stoi dwadzieścia ciężkich frachtowców do przewozu zboża. Na pokładzie każdego z nich zmieściłoby się swobodnie ośmiuset, może nawet dziewięciuset ludzi. Dopóki wiatr wieje od morza, a o tej porze roku zwykle tak właśnie jest, frachtowce będą mogły całkiem żwawo posuwać się pod prąd Torrinu. Zresztą na wypadek ciszy morskiej są zaopatrzone w ciężkie wiosła. Rozmawiałem z marynarzami: w zimie bez problemu pływają w górę rzeki z prędkością około czterech węzłów. Oddział generała Cear-Inafa mógłby w pięć, sześć dni dotrzeć na przedgórze Thurianu.**

**–Cóż za pomysłowość – mruknął Fournier. – A jeżeli Merducy jednak nas zaatakują, kiedy generał i jego doborowi żołnierze będą na wycieczce? Co wtedy?**

**Corfe spojrział z uśmiechem na chudego arystokratę z kozią bródką.**

**–To będzie wina wywiadu, drogi panie hrabio. Z meldunków pańskich agentów wynika jasno, że Merducy są w tej chwili bardziej rozbici niż my. Nie ufa pan własnym ludziom?**

**Fournier wzruszył ramionami.**

**–To tylko hipoteza. Na wojnie, generale, trzeba być przygotowanym na to, co nieoczekiwane.**

**–Całkowicie się z panem zgadzam, hrabio. I proszę się nie obawiać, będę w stałym kontakcie ze stolicą. Jeżeli wróg rzeczywiście zaatakuje Torunn, Rusio zatrzyma go na przedpolu, ja zaś uderzę na tyły nieprzyjaciela gdy tylko sprowadzę z północy mój oddział. Czy taka hipoteza pana zadowala, hrabio?**

**Fournier skinął lekko głową. Nic nie powiedział.**

**Obyło się bez dalszych sprzeciwów wobec planu Corfe'a, ale spotkanie trwało jeszcze godzinę, podczas której dowództwo zmagало się z problemami logistycznymi, związanymi z wyżywieniem armii stacjonującej w mieście, które przyjęło już tysiące uchodźców. Kiedy narada wreszcie dobiegła końca, królowa pozostała na miejscu i to samo poleciła zrobić Corfe'owi. Ostatni oficerowie wyszli z sali, ona zaś, oparłszy brodę na dłoni, obserwowała swojego młodego generała, który, kipiąc bezradną złością, przechadzał się w tę i z powrotem.**

**–To było dobre posunięcie – zapewniła go. – Konieczne. Wytrąciłeś im oręż z ręki.**

**–Zagrywka polityczna, nic więcej – warknął Corfe. – Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym oddam armię pod rozkazy człowieka, któremu nie ufam, tylko po to, żeby zaskarbić sobie jego lojalność. Lojalność, która w tak ciężkich czasach należy mi się jak psu miska!**



–Nie sądziłeś też chyba, że dożyjesz dnia, w którym będziesz rozporządzać całymi armiami – odparowała Odelia. – Kiedy jest się wodzem naczelnym, Corfe, zręczność polityczna jest równie ważna jak umiejętność prowadzenia wojska do walki. Rusio był rzecznikiem niezadowolonych, a ty przeciągnąłeś go na swoją stronę i, przynajmniej na jakiś czas, uniemożliwiłeś im dalsze knucie intryg.

–Myślisz, że będzie mi aż tak wdzięczny?

–Znam go. Od dwudziestu lat służy w miejskim garnizonie, a ty mu dziś dałeś na srebrnej tacy prezent, o jakim przez cały ten czas marzył. Wie, że jeśli twoja głowa spadnie, on też będzie skończony. Poza tym nie jest aż tak beznadziejny, jak ci się wydaje. Będzie ci wdzięczny i, jak sądzę, lojalny.

–Mam nadzieję, że wystarczy mu doświadczenia.

–A jaki masz wybór? Z tych przeciętniaków i tak jest najlepszy. Nie turbuj się tym dłużej. Sprawa została załatwiona, i to znakomicie.

Królowa wstała szeleszcząc suknią. Powódź koronek upodabniała jej twarz do twarzy lalki – iluzję mąciły tylko cudowne, zielone oczy. Złapała Corfe'a za rękę i zatrzymała w pół kroku.

–Powinieneś odpocząć. Niech twoi podwładni trochę za ciebie popracują. Minęły czasy, kiedy byłeś chorążym czy nawet pułkownikiem. A jesteś wykończony.

–Nie mogę. – Corfe spojrzał na nią smutno. Miał zapadnięte, podkrążone oczy. – Nie mogę, choćbym chciał.

Pocałowała go. Na chwilę poddał się jej, pochylił, objął ją, ale zaraz znów ogarnął go niepokój i odskoczył od niej jak oparzony.

–Na krew Boga, Corfe! W pojedynkę nie zbawisz świata.

–Ale, jak mi Bóg miły, mogę przynajmniej spróbować.

Spojrzeli po sobie. Powietrze niemal zaiskrzyło od napięcia, które jednak ustąpiło równie szybko, jak się pojawiło i oboje znów się uśmiechnęli. Mieli wspólne wspomnienia i tajemnice, które znali tylko oni dwoje. Było im dzięki temu łatwiej – i zarazem trudniej.

–Dobrana z nas para – stwierdziła królowa. – Gdyby dano nam choć cień szansy, we dwójkę moglibyśmy podbić cały świat.

–W obecnej sytuacji będę szczęśliwy, jeśli przeżyjemy.

**–Tak, przetrwanie... Posłuchaj mnie, Corfe. Torunna prawie się wykrwawiła. Wiesz o tym równie dobrze, jeśli nawet nie lepiej ode mnie. Ludzie w jednym tygodniu pochowali króla i koronowali królową, pierwszą w dziejach Torunny, która ma rządzić samodzielnie. Zalewa nas fala uchodźców z Aekiru, trzecia część królestwa dostała się pod władanie wroga, a stolica znalazła się na linii frontu.**

**Corfe wytrzymał jej spojrzenie.**

**–No i?**

**Odelia odwróciła się i zaczęła spacerować po komnacie tak jak on przed chwilą. Splotła ręce za plecami. Pierścienie połyskiwały lekko, kiedy okręcała je na palcach.**

**–Daj mi skończyć. Nie przerywaj. Mój syn był słabym człowiekiem, Corfe. Nie złym, ale słabym. Nie nadawał się na króla, nie miał charakteru. Mało kto go ma, a nasze królestwo potrzebuje silnego władcy. Oboje wiemy, że mogę władać Torunną żelazną ręką, ale jestem tylko kobietą i na każdym kroku czyhają na mnie przeszkody. Arystokracja toleruje mnie na tronie tylko dlatego, że nie było innego kandydata. Cała elita poległa w Królewskiej Bitwie u boku monarchy. Torunnanie nigdy nie przywiązywali tak wielkiej wagi do błękitnej krwi jak na przykład Hebrionczycy, ale nie zmienia to faktu, że hrabia Fournier może uknuć spisek, który odbierze mi władzę i przekaże ją w ręce jakiegoś komitetu.**

**Corfe nie zdołał się powstrzymać:**

**–Ten skurwiel?! – wybuchnął. – Najpierw musiałby przekabacić całą armię.**

**Odelia uśmiechnęła się z autentyczną radością, ale pokręciła przecząco głową.**

**–Armia nie miałaby nic do gadania. Ale odbiegłam od tematu. Zmierzałam do tego, Corfe, że Torunna potrzebuje króla. Chcę, żebyś się ze mną ożenił i zasiadł na tronie.**

**Corfe opadł na krzesło jak rażony piorunem. Milczenie się przedłużało, królowa zdawała się coraz bardziej poirytowana.**

**–Nie patrz na mnie tak, jakby mi nagle wyrosła druga głowa! Pomyśl racjonalnie!**

**–To niedorzeczne – wykrztusił w końcu Corfe.**

**Odelia złapała się za głowę. Oczy jej płonęły.**

**–Puknij się w ten swój zakuty łeb, Corfe! Zapomnij o strachu i uprzedzeniach. Wiem, że pochodzisz z ubogiej rodziny, i guzik mnie to obchodzi. Masz wszelkie predyspozycje ku temu, by być świetnym królem, a także, co najważniejsze, wielkim wodzem. Dzięki tobie kraj przetrwałby wojnę...**

**–Nie mogę być królem. Na Boga, pani, nawet te trzewiki mnie uwierają!**

**Królowa wybuchnęła śmiechem.**

**–Wydasz dekret, w którym nakażesz wszystkim nosić wojskowe buty. Albo chodzić boso. Przestań się czepiać drobiazgów i pomyśl, jak wiele mógłbyś osiągnąć!**

**–Nie... To niemożliwe. Nie jestem dyplomatą. Nie umiałbym negocjować, ani... ani manipulować ludźmi...**

**–Ale miałbyś żonę, która to potrafi. – Twarz królowej spoważniała, przybrała niemal żałobny wyraz. Odelia zniżyła głos. – Byłabym przy tobie, Corfe. Nie musiałbyś się przejmować etykietą i protokołem. I miałbyś całą armię tylko dla siebie.**

**–Czegoś tu nie rozumiem. Przecież już tak jest, prawda? Ja mam armię, ty masz tron. Po co coś tu zmieniać?**

**Odelia pochyliła się nad nim.**

**–Bo jeśli my nic nie zmienimy, inni mogą zmienić za nas. Dzisiaj podbiłeś serce Rusia, ale innych zepchnąłeś w cień. Zdesperowani ludzie są najniebezpieczniejsi. Dla rządów samotnej królowej nie ma w Torunnie precedensu, Corfe. A co za tym idzie, moja władza nie ma podstawy prawnej.**

**–Ale nie ma też przepisu, który zakazywałby ci rządzić w pojedynkę, prawda? – zapytał z uporem Corfe.**

**–Nie wiem. Nikt tego nie wie. Kazałam skrybom przekopać całe dworskie archiwum, może coś znajdą. Śmierć króla zmroziła karierowiczów i oportunistów, bo nagle wszyscy dostrzegli, że kraj jest o krok od upadku. Ale prędzej czy później otrząsną się, a wtedy moja pozycja będzie zagrożona. Jeśli uda im się choć trochę okroić moją władzę, mogą ci odebrać armię.**

**–A więc to tak...**

**–Właśnie tak. Czy teraz dostrzegasz sens mojej propozycji? Jako król byłbyś nietykalny.**

**Corfe zerwał się na równe nogi. W głowie mu się kręciło. Miałby zostać królem? Co za bzdura, co za piramidalna bzdura! Zbłąźniłby się tylko, a Torunna stałaby się pośmiewiskiem całego świata. To było niedorzeczne. Nawet nie chciał o tym myśleć.**

**W dodatku małżeństwo z tą kobietą... O dziwo, myśl o ślubie z nią niepokoiła go jeszcze bardziej niż perspektywa przywdziania korony. Spojrzał w jej stronę: stała przed kominkiem ze wzrokiem utkwionym w płomienie, jakby na coś czekała. W**

blasku ognia wyglądała młodziej niż zwykle, chociaż przecież mogłaby być jego matką.

Spojrzała na niego.

–Czy małżeństwo ze mną aż tak cię przeraża? – zapytała półgłosem.

Serce na moment przestało mu bić. Była wiedźmą. Może czytała w myślach ludzi jak w książkach?

–Wcale nie – skłamał.

–To byłoby małżeństwo z rozsądku. Nie musiałbyś już odwiedzać mnie w sypialni. Jestem za stara, żeby mieć dzieci, więc nie byłoby problemu dziedzica. Nie proszę cię o miłość, Corfe. Miłość jest dobra dla poetów. Mówimy o władzy, niczym więcej.

Odwróciła się do niego plecami i dziwnie męskim gestem oparła się obiema rękami o półkę nad kominkiem. Corfe poczuł znajomy ból w sercu, kiedy wyobraził sobie, że jej złote loki stają się kruczoczarne, a zielone oczy zmieniają kolor na szary. Słodki Boże, Herio, jak ja za tobą tęsknię.

Nie chciał krzywdzić tej silnej, lecz kruchej kobiety. Nie kochał jej; wątpił, żeby kiedyś jeszcze kogoś pokochał. Ale ją lubił, nawet bardzo. I szanował.

Podszedł do kominka, stanął za nią i położył dłonie na jej dłoniach. Odelia odchyliła się w tył, oparła o niego, splotła palce z jego palcami, aż ozdobne pierścienie werżnęły mu się w ciało. Bolało, ale nie przejmował się tym. W tym życiu wszystko, co dobre, musi boleć. Tego się już nauczył.

–Chciałbym wziąć cię za żonę – powiedział i w tej jednej chwili naprawdę w to wierzył. – Ale korona to dla mnie zbyt wiele. Nie jestem z królewskiej gliny ulepiony.

Odelia odwróciła się do niego i objęła go mocno, a kiedy się odsunęła, wyglądała na dziwnie uradowaną, jakby właśnie zdobyła jakąś nagrodę.

–Czas pokaże – stwierdziła.

Sto pięćdziesiąt mil od sali, w której Corfe rozmawiał z królową, merduckie zimowisko było prawie gotowe. Dziesiątki tysięcy ludzi harowały przy nim bez przerwy od zakończenia Królewskiej Bitwy. Przegrupowanie armii – nie był to bowiem odwrót ani wycofanie oddziałów – wiązało się z wykonaniem ogromnej pracy. Wycięto całkiem spory las, aby zbudować ciągnące się całymi milami palisady. Rowy o brzegach zbrojnych w zaostrzone pale znalazły się pod osłoną okopanych armat. Powstały wysokie wieże strażnicze i drogi wyłożone balami drewna, a wewnątrz pierścienia fortyfikacji stanęły namioty. Na równinie na zachód od Wału Ormanna wyrosło prawdziwe miasto. Na prowadzących do niego drogach roiło się od żołnierzy, wozów z zaopatrzeniem, lawet artyleryjskich, kurierów i torunnańskich niewolników, zmuszonych do niewolniczej pracy. Dalej na wschód, za kolejnymi umocnieniami, znalazł się olbrzymi magazyn, w którym worki, pudła i beczki z jedzeniem, prochem i amunicją ustawiano w stosy długie na pół mili i wysokie na dwadzieścia stóp. Z boku ułożono tysiące skrzyń zawierających koce, zapasowe mundury i namioty. Wozy bezustannie przemierzały drogi łączące magazyn z resztą obozowiska, zaopatrując oddziały frontowe w żywność i odzienie. Dziesięć mil kwadratowych torunnańskiej ziemi zmieniło się w największy i najgęściej zaludniony obóz wojskowy na świecie. Naczelnym dowódcą armii pozostał wprawdzie Aurungzeb, sułtan Ostrabaru, ale w skład jego wojsk wchodziły już także duże kontyngenty z Nalbeni, Ibniru i Kashdanu. Merduckie państwa zapomniały o wewnętrznych sporach i połączyły siły, by raz na zawsze rozprawić się z Ramusianami. Merducy zamierzali podbić Normannię aż po szczyty Malvennoru. Przed dalszym zapędzaniem się na zachód powstrzymywała ich tylko legendarna groza Fimbrii.

Sam Aurungzeb z rodziną i służbą nie mieszkał w zimowisku, lecz na Wale Ormanna, gdzie zimne miesiące oczekiwania upływały im w przyjemniejszej atmosferze. Stał właśnie na wieży, z której Martellus, zwany Lwem, patrzył niegdyś, jak merducka nawała rozbija się bezradnie o umocnienia Wału. Dziś nad Długim Murem, wzniesionym przed wiekami przez Kyle'a Ormanna, powiewały merduckie chorągwie.

–Shahr Johor! – ryknął Aurungzeb.

Wezwany wystąpił z grupki stojących obok sułtana żołnierzy i dworzan.

–Słucham, sułtanie?

–Wiesz, ilu naszych ludzi zginęło podczas szturm na te mury?

–Nie, Wasza Wysokość, ale mogę to sprawdzić...

**–To było pytanie, nie rozkaz. Prawie trzydzieści tysięcy, Johorze. A i tak nie zdobyliśmy Wału, tylko obeszliliśmy go bokiem, zaatakowaliśmy z flanki i zmusiliśmy załogę do ewakuacji. To podobno największa i najwspanialsza forteca na świecie. I wiesz, co ci powiem?**

**Shahr Johor z trudem przełknął ślinę. Na śniade policzki sułtana wypłynął rumieniec.**

**–Słucham, Wasza Wysokość.**

**Ale wybuch nie nastąpił. Przeciwnie – Aurungzeb przemówił spokojnym, rozsądnym tonem:**

**–Jest dla nas kompletnie bezużyteczna.**

**–Tak jest, Wasza Wysokość.**

**–To ci przekłęci Fimbrianie tak ją zbudowali. Od wschodu jest nie zdobycia. Jeśli jednak jakimś dziwnym trafem uda ci się ją zająć, do niczego ci się nie przyda. Wszystkie fortyfikacje są zwrócone na wschód. Od zachodu Wał Ormanna jest nie do obrony. Ci fimbriańscy inżynierowie musieli być bardzo sprytni.**

**Dworacy i żołnierze czekali co się stanie, niepewni, czy ten niezwykły spokój nie zwiastuje przypadkiem gniewu, który za chwilę eksploduje ze zdwojoną siłą. Jednak Aurungzeb spojrział na nich w zadumie.**

**–Chcę, żeby Wał został zniszczony.**

**Shahra Johora zamurowało.**

**–Wasza Wysokość...?**

**–Głuchy jesteś? Macie go zrównać z ziemią. Zasypać fosę, zburzyć mury, obalić wieżę. Wał Ormanna ma zniknąć z powierzchni ziemi. A potem z tych samych kamieni, na wschodnim brzegu rzeki, zbudujemy nową fortecę, tym razem zwróconą ku zachodowi. Gdyby jakimś niewyobrażalnym zbiegiem okoliczności Ramusianie zdołali nas kiedyś wyprzeć z Normanii, powstrzymamy ich tutaj, nad Searilem. Wykrwawią się, tak jak my się wykrwawialiśmy. A moja nowa stolica będzie bezpieczna. Dawny Aekir, teraz Złoty Aurungabar, najwspanialsze miasto na świecie. Dopilnuj tego, Johorze. Zbierz naszych budowniczych. Chciałbym jeszcze dziś wieczorem zobaczyć pierwsze szkice nowych umocnień. I model. Tak, model nowej fortecy, która stanie w miejscu Wału Ormanna. Będę musiał wymyślić dla niej nazwę...**

**Shahr Johor skłonił się i ulotnił niepostrzeżenie z wieży, by wykonać rozkazy.**

Dworzanie, którzy zostali z sułtanem na górze, spojrzeli po sobie pytająco. Do tej pory ich pan i władca mówił wyłącznie o nowych podbojach i zwycięstwach, a teraz... teraz snuł plany na wypadek klęski! Co się stało?

–Ależ mój sułtanie – odezwał się pulchny, bezwłosy eunuch. – Naprawdę myślisz, że ci przekłęci niewierni mogliby zepchnąć nasze wspaniałe wojska aż nad Searil? Przecież ich cywilizacja umiera. Niebawem wkroczymy do królewskiego pałacu w Torunnie.

Aurungzeb powiódł w zadumie wzrokiem po prastarych umocnieniach.

–Chciałbym żywić podobnie optymistyczne nadzieje, Serrimie. Martwi mnie ten generał dowodzący czerwonymi jeźdźcami. Szpiedzy donieśli mi, że został wodzem naczelnym całej torunnańskiej armii. Razem z tą swoją przeklętą kawalerią już dwa razy ocalił Torunna od klęski.

–Co to za człowiek, mój panie? Znamy go? Może nasi agenci...

–Wiemy tylko, że niełatwo go zabić. – Sułtan parsknął śmiechem, ale natychmiast spochmurniał. – Odejdźcie wszyscy... Albo nie, Aharo, ty zostań. – Ty... – dodał łamanym normannijskim. – Ty też, Ramusianinie. – Znów przeszedł na merducki. – A wy... Precz mi z oczu.

Na szczycie wieży zostały poza sułtanem tylko dwie osoby. Jedną był drobny mężczyzna w czarnym habicie, o rękach skutych srebrnym łańcuchem, drugą zaś szczupłą, odziana w jedwabie kobieta. Ozdobna zasłona skrywała jej twarz.

Aurungzeb skinął na kobietę. Jego oblicze złagodniało, kiedy odgarnął kwef i pogłaskał ją po policzku.

–Moje serce... – wyszeptał. – Jak się miewa mój syn?

Heria pogładziła się po brzuchu, który już wyraźnie się zaokrąglił.

–Oboje czujemy się dobrze, mój panie – odparła po merducku. – Batak użył swojej sztuki i zbadał dziecko. To chłopak, zdrowy chłopak. Urodzi się za pięć miesięcy.

Aurungzeb rozpromienił się, objął ją i westchnął z dumą.

–Ogromnie mnie cieszy fakt, że mówisz w naszym języku. Musisz przyjąć go jako swój. Nadal będziesz pobierać lekcje, widzę bowiem, że nauczyciel zapracował na swoje pieniądze. – Zniżył głos do szeptu. – Będziesz moją królową, Aharo. Jesteś już wyznawczynią Proroka, a niebawem zostaniesz matką sułtana. Nie pozwolę, żeby mój dziedzic miał za matkę zwykłą nałożnicę. Co ty na to? Chciałabyś być merducką królową?

**Aurungzeb oparł jej dłonie na ramionach i spojrzał badawczo w oczy. Heria nie spuściła wzroku.**

**–To jest teraz mój świat. Jesteś moim panem i ojcem mojego dziecka. Nic poza tym się nie liczy. Jeżeli tego chcesz, panie, zostanę twoją królową. Będę ci posłuszna.**

**–Słusznie mówisz – uśmiechnął się sułtan. – Ale nie jesteś już niewolnicą. Będiesz moją królową i małżonką. Zamieszkamy w Aurungabarze, a nasz związek stanie się symbolem. – Aurungzeb odwrócił się i podniósł głos, żeby człowieczek w czerni też go usłyszał: – Symbolem pojednania dwóch ludów. Co ty na to, kapłanie? W ten sposób Ramusianie mieszkający na wschód od Torrinu przekonają się, że nie jestem potworem, za jakiego mnie macie.**

**Albrec przysunął się bliżej. Inne łańcuchy zadzwoniły donośnie pod jego habitem.**

**–Uważam, że to godna decyzja. Nigdy nie uważałem cię za potwora, sułtanie. Wiem, że nim nie jesteś. Każdy prawdziwie wielki władca postępuje tak, by służyć ludowi, a nie sprawić sobie zadowolenie. Widzę, że zaczynasz to rozumieć.**

**Aurungzeb, w pierwszej chwili zdumiony bezpośredniością mnicha, zmusił się do uśmiechu.**

**–Na brodę Proroka, nieustraszony z ciebie wariat, to ci trzeba przyznać! Waszemu ludowi nie brak odwagi, shahr Baraz zawsze mi to powtarzał. Uważałem go za sentymentalnego głupca, ale widzę, że jednak miał rację.**

**Heria ze zdumieniem słuchała słów sułtana. Pierwszy raz mówił o Ramusianach bez zaciętrzewienia. Czyżby zatem dworskie plotki miały okazać się prawdą i Aurungzeb naprawdę odczuwał znużenie wojną?**

**Zauważył, że mu się przygląda, i cofnął się w stronę parapetu. Dopiero Heria przerwała przedłużające się milczenie:**

**–Mój panie, czy naprawdę myślisz, że ten nowy ramusiański generał jest taki niebezpieczny?**

**–Niebezpieczny? Armia w rozsypce, królestwem rządzi kobieta, a on miałby być niebezpieczny?! – Słowa Aurungzeba zabrzmiały jednak dziwnie nieprzekonująco. – Chodź do mnie, Aharo.**

**Heria podeszła bliżej. Zapomniany Albrec został z tyłu. Z oszałamiającej wysokości wieży rozciągał się widok na nadkruszone mury Wału i skrzący się za nimi Searil, którego brzegi od niedawna były spięte drewnianymi mostami. Po drugiej stronie rzeki sterta gruzu i usłane lejami po pociskach pole znaczyły miejsce, w którym dawniej stał wschodni barbakan. Ramusiańscy obrońcy wyładowali go prochem i**



wysadzili w powietrze, gdy został zajęty przez Merduków.

–Spójrz na wzgórza na wschodzie, Aharo. Co widzisz?

–Wozy, mój panie. Dziesiątki wozów. I setki ludzi, którzy kopią w ziemi.

–Kopią zbiorową mogiłę dla naszych poległych. – Aurungzeb spoważniał. – Po każdej bitwie z Torunnamami potrzebny jest nowy taki grób.

–Jak długo może to jeszcze potrwać, mój panie? To zabijanie...

Aurungzeb nie od razu odpowiedział. Heria miała wrażenie, że jest zmęczony, okrutnie zmęczony.

–Zapytaj tego świętego szaleńca. On najwyraźniej zna wszystkie odpowiedzi.

Albrec zadzwonił łańcuchami i podszedł bliżej.

–Wszystkie wojny kiedyś się kończą – powiedział cicho. – Ich zakończenie wymaga jednak znacznie większej odwagi niż rozpętanie.

–Co za banał! – prychnął zde gustowany władca.

–Wasz Prorok, sułtanie, nie wierzył w wojnę. Wzywał wszystkich ludzi, by żyli jak bracia.

–Wasz Święty również – zauważył Aurungzeb.

–W rzeczy samej. Wiele ich łączyło.

–Posłuchaj, klecho...

W tej samej chwili na schodach rozległ się tupot i na wieżę wpadł zdyszany żołnierz. Uklęknął przed rozzłoszczonym sułtanem.

–Wasza Wysokość, proszę o wybaczenie, ale właśnie przybył kurier z wiadomościami od naszej armii na północnym zachodzie. Shahr Johor kazał niezwłocznie ci je przekazać. Nasi ludzie dotarli do Przesmyku Torrinu. Droga do Charibonu stoi otworem!

Aurungzeb rozpromienił się w mgnieniu oka.

–Już idę – odparł i ruszył za posłańcem żwawym, młodzieńczym krokiem.

Heria i Albrec zostali sami.

–Jesteś z Aekiru? – zapytał bez wstępów mnich.

–Byłam żoną żołnierza tamtejszego garnizonu. Merducy pojмали mnie, kiedy wkroczyli do miasta.

–Przykro mi. Myślałem, że... Sam nie wiem, co myślałem.

–A ty, ojcze, po co przyjechałeś tutaj, do tych... do Merduków?

–Chciałem przekazać im pilną wiadomość.

–Chyba cię nie słuchają.

Albrec wzruszył ramionami.

–Czy ja wiem? Czuję, że zmiana jest blisko. On chyba zaczyna mnie słuchać, Aharo. Budzą się w nim wątpliwości.

–Nazywam się Heria Cear-Inaf. Nadal jestem Ramusianką, chociaż każą mi korzyć się przed ich bożkiem.

–Cear-Inaf... – Nazwisko zabrzmiało znajomo. Albrec już gdzieś je słyszał. Ale gdzie?

–O co chodzi?

–Nie, o nic.

Wiedział, że powinien skojarzyć, że to ważne, ale – jak to często bywa – im usilniej o tym myślał, tym skuteczniej wymykało mu się to wspomnienie.

–Inne sułtanaty zaczynają mieć dość wojny – stwierdziła Heria. – Zwłaszcza Nalbeni. W ostatniej bitwie stracili dziesięć tysięcy ludzi, a torunnańskie okręty rozbiły ponoć ich flotę na Morzu Kardiańskim. Żołnierze chodzą głodni, bo szlaki zaopatrzeniowe są rozciągnięte do granic możliwości. A *minhraibowie* z pospolitego ruszenia mają dość wojaczki i chcą wracać do swoich wiosek. Jeżeli Torunnanie wygrają jeszcze jedną bitwę, Aurungzeb chyba poprosi o rozejm.

–Dlaczego mi o tym mówisz?

Heria rozejrzała się podejrzliwie, jakby bała się, że ktoś mógłby ich usłyszeć.

–Mamy mało czasu, eunuchowie wkrótce po mnie przyjdą. Sułtan o nas zapomniał, ale nie na długo. Uciekaj, ojcze. Musisz wrócić do Torunnu i przekazać te informacje. Ten ich nowy generał... Wszyscy tu się boją, co nowego wymyśli, ale cokolwiek zrobi, musi działać szybko. Musi uderzyć, zanim Merducy się pozbiorą.

**Albrec poczuł, jak lodowata dłoń ściska go za serce. Przypomniawszy sobie spotkanie z dowódcą kolumny jeźdźców w czerwonych pancerzach. Właśnie wyjeżdżali z Torunnu. Dowódca miał takie same szare oczy, jak kobieta, z którą teraz rozmawiał.**

***Kim jesteście?***

***Jestem Corfe Cear-Inaf, pułkownik armii torunnańskiej.***

**–Na krew Świętego... – stęknął Albrec. Zbladł jak ściana.**

**–Co się stało? – zaniepokoiła się Heria. – Co się dzieje?!**

**–Pani, masz natychmiast zejść do haremu – rozległ się wysoki głos. Za ich plecami stał Serrim w asyście dwóch żołnierzy. – A ty, Ramusianinie, wracasz do swojej celi.**

**Heria zasłoniła twarz. Ostatni raz spojrzała Albrecowi w oczy, próbując przekazać mu swą niemą, natarczywą prośbę, a potem ukloniła się i poszła za eunuchem. Merducy złapali mnicha pod pachy i popchnęli na schody, ale on ledwie zdawał sobie sprawę z ich obecności.**

**Zbieg okoliczności, nic więcej. Zwykły zbieg okoliczności. Ale to nie było popularne nazwisko. Poza tym to spojrzenie, ta bezdena rozpacz w oczach ich obojga...**

**Święty Boże, czy to naprawdę możliwe? Co za tragedia.**

# SIEDEM

Na nabrzeżach Torunnu zebrały się nieprzebrane tłumy, które chciały pożegnać wyruszającą na północ armię. Gapiów było tylu, że generał Rusio rozstawił żołnierzy w sile pięciu pełnych *tercios*, żeby ludzie nie pchali się na trapy. Ostatnie konie – z opaskami na oczach – zostały wprowadzone na pokład barek, furty burtowe zamknięto, a kadłuby ostatecznie uszczelniono słomą i pakułami. Corfe, Andruw i Formio stali sami na kei i patrzyli, jak robotnicy portowi kończą swoją robotę, a marynarze szykują się do rzucenia cum.

Z grupy starszych oficerów, którzy przyszli pożegnać Corfe'a, wystąpił generał Rusio. Podali sobie ręce.

–Powodzenia, generale.

Miał zacięty wyraz twarzy, jakby spodziewał się usłyszeć jakąś obelgę, ale Corfe tylko uścisnął jego dłoń.

–Opiekuj się miastem, Rusio. I informuj mnie o wszystkim na bieżąco. Znasz naszą planowaną trasę, ale może się zdarzyć, że tu czy tam pojedziemy na skrót. Więc nie żałuj mi kurierów.

–Tak jest. Pierwszych wyślę za trzy dni, zgodnie z umową.

–Panie i panowie! – zawołał żeglarz o byczym karku. – Kto nie chce płynąć w górę rzeki wplaw, niech wsiada.

I, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów, z emfazą splunął do wody.

Corfe pomachał mu ręką i odwrócił się do Rusio.

–Patrolujcie okolicę. Kiedy wrócę, chcę wiedzieć o Merdukach wszystko: gdzie są, co robią, gdzie wykopali latryny.

–Może pan na mnie polegać, generale – zapewnił go Rusio.

–Wiem, Rusio. No, Andruw, Formio... Słyszeliście, co powiedział ten wilk rzeczny. Dołączmy do floty.

Wspięli się na pokład statku po linach, które specjalnie dla takich szczurów lądowych zawieszono na burcie. Podciągnęli się na nadburcie i stanęli zdyszani na pokładzie frachtowca, który Corfe żartobliwie nazywał swoim okrętem flagowym.

–Wszyscy są? – zawołał kapitan z maleńkiej nadbudówki na rufie.

**–Wszyscy, panie kapitanie.**

**–Rzucić cumy dziobowe i rufowe. Wciągnąć topsle i kliwer. Sternik, jak tylko rzucimy cumy, dwa rumby lewo na burt.**

**–Dwa rumby. Tak jest.**

**Olbrzymie cienie załopotwały nad statkiem, gdy marynarze na rejach rozwinęli topsle. Wiejąca od lądu bryza wypełniła żagle i frachtowiec wyraźnie przyspieszył. Pokład zadrżał Corfe'owi pod stopami, statek zaczął wycinać w wodzie biały kilwater. Pozostałe jednostki w konwoju również odbijały od brzegu. Wyszły na środek rzeki, gdzie prezentowały się naprawdę imponująco. Torrin miał w okolicach Torunnu blisko pół mili szerokości. Dwa stare mosty spinały jego brzegi; w obu wykonane z drewna środkowe przęsła były zwodzone, aby umożliwić ruch statków. W tej chwili konwój zbliżał się do pierwszego z nich, Mostu Minantyra. Corfe z podziwem patrzył, jak drewniane przęsło pęka w środku, a jego umocowane do lin połówki unoszą się w powietrze. Na mostach całą dobę dyżurowali robotnicy, zatrudnieni na kilku zmianach i gotowi w każdej chwili podnieść most, aby zapewnić swobodny ruch na rzece. Corfe wiedział o tym, ale nigdy dotąd nie widział na własne oczy, jak to wygląda i kiedy ciężki statek skrył się w cieniu potężnego mostu, z rozdziawionymi ustami rozglądał się na wszystkie strony – zupełnie jak wieśniak, który przyjechał na targ do miasta i z zapartym tchem podziwiał miejskie widoki.**

**Przepłynęli w półmroku obok ociekających wodą filarów i znów wynurzyli się na światło dzienne. Kapitan – wysoki chudzielec, obdarzony jednakże stentorowym głosem – ryknął donośnie:**

**–Rozwinąć bezan, ale migiem! Benie Phrenias, widzę cię. Właż na tę przeklętą reję!**

**Andruw i Formio byli nie mniej oczarowani od Corfe'a. Pierwszy raz znaleźli się na pokładzie statku i do niedawna myśleli, że transportowce, które zabiorą wojsko w górę rzeki, to po prostu takie trochę większe barkasy. Tymczasem frachtowce zbożowe, choć płaskodenne, miały wyporność ponad tysiąca ton i rejowe ożaglowanie podobne do ożaglowania brygantyny, które w oczach szczurów lądowych wystarczająco upodabniało je do przemierzających oceaniczne szlaki olbrzymów. Załoga liczyła ponad dwa tuziny marynarzy, przy czym ich kapitan, Mirio, nie ukrywał, że brakuje mu rąk do pracy. Niektórzy z jego ludzi zeszli na ląd i odmówili wyruszenia na północ, w głąb, jak stwierdzili, terytorium zajętego przez wroga. Koniec końców właściciele frachtowców zostali sownie opłaceni z pustoszejącego torunnańskiego skarbcza, aby posłać statki na północ, a żołnierze Corfe'a nie gorzej od marynarzy przykładali się do ciągnięcia lin.**

**Na pokładach szesnastu jednostek znalazło się około ośmiu tysięcy ludzi oraz dwa tysiące koni i mułów. Corfe zabrał wszystkich swoich Katedralników, w sile – po**

doliczeniu niedawnych uzupełnień – półtoratysiąca ludzi, Fimbrian pod dowództwem Formia, oraz weteranów z Wału Ormanna, którzy walczyli pod jego rozkazami w Królewskiej Bitwie. Jego zdaniem były to siły wystarczające, by stanąć do każdej bitwy – poza bezpośredni starciem z głównymi siłami Merduków. Zamierzali zejść z pokładu frachtowców wysoko w górze Torrinu i niczym nawałnica przewalić się przez północne równiny. W drodze do stolicy mieli mordować wszystkich napotkanych Merduków i przynajmniej na jakiś czas wyzwolić północno-zachodnią Torunnę spod ich panowania. W ostatnich dniach do Torunnu docierały stamtąd straszne nowiny, doniesienia o gwałtach i masowych egzekucjach. Owszem, do takich okrucieństw dochodziło na każdej wojnie, ale tym razem cechowały się niepokojącą regularnością, tak jakby Merducy nastawili się na planowe wymordowanie mieszkańców tych okolic. A był to rejon ważny także pod względem strategicznym, ponieważ przylegał do Przesmyku Torrinu, bramy prowadzącej na terytorium Normanii położonej na zachód od Gór Cymbryckich. Nie można było pozwolić, żeby nieprzyjaciel bezkarnie wtargnął na te tereny.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Corfe zorganizował tę ekspedycję: musiał wyrwać się z Torunnu i znaleźć jak najdalej od dworu i naczelnego dowództwa. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, pomalutku osunie się w otchłań obłędu.

Marsch wyszedł na pokład przez jeden z szerokich włazów prowadzących do ładowni. Był niespokojny i zatroskany. Nie było łatwo przekonać barbarzyńców, żeby weszli na pokład statków: ten rodzaj środka transportu traktowali z najwyższą podejrzliwością. Obawiali się także o zdrowie koni. Ci, którzy ocaleli z pierwszej pięćsetki Corfe'a, w przeszłości służyli na galerach i w dalszym ciągu statki kojarzyły im się przede wszystkim z upodleniem, jakiego na nich doznali. Pozostali nigdy wcześniej nie widzieli jednostki pływającej większej niż łódź wiosłowa. Przepastne ładownie, w których zostali skoszarowani, oszałamiały ich i przerażały równocześnie.

Corfe zauważył, że Marsch usilnie stara się nie patrzeć na przesuwaną się na sterburcie brzeg. Ze wstrętem podchodził do wszystkiego, co wiązało się z żeglarstwem, ale zapowiedź rejsu przyjął bez mrugnięcia okiem.

–Konie się uspokoiły – zameldował, podchodząc do generała. – Ale strasznie tam na dole cuchnie.

Twarz miał ściągniętą w paskudnym grymasie, jakby odór ładowni obudził w nim wspomnienia z galery, gdzie siedział przykuty do wiosła, a bicz smagał jego odsłonięte plecy.

–To nie potrwa długo – zapewnił go Corfe. – Cztery, najwyżej pięć dni.

–Na północy są kiepskie pastwiska – ciągnął Marsch. – Mam nadzieję, że wystarczy paszy. Muły dużo jej niosą, ale też trochę żrą.

–Rozchmurz się – wtrącił Andruw, któremu jak zwykle nic nie było w stanie zmaćć dobrego humoru. – Lepsze to niż ganiecie w tę i z powrotem po mieście. Poza tym nie ukrywam, że wolę tu siedzieć jak jakieś panisko i oglądać uciekający w tył świat, niż wlec się przez wzgórza na północ.

Marsch nie dał się łatwo przekonać.

–Będziemy potrzebowali ze dwóch dni, żeby konie doszły do siebie po pobycie na tych... łajbach – dokończył pogardliwym tonem.

–Jak Mirio usłyszy, że jego ukochanego *Konia morskiego* nazywasz łajbą, ani chybi wysadzi nas wszystkich na brzeg – prychnął Andruw. – Ci marynarze... Przepraszam: ci żeglarze bywają drażliwi. Z nimi jest tak jak ze staruchem, który weźmie sobie młodą żonę.

Teraz wszyscy się uśmiechnęli. Corfe odłączył się od grupy i skierował na rufę, gdzie Mirio akurat pełnił służbę przy sterze. Na jego widok kapitan skinął ponuro głową.

–Trzy węzły, generale. Wolniej, niż myślałem, ale dostarczę was na miejsce.

–Dziękuję, kapitanie. Proszę nie zwracać uwagi na moich ludzi. Nigdy nie pływali.

–Nie będę ukrywał, że wolałbym wieźć ładunek zboża niż tłum rzygających żołnierzy i stado rozkwiczanych koni, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma, prawda? O, proszę, właśnie mijamy ostatnie baterie nabrzeżne i królewską stocznię.

Corfe spojrział na wschodni brzeg, odległy w tej chwili o dobre dwa kable. Mury Torunnu schodziły w tym miejscu do samej wody, chronione przysadzistymi basztami, w których rozmieszczono niezliczone ciężkie działa. W głąb nurtu rzeki sięgały dziesiątki kei i nabrzeży, w większości pustych. Tylko przy kilku cumowały rozładowywane właśnie promy, które nieustannie kursowały z jednego brzegu na drugi. Za nimi znajdowała się torunnańska stocznia królewska, a w niej, w suchych dokach, spoczywały dwie olbrzymie, pełnomorskie karaki. Burty miały podparte drewnianymi belkami. Na pokładach i burtach statków uwijały się setki ludzi.

–Jak daleko jest stąd do morza? – zainteresował się Corfe, spoglądając wstecz ponad relingiem. Pozostałe jednostki też walczyły z nurtem, idąc w szyku za *Koniem morskim*, aż piana pryskała im spod dziobów.

–Okolo piętnastu mil. W czasie sztormu na morzu woda w tych okolicach robi się słona, a wiatr spycha statki w głąb ujścia Torrinu.

–Tak blisko? Nie miałem pojęcia...

**Corfe zawsze myślał o Torunnie jako mieście rozpostartym na brzegach rzeki. Teraz jednak uświadomił sobie, że stolica Torunny jest w istocie portem morskim. Będzie musiał porozmawiać o tym z Berzą, kiedy admirał wróci z flotą do miasta. Jeżeli Merducy mogli przewozić wojsko morzem, to on również.**



\*

W ciągu dnia wiatr się wzmógł i Mirio z widocznym zadowoleniem zameldował Corfe'owi, że frachtowiec przyspieszył do pięciu węzłów. Dawno już stracili z oczu Torunn i wpłynęli na gęsto zaludnione obszary kraju. Wieśniacy hodowali tu bydło, siali zboże i łowili ryby. O ile jednak południowy brzeg, nietknięty przez wojnę, wyglądał kwitnąco, o tyle brzeg północny był kompletnie wyludniony. Zwierzęta gospodarskie biegały samopas, pootwierane stodoły ziały pustką, a w paru miejscach na horyzoncie straszyły wypalone zgliszcza wiosek.

Na noc frachtowce rzucały kotwicę; zbyt duże było ryzyko, że w ciemnościach osiadną na mieliźnie. Cumę dziobową mocowano zwykle do jakiegoś solidnego drzewa na lądzie, z rufy zaś rzucano lekką kotwicę, która zapobiegała zepchnięciu statku przez wartki nurt w stronę brzegu. Nie było mowy o gromadnym schodzeniu z pokładu statków, ale Corfe uległ naleganiom Marscha i sprowadzano na ląd na zmianę po kilkanaście koni i mułów, żeby je rozruszać. Przy okazji statki miały zapewnioną opiekę straży konnej, a służba na lądzie cieszyła się ogromną popularnością wśród żołnierzy, którzy nie darzyli cuchnących ładowni przesadną sympatią.

\*

Tak minęły cztery dni. Koryto Torrinu zakrzywiło się łukowato, tak że frachtowce przez pewien czas szły niemal idealnie północnym kursem, a później odchyliło się na północny zachód, w stronę podnóży Thurianu. Ośnieżone wierzchołki majaczyły już na północnym horyzoncie. Po lewej, na bakburcie, wznosiły się surowe, wysokie, skryte w chmurach szczyty Gór Cymbryckich. Na brzegach nie widywało się już wiosek – ta okolica nawet przed wojną była rzadko zaludniona, teraz zaś opustoszała całkowicie. Pustkowie było okolone potężnymi masywami górskimi i przecięte na pół nurtem wartkiej, młodej rzeki.

Torrin miał w tym miejscu najwyżej dwa kable szerokości. Czwartego dnia zdarzało się, że stępka wyładowanego frachtowca szorowała o piaszczyste dno. W dodatku nurt był tu silniejszy i posuwali się z prędkością zaledwie dwóch węzłów. Rankiem piątego dnia Corfe podjął decyzję o zejściu na ląd, którą zarówno żołnierze, jak i marynarze przyjęli z wyraźną ulgą. Szesnaście statków spędziło całe przedpołudnie, starając się podejść jak najbliżej wschodniego brzegu. Musiały rzucić wszystkie posiadane kotwice, żeby prąd nie zepchnął ich w dół rzeki.

A potem rozegrał się koszmar, w którym główne role grali mokrzy, ubłoceni, klnący na czym świat stoi ludzie i spanikowane zwierzęta. Każdy frachtowiec miał na wyposażeniu pływający trap, który pozwalał w miarę bezpiecznie zejść na ląd. Nikt jednak nie przewidział, że trapy będą miały służyć do rozładunku dwóch tysięcy

**mułów i koni. Toczące wokoło dzikim wzrokiem zwierzęta wyciągano z ładowni w szelkach, na linach podwieszonych do umocowanych na rejach bloków, i stawiano na rozhuśtanym trapach. Efekt był łatwy do przewidzenia. Zanim ostatni człowiek i muł zeszli na ląd, a zapasy ułożono w równych stosach na suchym gruncie, zrobiła się późna noc. Utonęło dwóch ludzi i sześć koni, ale Corfe i tak uważał się za szczęściarza, bo straty mogły być znacznie większe. Wschodni brzeg rzeki na odcinku bez mała mili zmienił się w trzęsawisko i żołnierze potykając się brodzili w błocie i końskich odchodach. Wyczerpani, na miękkich nogach, bardziej przypominali zjawy niż żywych ludzi – ale, jak by nie patrzeć, pokonali dwieście pięćdziesiąt mil w pięć dni i dotarli na miejsce praktycznie bez strat.**

Spętano ostatnie konie. Rozrzucone na ciemnym gruncie ogniska stanowiły marną imitację gwiazdzistego nieba, które rozpościerało się nad głowami żołnierzy. Milę od brzegu ziemia była twarda jak kamień, co zapowiadało łatwy marsz. Trudno jednak było odegnać przeraźliwy ziąb, mając do dyspozycji tylko jeden koc, nawet jeśli człowiek prawie wepchnął stopy w żar. Corfe ze zdumieniem stwierdził, że od czasu Królewskiej Bitwy nie czuł się tak wypoczęty jak tego wieczora, mimo że podczas rejsu sypiał zaledwie po cztery godziny dziennie. To dzięki temu, że znów wyruszył w pole z własnym oddziałem. Był wolny. Zamiast uczestniczyć w spotkaniach i naradach czy użerać się z gryzipiórkami, musiał tylko pokierować armią zziębniętych, wyczerpanych ludzi i zwierząt, obozujących na mroźnych północnych pustkowiach.

Żołnierze żyli w zgodzie. Walczyli ramię w ramię w Królewskiej Bitwie, razem żłopali piwo w torunnańskich gospodach, a teraz wspólnie znieśli trudy podróży rzeką. Te przeżycia scaliły w jeden organizm cymbryckich barbarzyńców, fimbriańskich pikinierów i torunnańskich arkebuźników. Oczywiście duch rywalizacji pozostał, ale teraz działał już tylko na ich korzyść. Siedząc przy ogniu, Corfe patrzył, jak bez słowa skargi zasypiają na zmrożonej ziemi, w przemoczonych i podartych mundurach. Nagle zdał sobie sprawę, że kocha ich wszystkich.

Klucząc między ogniskami, Andruw podszedł do niego i podał mu wyjętą z juków drewnianą manierkę.

–Golnij sobie, Corfe. Rozgrzejesz się. Z najlepszymi życzeniami od kapitana Mirio.

Corfe wyjął korek i pociągnął solidny łyk. Trunek zdawał się go parzyć w usta, a potem wypalił sobie ognistą ścieżkę w głąb przetyku, aż do żołądka. Oczy zaszły mu łzami. Stęknął ciężko, usiłując złapać oddech.

–Słowo daję, Andruw, kiedyś oślepniesz od takiego picia.

–Ja? Nie ma mowy. Mam końskie zdrowie.

–I koński rozum. Jak tam proch?

Andruw powiódł wzrokiem po obozowisku.

–Straciliśmy sześć beczek, zamokło jeszcze osiem. Jeden Bóg wie, kiedy uda się je nam wysuszyć.

–Psiakrew! Nie mamy dużych zapasów. Na kilka solidnych potyczek wystarczy, ale ludzie Ranafasta muszą sobie zdawać sprawę, że nie mogą strzelać na prawo i lewo, jak im w duszy zagra.

**–Jasna sprawa.**

**Z ciemności wynurzyły się następne dwie postacie, w których z bliska Corfe rozpoznał niezwykłą parę: Marsch i Formio. Przy olbrzymim barbarzyńcy Fimbrianin wyglądał jak dziecko. Czarny mundur, jeszcze niedawno tak elegancki, był oblepiony plackami błota i przywodził na myśl kostium błazna. Marsch miał na sobie wytłuszczony skórzany kaftan. Corfe dawno nie widział go tak rozradowanego.**

**–Co to ma być, narada naczelnego dowództwa? – zakpił Andruw. – Macie, napijcie się. Oficerowie mają swoje przywileje.**

**Formio i Marsch skrzywili się po wypiciu trunku nie gorzej od Corfe'a.**

**–O co chodzi, panowie?**

**–Znaleźliśmy te beczułki, które wpadły do wody podczas rozładunku. – Formio otarł usta wierzchem dłoni. – Rzeka wyrzuciła je na brzeg dwie mile stąd.**

**–Świetnie. Na pewno się przydadzą. A co u was, Marsch?**

**Barbarzyńca odrzucił manierkę Andruwowi.**

**–Konie mają się lepiej niż się spodziewałem, ale i tak potrzebujemy ze dwóch dni, żeby... – Poszukał właściwego słowa. – Żeby odzyskały dawną sprawność. Niektóre nie chciały na łajbie jeść, są osłabione.**

**–Dobrze. – Corfe pokiwał głową. – Ale tylko dwa dni, nie więcej. Rano osiodłacie najlepszy szwadron i razem z Morinem zrobicie rekonesans w promieniu pięciu mil od obozu. Jeżeli zobaczy was jakiś mały oddział zwiadowców, macie ich wyciąć w pień. Jeśli natkniecie się na większą formację, natychmiast wracajcie. Jasne?**

**Marsch rozpromienił się jak rzadko.**

**–Ależ oczywiście! Rozkaz!**

**Andruw popijał z otrzymanej od Miria manierki. Usiadł, a potem położył się na zdjętym z konia siodle, oparł łokciem o łęk i szeroko otwartymi oczami jak sowa wpatrywał się w ognisko.**

**–Dobrze się czujesz? – spytał Corfe.**

**–Świetnie. – Andruw spoważniał. – Ale jestem wykończony. Jak na tych łajbach niemiłosiernie cuchnęło! Cieszę się, że jestem kawalerzystą, a nie marynarzem.**

**Marsch i Corfe również wyciągnęli się przy ogniu.**

**–Niezła poduszka, takie wojskowe siodło – stwierdził Andruw. – Chociaż wolałbym kobiecą pierś.**

**–Myślałem, że jesteś artylerzystą – rzucił prowokacyjnie Corfe. – Zapominasz o swoich korzeniach, Andruw?**

**–W życiu! Po prostu wypożyczono mnie z artylerii do kawalerii i wypożyczenie się przeciąga. Siadaj, Formio, nie stój jak posąg nad grobem. Czy Fimbrianie nigdy się nie męczą?**

**Młody oficer uniósł pytająco brew, ale posłusznie usiadł. Odmówił ruchem głowy, kiedy Andruw chciał mu podać manierkę, na co ten tylko wzruszył ramionami i pociągnął kolejny łyk. Marsch, Formio i Corfe spojrzeli po sobie.**

**–Pamiętasz początki obrony Wału, Corfe? Merducy runęli falą ze wzgórz, a moje działa waliły w nich jak w bęben, salwa za salwą. Co to był za widok! Ciekawe, co się stało z moimi kanonierami. To byli dobrzy ludzie. Ziemia wokół wału jest teraz pewnie usłana ich kośćmi, tak jak i szczątkami armat.**

**Corfe zapatrzył się w ogień. Ranafast mówił im, że artylerzyści z Wału Ormanna weszli w skład liczącej tysiąc ludzi straży tylnej, która osłaniała odwrót Martellusa. Nikt nie uszedł z życiem.**

**Głośny krzyk kulika przeszył nocną ciszę. Gdzieś w pobliżu obozowiska Katedralników zarżał spłoszony koń, ale poza tym słyhać było tylko zawodzenie wiatru i trzask płomieni. Corfe wrócił pamięcią do Aekiru, do ludzi, którymi tam dowodził. Od tak dawna byli martwi. Nie umiał sobie nawet przypomnieć ich twarzy, tylu miał od tamtej pory podwładnych.**

**–Żołnierze giną, taki już ich los – odezwał się nagle Formio. – Nie myślą o tym na co dzień, więc maszerują, ale koniec jest zawsze taki sam. Ludzie pozbawieni nadziei albo od razu się poddają, albo walczą jak bohaterowie. Nikt nie wie dlaczego. Tak już jest.**

**–Fimbriański filozof – mruknął Andruw. Uśmiechnął się przy tym pojednawczo, ale tylko na moment. – Urodziłem się w tych stronach, na północy. Moja rodzina mieszkała tu od pokoleń. Miałem siostrę, Vanyę, i młodszego brata. Bóg jeden wie, co się z nimi stało. Pewnie zginęli. Albo trafili do jakiegoś merduckiego obozu i pracują jako niewolnicy. – Przechylił manierkę, a kiedy okazało się, że jest pusta, cisnął ją w ogień. – Czasem się zastanawiam, Corfe, czy zanim wojna się skończy, zostanie na tym świecie jeszcze coś, o co warto walczyć.**

**Corfe poklepał go po ramieniu. Jego oczy płonęły jak węgle.**

**–Przykro mi, Andruw.**

Andruw zaśmiał się, ale była to z jego strony tylko żalonna, zdławiona parodia radości. Oczy błyszcząły mu odbitym światłem ogniska.

–Wszystkie te małe tragedie są bez znaczenia. Dość się na nie napatrzyłem, bo takie jest życie żołnierza, nie? Ale kiedy teraz tak tu siedzimy, nie mogę przestać o nich myśleć. – Spojrzał na milczącego Fimbrianina. – Widzisz, Formio, żołnierze też są ludźmi. Wszyscy mamy matki, nawet wy, Fimbrianie.

–Nawet my? Co za ulga...

Wszyscy zgodnym śmiechem powitali ripostę Fimbrianina, a Andruw wyrznął go z całej siły w plecy.

–A ja was miałem za mnichów-wojowników, którzy żrą proch i srają pociskami. Masz rodzinę, Formio?

–Matkę. I... dziewczynę.

–Dziewczynę! Fimbriańska kobieta, wyobrażacie sobie?! Przy takiej kładłbym się pewnie z mieczem do łóżka. Jaka ona jest, Formio? Jesteś wśród swoich, możesz mówić szczerze.

Odziany w czerń młody oficer zwiesił głowę. Było widać, że jest zawstydzony.

–Ma na imię Merian. – Zawahał się, ale w końcu sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął z niej drewnianą płytkę, która rozszczepiła się na dwoje, jak otwierana książka. – A wygląda tak.

Stłoczyli się wokół niego jak uczniacy; każdy chciał popatrzeć. Formio trzymał w rękach prześliczną miniaturę przedstawiającą jasnowłosą dziewczynę o rysach delikatnych jak u sarny. Miała duże, ciemne oczy i szerokie czoło.

Andruw gwizdnął z podziwem.

–No, Formio, farciarz z ciebie.

Fimbrianin schował miniaturę za pazuchę.

–Mamy się pobrać, jak tylko... jak tylko wrócę.

Zapadła cisza. Corfe nagle zrozumiał, że żaden z nich nie spodziewa się dożyć końca wojny. Co więcej, wcale nie był tym spostrzeżeniem wstrząśnięty. Formio miał rację, mówiąc o żołnierzach.

Andruw wstał chwiejnie.

**–Panowie wybaczą. Zaraz się porzygam.**

**Zatoczył się i zachwiał na nogach. Corfe i Marsch skoczyli mu na pomoc: złapali go pod pachy i odprowadzili kawałek w mrok, gdzie zgiął się w pół i hałaśliwie wymiotował.**

**–Chyba się starzeję – zaskrzeczał, kiedy wreszcie udało mu się wyprostować. Łzy pociekły mu z oczu.**

**–Niemożliwe – stwierdził Corfe. – Ty się nie zestarzejesz, Andruw.**

**Natychmiast pożałował swoich złowróżbnych słów.**

# OSIEM

Golophin otarł pot z czoła wilgotną chusteczką, jęknął i wstał od stołu roboczego. Podeszedł do okna i otworzył na oścież ciężkie okiennice. Księżycowa poświata niczym rtęć zalała komnatę na szczycie wieży. Z tej wysokości było widać spory szmat południowo-zachodniego Hebrionu, śpiący beztróska pod gwiazdami. Bursztynowa łuna Abrusio rozświetlała horyzont, blask księżycy kładł się jak płynne światło na falach Wielkiego Oceanu Zachodniego, sięgając aż na skraj świata. Czarodziej wciągnął powietrze w nozdrza jak stary ogar. Przymknął oczy. Noc się zmieniła. Jak zwykle o tej porze roku znad morza powiewała ciepła nocna bryza, zapowiedź nadchodzącej wiosny. Zima nareszcie miała się ku końcowi. A bywały takie chwile, kiedy myślał, że będzie trwała wiecznie.

Abeleyn znów był królem, plany Jemilli spaliły na panewce, w Hebrionie w końcu zapanował pokój. Może nadszedł czas, aby zacząć się martwić o resztę świata? Dzień wcześniej do portu w Abrusio zawinęła candelariańska karawela z ładunkiem wina i cynamonu oraz najświeższymi nowinami z frontu toczącej się na wschodzie wojny. Król Torunny został ponoć zabity u wrót swojej stolicy, a Merducy, zajmwszy Przesmyk Torrinu, parli na zachód. Młody Lofantyr nie żyje, pomyślał Golophin. Ledwie zaczął królowanie. Jego matka zasiądzie na tronie, co może przynieść więcej kłopotów niż korzyści. Golophin nie dawał Torunnie wielkich szans – nie dopóki rządziła nim kobieta, choćby najbardziej przemyślna i zaradna. Kraj znalazł się w potrzasku między Himerianami z jednej i Merdukami z drugiej strony.

Blżej domu Kościół Himeriański wzmacniał władzę nad rozległą połacią kontynentu. Cadamost, ten ugrzeczniiony dureń, zaprosił kościelne wojska do Perigraine, nie zastanawiając się nad tym, jak się ich stamtąd pozbędzie. Jak będzie wyglądał świat za pięć lat? Może, pomyślał Golophin, za stary już jestem, żeby się tym przejmować?

Przeciągnął się i wrócił do pracy. Światło jednej jedynej świecy odbijało się w szkle stojących na stole butli. Wszystkie były wypełnione płynem; w jednej jakiś ciemny kształt zadygotał i obił się o ściankę. Golophin pogładził butlę dłonią.

–Już niedługo, malutki – szepnął. – Niedługo.

Ciemny kształt uspokoił się i znieruchomiał.

–Nowy chowaniec? – Głos dobiegł od strony okna.

–Tak – odparł Golophin, nie odwracając się.

–Wy, czarodzieje ze Starego Świata, za bardzo przywiązujecie się do chowańców. Mam czasem wrażenie, że tworzycie je głównie po to, żeby mieć towarzystwo.



**–Całkiem możliwe. Ale i bez tego są całkiem użyteczne, zwłaszcza dla tych z nas, którzy nie są tak... biegli w sztuce jak ty.**

**–Nie doceniasz się, Golophinie. Poza tym istnieją inne sposoby na zwiększenie zasobu dweomeru.**

**–Wolałbym z nich nie korzystać.**

**Dopiero teraz Golophin odwrócił się do okna. Stał tam olbrzymi, niezwykle wilk. Miał byczy kark, sierść srebrną od księżycowego światła i ogniście żółte ślepią. Stał na tylnych łapach.**

**–Dlaczego w takiej postaci? Chcesz mi zaimponować?**

**Wilk parsknął śmiechem i w mgnieniu oka zmienił się w wysokiego mężczyznę o orlich rysach, ubranego w staromodne szaty.**

**–Tak lepiej?**

**–O wiele.**

**–Gratuluje zimnej krwi, Golophinie. Nawet się nie zdziwiłeś. Nie zaciekało cię kim jestem i co tu robię?**

**–Wiele rzeczy mnie zaciekawia. Przypuszczam, że przybywasz z zakątka świata, o którym nie mam zielonego pojęcia. Twoja moc jest... niewiarygodna, delikatnie rzecz ujmując. Domyślam się, że przybyłeś, aby mnie w jakimś sensie oświecić. Gdybyś chciał mnie zabić albo zniewolić, zrobiłbyś to dawno, ale zamiast tego wolałeś przywrócić mi utraconą moc. Dlatego spokojnie czekam na twoje wyjaśnienia.**

**–Pięknie powiedziane! Jesteś moją bratnią duszą. – Zmiennokształtny podszedł do kominka i wyciągnął zziębnięte ręce nad ogniem. Powiódł wzrokiem po grzbietach książek, które całymi setkami stały na ulokowanych pod ścianami regałach. Wybrał jedną, zdjął ją z półki i zaczął kartkować. – Stara. Pewnie w większości się zdezaktualizowała, ale kiedy ją pisałem, wydawało mi się, że przelewam na papier wieczne idee. To się nazywa pycha, co?**

**Rzucił wiekowy tom Golophinowi: to były „Elementy sztuki magicznej”, dzieło Aruana z Garmidalanu, ręcznie spisane i iluminowane, jak wszystkie księgi, które powstały lub zostały skopiowane w drugim stuleciu.**

**–Możesz dotykać przedmiotów – stwierdził Golophin, próbując opanować drżenie rąk. – Nie jesteś konterfektem.**

**–Tak. To się nazywa transllokacja. W mgnieniu oka mogę się przenieść na drugi**

**koniec świata, Golophinie. Zastanawiam się, czy nie dołączyć tej sztuki do oficjalnej listy dyscyplin. Szkoda tylko, że jest taka męcząca. Masz jakieś wino?**

**–Mam fimbriańską brandy.**

**–To nawet lepiej.**

**Golophin odłożył książkę. Na okładce widniał sztych przedstawiający autora i – na Boga! – to był ten sam człowiek! Ale przecież musiałby mieć ze czterysta lat...**

**–Ja też się chyba napiję.**

**Czarodziej nalał hojnie do dwóch kieliszków ze stojącej przy kominku karafki. Jeden podał gościowi. Aruan – jeśli to naprawdę był on – podziękował skinieniem głowy, zakręcił kieliszkiem i z przyjemnością wychylił go do dna.**

**–Dziękuję ci, bracie magu.**

**–Wydaje mi się, że odkryłeś coś znacznie ciekawszego niż ta cała translokacja. Posiadłeś chyba tajemnicę wiecznej młodości.**

**–Jeszcze nie całkiem, ale niewiele mi brakuje.**

**–Pochodzisz z dalekiego zachodu, z krainy, w której przepadł Bardolin. Mam rację?**

**–Ach tak, Bardolin. Twój przyjaciel ma ogromny talent, a na razie nawet nie zaczął ogarniać rozumem swojego potencjału. Zadbalem jednak o jego edukację. Kiedy się znów spotkacie, a nastąpi to już wkrótce, możesz się zdziwić. A wracając do twojego pytania: owszem, przybyłem z zachodu.**

**Golophin nagle zapragnął poczuć ciepło trunku rozlewające mu się po żołądku. Wypił brandy na jeden raz jakby to było piwo.**

**–Dlaczego przywróciłeś mi moc, Aruanie? O ile naprawdę jesteś tym Aruanem...**

**–Byłeś czarodziejem w potrzebie. Dlaczego miałem ci nie pomóc? Powinienem tylko przeprosić cię za... dość gwałtowny charakter tej pomocy. Mam nadzieję, że nie było to dla ciebie zbyt męczące.**

**Nigdy w życiu Golophin nie cierpiał tak jak tamtej nocy, ale nic nie powiedział. Bał się. Ten człowiek cuchnął dwoomerem tak samo, jak rozkładające się w ciepłe mięso cuchnie zgnilizną. Emanująca z niego energia była niemal namacalna; Golophin nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że człowiek może osiąść taką moc. Bał się więc, ale odczuwał przy tym bezgraniczną fascynację. Tyle pytań cisnęło mu się na usta, że nie wiedział od czego zacząć.**

**–Co cię tu sprowadza? – zapytał w końcu.**

**–Świetny pomysł: najbardziej oczywiste pytanie zadać na samym początku. Powiedzmy, że wybrałem się na objazd kontynentu. Chcę się dowiedzieć, co słyhać. Mam tyle do obejrzenia i tak mało czasu! Ale zawsze lubiłem Hebrion. Wiedziałaś, Golophinie, że nigdzie nie ma tylu przedstawicieli ludu dweomeru, co w waszym królestwie? Teraz, naturalnie, wskutek kościelnych czystek ich populacja się zmniejszyła, ale nadal są tu bardzo, bardzo liczni. W Torunnie nie został prawie nikt z naszych, a w Almarku nigdy nie było nas zbyt wielu, bo to za blisko Charibonu. Fimbrianie zaś mają coś takiego w swojej naturze, że od zawsze krzywo na nas patrzyli. Można by godzinami snuć hipotezy, dlaczego Hebrion ma takie szczęście, ale moim skromnym zdaniem tajemnica tkwi w ziemi. Ziemia po prostu w jednych miejscach rodzi więcej, a w innych mniej takich jak my. Czy twoi rodzice byli czarodziejami?**

**–Nie. Ojciec był urzędnikiem w Cechu Kupców.**

**–Widzisz? To nie jest dziedziczne. W grę wchodzi jakiś inny czynnik. Jesteśmy wybrykami natury, Golophinie. I od zarania dziejów ludzie nas z tego powodu prześladują. Ale to się zmienia.**

**–Co z Bardolinem? Co mu zrobiłeś?**

**–Tak jak ci powiedziałem: zacząłem go uczyć, jak może korzystać ze swojej mocy. To bolesny i żmudny proces, zawsze taki był, ale koniec końców Bardolin będzie mi wdzięczny.**

**–Rozumiem, że żyje i przebywa gdzieś na zachodzie. Czy legendy mówiły prawdę? Czy na zachodzie jest inny kontynent?**

**–Legendy nie kłamią. Sam przyłożyłem rękę do powstania paru z nich. Na zachodzie, Golophinie, mamy swój kraj. Lud dweomeru założył tam własne państwo. Jest coś takiego w tamtejszym powietrzu...**

**–Jest was więcej, tak?**

**–Jestem ostatnim żyjącym założycielem tej społeczności. Na szczęście później przybyło nas więcej. Jesteśmy jednak nieliczni i stale nas ubywa i to dlatego wróciłem do Starego Świata. Potrzeba nam świeżej krwi i nowych pomysłów. A przy okazji podzielimy się z wami paroma naszymi pomysłami.**

**–Podzielicie się? Czyli twoi magowie z zachodu szykują się do powrotu do Normanii?**

**–Tak, pewnego dnia tu wrócą. Wszyscy mamy taką nadzieję. Moje zadanie polega**

na przygotowaniu świata na nasze nadejście. Rozumiesz już, co mnie sprowadza? Będziemy potrzebowali popleczników we wszystkich królestwach. W przeciwnym razie nasze przybycie może spowodować panikę, a nawet wybuch przemocy. A my, bracie magu, chcemy tylko wrócić do domu.

–Zaraz... – Na samą myśl Golophina przebiegł gwałtowny dreszcz. – Ten wilk... To był konterfekt, prawda?

–Czekałem na to pytanie. – Aruan uśmiechnął się szeroko. – Nie, to nie był konterfekt. Jestem zmiennym. Cierpię na czarną chorobę, chociaż nie postrzegam jej już jako przykrej przypadłości.

–To niemożliwe! Czarodziej nie może być wilkołakiem!

–Bardolin też tak myślał, ale teraz wie lepiej. Jestem mistrzem wszystkich Siedmiu Dyscyplin i pracuję nad stworzeniem nowych. Przeszedłem do ciebie, Golophinie, żeby cię zapytać, czy do nas dołączysz.

–Jak to: dołączę? Nie rozumiem...

–A mnie się wydaje, że rozumiesz. Wkrótce z nocnego gościa, który składa ci ukradkiem wizytę, stanę się jednym z przywódców tego świata. Przy mnie mógłbyś zająć bardzo wysoko, Golophinie. Zamiast służyć królowi, sam byłbyś królem.

–Można by pomyśleć, że masz wybujałe ambicje. Jak zamierzasz to wszystko osiągnąć?

–Przekonasz się. Ale będzie tak, jak mówię. Na całym kontynencie wykreśla się nowe granice, chociaż na razie mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Przyłączysz się do nas, Golophinie? Byłby to dla mnie zaszczyt, gdyby ktoś taki jak ty przystał do naszego obozu. Nie tylko jesteś potężnym czarodziejem, ale masz naprawdę bystry umysł, nawykły do zawilości i intryg na najwyższych szczeblach władzy. Co ty na to?

–Masz dar wymowy, Aruanie, ale unikasz konkretów. Boisz się, że za dużo mi powiesz?

Aruan wzruszył ramionami.

–Istotnie, niektóre rzeczy musisz przyjąć na wiarę. Nie mogę przedstawić ci szczegółów planu, który jeszcze nie jest gotowy. Na razie wystarczyłoby, gdybyś zadeklarował się jako nasz przyjaciel.

Stary czarodziej nie odrywał oczu od swojego gościa. Twarz Aruana miała ostre, autokratyczne rysy, a w jego oczach czaiło się okrucieństwo; nie było to miłe ani szlachetne oblicze.

Golophin wyczuwał jednak, że przynajmniej w tej chwili Aruan nie kłamie. W głowie mu się to nie mieściło: na zachodzie, za bezkresnym oceanem, istniał zupełnie nowy świat, a w nim – społeczność magów, którzy nie musieli obawiać się stosu. Już sama taka idea była oszałamiająca, a tymczasem ci magowie chcieli przybyć tutaj, do Starego Świata. Cóż złego może być w poszukiwaniu domu dla takich... wyrzutków? Jakąż wiedzę musieli zgromadzić, pracując przez setki lat w pokoju i bez lęku przed dręczycielami! Aruan w jednej kwestii miał rację: ile jeszcze mogą trwać szykany, zanim lud dweomeru wyginie całkowicie? W którymś momencie będą musieli zjednoczyć się, postawić tamę prześladowaniom i wywalczyć sobie akceptację ze strony zwykłych ludzi. To była cudowna wizja, Golophin czuł, że serce mu rośnie od przepelniającej go nadziei. Gdyby tylko można ją było urzeczywistnić...

Ale... Było w tym wszystkim coś bardzo niepokojącego. Ten cały Aruan, mimo ogłady i pozornego uroku, miał w sobie bestię. Golophin nie potrafił zapomnieć rozpaczliwego krzyku Bardolina, który rozległ się w jego umyśle:

*Golophinie! Pomóż mi, w imię Boże...*

I to przerażenie... Dlaczego Bardolin tak krzyczał?

–No więc? – spytał Aruan. – Co powiesz?

–Dobrze. Możesz mnie uważać za waszego sojusznika. Nie zdradzę wam jednak żadnych sekretów hebrionńskiej korony. Wobec niej też mam pewne zobowiązania.

–To mi wystarczy. Jestem ci wdzięczny, Golophinie.

Aruan wyciągnął rękę, ale Golophin zamiast ją uścisnąć, odwrócił się i napełnił sobie kieliszek.

–Radziłbym ci już iść. Niedługo muszę wracać do miasta. Ale... Chciałbym jeszcze z tobą kiedyś porozmawiać. Jestem z natury dociekliwy. Tylu rzeczy chciałbym się dowiedzieć...

–Ależ naturalnie. Będę niecierpliwie wyczekiwał naszego następnego spotkania. Teraz jednak, zanim odejdę, chciałbym podarować ci coś, co potwierdzi moją dobrą wolę...

Zanim Golophin zdążył zareagować, Aruan rzucił się w jego stronę niczym olbrzymim drapieżny ptak. Położył rękę na czole czarodzieja. Jego palce przywarły do czaszki Golophina z taką siłą, jakby na podobieństwo gwoździ wbiły się w kość. Upuszczony kieliszek roztrzaskał się na kamiennej posadzce, kiedy mag przewrócił oczami i wyszczerzył zęby w bezsilnym grymasie.

Pot wystąpił Aruanowi na twarz.

**–To wielki dar – powiedział szeptem. – Masz delikatny umysł, mój przyjacielu. Subtelny. Nie chciałbym go uszkodzić. Zależy mi na twojej lojalności, ale chcę, byś mnie nią darzył ze szczerego serca... No, gotowe.**

**Cofnął rękę i odsunął się, Golophin zaś padł na kolana, z trudem łapiąc oddech.**

**–Będziesz musiał trochę poeksperymentować, zanim nauczysz się nim posługiwać jak należy – ciągnął Aruan. – Ale dla twojego dociekliwego umysłu ten dar stanie się fascynującym narzędziem. Tylko nie próbuj użyć go do przeskoczenia oceanu i spotkania się z Bardolinem. Na to jeszcze nie mogę pozwolić. Powodzenia, Golophinie.**

**Aruan zniknął.**

**Zasapany Golophin z wysiłkiem dźwignął się z klęczek. W głowie mu szumiało, jakby całymi godzinami wsłuchiwał się w bicie wielkiego dzwonu. Czuł się jak pijany – poruszał się niezdarnie, ale przepelniało go dziwne, radosne uczucie wszechmocy.**

**A poza tym... Miał dostęp do całkiem nowej wiedzy. Wiedzy, która otwierała przed nim cały wachlarz nowych możliwości.**

**Aruan nauczył go dyscypliny translokacji.**

# DZIEWIĘĆ

Dowodzony przez Marscha patrol pędził przerażonych, wyczerpanych i brudnych jeńców niczym bydło. Było ich około dziesięciu. Jeden z Katedralników, szeroko uśmiechnięty, przyjechał po Corfe'a, żeby zabrać go na czoło armii i pokazać mu zdobycz. Corfe gestem zatrzymał maszerującą kolumnę i pojechał naprzód. Marsch przywitał go skinieniem głowy.

Jeńcy leżeli na zimnej, twardej ziemi. Byli związani, niektórzy mieli zakrwawione twarze. Żołnierze Marscha przyprowadzili też ich wierzchowce z merduckimi uprzężami: niskie, drobnokościste koniki, o małych uszach i ogromnych ślepiach, charakterystycznych dla wszystkich wschodnich ras.

–Gdzie ich znaleźliście?

–Piętnaście mil na północ stąd. To maruderzy, odłączyli się od większego oddziału, liczącego około tysiąca konnych. Byli w mieście. – W głosie Marscha zabrzmiała złowroga nuta. – Spalili je. Przy oddziale są wozy pełne kobiet, mają też stada owiec i bydła. – Skinieniem głowy wskazał skulonych Merduków. – Ci byli zajęci. Dlatego dali się złapać.

–Jak to: zajęci?

–Mieli kobietę. – W głosie barbarzyńcy znów dało się słyszeć gniew. – Zmarła, zanim wkroczyliśmy. Zabawiali się z nią na zmianę.

Otoczeni przez Torunnan i barbarzyńców Merducy kulili się na ziemi i osłaniali głowy rękami.

–Zabijmy skurwysynów – wysyczał Andruw nieswoim głosem.

–Nie – sprzeciwił się Corfe. – Najpierw ich przesłuchamy.

–Zabijmy ich od razu! – wyrwał się inny żołnierz, podwładny Ranafasta.

–Do szeregu! – ryknął Corfe. – Albo będziecie słuchać moich rozkazów, albo, jak mi Bóg miły, wyrzucę was z armii i sami wrócicie do Torunnu! I to pieszo! Do szeregu!

Żołnierze, pomrukując niechętnie, rozeszli się do swoich oddziałów.

–Było ich ponad dwudziestu – ciągnął Marsch jakby nigdy nic. – Ośmiu albo dziewięciu zabiliśmy, a tych zgarnęliśmy zanim zdążyli podciągnąć spodnie. Pomyślałem, że przydadzą się żywi.

–Dobrze zrobiłeś. Odprowadź ich teraz do Formia. Niech Fimbrianie ich pilnują.

**–Tak jest, generale.**

**–Widzieliście więcej żołnierzy?**

**–Tak. Mniejsze oddziały szturmowe, po dwustu, trzystu ludzi. Wyroili się w okolicy jak szarańcza.**

**–Ale was nie widzieli?**

**–Nie. Byliśmy ostrożni. Poza tym mamy merduckie pancerze. Wymazaliśmy je błotem, żeby ukryć farbę, i podjechaliśmy blisko, udając przyjaciół. Dzięki temu żaden się nam nie wymknął.**

**–Świetna robota. Czy te oddziały szturmowe to wszystko konni?**

**–Większość. Jest też trochę piechoty, takiej jak w obozie w Królewskiej Bitwie. Ale wszyscy mają arkebuzy i pistolety.**

**–No dobrze. Zabierz ich do Formia. Kiedy staniemy na noc, przyprowadzisz ich do mnie. Do tego czasu mają być cali i zdrowi, jasne?**

**Ostatnie słowa Corfe dodał na użytek Torunnan, którzy wprawdzie stanęli karnie w szyku, ale ściskali broń z taką siłą, że knykcie im zbieleły.**

**–Tak jest – odparł Marsch i nagle, całkiem niespodziewanie, wybuchnął gniewem: – To nie są żołnierze! To zwierzęta! Odważni tylko wobec kobiet albo bezbronych mężczyzn. Kiedy zaatakowaliśmy, niektórzy rzucili broń na ziemię i skamleli jak dzieci. Są nic niewarci. – Jego głos ociekał pogardą, kiedy podjechał do Corfe’a, żeby nikt poza generałem nie słyszał jego dalszych słów. – W dodatku niektórzy wcale nie są Merdukami. Wyglądają jak mieszkańcy zachodu, jak my albo Torunnanie.**

**–Wiem o tym. – Corfe pokiwał głową. – Zabierz ich stąd.**



Do wieczora armia kontynuowała powolny marsz. Corfe cały czas miał przed oczami przerażonych jeńców. Andruw jechał obok niego z ponurą i zawziętą miną. Przez ostatnie dwa dni minęli kilka wiosek – jedne zostały spalone i zrównane z ziemią, inne wyglądały na nietknięte, co dodatkowo wzmagало niesamowite wrażenie pustki. Znajdowali w nich tylko nieliczne gnijące ciała, tak okaleczone przez zwierzęta i pogodę, że trudno już było określić nawet ich płeć. Kraina, przez którą jechali, była złupiona i spustoszona; wśród żołnierzy nastroje pogarszały się z każdą milą. Walczyli już wcześniej z Merdukami, stawali z nimi twarzą w twarz, ale to było coś zupełnie innego: szli przez własny kraj, który został zniszczony przez bezmyślnie okrutnego wroga. Corfe znał już podobne sceny z okolic Aekiru, ale dla większości jego ludzi był to wstrząsający widok.

Andruw, który doskonale orientował się w terenie, pełnił rolę przewodnika. Zamierzali zatoczyć szeroki łuk i skierować się na południe. Katedralnicy stanowili ruchomą zasłonę, skrywającą ruchy armii przed wzrokiem wroga, a także zwiad, który informował o ruchach nieprzyjaciela. Gdyby napotkali jakiś większy oddział, główne siły miały do nich dołączyć, rozwinąć szyk i natychmiast uderzyć. Na razie jednak napotkane grupy wrogich żołnierzy były za małe, żeby poważniej angażować się w starcie; wśród bezrobotnych żołnierzy szerzyła się złość i frustracja. Przed czterema dniami zeszli na ląd. Przez ten czas Katedralnicy systematycznie toczyli potyczki z wrogiem, ale reszta oddziału nie widziała jeszcze Merduka na oczy – poza jeńcami, których Marsch niedawno sprowadził. Corfe miał wrażenie, że kieruje sforą wygłodniałych chartów, gotowych w każdej chwili zerwać się z uwięzi. Zwłaszcza Torunianie pałali żądzą zemsty za pacyfikację ich ojczyzny.

Żołnierze rozbili obóz pod osłoną dużego sosnowego lasu. Na skraju zostawili spętane konie i muły, a sami zagłębili się między drzewa, gdzie pierwszy raz od dwóch dni mogli bezpiecznie rozpalić ogniska. Dla ośmiu tysięcy ludzi potrzeba sporego, co najmniej dwunastoakrowego obozowiska, ale las pomieścił ich bez problemu.

Po rozpaleniu ognisk, wydaniu racji żywnościowych i wystawieniu straży Formio w asyście czterech pochmurnych Fimbrian przyprowadził jeńców do Corfe'a. Szturchańcami ustawili Merduków w szeregu. Drzewa wznosiły się nad ich głowami jak czujne olbrzymy. Ciche rozmowy i szelest rozkładanych pościeli ucichły nagle; dziesiątki żołnierzy stłoczyły się wokół ogniska generała. Był wśród nich Andruw, byli Ranafast, Marsch i Ebro; Corfe nie wzywał ich, ale i nie mógł w takiej chwili odprawić. Zdał sobie sprawę, że bardziej ufa dyscyplinie Katedralników i Fimbrian, niż wierzy w posłuch wśród swoich rodaków. Tej nocy nie byli zawodowymi torunnańskimi żołnierzami, lecz bandą zwykłych, wściekłych chłopów, którzy koniecznie chcieli na kimś wyładować gniew. Zastanawiał się, czy w krytycznej chwili

zdoła ich powstrzymać przed samosądem.

Bez słowa przeszedł wzdłuż szeregu Merduków. Niektórzy patrzyli mu w oczy, inni spuszczaali wzrok. Marsch miał rację: co najmniej czterech miało jasną skórę i niebieskie oczy mieszkańców zachodu. To zapewne *minhraibowie*, należący do chłopskiego pospolitego ruszenia z Ostrabaru. Nie tak dawno Ostrabar nosił nazwę Ostiber i był królestwem ramusiańskim. Dziadkowie tych jeńców walczyli z Merdukami tak jak teraz Torunnanie, oni jednak urodzili się już jako poddani sułtana i wyznawcy Proroka i zapomnieli o ramusiańskim dziedzictwie. Albo prawie zapomnieli.

–Kto z was zna normannijski? – warknął Corfe.

–Ja, panie – odparł niski mężczyzna, podnosząc głowę. – Felipio z Artakhanu.

Felipio. Nawet imię miał ramusiańskie. Corfe musiał się bardzo starać, żeby gniew i nienawiść nie zaćmiły mu umysłu.

–Dobrze, Felipio – powiedział, usiłując nadać swoim słowom rozsądny ton. – Powiedz mi, jeśli łaska, z jakiego oddziału jesteście i co robicie w moim kraju.

Felipio oblizwał wargi i powiódł wzrokiem po otaczających go zewsząd nienawistnych twarzach.

–Sześćdziesiąty ósmy regiment pistoletników, panie. Przed upadkiem Wału służyliśmy w piechocie. Potem dali nam konie i pistolety i wysłali nas na zwiad na północ, w stronę Przesmyku Torrinu.

–To się nazywa zwiad, tak?! – dobiegł głos z mroku między drzewami. Zawtórował mu gniewny pomruk.

–Cisza! – wykrzyknął Corfe. – Jak mi Bóg miły, nauczę was trzymać język za zębami. Pułkownik Cear-Adurhal, proszę wziąć ludzi i zabezpieczyć teren. Nie życzę sobie więcej takich incydentów. To nie sąd wojenny ani sala narad.

Andruw bez słowa wykonał rozkaz. W kilka minut później jeńców otaczała grupa żołnierzy z obnażonymi mieczami.

–Mów dalej, Felipio – polecił Corfe.

Jeniec wbił wzrok w ziemię.

–Nie ma wiele więcej do opowiadania, panie – wymamrotał. – Nasz subhadar, shahr Artap, dowódca regimentu, wygłosił przemówienie, w którym zapowiedział, że od tej pory te ziemie należą do Merduków i możemy robić, co nam się żywnie podoba... – Pot zaczął mu się perlić na czole i wielkimi kroplami spływać po twarzy.

**–Mów dalej.**

**–Panie, nie mogę...**

**Andruw wyrósł przy nim jak spod ziemi i uderzył go w twarz pięścią w kolczej rękawicy. Zmiażdżył mu nos jak śliwkę i zdarł skórę i ciało z kości policzkowej.**

**–Masz wykonywać rozkazy generała – zarządził okrutnym głosem, jakiego Corfe nigdy wcześniej nie słyszał z jego ust.**

**–Wystarczy, Andruw. Cofnij się.**

**Andruw spojrział na niego z ukosa. W oczach zaśniły mu łzy.**

**–Tak jest – odparł i zniknął w mroku.**

**Znów dał się słyszeć złowrogi pomruk ze strony zebranych żołnierzy. Noc zdawała się iskrzyć od tłumionego napięcia. W blasku ognia rysowało się morze twarzy; ludzie mimo rozkazu generała zacieśnili krąg wokół jeńców. W ciemności połyskiwała naga stal. Corfe spojrział Formiowi w oczy i przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie. Fimbrianin ledwie zauważalnie skinął głową i oddalił się między drzewa.**

**–Wstań, Felipio.**

**Merduk posłusznie dźwignął się z ziemi. Słaniał się, jego twarz zmieniła się w krwawą maskę, spod krwi przezierała kość. Jedno oko całkowicie mu zapuchło.**

**–Jak daleko na północ dotarliście? Do samego przesmyku?**

**Felipio pokiwał głową. Zachwiał się na nogach.**

**–Są tam inne merduckie oddziały? Czy to prawda, że budujecie fortyfikacje?**

**Felipio nie zareagował. Wyglądał, jakby lada chwila miał stracić przytomność. Corfe odczekał jeszcze chwilę, a potem podszedł do następnego jasnoskórego jeńca.**

**–Nazwisko?**

**Ten więzień był zaledwie wyrośniętym chłopcem. Posikał się w spodnie, był zapłakany i usmarkany. Ale najwyraźniej na gwałciciela już się nadawał. Corfe złapał go za włosy i przyciągnął bliżej.**

**–Nazwisko!**

**–Nie zabijajcie mnie, błagam! Nie zabijajcie! Oni mnie zmusili! Zabrali mnie z wioski. Mam żonę... – Rozplakał się.**

**Corfe powstrzymał się przed uderzeniem go. Miał ochotę wyładować na nim całą swoją złość, rozkwasić mu tę głupią, młodą gębę, zrobić z niej krwawą miazgę – ale tylko pochylił się i wyszeptał mu do ucha:**

**–Albo porozmawiasz ze mną, albo oddam cię im.**

**Wskazał stłoczonych za kordonem żołnierzy.**

**–Na północy jest więcej wojska – zabeczał chłopak. – Cztery albo pięć regimentów. Budują duży obóz, taki z fosą i palisadą. Ogromna armia ciągnie na północ, do... do tego miejsca nad morzem, gdzie mieszkają mnisi. Nic więcej nie wiem, przysięgam!**

**Corfe puścił go. Chłopak osunął się na ziemię, wstrząsany szlochem i czkawką. A więc Merducus szykowali wyprawę na Charibon i fortyfikowali przesmyk. Nareszcie jakaś użyteczna informacja. Odwrócił się i zamyślił.**

**Z półmroku wynurzyła się spora grupa ludzi. Ściana twarzy zmieniła się w ludzką falę, która naparła na otaczających Corfe'a żołnierzy.**

**–Proszę oddać ich nam, generale. Już my się nimi zajmiemy.**

**–Wracać do szeregu!**

**Zawahali się, ale jeden wystąpił naprzód. Z uporem pokręcił głową.**

**–Generale, poszlibyśmy za panem do piekła i z powrotem, ale ludzka wytrzymałość ma swoje granice. Są wśród nas tacy, którym te zwierzęta odebrały domy i rodziny. Musi ich nam pan oddać.**

**Nagle tuż obok pojawiła się druga grupa postaci, z Formiem na czele: Fimbrianie w czarnych mundurach, z obnażonymi mieczami, i barbarzyńcy w czerwonych zbrojach. Błyskawicznie utworzyli krąg wokół Corfe'a i jeńców, jak zawodowi ochroniarze. Formio i Marsch stanęli u boku generała.**

**–Generał wydał wam rozkaz – przypomniał Formio. – Macie go wykonać. Jesteście żołnierzami, nie dziką tłuszcą.**

**Przez długą chwilę dwie uzbrojone grupy mierzyły się wzrokiem. Corfe milczał. Gdyby rozgorzała walka, armia byłaby zgubiona; nic nie zażegnałoby podziału na Torunnan, Fimbrian i barbarzyńców. Jego władza nad nimi zawisała na włosku.**

**–Spokojnie, chłopcy – wtrącił pojednawczo Andruw, który jak duch wynurzył się pomiędzy drzew. – Wystarczy. Jeżeli zaczniemy się na nich mścić, staniemy się tacy jak oni. A to przecież zwykli bandyci. Poza tym czy naprawdę chcecie dożyć dnia, w którym Fimbrianie i górskie dzikusy słuchają torunnańskiego dowódcy, a**

**jego rodacy wypowiadają mu posłuszeństwo? Gdzie się podziała wasza duma? Varianie, ja cię znam; widziałem cię na blankach Wału. Wtedy wypełniłeś swój obowiązek, wypełnij go i teraz. Posłuchajcie generała. Wracajcie do swoich ognisk.**

**Zawstydzeni, pochmurni Torunianie przestępowali z nogi na nogę. Corfe podszedł do ich przywódcy, Variana. Dziękował Bogu, że Andruw zapamiętał jego imię.**

**–Ja też straciłem dom i rodzinę – powiedział półgłosem. – Wszyscy, jak tu jesteśmy, ucierpieliśmy w taki czy inny sposób.**

**–Miałem żonę – wychrypiał Varian. Oczy płonęły mu gniewem. – I córkę.**

**Corfe położył mu dłoń na ramieniu.**

**–Nie rób nic, co mogłoby zbezczęścić ich pamięć.**

**Varian odkaszlnął i otarł łzy.**

**–Tak jest. Przepraszam, panie generale. Wszyscy zachowaliśmy się jak durnie. Skończeni durnie.**

**–Nie wy jedni, Varianie. Kiedyś wszyscy byliśmy mężami, ojcami i braćmi. Zachowaj ten gniew na pole bitwy, te zwierzęta nie są go warte. A teraz idź już, zdrzemnij się trochę. – Corfe podniósł głos: – Wracajcie do swoich oddziałów. Nie macie tu nic do roboty. Koniec przedstawienia.**

**Ludzie niechętnie zaczęli się rozchodzić. Corfe poczuł ogromną ulgę. Posłuchali go. Dzięki Formiowi i Andruwowi nadal był ich dowódcą – a oni wciąż byli armią, a nie bandą dzikusów.**

Na środkowej nocnej warcie jak zwykle zrobił obchód obozu, zamienił dwa słowa ze strażnikami, zajrzał do koni. Wyprowadził swojego wierzchowca, spokojnego gniadego wałacha, dosiadł go na oklep i wyjechał z lasu na pagórek wznoszący się na wschód od obozu. Na szczycie stał już inny jeździec; jego sylwetka odcinała się cieniem na tle gwiazd. To Andruw przyjechał popatrzeć na uśpioną Torunnę. Corfe zatrzymał się obok niego. Obaj milczeli.

Na rozległym obszarze spowitej w mrok ziemi było widać odległe, pulsujące światła. Na oczach Corfe'a zapaliło się następne.

–Palą miasta nad Searilem – powiedział Andruw.

Patrząc na odległe płomyki, Corfe myślał o okrutnej rzezi, jakiej muszą być oznaką. Przypomniał sobie upadek Aekiru, panikę tłumów, piekło na ulicach... Otarł twarz dłonią.

–Przepraszam za to w obozie. Puścili mi nerwy – ciągnął bezbarwnym tonem Andruw. – To się nie powtórzy. – Ale kiedy znów się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć złość i ból: – Na krew Boga, Corfe, czy to się kiedyś skończy?! Dlaczego oni to robią? Co to za ludzie?!

–Nie wiem, Andruw. Nie wiem. Walczymy z nimi od pokoleń i nadal kompletnie ich nie znamy. Podejrzewam zresztą, że oni równie mało wiedzą o nas. Dwa ludy, które nigdy nie próbowały się porozumieć, ale zaciekle usiłują unicestwić się nawzajem.

–Słyszałem, że na zachodzie, w Gabrionie i Hebrionie, Morscy Merducy handlują razem z Ramusianami, jakby nic ich nie dzieliło. Wspólnie żeglują, współpracują w interesach... Dlaczego tu jest inaczej?

–Bo to jest pogranicze, Andruw. Tu kosa trafia na kamień. Byłem kiedyś w straży honorowej w Aekirze, na kolacji, którą John Mogen wydał dla swoich kapitanów, jeszcze przed oblężeniem. Mogen rozumiał Merduków jak nikt inny. Powiedziałbym nawet, że ich podziwiał. Powiedział coś takiego, że ludzie prą na zachód, bo przyciąga ich zachodzące słońce. Że dążą na oślep w tym kierunku, jak jaskółki, które zimą lecą na południe. Dawno temu merduccy watażkowie pędzili swoje ordy na stepach za Górami Jafrarskimi. Później, ścigając słońce, przekroczyli góry, ale za górami zatrzymały ich fimbriańskie mury i piki. Właśnie, Fimbrianie ich powstrzymali; my tego nie potrafimy. Takie są fakty. Jeżeli nie chcemy zostać starci z powierzchni ziemi, kiedyś będziemy musieli się z nimi ułożyć. Zdobyć się na kompromis. W przeciwnym razie zepchną nas w góry i nasi królowie skończą jako wodzowie bezdomnych barbarzyńców. Tak jak Marsch.

**–Muszę porozmawiać z Marschem. Wytlumaczę mu, że mówiąc o górskich dzikusach...**

**–On wie, Andruw. Wie.**

**Andruw pokiwał głową.**

**–Tak... Chyba tak. – Było widać, że zabrakło mu słów. Patrząc, jak nerwowo skubie końską grzywę, Corfe rozumiał, że toczy wewnętrzną walkę. – Najedliśmy się przez nich wstydu. Chodzi mi o Formia, Marscha i ich ludzi. Cudzoziemcy i najemnicy stanęli przy tobie murem, kiedy twoi rodacy byli gotowi się na ciebie rzucić. A przecież to są ci sami ludzie, z którymi ramię w ramię walczyliśmy na Wale. Widzieli nas tam, niektórzy służyli pod twoim dowództwem na barbakanie! Dziś nie ma radosnych pogwarek przy ogniskach. Wszyscy milczą. Zawiedli cię. Jest im wstyd.**

**–Niepotrzebnie. Są tylko ludźmi, zwykłymi ludźmi, których nerwy zostały wystawione na zbyt ciężką próbę. Nie mam do nich pretensji. Poza tym ta armia nie składa się z Fimbrian, Torunnan i barbarzyńców. Już nie. Teraz to wszystko są moi ludzie, co do jednego. Walczyli razem i razem umierali. Nie ma mowy o wstydzie.**

**–Może i tak... – Andruw się skrzywił. – Wiesz, Corfe, byłem gotowy poderżnąć jeńcom gardła. Gdybym to zrobił, nie miałbym żadnych wyrzutów sumienia. Spałbym potem jak niemowlę. Nigdy dotąd nikogo nie nienawidziłem, nie tak na serio, zupełnie jakbym brał udział w jakiejś niezwykłej grze. Tylko że coś się zmieniło. Uchodźcy z Aekiru byli dla mnie morzem obcych twarzy, a te wzgórza... Bawiłem się tu jako dzieciak. Ich mieszkańcy to moi rodacy, nie tylko dlatego, że są, jak ja, Torunnanami. To tylko nazwa. Chodzi o to, że wiem, jak i gdzie żyli. Varian od blisko roku nie widział żony i córki; nawet nie wie, czy żyją. Wśród ludzi z Wału jest wielu takich jak on. Na początku odesłali rodziny z fortecy tutaj, w te okolice, albo do miasteczek bliżej Torunnu. Myśleli, że wojna ich nie dogoni. Mylili się. Jak my wszyscy.**

**–Jak my wszyscy.**

**–Jak sądzisz, mamy jeszcze szansę? Czy może jesteśmy szaleńcami, którzy walczą z tym, co nieuniknione?**

**–Nie wiem. I powiem ci, Andruw, że nic mnie to nie obchodzi. Wiem jedno: umiem się bić. Niczego więcej się w życiu nie nauczyłem, ale na wojowaniu się znam. Może w przyszłości faktycznie uda nam się dogadać z Merdukami; mam nadzieję, że tak się stanie, przez wzgląd na Variana, jego rodzinę i tysiące im podobnych. Ale jeżeli do tego nie dojdzie, będę walczył z tymi łajdakami do ostatniej kropli krwi, a kiedy zginę, mój duch będzie ich dalej prześladował.**

**Andruw roześmiał się głośno. Corfe nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu ostatnio jego śmiechu.**

**–Z pewnością. Merduckie matki będą straszyć dzieci opowieściami o okrutnym Corfie i jego zakutych w czerwoną stal demonach.**

**–Oby tak było. – Corfe też się uśmiechnął.**

**–Myślisz, że ten zasmarkany gówniarz mówił prawdę? Że Merducus pójdą na Charibon?**

**–Czemu nie? Mogłaby to być próba dezinformacji, ale jakoś w to wątpię. I dlatego nasza armia powinna wreszcie zapolować na Merduków. Najkrótszy szlak spod Wału Ormanna do Przesmyku Torrinu przebiega dwa dni drogi stąd. Jutro tam ruszamy. W przedniej straży pojedą Katedralnicy z tobą i Marschem na czele.**

**–Masz pojęcie, jak dużego oddziału szukamy?**

**–Małego, w sam raz dla nas, żeby się z nim spotkać w polu. Sułtan myśli, że nasza armia okopała się w Torunnie i liże rany, a Charibon nigdy nie słynął z mocnej obrony. Merducus mogą mieć przewagę liczebną, ale raczej niewielką.**

**–Nie możemy się za długo włóczyć po okolicy. Zapasów wystarczy nam tylko na trzy tygodnie.**

**–W razie potrzeby zmniejszymy racje o połowę. Nie pozwolę, żeby Merducus pokonali przesmyk. Nie przepadam za Krukami z Charibonu, ale nie zgodzę się, aby Merducus buszowali po Normanii jak po swoim podwórku. Poza tym, Andruw, mam przeczucie, że nieprzyjaciel traci impet. Stąpiliśmy mu kły. Jeśli okaże się, że musi walczyć o każdą piędź torunnańskiej ziemi, może zadowolony się mniejszym jej skrawkiem.**

**–Bitwa dobrze by naszym ludziom zrobiła.**

**–To jest wojna, Andruw, nie zapominaj. W takich bitwach tysiące ludzi giną albo zostają kalekami.**

**–Przecież wiesz, o co mi chodzi. Chcieliby znów poczuć smak krwi, to wszystko. Ja zresztą też.**

**–Wiem, wiem. – Corfe szturchnął konia nogą i zawrócił do obozu. – Trzeba iść spać.**

**–Ja chyba jeszcze chwilę zostanę. Podumam sobie.**

**–Nie dumaj za wiele. To człowiekowi szkodzi. Uwierz mi, bo wiem, co mówię.**

**Corfe ruszył stępa. Andruw odprowadził go zdumionym spojrzeniem.**



Cela Albreca, chociaż nędzna i zimna, dla mnicha po ramusiańskim nowicjacie była w sam raz. Miał w niej pryczę z siennikiem, w którym – o dziwo – nie załęgło się żadne robactwo, stolik, rozklekotane krzesło, ogarek świecy i krzesiwo. Jedyne okno w celi było solidnie zakratowane, a w dodatku umieszczone tak wysoko, że nie miał szans przez nie wyjrzeć, ale przynajmniej zapewniało dopływ odrobiny światła.

Dzielił celę z pajakami i wymizerowanym szczurem, którego głód doprowadził do szaleństwa. Przez pierwsze noce próbował ogryzać mnichowi uszy, dopóki ten nie nauczył się odkładać dla niego odrobiny jedzenia, które codziennie wsuwano mu przez szparę w drzwiach. Doszło do tego, że szczur z większą niż on niecierpliwością wyczekiwał zbliżających się kroków strażnika. Jedzenie nie było szczególnie apetyczne – czarny chleb, stary ser, czasem miska zimnej zupy, w której pływały kawałki chrząstek – ale też Albrec nigdy nie należał do smakoszy. Poza tym miał inne zmartwienia.

Samotną medytację przerywały mu czasem wezwania do stawienia się przed obliczem sułtana. Wywlekano go w tedy z celi (biedny szczur nie posiadał się z żalu i zdumienia) i prowadzono do rozległych komnat, w których rozgościł się Aurungzeb. Eunuchowie uroczyście skuwali go łańcuchami, bardziej chyba dla efektu niż z powodów praktycznych, i Albrec czekał w kącie sali, aż sułtan się nim zainteresuje. Czasem stał tak całymi godzinami, zapomniany przez wszystkich, i zafascynowany obserwował życie merduckiego dworu. Zdarzało się, że Aurungzeb zapraszał na kolację dowódców wojsk lub czcigodnych mułłów. Wówczas Ramusianin musiał toczyć z nimi uczone dysputy i wyklądać swoją teorię jedności Świętego i Proroka. Sułtan najwyraźniej lubił szokować gości, przedstawiając im swojego udomowionego niewiernego. Bluźniercze słowa Albreca (najczęściej tłumaczone na merducki przez Herię, pochodzącą z zachodu sułtańską nałożnicę) pasowały do jego powierzchowności kalekiego dziwaka. Stał się nadwornym błaznem, ale zdawał sobie sprawę, że to, co mówi, niektórych słuchaczy porusza do głębi. Część mułłów żądała jego natychmiastowej egzekucji, inni jednak dyskutowali z nim jak z prawdziwie uczonym mędrce. Te popisy bawiły Aurungzeba do łez.

Albrec myślał czasem o Avili i o Macrobusie; chcąc nie chcąc, zastanawiał się, co słyhać w stolicy Torunny. Jednak z niewiadomych przyczyn najczęściej wracał myślami do oficera kawalerii, którego spotkał przez przypadek pod murami Torunnu – do Corfe'a Cear-Inafa, obecnego wodza naczelnego całej torunnańskiej armii. Sułtan miał na jego punkcie obsesję, chociaż Merducy znali go tylko jako dowódcę szkarłatnych jeźdźców; nie wiedzieli jeszcze, jak się nazywa. W ogóle miał wrażenie, że wylęknieni Merducy z niepokojem czekają chwili, gdy uderzą na nich straszliwi czerwoni jeźdźcy. Nie bez powodu z takim zapalem fortyfikowali obóz.

**A Heria, ulubiona nałożnica sultana, która miała niebawem urodzić mu potomka i zostać królową, prawdopodobnie była zaginioną żoną tego Cear-Inafa. Albrec odnotował ten fakt głęboko w sercu i przyobiecał sobie solennie, że nigdy nikomu go nie wyjawia. Taka nowina mogłaby przysporzyć cierpień wielu ludziom – ba, mogłaby nawet zmienić losy wojny! Lepiej żeby torunnański generał pozostał bezimienny.**

**Tylko... Te jej oczy, przepelnione rozpaczą. Albrec nie mógł w nie spokojnie patrzeć. Czy nie znalazłaby pociechy w fakcie, że jej mąż żyje i ma się dobrze? Mnich był wewnętrznie rozdarty. Bał się skrzywdzić kogoś, kto już dość się nacierpiął – bo i jaką korzyść przyniosłoby Herii jego słowa? Cała ta sytuacja przypominała mu czasy nowicjatu, tak jakby przedstawiono mu dylemat etyczny do rozwiązania. Musiał dokonać wyboru między dwiema drogami postępowania. Wynik w obu wypadkach był niepewny, ale jedna z możliwości była pod względem duchowym lepsza od drugiej. Tylko że tym razem od jego decyzji mogło zależeć ludzkie życie.**

**Brzęk kluczy i szczęk zamka oznajmił przybycie strażnika z kolejnym wezwaniem od sultana. Szczur zerknął na Albreca i czmychnął do nory. Zdziwiony mnich usiadł na pryczy. Nie tylko nie była to pora posiłku – o tak późnej godzinie w ogóle rzadko miewał odwiedziny.**

**Kiedy jednak drzwi się otworzyły, w progu nie stanął znajomy strażnik, lecz merducki mułła: mężczyzna w eleganckich, ozdobnych szatach, o brodzie szerokiej jak szufla. Przybyła z nim również jakaś kobieta, odziana w płaszcz, z zasłoną na twarzy. Bez słowa weszli do celi i zamknęli za sobą drzwi.**

**Kobieta na ułamek sekundy odchyliła kwef i Albrec rozpoznał w niej Herię. Mułła bezceremonialnie usiadł na jedynym krześle w celi. Wydał się Albrecowi znajomy. Musieli się już wcześniej spotkać.**

**–Mehr Jirah – przedstawił się, po czym dodał łamanym normannijskim: – Rozmawiamy cztery, pięć dni...**

**Spojrzał znacząco na Herię.**

**–Rozmawialiście z mehrem Jirahem w zeszłym tygodniu – wyjaśniła. – Ale chciał spotkać się z tobą jeszcze raz, na osobności. Przekupiliśmy strażników, lecz mamy mało czasu. Mehr Jirah słabo mówi po normannijsku. Będę tłumaczyć.**

**–Ależ proszę bardzo – rozpromienił się Albrec. – Jego wizyta to dla mnie zaszczyt.**

**Mułła przemówił w swoim języku, a Heria po chwili zastanowienia przełożyła jego słowa. Albrec miał wrażenie, że uśmiecha się pod kwefem.**

**–Pyta, czy jesteś obłąkany.**

**Albrec parsknął śmiechem.**

**–Znasz odpowiedź, pani. Są jednak tacy, którzy przypięli mi łatkę ekscentryka.**

**Kolejna przemowa po merducku i kolejne tłumaczenie:**

**–Mehr Jirah jest członkiem starszyny *hraibu* Kurasinów z sułtanatu Danrimiru.**

**Pyta, czy twoje twierdzenia na temat Proroka to czcze bluźnierstwa, czy też masz na ich poparcie jakieś dowody.**

**Albrecowi serce zabiło żywiej.**

**–Mówiłem mu już wcześniej, że swoje słowa opieram na starym dokumencie, który uważam za autentyczny. Nie głosiłbym podobnych twierdzeń, gdybym w głębi serca nie uważał, że są prawdziwe. Z wiary się nie żartuje.**

**Heria przetłumaczyła słowa mnicha, które mehr Jirah przyjął pełnym aprobaty skinieniem głowy. Zamilkł na moment i zwiesiwszy głowę na piersi pogłaskał się po brodzie, a potem westchnął i wygłosił dłuższą przemowę po merducku. Heria najpierw wytrzeszczyła oczy, ale po chwili wzięła się w garść i powtórzyła wszystko po normannijsku. W jej słowach dało się słyszeć zdumienie.**

**–Kuraisini to stary klan, jeden z najstarszych merduckich *hraibów*. Pięć stuleci temu mieli zaszczyt jako pierwsi z ludów wschodu wysłuchać nauk Proroka Ahrimuza. Wedle ich tradycji Prorok przybył z zachodu, zza Gór Jafrarskich. Jechał na mule i był sam. Miał jasną skórę i nie mówił ich językiem, ale na pierwszy rzut oka dawało się poznać, że jest mężem świątobliwym i uczonym. Pięć lat mieszkał wśród Kurasinów, zanim ruszył dalej, na północ, na ziemię *hraibu* Kambaków. W ten właśnie sposób Prawdziwa Wiara zawitała do Merduków: jeden człowiek, Prorok zesłany przez Boga, przyniósł ją z zachodu.**

**Albrec i mułła spojrzeli po sobie. W oczach Merduka krył się lęk i niepewność, Albrec zaś był wniebowzięty.**

**–A więc uwierzył mi.**

**Normannijski, merducki, a potem długa, przerywana przemowa mehra Jiraha. Tym razem Heria szybko przełożyła jego słowa:**

**–Nie jest pewien, czy powinien. Studiował jednak księgi, które ocalały z biblioteki Gadoriana Hagusa w Aekirze. Wiele wypowiedzi Świętego Ramusia i Proroka Ahrimuza brzmi identycznie; obaj często używali tych samych przypowieści dla zilustrowania swoich nauk. Może się znali? Może Ramusio był uczniem Ahrimuza...**

**–Byli jedną i tą samą osobą. I on o tym wie. Widzę to po jego oczach.**

Po przełożeniu tych słów zapadło długie milczenie. Kiedy zakłopotany mehr Jirah je przerwał, mówił szeptem, nie patrząc na Albrec.

–Mówi, że masz rację. Ale co miałby zrobić z tą wiedzą?

–Ta wiedza jest warta więcej niż nasze życie. Trzeba ją głosić wszem i wobec bez względu na konsekwencje. Prorok powiedział, że za każdym razem, kiedy człowiek kłamie, jego dusza po trochu umiera. Od pięciuset lat żyjemy w kłamstwie. Wystarczy.

–A twoi rodacy, Ramusianie... Czy oni też będą chcieli poznać prawdę?

–Już zaczynają ją poznawać. Mój pontyfik, Macrobius z Torunnu, wierzy w nią. Wkrótce zaakceptują ją także zwykli ludzie. Musimy zakończyć wojnę. Merdacy i Ramusianie są braćmi w wierze i nie powinni wzajemnie się mordować. Wierzą w jednego Boga i w jednego Jego posłańca, który oświecił nas wszystkich.

Mehr Jirah wstał.

–Przemyśli twoje słowa. Zastanowi się, co czynić dalej.

Albrec również wstał.

–Niech się za długo nie zastanawia.

–Na nas już czas.

Merduk otworzył drzwi celi, ale w progu odwrócił się i jeszcze coś powiedział.

–Jak sądzisz, dlaczego to akurat my zostaliśmy wybrani, aby głosić prawdę?

–Nie wiem. Wiem jednak, że nie możemy wymigać się od odpowiedzialności, którą Bóg złożył na nasze barki. To byłoby najstraszliwsze bluźnierstwo. Człowiek, który przez całe życie służy kłamstwu, chociaż wie, że jest kłamstwem, obraża Boga.

Mehr Jirah odczekał, aż Heria przełoży słowa Albrec, i skinął głową. Potem wyszedł.

–Zrobi z tego spotkania jakiś użytek? – spytał Albrec.

–Na pewno, ale nie jestem pewna jaki. To bardzo pobożny człowiek, chociaż Merduk. On jeden nie okazuje mi pogardy. Nawet nie wiem dlaczego.

Może umie się poznać na prawdziwej szlachetności, pomyślał Albrec. Słowa popłynęły z jego ust bez udziału woli:

**–Twój mąż w Aekirze... Czy miał na imię Corfe?**

**Heria zamarła.**

**–Skąd to wiesz?**

**Na korytarzu rozległ się szczeł metalu, męskie głosy i chrzęst butów na posadzce.**

**–Skąd wiesz? – powtórzyła Heria.**

**–Spotkałem go. On żyje. Herio... – Słowa płynęły z jego ust wzburzoną kaskadą. Zza drzwi dało się słyszeć chrapliwy merducki okrzyk. – Corfe żyje i jest wodzem naczelnym wojsk Torunny. To on stoi na czele armii czerwonych jeźdźców.**

**Słowa mnicha uderzyły Herię jak obuchem. Przez chwilę Albrec miał wrażenie, że kobieta upadnie pod ich ciężarem. Szarpnęła głową, jakby ją spoliczkował, i oparła się o drzwi.**

**W progu stanął strażnik. Był przerażony. Złapał Herię za rękaw, bełkocąc coś po merducku, ale kobieta strząsnęła jego rękę.**

**–Jesteś pewien? – spytała Albreca.**

**Nie wiedzieć czemu nie chciał powiedzieć prawdy, ale było za późno:**

**–Tak – odparł.**

**W drzwiach pojawił się merducki oficer, wystraszony i zirytowany zarazem. Odciągnął Herię na bok. Drzwi celi zatrzęsły się z hukiem i szczełknął zamek. Albrec osunął się na pryczę, oparł głowę na rękach. Ukrył twarz w dłoniach. Błogosławiony Święty, pomyślał, co ja najlepszego zrobiłem?**

# DZIESIĘĆ

Nastała wiosna, zanim w końcu ujrzeli majaczące na horyzoncie szczyty Hebrosu. Stojący przy sterze Hawkwood spuścił głowę i zapłakał cicho. Reszta załogi głośniejszymi głosami wyrażała swoją wdzięczność – jedni dziękowali Bogu za ocalenie, inni szlochali jak dzieci. Nawet Murad był poruszony. Podał Hawkwoodowi rękę.

–Jest pan naprawdę doskonałym żeglarzem, kapitanie.

Hebrion wynurzał się z porannej mgły. Góry zaróżowiły się, oświetlone pierwszymi promieniami słońca. Przed pięcioma dniami minęli po nawietrznej Przylądek Północny, schronili się w Zatoce Hebrionńskiej przed sztormem i posuwali się w górę trójdzielnej zatoki portowej. Wiatr mieli idealny: lekką południowo-zachodnią bryzę od bakburty. Nie było ich prawie osiem miesięcy. Dzielny *Rybołów* pomału tonął; wszyscy zdolni do pracy ludzie zmieniali się przy pompach, ale woda i tak zalała prawie cały najniższy pokład. Bardolina trzeba było przenieść i skuć ponownie w kajucie kapitana, żeby nie utopił się w zębie.

Wiatr sprzyjał im przez cały rejs. Poza jednym szkwałem, który o mały włos ich nie zatopił, płynęli szybko i dobrym kursem – chociaż i tak trafienie prosto do hebrionńskich brzegów graniczyło z cudem. Odziany w łachmany Hawkwood miał skórę spaloną na mahoń, brodę i włosy skołtunione wiatrem i sztywne od soli; jego jasne oczy porażały błękitem na tle śniadej skóry. Dzięki kwadrantowi, doświadczeniu nabytemu podczas długich lat na morzu i odrobinie szczęścia doprowadził *Gabriońskiego rybołowa* do macierzystego portu, kończąc tym samym jedną z najdłuższych ekspedycji w historii ludzkości – i z pewnością jedną z najtragiczniejszych.

Siedemnastu ocalałych i wycieńczonych podróżników wyległo na pokład i patrzyło, jak karaka skręca na północ, potem odbija na północny wschód, a za lewą burtą przesuwają się znajome brzegi. Śnieg pokrywał jeszcze stoki Hebrosu, ale została go tylko cieniutka warstewka. Słońce mocno grzało im w plecy. Nie był to jednak morderczy, wilgotny upał zachodniego kontynentu, lecz ożywcze wiosenne ciepło. Z mgły wylaniało się długo wyczekiwane, spiętrzone nad wodą Abrusio. Jeden z żołnierzy wskazał flotyllę jachtów rybackich u wejścia do portu i krzyknął z radości, jakby zobaczył najprawdziwszy cud.

Abrusio. Rozróżniali już wypalone i zburzone połacie dolnego miasta i zrujnowane doki, przy odbudowie których pracowały tysiące ludzi na ciągnących się całymi milami rusztowaniach. Hawkwood z Muradem spojrzeli po sobie. Wyglądało na to, że ominęła ich jakaś wojna albo kataklizm. Jakie jeszcze niespodzianki czekały w ich w starym porcie?

–Puścić topsle! – zawołał Hawkwood. *Rybołów* sunął wśród pustawych, mniej lub bardziej zniszczonych nabrzeży. Ze Szlaków Wewnętrznych powiało pustką, za to w królewskiej stoczni tłoczyły się dziesiątki okrętów. Większość z nich wymagała naprawy. – Przygotować cumy dziobowe!

Wypuścili wiatr z żagli i karaka zwolniła. Z pół tuzina marynarzy zebrano się na dziobie, szykując się do skoku na ląd z cumami. Na kei zebrano się garstka gapiów, którzy, osłoniwszy oczy dłonią, pokazywali sobie sfatygowany statek, dyskutowali z ożywieniem i z niedowierzaniem kręcili głowami. Hawkwood się uśmiechnął. *Rybołów* otarł się o sznurowe odbijacze na końcu kei.

–Zarzucić cumy. Jesteśmy w domu.

Jego ludzie zeskoczyli na keję, umocowali liny do pacholek, a potem zaczęli się obejmować, śmiać, płakać i skakać z radości jak banda ciemnoskórych, zwariowanych obdartusów.

–Ekscelencjo... – Hawkwood nawet nie starał się ukryć ironii w głosie. – Odwiozłem ekscelencję do domu.

Murad spojrzał na niego zdziwiony i uśmiechnął się.

–Nie jestem już ekscelencją. Mój tytuł przestał istnieć wraz z kolonią, tak jak i twój, Hawkwood. Jednak umrzesz jako plebejusz.

Kapitan splunął za burtę.

–Jakoś to przeżyję. A teraz zabieraj swoje arystokratyczne dupsko z mojego statku.

Oczy Murada niczego nie wyrażały: nie było w nich zrozumienia, dumy, absolutnie nic. Bez słowa okręcił się na pięcie i zszedł na ląd. *Rybołów* był tak mocno zanurzony, że przejście z relingu na keję nie przedstawiało najmniejszych trudności. Murad szedł przed siebie – jego groteskowa, obdarta postać przyciągała dziesiątki spojrzeń. Tłum na brzegu gęstniał, ale mimo zżerającej ludzi ciekawości nikt nie odważył się zaczepić przybysza. Zanim zniknął Hawkwoodowi z oczu, zanurzył się w zgliszcza dolnego miasta, kierując się w stronę wyzierającego z mgły królewskiego pałacu.

Nareszcie mam z nim spokój, pomyślał, i podziękował Bogu – za to i za całą masę innych rzeczy.

–Czy to *Gabrioński rybołów*? – zawołał ktoś z brzegu. – To naprawdę on?

–Owszem. Wróciliśmy z końca świata.

**–Ricardo! Ricardo Hawkwood! Bogu niech będą dzięki!**

**Niski, śniady mężczyzna w niebiesko-żółtym, wytwornym, lecz niezbyt czystym ubraniu przeciskał się przez ciżbę. Na szyi miał zawieszony łańcuch kapitana portu.**

**–Richard! Ha! Własnym oczom nie wierzę! Richard wrócił z morskich zaświatów!**

**Hawkwood przeszedł przez reling, stanął na kei i zachwiał się na nogach. Miał wrażenie, że kamienne nabrzeże kołysze mu się lekko pod nogami.**

**–Galliardo... – Uśmiechnął się.**

**Galliardo uścisnął jego rękę z takim entuzjazmem, jakby chciał mu ją urwać. Miał łzy w oczach.**

**–Pół roku temu dałem na mszę za twoją duszę! Boże, Richardzie, co się z wami działo?**

**Tłok wydał się Hawkwoodowi nie do zniesienia. Miał wrażenie, że połowa robotników portowych przyszła obejrzeć *Rybołowa* i wysłuchać jego historii. Pokręcił głową, usiłując skupić myśli.**

**–Znaleźliście go, Richardzie? – bełkotał Galliardo. – Czy na zachodzie naprawdę jest inny kontynent?**

**–Owszem, jest, i jeśli o mnie chodzi, może sobie tam zgnić. Posłuchaj, Galliardo, *Rybołów* gotów nam zaraz zatonać. Cieknie jak rzeszoto. Potrzebuję ludzi do pomp i robotników, którzy go uszczelnią. Jak najszybciej.**

**–Dostaniesz ich. Nie ma w mieście żeglarza ani cieśli, który nie chciałby dostąpić zaszczytu pracowania na *Rybołowie*.**

**–Jest jeszcze coś... – Hawkwood zniżył głos. – Mam... ładunek, który chciałbym dyskretnie wyładować. Musi trafić do górnego miasta, do Murada, do pałacu.**

**Oczy Galliarda zapłonęły chciwym blaskiem.**

**–Wiedziałem, Richardzie. Przywieźliście skarby z zachodu! Pewnie okrągły milionik w złocie, co?**

**–Nie, nic z tych rzeczy. To takie... rzadkie zwierzę. Przywiozłem je, żeby zabawiało króla.**

**–Na pewno jest warte fortunę.**

**Hawkwood skapitulował.**



–To prawda, Galliardo. Jest bezcenne.

Kapitan portu spoważniał.

–Nie wiesz jeszcze, co się wydarzyło w Abrusio, prawda? Nic nie słyszałeś?

–Nie – odparł znużonym tonem Hawkwood. – Ale chętnie się dowiem. Posłucham cię przy piwie.

–Jedną rzecz muszę ci powiedzieć od razu, Richardzie. – Galliardo poklepał go po ręce. – Twoja żona, Estrella, nie żyje.

Hawkwood znieruchomiał. Chuda, czepialska Estrella. Od ponad pół roku prawie o niej nie myślał.

–Jak to się stało? – zapytał. Nie czuł żalu, tylko coś na kształt zdumienia i litości.

–Zginęła w pożarze, kiedy spalili dolne miasto. W czasie wojny. Podobno pięćdziesiąt tysięcy ludzi spłonęło wtedy żywcem. To było prawdziwe piekło.

–Nie. Widziałem piekło na ziemi, ale ono znajduje się gdzie indziej. A teraz przyślij mi robotników, zanim *Rybołów* osiadzie na dnie.

–Nic się nie bój, będą tu za pół szklanki. Spotkajmy się w *Delfinie*, jak tylko będziesz mógł. Mieszkam tam w pokoiku na zapleczu, odkąd spłonął mój dom.

–Twój też? Na Boga, Galliardo. Czy ktoś w ogóle ma tu dla nas jakieś dobre nowiny?

–Niewiele, przyjacielu. Za to wiadomość o twoim powrocie ucieszy cały port. Chodź, postawię ci to piwo.

–Pójdę tylko po dziennik okrętowy.

Hawkwood wrócił na pokład i znaną na pamięć drogą zszedł do kajuty na rufie. Bardolin leżał rozciągnięty na podłodze, brudny, pokryty masą blizn i świeżych ran. Jego zmatowiałe oczy ledwie wyzierały z gęstwiny splątanej brody i włosów. Krew zakrzepła na łańcuchach. Kajuta cuchnęła jak klatka w ogrodzie zoologicznym.

–Co, kapitanie, nareszcie w domu?

–Wrócę po ciebie, Bardolinie. Wezmę ze sobą paru ludzi i wieczorem dostarczymy cię do Golophina. Mieszka w pałacu, prawda?

–Nie zabierajcie mnie do pałacu. – Bardolin poruszył się niespokojnie. – Golophon ma na pogórzcu wieżę, w której prowadzi eksperymenty. Tam mnie zanieście. Znam

**drogę. Spędziłem tam mnóstwo czasu jako jego uczeń.**

**–Skoro tak mówisz...**

**–Dziękuję, kapitanie. Za wszystko. Był taki czas, że pragnąłem tylko śmierci, ale teraz zaczynam rozumieć, że życie może jednak być coś warte.**

**–I o to chodzi. Trzymaj się, Bardolinie. Niedługo wrócę.**

**Kapitan delikatnie poklepał czarodzieja po ramieniu i wyszedł.**

**–To prawdziwy przyjaciel – stwierdziła Griella, która niczym duch zmaterializowała się przed Bardolinem.**

**–O tak. Richard Hawkwood jest dobrym człowiekiem.**

**–A poza tym miał rację. Warto żyć.**

**–Wiem. Teraz to rozumiem.**

**–A co do tej przypadłości, na którą cierpisz... Ona w istocie nie jest wcale chorobą. Czy i to już rozumiesz?**

**Bardolin dźwignął głowę i spojrzał na dziewczynę.**

**–Chyba tak, Griello. Twój mistrz też mógł mieć rację.**

**–Ty jesteś teraz moim mistrzem, Bardolinie.**

**Pocałowała go w spękane usta.**

Dom Murada wyszedł z wojny prawie bez szwanku, jeśli nie liczyć paru dziur wybitych przez kule w grubych murach. Po długim i głośnym pukaniu odźwierny wreszcie raczył uchylić bramę, ale natychmiast zatrzasnął ją Muradowi przed nosem. Aristokrata wpadł w szal. Bębnił pięściami w drzwi i darł się, ile sił w płucach. Wtedy otworzyła się furtka i ze środka wyszło dwóch pomocników kucharza, demonstracyjnie wyłamując palce.

–Żebrakom i wariatom wstęp wzbroniony. Posłuchaj no, ty...

Murad zostawił ich na ulicy, półprzytomnych i jęczących z bólu, wszedł przez furtkę na teren posiadłości i trafił do kuchni. Roztrącił tłumek służących i ryknął na szambelana. Kucharze i kucharki rozproszyli się przed nim jak gęsi przed lisem; kobiety wrzeszczały, że jakiś szaleniec wdarł się do domu. Kiedy wreszcie zjawił się szambelan – z tasakiem w ręce – Murad złapał go za gardło.

–Poznajesz mnie, Glarusie z Garmidalanu? Twój ojciec jest moim gajowym, a twoja matka była przez dwadzieścia lat gosposią mojego ojca.

–Boże Święty – wyjąkał Glarus. Padł na kolana. – Wybacz, panie, myśleliśmy, że nie żyjesz. W dodatku tak się... zmieniłeś...

Siły nagle opuściły Murada. Oparł się o masywny kuchenny stół i puścił szambelana. Tasak brzęknął o posadzkę.

–Wróciłem. Przyszykuj kąpiel i przyślij mi mojego lokaja. A ta dziewczka – Murad wskazał na skuloną dziewczynę z dłońmi białymi od mąki – niech na mnie czeka w sypialni. Przynieś wino, chleb, ser i pieczone kurczę. I jabłka. Chcę je tam widzieć za pół szklanki! Wyślij też wiadomość do pałacu, przekaż, że proszę o audiencję. Słyszałeś?

–Pół szklanki? – zapytał nieśmiało Glarus.

Murad wybuchnął śmiechem.

–A jednak stałem się człowiekiem morza. Dziesięć minut, Glarusie, będzie w sam raz. Na krew Boga, jak dobrze być w domu!

Dwie godziny później przeglądał się w wysokim lustrze w sypialni. Ktoś otulił zapłakaną pomoc kuchenną kocem i wyprowadził z pokoju. Murad miał elegancko przycięte włosy i brodę, ale obszyty srebrną koronką czarny kaftan wisiał na nim jak worek. Musiał też włożyć spodnie zamiast pończoch; gdyby odstłonił takie chude nogi, wystawiłby się na pośmiewisko. Wiedział, że prędzej czy później odzyska pewnie dawną wagę, ale na razie po jedzeniu zrobiło mu się niedobrze.

Lokaj pomógł mu przewiesić przez ramię pendent z rapierem. Murad popijając wino patrzył, jak obcy człowiek w lustrze mizdrzy się do niego. Nigdy nie był przesadnie przystojny, chociaż miał w sobie coś, co przyciągało płęć piękną. Teraz jednak przypominał wymizerowanego stracha na wróble o brązowej twarzy i prawie bezwargich ustach, wiecznie wykrzywionych w złośliwym grymasie. Gubernator Nowego Hebrionu. Jego Ekscelencja. Odkrywca Nowego Świata.

–Powóz czeka, mój panie – zameldował spod drzwi Glarus.

–Zaraz zejdem.

Był późny poranek, dzień się dopiero zaczynał. Jeszcze kilka godzin temu Murad był żebrakiem i płynął tonącym statkiem w towarzystwie najgorszych szumowin tego świata. Teraz znów stał się lordem; służący wykonywali jego rozkazy, powóz czekał, król chciał się z nim widzieć. Przynajmniej w tej części świata panował naturalny porządek.

Rozsiadł się w powozie. Jadąc wąskimi, brukowanymi uliczkami w stronę pałacu z zaciekawieniem wyglądał przez okno. Okolica, przez którą jechał, była prawie nietknięta. Cieszył się, że Abeleyn zechciał go tak szybko przyjąć, ale pewnie umierał z ciekawości. To ważne, żeby pierwszą wersję wydarzeń, które rozegrały się na zachodzie, poznał właśnie z jego ust. Będzie mniej niejasności.

Glarus opowiedział mu o wojnie, zniszczeniach i chorobie króla, kiedy Murad był zajęty przelewaniem swojego nasienia w zad pochlipującej kuchty. Najwyraźniej wiele się w mieście wydarzyło, kiedy z towarzyszami przemierzał bezkresną dżunglę, żywiąc się insektami i modląc o przetrwanie. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że pod jego nieobecność świat się zmienił i stał dziwnie obcy. Sequerowie zostali zniszczeni, Carrerowie również, a to znaczyło, że on, lord Murad z Galiapeno, niemal na pewno był najbliższym żyjącym krewnym króla. Dziwny to wiatr, który nikomu nic dobrego nie przynosi. Uśmiechnął się pod nosem. Na coś się jednak ta wojna przydała.

Król przyjął go w ogrodzie, wśród rozświergotanych cykad i szeleszczących cyprysów. Przed rokiem w tym samym miejscu Murad zaproponował mu, że poprowadzi wyprawę na zachód. Ale świat się od tamtej pory bardzo zmienił – i oni

zmienili się wraz z nim.

Król wyraźnie się postarzał. Włosy, dawniej czarne, miał poprzetykane siwizną, twarz pobliznioną nie mniej od Murada, poza tym wydawał się wyższy niż kiedyś i – wskutek ran odniesionych podczas szturmów na miasto – poruszał się nieco sztywno i niezgrabnie. Uśmiechnął się na widok Murada, którego uwagi nie uszedł jednak szok, jaki przez ułamek sekundy malował się na królewskim obliczu.

–Cieszę się, że cię widzę, kuzynie.

Objęli się, odsunęli na odległość wyciągniętej ręki i spojrzeli po sobie badawczo.

–Nielekką miałeś podróż – powiedział Abeleyn.

–To samo mógłbym powiedzieć o tobie, mój panie.

Król pokiwał głową.

–Spodziewałem się, że wcześniej dostanę od ciebie jakieś wieści. Znalazłeś go, Muradzie? Znalazłeś Zachodni Kontynent?

Murad usiadł obok niego na nagrzanym słońcem kamiennej ławce.

–Znalazłem.

–Był wart poszukiwań?

Muradowi zabrakło słów. Przed oczami stanęły mu obrazy: wyrastający z lasu olbrzymi stożek Undabane; rzeź jego ludzi; marsz przez dżunglę; żałosne zgliszcza Fortu Abeleius; Bardolin skowyczący w ładowni w wietrzne noce.

Zamknął oczy.

–Ekspedycja zakończyła się klęską, panie. Cudem uszliśmy z życiem, a i tak jest nas niewiele. To był... koszmar.

–Opowiedz mi o nim.

I Murad opowiedział – o wszystkim, od podniesienia kotwicy w porcie w Abrusio, do chwili przybicia do brzegu w tymże porcie przed kilkoma godzinami. Pomiął tylko wątek Grielli, nie wspominał o przemianie Bardolina, a także do minimum ograniczył rolę Hawkwooda. Nieliczni ocaleli z koszmaru ludzie przeżyli tylko i wyłącznie dzięki determinacji i odwadze lorda Murada z Galiapeno, który nawet w najczarniejszych chwilach nie poddawał się rozpacz.

Ptaki wyśpiewywały hołdy dla pięknego dnia, wiatr pachniał jałowcem i lawendą.

**Opowieść Murada brzmiała jak historyjka powtarzana w tawernach przy kominku ku przestrodze marynarzy, a nie autentyczna relacja z podróży. To był zły sen, z którego wreszcie udało mu się obudzić. Znow znalazł się w swoim starym, dobrym, słonecznym świecie.**

**–Zjedz ze mną obiad – zaproponował król, kiedy Murad skończył. – Ja też mam swoją opowieść, chociaż na pewno znaczną jej część już znasz.**

**Kiedy Abeleyn wstał, rozległo się wyraźne skrzypnięcie drewna. Razem wyszli z ogrodu, w którym ptaki nadal śpiewały jak najęte.**

Golophin był w pałacu, kiedy zdyszany goniec przyniósł mu wiadomość prosto z portu. Udało mu się umknąć strażnikom i służącym i rozpierała go duma, że może osobiście przekazać wieść o przybyciu *Gabriońskiego rybołowa*. Karaka wreszcie zacumowała w porcie, a jej kapitan kazał przesłać jakiś bezcenny towar wprost do stojącej wśród wzgórz wieży czarodzieja. Przesyłka powinna dotrzeć na miejsce wczesnym popołudniem. Jeżeli Golophin znalazłby chwilę czasu, kapitan Hawkwood chciałby się z nim wieczorem spotkać i porozmawiać o tym specjalnym ładunku. Niedobitki załogi *Rybołowa* świętowały powrót we wszystkich tawernach, jakie ocalały w dolnym mieście, opowiadając o dziwnych krainach, niezwykłych potworach i rzekach złota.

Golophin dał chłopcu srebrną koronę i odprawił go, nie dając po sobie poznać, że domyśla się, jaki ładunek przesyła mu Hawkwood. Kazał strzygącemu uszami służącemu siodłać muła, a sam wrócił do swoich komnat po księgi i zioła, które, jak sądził, mogły mu być potrzebne.

Isolla zastała go przy pakowaniu.

–Stało się coś ważnego – wyjaśnił. – Muszę natychmiast jechać do wieży. Może się okazać, że wrócę dopiero za parę dni.

–Nie słyszałeś nowin? Wrócił ten lord, który wyruszył w rejs na poszukiwanie Zachodniego Kontynentu. Ma być gwiazdą wieczoru.

–Słyszałem. – Golophin się uśmiechnął. – Znam lorda Murada, ale pewien mój przyjaciel... ma kłopoty. I tylko ja mogę mu pomóc.

–To musi być ktoś bliski – zauważyła Isolla, nie kryjąc ciekawości. Nie sądziła do tej pory, że Golophin mógłby się z kimś bliżej przyjaźnić, może poza Abeleynem.

–Mój były uczeń.

Paź zapukał i zajrzał do komnaty przez uchylone drzwi.

–Muł już czeka, panie.

–Dziękuję. – Golophin zarzucił na ramię wypakowaną po brzegi skórzaną sakwę, nałożył kapelusz z szerokim rondem i w przelocie pocałował Isollę w policzek. – Opiekuj się królem, kiedy mnie nie będzie, pani.

–Nie omieszka. Golophinie...

**Ale czarodziej już wyszedł. Isolla była na niego zła, w dodatku zżerała ją ciekawość. Może powinna ją zaspokoić? Lubiła Golophina, ale jego wyniosłość i zblazowanie czasem działały jej na nerwy.**

**Najwyżej przegapi wystawną kolację i opowieści podróżnika. Miała przeczucie, że pospieszny wyjazd Golophina też ma coś wspólnego z przybyciem statku z zachodu.**

**Udała się do swoich komnat. Musiała się przebrać w strój bardziej stosowny do konnej jazdy.**



# JEDENAŚCIE

Wojsko przebudziło się w czarnej porze przedświt. W lodowatej ciemności, potykając się, klnąc i zacierając zdrętwiałe ręce żołnierze zakładali pancerze i pogryzali suchary. Corfe, Marsch i Andruw znad kubka wina obserwowali budzącą się armię.

–Wysyłajcie kurierów – przypomniał Corfe, szcękając zębami. – Nawet jeśli nie będziecie mieli żadnych nowin, poinformuj mnie o waszej pozycji. I, na miłość boską, nie pakujcie się w nic większego, dopóki nie dociągnę do was z głównymi siłami.

–W porządku – odparł Andruw. – Nie ucz ojca dzieci robić.

–Niech ci będzie.

Corfe niechętnie rozstawał się z Katedralnikami i oddawał ich pod czyjąś komendę – nawet pod komendę Andruwa. Zaczynał rozumieć, że jego ranga nie tylko wiąże się z przywilejami, ale przede wszystkim wymaga poświęceń. Pożegnał się z Marschem i Andruwem i odprowadził ich wzrokiem, gdy w słabym brzasku jechali ku obozowisku konnicy. Chwilę później Katedralnicy zaczęli szykować konie, a po półgodzinie wyjechali z obozu długim, milczącym szeregiem. Pierwsze promienie słońca rozświetlały właśnie niskie chmury na horyzoncie.

Późnym porankiem reszta armii – łącznie jakieś sześć i pół tysiąca ludzi – rozciągnięta w długą na półtorej mili kolumnę maszerowała już na wschód. Corfe jechał w straży przedniej, w otoczeniu około piętnastu kirasjerów – niedobitków regimentu kawalerii z Wału Ormanna. Jego trębacz, Cerne, uparł się, że z nim zostanie, Andruw zaś uroczyście przydzielił mu jeszcze sześćosobową straż przyboczną złożoną z barbarzyńców. Za tą nieliczną grupką konnych maszerowało pięciuset torunnańskich arkebuźników, dalej dwa tysiące Fimbrian Formia i trzy tysiące arkebuźników pod dowództwem Ranafasta. Kolumnę zamykała karawana, licząca około sześciuset powolnych, wrednych, ciężko obciążonych mułów pod eskortą dalszego tysiąca torunnańskich strzelców.

Przez pierwsze kilka mil zdarzało im się jeszcze dostrzec na horyzoncie przemykających Katedralników: czarną smugę w szarym, ponurym krajobrazie. Około południa weszli jednak na bardziej pofalowany teren; długie, kamieniste grzbiety przegradzały im drogę, spowalniając marsz i zasłaniając widok na wschód. Wczesnym popołudniem chmury nieco się rozproszyły i rozległe plamy światła przesuwaly się po ziemi w miejscach, gdzie słońce wyjrzało zza postrzępionych obłoków. Na wschodnim widnokręgu czarne słupy wznosiły się pod niebo i zakrzywiały ostro, osiągnąwszy wysokość, na której wiał silniejszy wiatr: to były

dymy z płonących miast nad Searilem. Żołnierze wpatrywali się w nie z zaciętymi twarzami. Milczący ludzki wąż z mozołem posuwał się naprzód.

Rozbili obóz w cieniu wysokiego skalnego żebra. Corfe wystawił strażę na jego szczycie, a pozostałym żołnierzom pozwolił rozpaść ogniska; od wschodu i południa osłaniały ich wyrzucenia terenu. Zrobiło się przeraźliwie zimno. Chmury zniknęły na dobre i na niebie płonęły miriady gwiazd. Największe z nich mrugały czerwonym i błękitnym światłem.

O północy przybył kurier od Andruwa. Dzielącą ich odległość przebył w pięć godzin. Katedralnicy rozbili obóz sześć mil na południowy zachód od rzeki. Nie rozpalili ognisk. Znieśli po drodze trzy bandy merduckich szabrowników, nie ponosząc żadnych strat, a następnego dnia zamierzali skręcić na południowy wschód i posuwać się równolegle do Searilu. Nieopodal znajdowała się Berrona, spore miasto, którego Merducus jeszcze nie złupili. Sądząc jednak po coraz liczniejszych oddziałach, jakie Andruw napotykał na swojej drodze, większe siły nieprzyjaciela musiały znajdować się w pobliżu i było mocno wątpliwe, aby chciały zrezygnować z tak smakowitego kąska.

Kiedy kurier jadł szybką kolację, kirasjerzy oporządzili jego konia i przyprowadzili mu świeżego. Siedząc przy ognisku, Corfe przygotował odpowiedź. Kazał Andruwowi zrobić rekonesans w okolicy Berrony jednym, najwyżej dwoma szwadronami, resztę trzymając z dala od wroga. Sam z głównymi siłami zamierzał ruszyć w stronę miasta forsownym marszem i rankiem połączyć się z kawalerią. Od Berrony dzieliło ich około trzydziestu pięciu mil, więc zapowiadał się ciężki dzień, ale wiedział, że żołnierze to wytrzymają. A potem się zobaczy.

Jeżeli chciał sprowadzić armię do Torunnu w jakim takim stanie, zdolną do walki, miał teraz ostatnią szansę, by wydać bitwę większym siłom merduckim. Za dwa, najdalej trzy dni będzie musiał albo zarządzić odwrót, albo jeszcze bardziej ograniczyć i tak skąpe racje żywnościowe. W tym drugim wypadku konie zaczęłyby padać z głodu, a do tego nie chciał dopuścić.

Zmęczonego kuriera wyprawiono w drogę powrotną. Przy odrobinie szczęścia powinien dotrzeć do Andruwa przed świtem, pokonawszy siedemdziesiąt mil w ciągu jednej nocy. Corfe nie miał pojęcia, w jaki sposób wyszukuje drogę po ciemku, w obcym i pofałdowanym terenie. On i Andruw wzięli ze sobą mapy tych okolic, ale już na miejscu przekonali się, że są żałośnie nieaktualne. Leżąca w cieniu Thurianu północ Torunny zawsze była krainą dzikszą i bardziej niebezpieczną niż południowa część królestwa. Było tu mało dróg i jeszcze mniej miast, ale pod względem strategicznym północne rubieże kraju dorównywały ważnością obu rzekom: Searilowi i Torrinowi. I w przyszłości, gdyby nadarzyła się okazja, Corfe zamierzał coś z tym fantem zrobić. Najchętniej ufortyfikowałby Przesmyk Torrinu i zbudował solidne drogi do stolicy, żeby móc szybko przerzucać wojsko. Bo do tej pory Torunna za

**bardzo polegała na pozostałościach fimbriańskiego państwa: Wał Ormanna, Aekir, Torunn i łączące je trakty były spuścizną dawno nieistniejącego imperium. Najwyższy czas, żeby Torunnanie sami zaczęli budować.**

Armia jeszcze przed świtem zwinęła obóz. Corfe w eskorcie Katedralników wysforował się do przodu, zostawiając główne siły pod dowództwem Ranafasta. Mijali pojedyncze gospodarstwa, ograbione i spalone przez merduckich maruderów, a raz trafili na kościół, który z niewyjaśnionych przyczyn ostał się nietknięty, chociaż było widać, że przez dłuższy czas służył Merdukom jako stajnia. Na dziedzińcu do osmolonego słupa przywiązane były spalone zwłoki dwóch mężczyzn; zwęglone kikuty nóg ginęły w stosie popiołu. Corfe kazał ich pogrzebać.

W południe zatrzymali się i czekali, aż dołączy do nich piechota. Wypatrując na wschodnim widnokręgu oznak życia, Corfe żuł soloną wołowinę i zagryzał ją sucharami. Barbarzyńcy rozmawiali w swoim języku i przemawiali cicho do koni.

Kiedy w oddali pojawił się samotny jeździec, rozmowy ucichły. Pędził na złamanie karku, skulony w siodle, i za każdym razem, kiedy koń potknął się na kamienistym gruncie, szarpnięciem wodzy podnosił mu łeb. To był jeden z Katedralników; zbroja lśniła na nim jak świeżo przelana krew. Chwilę później zatrzymał się przed Corfem. Wierzchowiec ciężko oddychał bokami, parskął pianą, nozdrza miał rozdęte i zaczerwienione. Żołnierz zeskoczył z siodła i podał Corfe'owi tubę z meldunkiem.

–Od... Andruwa... – wysapał.

–Dobrze się spisaleś. Cerne! Dajcie mu wody. Zajmijcie się jego koniem i dajcie mu świeżego.

Corfe odwrócił się i wytrząsnął z tuby postrzępiony zwój papieru.

Armia merducka obozuje pięć mil na południe od Berrony. Około piętnastu tysięcy ludzi, plus dwa tysiące konnych w straży przedniej. Wszyscy lekkobrojni. Zajęliśmy pozycje półtorej mili na północ od miasta, ale wycofamy się trzy mile dalej, żeby uniknąć wykrycia. Wygląda na to, że dziś po południu wkroczą do Berrony. Mieszkańcy nie wiedzą ani o nich, ani o nas. Kiedy możecie dołączyć?

Andruw Cear-Adurhal

Pułkownik, dowódca zwiadu

Wyczuł w słowach Andruwa rozpaczliwe, choć nie wyrażone wprost błaganie: pułkownik chciał ocalić Berronę przed merduckim najazdem. Do połączenia sił mogło jednak dojść dopiero po zmroku, a Corfe nie chciał wysyłać piechoty, która przeszła trzydzieści pięć mil, do nocnego ataku na miasto, w którym nieprzyjaciel miałby znaczącą przewagę liczebną. Co gorsza, nie mógł nawet pozwolić Andruwowi ostrzec mieszkańców. Gdyby wyszło na jaw, że w pobliżu kręci się torunnańska armia, rano

**Merducy byliby gotowi na odparcie szturmu.**

**Trudno. Berrona będzie musiała bronić się sama.**

**Kiedys by zaryzykował – w tych dawnych czasach, kiedy nie miał jeszcze generalskich szlifów i ryzykował niewiele więcej niż własne życie. Gdyby jednak teraz poniósł poważne straty, cała Torunna byłaby zgubiona. Kiedy odpisywał Andruwowi, twarz miał zaciętą i bladą jak płótno.**

**Zostańcie na nowych pozycjach. Pod żadnym pozorem nie wchodźcie w kontakt z wrogiem. Piechota dołączy do was dzisiaj. Rano zaatakujemy.**

**Corfe Cear-Inaf**

**Naczelny wódz armii Torunny**

**To było wszystko. Czuł się paskudnie, wręczając kurierowi tubę; w pewnej chwili miał nawet ochotę zawrócić go z drogi i zmienić rozkaz, ale już było za późno. Barbarzyńca zmienił się w maleńki punkcik na horyzoncie i wkrótce zniknął im z oczu.**

**Stało się. Skazał mieszkańców Berrony na noc w piekle.**

–Co zrobimy z jeńcami? – zapytał Ranafast.

Mijała ich niekończąca się kolumna znużonych żołnierzy. To piechota, która doścignęła konną awangardę i po krótkim odpoczynku ruszyła w dalszą drogę. Słońce pomału chyliło się ku zachodowi, a ich czekała jeszcze długa droga, jeśli mieli w nocy dołączyć do Katedralników Andruwa. Ale, jak twierdzili Ranafast i Formio, nikt się nie wykruszył. Wiadomość, że mają niebawem zaatakować merducką konnicę, dodawała żołnierzom sił. Maszerowali żwawo.

–Puśćcie ich – odparł Corfe. – Tylko nam zawadzają.

Ranafast rozdziawił usta. Wytrzeszczone oczy spojrzały na Corfe’a sponad orlego nosa i szpakowatej brody, która wyglądała jak spiłowana w szpic.

–Mogę kazać ludziom się nimi zająć.

–Nie. Po prostu puśćcie ich wolno. Tylko najpierw chcę z nimi porozmawiać.

–Panie generale, muszę zaprotestować...

–Nie chcę mieć morderców pod swoją komendą, Ranafast. Jeśli zaczniemy wyrzynać jeńców, będziemy nie lepsi od nich. Jutro, w bitwie, nasi ludzie będą mogli siec tyłu Merduków, ilu zdołają. Przyślij jeńców do mnie.

–Mam nadzieję, że wie pan, co pan robi, generale – stwierdził Ranafast.

Więźniowie wyglądali żałośnie. Eskortowało ich dwóch Fimbrian, którzy traktowali ich z pełną rezerwy pogardą. Jeńcy skulili się przed Corfem, jakby miał być ich katem. I rzeczywiście, miał ochotę skazać ich na śmierć. Nie miał złudzeń: wiedział, po co przyjechali na północ, ale pamiętał też chłopską armię, którą bez litości wyrznął pod Staed. Poddanym Narfintyra, zwykłym wieśniakom, kazano walczyć w obronie suwerena, którego ledwie znali, a który traktował ich jak niewolników. Do tej pory czuł się nieswojo na wspomnienie tamtej rzezi niewiniątek – a ci Merducy niewiele się od nich różnili. Zostali wcieleni do armii sułtana i zmuszeni do porzucenia domów i rodzin; w żyłach niektórych nie płynęła nawet merducka krew. Wiedział, że w nadchodzących dniach i miesiącach będzie mordował takich jak oni tysiącami, ale wojna rządziła się swoimi prawami. Nie chciał jednak brukać sobie sumienia wyrachowanym morderstwem. I tak miał wystarczająco dużo krwi na rękach.

–Jesteście wolni – powiedział. – Pod jednym warunkiem: nie dołączycie do merduckiej armii, tylko postaracie się wrócić do domu. Wiem, że nie z własnej woli

**przystąpiliście do wojny. Zostaliście do tego zmuszeni. Odejdźcie w pokój.**

**Więżniowie wybałuszyli oczy i zaczęli szwargotać między sobą po merducku i normannijsku. Nie wierzyli własnym uszom, byli tak zaskoczeni, że nawet się nie ucieszyli. Jeden z nich wyciągnął rękę, żeby w kornym geście dotknąć strzemienia wybawcy. Corfe cofnął konia.**

**–Odejdźcie – powtórzył. – I nie wracajcie do Torunny. Jeśli złamiecie mój zakaz, przysięgam, że was zabiję.**

**–Dzięki ci, panie! – wykrzyknął jeden z jeńców, w którym Corfe rozpoznał posiniaczonego Felipia.**

**Merducy odłączyli się od armii i zaczęli biec ile sił w stronę rzucającego długie cienie Thurianu, jakby bali się, że generał zmieni zdanie. Maszerujący Torunnanie odprowadzali ich wzrokiem, niektórzy spluwali pogardliwie, ale żaden nie protestował. Corfe odwrócił się do Ranafasta.**

**–Powiedz mi, czy jestem głupcem? Robię się miękki?**

**–Być może, mój chłopcze – odparł z uśmiechem stary żołnierz. – Może zmieniasz się w kogoś w rodzaju polityka. Dobrze wiesz, że te ścierwa nie mają gdzie się podziać i będą chciały wrócić do armii. Jeśli im się uda, wieść o tym, jak Torunnanie traktują jeńców, rozejdzie się jak pożar w suchym stepie. Kiedy chłopci z pospolitego ruszenia dowiedzą się, że złożywszy broń mogą liczyć na litość, nie będą tacy hardzi.**

**–Na to właśnie liczę, chociaż nie jestem wcale pewien, czy słusznie. Ale wiem jedno, Ranafaście: nie wygramy tej wojny wyłącznie dzięki sile naszej armii. Musimy być sprytni.**

**–Zgadzam się. Ale mimo to pozostaje jakiś niesmak, prawda?**

**Ranafast zawrócił konia i dołączył do maszerującej kolumny. Corfe z grzbietu wierzchowca śledził wzrokiem uciekających Merduków, aż zmienili się w punkciki na tle ośnieżonych stoków Thurianu. Przez jedną krótką, niesamowitą chwilę prawie żałował, że nie biegnie razem z nimi.**

Zwiadowcy Katedralników wyjechali im na spotkanie i zaprowadzili ich do obozu. Wiejący od góry wiatr zacinał im w twarze drobnym, lodowatym deszczem, ale przynajmniej tłumiał szuranie stóp i metaliczny chrzęst ekwipunku. Ludzie pospuszczali głowy i powłóczyli nogami. Ciemność, deszcz i zawodzący wiatr sprawiły, że kilkanaście mułów niepostrzeżenie oddzieliło się od karawany i przepadło w mrokach nocy, ale armia dotarła na miejsce bez szwanku – trochę może obszarpana, lecz kompletna. Pięć mil na północ od Berrony Andruw znalazł kawał płaskiego terenu, przecięty strumieniem, który dla ludzi i koni był prawdziwym skarbem. Przybywający do obozu piesi przede wszystkim zwracali spojrzenia na południe, gdzie pomarańczowa luna rozświetlała czarne niebo. Berrona płonęła.

Andruw był w ponurym nastroju. Twarz miał bladą jak płótno, z dwoma ciemnymi plamami oczu i ciemną krechę ust.

–Kilka godzin temu jazda wkroczyła do miasta – zameldował Corfe’owi. – Mężczyzn zabrali gdzieś na południe, a teraz zabawiają się z kobietami.

Corfe podjechał bliżej, aż zetknęli się kolanami, i poklepał go po ramieniu.

–Nie damy rady – powiedział. – Nie dziś. Ludzie są wykończeni. Uderzymy o świcie, Andruw.

–Wiem. – Andruw pokiwał głową. – Musimy być rozsądni – dodał łamiącym się głosem.

–Wytropiliście główne siły?

–Armia rozbiła obóz na południe od miasta. Mają tam w bród łupów i kobiet z kilku różnych miast. Chłopcy nieźle się tu na północy zabawiają. Wydaje im się pewnie, że mają nieustanne święto.

–Obiecuję ci, że jutro o świcie skończy się dla nich świętowanie. Zwołaj oficerów. Opowiesz nam wszystkim, co wiesz o nieprzyjacielu.

Andruw skinął głową i szturchnął konia kolanami, ale nagle się zatrzymał.

–Corfe?

–Tak?

–Obiecuj mi coś jeszcze.

Głos mu drżał. Było za ciemno, żeby Corfe mógł coś wyczytać z jego twarzy.



**–Mów.**

**–Obiecuj mi, że jutro nie będziemy brać jeńców.**

**Skowyt wiatru i stłumione hałasy układającej się do snu armii wypełniały ciszę, która zapadła po tych słowach. Polityka, strategia, rozmowa z Ranafastem... Wszystko to jak chmura otuliło umysł Corfe'a. Ale głębiej, pod tą pokrywą racjonalizmu, kipiał w nim gniew. Rozumiał ból przyjaciela. Kiedy się odezwał, jego głos był równie zdławiony jak przed chwilą głos Andruwa:**

**–Dobrze. Jutro nie będzie litości. Obiecuję.**

# DWANAŚCIE

Położona w północno-zachodnim zakątku Torunny, niedaleko górnych dopływów Searilu Berrona nigdy niczym szczególnym się nie wyróżniała. W mieście u stóp zachodniego Thurianu mieszkało około sześciu tysięcy ludzi. Jedyne połączenie z resztą kraju stanowiła bita droga, wijąca się wśród wzgórz w kierunku południowym. Po upadku Wału Ormanna Berrona znalazła się na dobrą sprawę na tyłach merduckiej armii, ale na razie uniknęła losu, który w tę okrutną zimę spotkał wiele ludzkich osiedli. Leżała na uboczu, bliżej Aekiru niż Torunnu, w zagłębieniu między dwoma wybiegającymi na południe grzbietami Thurianu, dzięki czemu wojna ominęła ją i była co najwyżej tematem plotek i pogwarek przy kominku. Nieliczni uchodźcy z Aekiru, którzy zapuścili się w te strony, zostali przyjęci przyjaźnie i gościnnie. Gospody pękały w szwach od przerażonej gawiedzi, kiedy opowiadali o okrucieństwach wojny. *Uciekajcie, powtarzali. Przeprowadźcie się za Torrinn, póki jeszcze możecie. Ale mieszkańcy Berrony, choć należycie poruszeni historiami uciekinierów, nie wierzyli, że wojna ich dotknie. Mieszkamy za siedmioma górami, za siedmioma lasami, mówili. Po co Merducy mieliby zapuszczać się tak daleko na północ, kiedy ich armia toczy bitwy na południu, na równinie pod stolicą? Pożyjemy, zobaczymy. Weźmiemy tę wojnę na przeczekanie.*

Uchodźcy z Aekiru – wstrząśnięci i załamani, w niczym nie przypominający zamożnych mieszkańców pięknego grodu – bezradnie kręcili głowami. I mimo że berrończycy szczerze im współczuli i zachęcali ich do pozostania, odmawiali gościny i uciekali dalej na zachód przez kurczące się torunnańskie pogranicze.

Wyglądało na to, że mieszkańcy miasta jednak mieli rację. Minęło pół zimy, nowy rok starzał się z każdym dniem, a Berrona żyła sobie spokojnie. Ludzie polowali wśród wzgórz jak zwykle o tej porze, wykuwali przeręble w lodzie skuwającym Searil, jedli zgromadzone na zimę marynaty, suszone mięso, ryby i owoce. Świat o nich zapomniał.

**–Konie, Arja! Widzę jeźdźców!**

**Dziewczyna wyprostowała się, wparłszy pięści w krzyż jak stara kobieta, chociaż nie miała jeszcze piętnastu lat. Dłonią osłoniła oczy przed odbitym od śniegu słońcem i spojrzała na pobielone wzgórza. Jej młodszy brat z podnieceniem wymachiwał ręką.**

**–Zdawało ci się, Narfi. Nic nie widzę.**

**Schyliła się i zaczęła obwiązywać sznurem zebraną kupę chrustu. Ciemne włosy opadły jej na twarz.**

**Ale Narfi był uparty. Pociągnął ją za rękaw.**

**–Patrz, patrz! Teraz już na pewno ich zobaczysz!**

**Z westchnieniem odtrąciła jego rękę, ale jeszcze raz spojrzała we wskazanym kierunku. W oddali dostrzegła ciemny, połyskliwy kształt, przypominający kolczastego węża. Jeźdźcy – bo bez wątpienia byli to konni – znajdowali się tak daleko, że trudno było powiedzieć, czy w ogóle się poruszają. Wiatr pędził po niebie zimowe chmury; połowa długiej kolumny znajdowała się w ich cieniu, gdy druga połowa pławiła się w świetle słońca. Jego promienie zamigotały na metalowych elementach uzbrojenia – grotach lanc, hełmach, kirysach.**

**–Widzę – przyznała z ulgą Arja. – Teraz widzę.**

**–Żołnierze, Arja. Myślisz, że to nasi? Pozwolą mi wsiąść na konia?**

**Arja cisnęła chrust na ziemię i złapała brata za rękę.**

**–Wracamy do domu.**

**–Nie! Ja chcę popatrzeć! Zaczekajmy na nich!**

**–Cicho bądź, Narfi. A jeśli to Merducy?**

**Na okrągłej buzi Narfiego odmalował się niepokój.**

**–Tata mówił, że Merducy tu nie przyjdą.**

**Arja pociągnęła go za sobą. Kiedy obejrzała się przez ramię, jeźdźcy wydali się jej znacznie więksi niż przed chwilą. Ciemny wąż rozdzielił się na setki maleńkich, połyskliwych sylwetek, a za ich plecami, daleko, gdzie wszystko okrywała mgiełka, chyba jechało ich jeszcze więcej. Miała wrażenie, że to las zbliża się ku miastu,**

**płynąc przez wzgórza i kotliny. Armia. Arja nigdy nie oglądała czegoś podobnego, ale nie miała wątpliwości, co widzi: ogromną armię. Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Pacierze przelatowały jej przez głowę jak stado wiosennych jaskółek. Ominą miasto. Na pewno. Nikt nigdy nie zaglądał do Berrony. Przejadą bokiem.**

**Ale musiała powiedzieć ojcu.**

Po południu tego samego dnia kolumna konnych wjechała do Berrony jak armia wracająca do domu w glorii zwycięstwa. Były ich setki, może nawet tysiące. Dosiadali wysokich gniadoszy, nosili cudzoziemskie pancerze, przy siodłach mieli po dwa pistolety, a na czubkach ich lanc wesoło powiewały jedwabne wstążki. Milczący mieszkańcy wylegli na ulice. Jeźdźcy machali do nich, niektórzy posyłali całusy co ładniejszym kobietom. Zajechawszy na plac przed ratuszem, dowódcy zsiadli z koni. Na schodach ratusza czekał na nich starosta miejski. Na jego bladej jak ściana twarzy malowała się determinacja. Jeden z bardziej elegancko odzianych jeźdźców zdjął hełm, odsłaniając śniadą, uśmiechniętą twarz. Oczy miał czarne niczym węgle.

–Przesyłam wam pozdrowienia w imieniu mojego sułtana Aurungzeba i Proroka Ahrimuza, oby żył wiecznie – zawołał donośnym, młodzieńczym głosem. Świetnie mówił po normannijsku, tylko leciutki, ledwie słyszalny obcy akcent zdradzał jego pochodzenie.

–Jestem Ries Millian, starosta Berrony – przedstawił się blady mężczyzna ze schodów. Głos drżał mu z napięcia. – Witajcie w naszym mieście.

–Dziękuję. A teraz zwołaj na plac wszystkich mieszkańców. Mam dla nich ogłoszenie.

Millian zawahał się, ale trwało to zaledwie sekundę.

–Czego sobie życzyacie?

–Dowiesz się. A na razie rób, co mówię.

Oficer odwrócił się i po merducku wydał jakieś rozkazy swoim podkomendnym. Jeźdźcy złamali szyk: około dwustu zostało na placu, a reszta podzieliła się na grupy liczące od dziesięciu do dwudziestu ludzi i rozproszyła po uliczkach miasta.

Starosta szeptem naradził się z mieszkańcami, po czym wystąpił naprzód.

–Nie mogę spełnić waszego żądania, dopóki nie dowiem się, co chcecie z nami zrobić – stwierdził dumnie. Stojący za nim mieszczanie z zapalem kiwali głowami.

Merducki oficer tylko się uśmiechnął. Bez słowa wyciągnął z pochwy tulwar. W bladym, zimowym słońcu błysnęła stal i Ries Millian krztusząc się padł na kolana. Zacisnął dłonie na szyi, na próżno starając się osłonić przeciętą tchawicę. Krew trysnęła na bruk, parując jak gorąca zupa. Starosta przewrócił się na bok, zadygotał i znieruchomiał. Jakaś kobieta krzyknęła rozdzierająco, wybiegła z tłumu i dopadła do zwłok. Merduk niecierpliwym gestem wezwał dwóch swoich ludzi, którzy odciągnęli ją

na bok. Na oczach wszystkich zaczęli ją rozbierać, bułatami tnąc na niej ubranie i ścinając je razem ze skórą. Kiedy była już naga, kazali się jej pochylić i jeden z nich pchnął ją bułatem od tyłu między nogi, aż cała klinga zniknęła w głębi ciała. Kobieta ucichła, zwiotczała i ześliznęła się po ostrzu na ziemię. Merducy zarechotali hałaśliwie, a morderca obwąchał zakrwawiony miecz i skrzywił się teatralnie. Odpowiedział mu następny wybuch śmiechu. Oficer wytarł tulwar o zwłoki starosty i odwrócił się do niedawnych doradców Milliana, którzy stali jak sparaliżowani.

–Słyszeliście, co powiedziałem. Wszystkich na płac. Natychmiast.

Nadciągał wczesny zimowy wieczór, ale mieszkańcy Berrony stracili już nadzieję, że ten dzień kiedyś się skończy.

Merducy wypędzili wszystkich z domów. W uboższych domostwach urządzili stajnie. Oddzielili mężczyzn od kobiet i dzieci i w eskorcie kilkuset konnych wyprowadzili ich na wzgórze na południe od miasta. Wkrótce dobiegły stamtąd odgłosy wystrzałów, które zdawały się dźwięczeć bez końca w lodowatym powietrzu. Kanonada ciągnęła się godzinami, ale kobiety nie chciały – nie mogły – pogodzić się z tym, co oznacza. Najeźdźcy sprowadzili do miasta garstkę poobijanych i przerażonych pasterzy z okolicznych wiosek. Wieśniacy twierdzili, że na południe od Berrony obozuje olbrzymia merducka armia, lecz mało kto wierzył im lub miał czas roztrząsać ewentualne skutki tego faktu. Rozgrywająca się na miejscu tragedia bez reszty pochłaniała mieszkańców.

Arja widziała, jak bandy roześmianych żołnierzy ciągnęły kobiety do pustych domów. Przez jakiś czas było słycać krzyki, a potem Merducy wychodzili zapinając sprzączki zbroi, uśmiechając się oblesnie i gadając w tym swoim parszywym języku. Friedę, żonę kowala, uważaną za najpiękniejszą w całej Beronnie, rozebrali do naga i kazali jej usługiwać oficerom, którzy rozgościli się w siedzibie starosty. Znaleźli jej męża, sprowadzili do ratusza, związali w kącie i kazali mu patrzeć, jak ją po kolei gwałcą. W końcu Friedę zabili, a kowala oślepiłi, wykastrowali i zostawili dogorywającego na podłodze. Ludzie bali mu się przyjść z pomocą, więc wykrwawił się na śmierć przy zwłokach zbezczeszczonej żony. Arja wiedziała o tym od innych kobiet, które potraktowano podobnie jak Friedę – z tą tylko różnicą, że zwrócono im wolność. Widziały wszystko na własne oczy.

Około pięćdziesięciu kobiet z całego miasta spędzono do ratusza; Merducy wybrali same młode, ładne, kształtne. Nadciągała noc. Żołnierze rozpalili na ulicach ogniska z mebli i innych sprzętów wywleczonych z domów. Kradli na potęgę, zgarniali wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość; jeżeli czegoś nie mogli zabrać ze sobą, niszczyli na miejscu. Część budynków spalili; chodziły słuchy, że uprzednio zamknęli w nich większość starszych mieszkańców.

Arja nie widziała ojca, odkąd mężczyzn wyprowadzono z miasta. Jej brat, mimo że miał dopiero osiem lat, musiał pójść z nimi i tak oto została sama w tłumie dziewcząt i kobiet. Siedziały po ciemku, niektóre szlochały cicho, większość milczała. Od czasu do czasu rozlegały się prowadzone szeptem rozmowy, najczęściej dotyczące losów ich ojców, mężów i braci.

– Nie żyją – wysyczała któraś z kobiet. – Wszyscy zginęli. My też niedługo umrzemy.

**–Wcale nie! – zaoponowała inna. – Zabrali ich, bo potrzebują ludzi do pracy. Dlaczego mieliby mordować robotników? Mężczyźni budują fortyfikacje wokół miasta. Kto by zabijał pracowników? To bez sensu.**

**Wiele kobiet uczepliło się tego dającego odrobinę nadziei pomysłu.**

**–Jest wojna – mówiły. – Dzieją się straszne rzeczy, ale musi być w tym wszystkim jakiś sens. Ktoś tym żołnierzom rozkazuje. Trudno, teraz rządzą nami Merducy, ale oni też coś muszą jeść. Przystosujemy się. Jesteśmy im potrzebni.**

**Zgrzytnęły i zadudniły otwierane dwuskrzydłowe drzwi ratusza. Na dworze była noc, ale płonące szafranowo ogniska rozpraszały mrok, a niebo było pomarańczowe od łuny pożarów szalejących na obrzeżach miasta. Na tle płomieni rysowały się liczne czarne sylwetki żołnierzy; niektórzy mieli w rękach butelki, inni nagie miecze. Na razie nie mogło być mowy o przydatności jeńców.**

**Niektóre kobiety krzyczały, inne zachowywały tępą obojętność. Merducy przechadzali się wśród nich, zaglądali im w oczy, wodzili rękami po ich ciałach jakby oceniali stan wystawionych na sprzedaż koni. Kiedy znaleźli taką, która im odpowiadała, wywlekali ją na zewnątrz – za ręce albo za włosy. Wyprowadziwszy połowę kobiet, zatrzasnęli drzwi. Te, które zostały w środku, skuliły się nieme w kącie, tuląc się do siebie.**

**Krzyki rozdzierające noc. Śmiech mężczyzn. Arja przycupnęła z innymi w rogu pomieszczenia. Dławiła ją bezsilna złość. Wszystkie odczucia i wrażenia zdawały się niemiłosiernie rozwleczone, jak w koszmarnym śnie. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę nastął taki dzień, że wydarzyły się te wszystkie straszne rzeczy. Do tej pory nie tylko o niczym podobnym nie słyszała, ale nawet nie była w stanie czegoś takiego sobie wyobrazić. Czuła się tak, jakby przez okno zajrzała do innego świata, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Więc tak wygląda wojna?**

**Zdawało im się, że upłynęły całe godziny. Straciły poczucie czasu. W tym nowym wszechświecie czas rozciągał się, deformował i dewaluował, a wraz z nim traciły sens wszystkie tradycyjne punkty odniesienia.**

**Krzyki ucichły. Kobiety nie spały: siedziały objęte i wpatrywały się w ciemne drzwi, czekając, kiedy się otworzą.**

**Łoskot i zgrzyt otwierających się wrót zapowiedział, że nadchodzi ich kolej. Arja właściwie przyjęła ten fakt z ulgą. Czarny czas oczekiwania spędziła napięta do granic możliwości; gdyby potrwało to jeszcze trochę, pękłaby jak zbyt mocno wygięta witka.**

**Tym razem procedura wyboru była krótka. Cień cuchnący piwem, potem i urynął chwycił Arję za rękę i wyciągnął na dwór, wprost w piekielną poświatę ognisk. Na**



placu stały wozy pełne nagich kobiet o twarzach zasłoniętych włosami. Niektóre miały we włosach krew. Na bruku, w splotach i kałużach własnych wnętrzności, leżało kilka niehumanoidalnie powykęcanych ciał. W jednym z ognisk płonęło coś, co wyglądało jak pień małego drzewa i tylko unoszący się z niego ohydny smród w niczym nie przypominał zapachu palonego drewna.

Mężczyzna, który przyprowadził Arję, szarpnął ją za ubranie. Był niski i – ku jej zdumieniu – nie miał śniadej skóry ani ciemnych oczu. Wyglądał jak Torunnanin.

–Rozbieraj się – powiedział po normannijsku. – Szybko.

Zrobiła, co kazał. Na całym placu kobiety rozbierały się na oczach kilkuset wpatrzonych w nie żołnierzy. Arja została w samej koszuli, niezdolna uczynić następnego ruchu. Otępienie, które wcześniej czuła, ustąpiło; czuła narastający strach.

Przypominający Torunnanina Merduk roześmiał się, pociągnął z butelki i zdarł z dziewczyny koszulę. Otaczająca go grupa kompanów pożerała ją wzrokiem. Kiedy Arja próbowała zasłonić swoją nagość, któryś uderzył ją po rękach. Byli pijani i rozbawieni. Niektórzy mieli rozpięte spodnie. Ich zwisające, wilgotne członki lśniły w świetle ognisk. Znów usłyszała trzepot czarnych skrzydeł strachu. I znów ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości.

Żołdacy rozmawiali po merducku, swobodnie i poufale jak robotnicy, którzy po pracowitym dniu spotkali się przy piwie. Dwóch złapało ją za ręce, dwóch innych rozchyliło jej kolana. Mały niby-Torunnanin chwycił mocniej butelkę i wepchnął ją Arji między uda.

Krzyknęła z bólu, szarpiąc się bezradnie w rękach czterech trzymających ją mężczyzn. Mały Merduk poruszał butelką w górę i w dół, a kiedy w końcu ją wyjął, była czerwona i śliska od krwi. Mruknął znacząco do swoich towarzyszy, napił się i zacmokał teatralnie.

Kiedy przycisnęli ją zgiętą w pół do sterty połamanych mebli, drzazgi pokaleczyły jej piersi i brzuch. Jeden z żołnierzy wszedł w nią od tyłu; poczuła, jak rozpiera jej okaleczone wnętrze. Został tylko ból, oślepiające światło i ręce, które trzymały ją tak mocno, że straciła czucie w ramionach. Coś miękkiego napało na jej wargi. Poczuła odrażającą woń i wykręciła głowę, ale wtedy ktoś złapał ją za głowę i powiedział po normannijsku:

–Otwórz!

Wzięła to coś do ust, poczuła, jak rośnie, sztywnieje i wsuwa się coraz głębiej, aż do gardła. Zakrztusiła się. Jakaś ciepła ciecz spłynęła jej po plecach, rozległy się przekleństwa i śmiechy. Poczuła w ustach tryskający rytmicznie, słony, wstrętny

**płyn. Dławiący ją obiekt zmiękł i wysliznął się spomiędzy jej warg. Zwymiotowała. Wymiociny zdawały się parzyć jej język i usta, ale i tak ich smak wydał się jej dziwnie czysty.**

**Puścili ją. Osunęła się na twarde, zimny, mokry bruk. Skończyło się, pomyślała. Już po wszystkim.**

**I wtedy pojawiła się następna grupa żołnierzy. Roztrącili tych pierwszych i podnieśli ją z ziemi.**

Zapach spalenizny niósł się daleko w porannym powietrzu, dym snuł się nad błękitnym widnokręgiem. Jeźdźcy bez pośpiechu oporządzili wierzchowce, zebrali się na placu i zjedli wygrzebane z juków śniadanie. W końcu rozległy się rozkazy i żołnierze dosiedli koni, obciążonych bukłakami, trzepoczącymi kurczakami, belami materiałów i dźwięczącymi sakiewkami. Oficerowie już wyjechali z Beronny i czekali na pagórku na południe od miasta. Towarzyszyło im stadko wystrojonych dowódców głównej armii. Nad ich głowami dumnie powiewały jedwabne proporce, targane nasilającym się wiatrem.

Ciężko objuczona kawaleria sformowała wreszcie szyk i zaczęła opuszczać wypatroszone zwłoki Beronny. Niektórzy jechali z ponurymi minami i bólem głowy, inni drzemali w siodłach, jeszcze inni sprawiali wrażenie wciąż upojonych nocnym szaleństwem. Kierowali się na południe, gdzie niecałe dwie mile dalej rozpościerał się olbrzymi merducki obóz. Wschodzące pomarańczowo słońce świeciło im z lewej strony w oczy, a za ich plecami dymiło miasto. Niedaleko końca wijącej się kolumny podskakiwało na wybojach kilka wozów, zaprzężonych w muły, konie pociągowe i oderwane od pługa woły. Na wozach jechała gromada nagich, zakrwawionych, apatycznych i milczących jak posągi istot ludzkich. Otaczający ich sułtańscy żołnierze śpiewem witali nowy dzień.

Arja siedziała z głową opartą na kolanach, próbując odciąć się od świata. Ocalałe z rzezi kobiety tuliły się do siebie na wozach, szukając ciepła i pociechy. Niektóre szlochały bezgłośnie, większość jednak miała suche policzki i błędziła myślami gdzieś daleko. Dlatego też ledwie zauważyły, kiedy Merducy przestali śpiewać.

Wóz stanął. Ludzie zaczęli krzyczeć. Arja podniosła głowę.

Kolumna kawalerii zbiła się w bezładną kupę, nad którą nikt nie umiał zapanować. Co się stało? Merducy w panice pozbywali się łupów, niektórzy sięgali po pistolety, oficerowie zdzierali sobie gardła, próbując zaprowadzić porządek.

W końcu Arja dostrzegła przyczynę tej nagłej zmiany. Na stoku wzgórza za zgliszczami Beronny pojawił się długi, liczący tysiące ludzi szereg zbrojnych. Byli jeszcze dobrą milę od Merduków, ale zbliżali się biegiem. Nosili czarne mundury, mieli pistolety i piki. Nacierali z wyćwiczoną, nieludzką bezwzględnością, jak bezlitosna maszyna.

–Wojsko! – zawołała któraś z kobiet, rozradowana tym widokiem. – Torunnańska armia!

Znajdujący się najbliżej niej Merduk ciął ją bułatem na odlew w głowę. Trup spadł z wozu.

Jeszcze przez chwilę Merducy wahali się, jak się zachować, a potem cały oddział ruszył rozpaczliwym galopem na południe. Wraz z porzuconymi łupami zostawili także wozy.

Powrót do rzeczywistości był bolesny niczym powtórne narodziny. Arja uklękła na zakrwawionych kolanach, żeby lepiej widzieć, co się dzieje. Łzy pociekły jej po twarzy.

Ziemia pod kołami wozów drżała jakby od podziemnego grzmotu, który oddziaływał jednocześnie na słuch i zmysł dotyku. Torunnanie rozdzielili się jak fala i omijali wypalone miasto, nie tracąc impetu. Ale nie mieli szans dogonić kawalerii: Merducy byli na koniach, a ci tutaj biegli. Nienawiść zapłonęła w sercu Arji białym, oślepiającym płomieniem. Uciekną! Zabili jej ojca i brata i ujdzie im to płazem!

Grzmot jeszcze się nasilił, przechodząc w słyszalny łoskot, jakby pod wrzosowiskiem i kamieniami płynęła wartka podziemna rzeka.

I wtedy się pojawili. Wyglądali jak jeźdźcy apokalipsy: olbrzymia masa konnych wynurzyła się zza ciągnącej się na południu grani, żeby uderzyć z boku na uciekających Merduków. Ponad ogłuszający tętent kopyt wzbił się czysty dźwięk rogu. Jeźdźcy mieli czerwone zbroje. Śpiewali.

Kiedy Merducy oglądali się przez ramię, Arja nawet z tej odległości widziała malujące się na ich twarzach przerażenie. Poganiali konie rozpaczliwymi kopniakami, odrzucali resztki zrabowanych skarbów, broń, nawet hełmy. Ale i tak byli za wolni.

Czerwoni jeźdźcy wbili się w tłum Merduków jak szkarłatna błyskawica. Arja widziała, jak lekkie merduckie koniki koziółkują w locie, wyrzucone w powietrze siłą zderzenia. Jakiś merducki żołnierz zadygotał w przedśmiertnych skurczach, wydzwignięty w górę na ostrzu lancy. Nieprzyjacielska kawaleria topniała w oczach, wchłonięta przez czerwoną falę; setki ludzi umierały w każdej sekundzie. Kilkudziesięciu Merduków, którym udało się wyrwać z morderczego młyna, kontynuowało desperacką ucieczkę w stronę obozu. Znacznie większa ich liczba próbowała uciekać pieszo, wyjąc przeraźliwie, ale jeźdźcy w szkarłacie polowali na nich jak na króliki; nadziewali ich na włócznie albo tratowali kopytami koni.

Znów zagrał róg. Konni przerwali pościg za bezbronnymi ofiarami i sformowali szyk. Nad ich głowami łopotał czerwono-czarny proporzec, ozdobiony rysunkiem, którego Arja nie potrafiła zidentyfikować. Starcie trwało najwyżej trzy, cztery minuty.

Torunnariska piechota właśnie mijala wozy. Pot spływał po twarzach zdyszanych mężczyzn o oczach błyszczących jak szkło. Nacierali równym szeregiem, jakby złączeni niewidzialnym łańcuchem. Z ich gardeł dobywał się nieartykułowany, na wpół zwierzęcy ryk. Jeden z nich w przelocie złapał Arję za rękę i pocałował ją, zanim

dołączył do reszty. Niektórzy płakali w biegu, ale nikt nie złamał szyku. Gryzący dym z wolnopalnych lontów przesycił powietrze niczym wojenne perfumy. Kiedy zrównali się z konnymi, ci rozdzielili się i zajęli pozycje na skrzydłach. W takiej formacji ponownie ruszyli naprzód, tym razem forsownym marszem, jak niepowstrzymana fala przyływu pochłaniając dystans dzielący ich od obozu Merduków.

Była to z pewnością jedna z najwspanialszych chwil w życiu Arjy.

# TRZYNAŚCIE

Ceremonia była prosta i pozbawiona przepychu, zgodnie z tradycją rozległego stepu, na którym powstała. Odbędzie się na świeżym powietrzu, pod majaczącymi w tle ośnieżonymi wierzchołkami Thurianu. Ruiny murów Wału Ormanna jak starożytne pomniki piętrzyły się nad tłumem, a spieniony Searil płynął wartko na zachód.

Dwa tysiące merduckich kawalerzystów, odzianych w piękne, galowe mundury, z trzech stron otaczało zebraną pośrodku grupkę, tworząc trzy z czterech boków kwadratu wokół niej. Czwarty bok stanowiło podwyższenie osłonięte i zadaszone przezroczystym muślinem. Wiatr porywał i skręcał delikatną materię jak dym, odsłaniając siedzące na czerwono-złoty poduszkach sułtańskie konkubiny i blade, podobne do posągów sylwetki eunuchów za ich plecami. U stóp podium zebrała się gromada kolorowo ubranych postaci, obwieszonych fortuną w złocie i klejnotach, które słały odbłyśki słonecznego światła na wszystkie strony. Za plecami konnych stał tuzin słoni, tak jaskrawo pomalowanych, że trudno było je rozpoznać, obwieszonych jedwabiami i brokatem, opiętych zdobionymi złotem uprzężami. Na ich grzbietach, obok olbrzymich bębnow, rozsiedli się merduccy muzykanci z rogami i piszczałkami. Na początku uroczystości bębny odezwały się grzmotem, który do złudzenia przypominał artyleryjską kanonadę – albo łoskot nadciągającej z gór nawałnicy. Potem zapadła cisza, którą mącił tylko szept wiatru wśród wzgórz północnej Torunny.

Mehr Jirah stał obok Aurungzeba, sułtana Ostrabaru, i Ahary, jego nałożnicy. Sułtan w prawej ręce trzymał wodze pięknego rumaka bojowego, w lewej zaś – stary, zabytkowy bułat. Miał na sobie skóry i futra, jakie nosili pradawni wodzowie stepowych plemion. Strój Ahary był równie skromny: okrywał ją długi płaszcz z wełny, a twarz skrywała płócienna zasłona.

Mehr Jirah krzyknął coś po merducku. Dwa tysiące jeźdźców odpowiedziały uderzeniem lanc o tarcze i okrzykiem aprobaty. Tak, godzą się na zawarcie tego związku i uznają tę kobietę za pierwszą małżonkę sułtana i swoją królową.

Aurungzeb podał Aharze wodze i złożył jej u stóp broń, która ongiś należała do jego dziada. Ahara lekkim krokiem przestąpiła nad ostrzem. Rozległy się chóralne wiwaty, muzycy zawtórowali im ogłuszającą kakofonią. Mehr Jirah podał królewskiej parze misę z kobyliim mlekiem. Oboje napili się, pocałowali – i ceremonia dobiegła końca. Aurungzeb, sułtan Ostrabaru, miał nową żonę, która niebawem miała mu urodzić prawowitego dziedzica.

Przygotowano dla niej nowe apartamenty w wieży na Wale Ormanna. Okna wychodziły na wschód, na Searil; rozciągał się z nich rozległy widok w kierunku Aekiru i leżących za nim merduckich ziem. Heria długi czas siedziała przy oknie, gdy armia służek i eunuchów pośpiesznie porządkowała pokoje, zapalała węgiel w piecykach, przestawiała meble, wykladała na stoły słodczyce i wina. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że jest obserwowana. Ktoś stał za jej plecami. Odwróciła się od okna – nadal odziana w stepowy strój, w którym brała ślub – i zobaczyła Serrima, przełożonego eunuchów. Obok niego stał wysoki Merduk w skórzanych spodniach do jazdy konnej i jedwabnej opończy, przewiązanej w pasie szeroką szarfą, za którą miał zatknięty nóż. Mężczyzna był chudy i ogorzały, brodę miał bielusińką jak morską sól, a oczy szare jak oczy Herii. Patrząc ponad jej ramieniem, utkwiał wzrok w krajobraz za oknem. Musiał mieć ponad sześćdziesiąt lat, ale nosił się prosto i dumnie, jak człowiek znacznie młodszy.

–Słucham?

Dopóki była zwykłą nałożnicą, Serrim zachowywał się wobec niej brutalnie i arogancko. Odkąd awansowała i dołączyła do szeregów merduckiej arystokracji, przeistoczył się w pochlebcę, za co serdecznie go znieubiła.

–Pani, Jego Wysokość przysyła shahra Baraza, który ma być twoim osobistym sługą.

Szczupły Merduk spuścił wzrok i pierwszy raz spojrzął jej w oczy. Ukłonił się bez słowa.

–Osobistym sługą? Mam całą armię służących.

Shahr Baraz sprawiał wrażenie, jakby znacznie lepiej czuł się na koniu z mieczem w ręce, niż w apartamentach damy.

–Będzie twoim gwardzistą. Ma cię pilnować dzień i noc.

–Gwardzistą... – powtórzyła Heria w zadumie. Coś jej się przypomniało. – Czy to nie shahr Baraz dowodził armią, która zdobyła Aekir? Myślałam, że jest starszy i... i że nie ma go już wśród nas.

–To jest syn dostojnego kedywa, pani.

–Rozumiem. Zostaw nas samych, Serrimie.

–Pani, ja...

**–Wyjdź. Wszyscy wyjdźcie. Później dokończycie sprzątanie.**

**Służące natychmiast opuściły pokój. Eunuch, choć bez entuzjazmu, poszedł w ich ślady. Heria odczuła krótką chwilę satysfakcji, zanim wróciło znajome przygnębienie.**

**–Napijesz się wina, shahr Barazie?**

**–Nie, pani, dziękuję. Mam swoje zasady.**

**–Rozumiem. A więc jesteś moim gwardzistą. Przed kim zamierzasz mnie chronić?**

**–Przed wszystkimi, którzy chcieliby cię skrzywdzić.**

**–A ten język znasz? – Heria przeszła na normannijski.**

**Merduk zawahał się. Na jego napiętej szczęce drgnął mięsień. Twarz szpeciła mu długa blizna, przecinająca policzek i ginąca w brodzie.**

**–Trochę – odparł również po normannijsku.**

**–Zobaczmy, czy zrozumiesz, co teraz powiem. Uważam cię za szpiega, nasłanego przez sułtana. Aurungzeb chce, żebyś miał mnie na oku i meldował mu o każdym moim ruchu. Mam rację?**

**–Nie jestem szpiegiem! – zaprotestował ostro shahr Baraz.**

**–To dlaczego sułtan przydzielił zdolnemu synowi słynnego ojca tak mierny urząd?**

**W szarych oczach Merduka błysnął ogień.**

**–Za karę – odparł. Tym razem jego normannijski był perfekcyjny.**

**–A za co niby miałby cię karać?**

**–Za to, że jestem synem mojego ojca. Sułtan uważa, że ojciec go zawiódł, kiedy nasza armia stanęła pod murami tej twierdzy.**

**–Czyli twój ojciec nie żyje, tak?**

**–Nie... Tego nie wiem. Zniknął. Odszedł w góry, ponieważ nie chciał wracać na dwór, gdzie... zostałby pociągnięty do odpowiedzialności.**

**–Mówisz po normannijsku lepiej niż myślisz – zauważyła po merducku Heria.**

**–Nie jestem szpiegiem – powtórzył shahr Baraz. – Nawet sułtan nie obsadziłby mnie w takiej roli. Moja rodzina od pokoleń służy ostrabarskiemu rodowi królewskiemu.**



**Nie zawiodę zaufania sułtana ani twojego, pani. Przysięgam. A poza tym... – W jego głosie dała się słyszeć lekka, wesoła nuta. – W haremie jest już dość szpiegów. Po co sułtanowi następny?**

**Heria musiała przyznać, że Merduk da się lubić.**

**–Masz rodzinę?**

**–Żonę i dwie córki. Zostały w Orkhanie.**

**Z pewnością jako zakładniczki, które gwarantowały jego posłuszeństwo.**

**–Dziękuję, shahr Barazie. Możesz odejść.**

**Merduk ani drgnął.**

**–Mam rozkaz nie odstępować cię na krok.**

**–Nawet na krok? – Heria uniosła pytająco brew.**

**Shahr Baraz poczerwieniał.**

**–Tak, pani. Przynajmniej dopóki nie będzie to przekraczało granic dobrego wychowania.**

**Heria popadła w rozpacz. Skapitulowała.**

**–Niech i tak będzie.**

**A zatem mury więzienia pozostały mocne i niewzruszone jak dawniej. Mogła sobie zarządzać gromadą lizusów, ale jej pozycja nic a nic się nie zmieniła. Była naiwna, licząc, że będzie inaczej.**

**Odwróciła się i wyjrzała przez okno. Ból oczywiście nie zniknął, ale zdołała nad nim zapanować, prześliznąć się obok niego jak podróżnik, który omija bezdenne trzęsawisko. Gdzieś tam, za wschodnim horyzontem, stały ruiny Aekiru, w których pogrzebane zostało jej poprzednie życie. Człowiek, z którym je dzieliła, wciąż żył. Corfe żył. Gdzie był teraz? Gdzie był jej jedyny prawdziwy mąż? Wiadomość o tym, że żyje, oddycha i stąpa po ziemi sprawiła jej wyłącznie ból. Dziwnie się czuła z tym, że nie potrafi się cieszyć. Skarciła się w duchu za ten brak entuzjazmu. Nosila w łonie dziecko innego mężczyzny, który teraz nazywał ją żoną. Ten nowy związek wyniósł ją wprawdzie do stanu szlacheckiego, ale zarazem skazał na życie w złotej klatce. Tymczasem jej Corfe żył! I prowadził wojnę przeciw światu, który stał się jej światem.**

**Miała ochotę umrzeć.**

**Ale nie mogła. Była brzemienna. Nie było to dziecko Corfe'a, ale i tak miała bezcenny skarb, coś, co naprawdę do niej należało. I to dla niego musiała żyć. Może nawet zdoła jakoś pomóc Corfe'owi i Torunnamom, którzy kiedyś byli przecież jej rodakami.**

**Tylko ta męka, ten okrutny, przeszywający ból...**

**–Shahr Barazie... – odezwała się nie odwracając.**

**–Tak, pani?**

**–Potrzebuję... potrzebuję przyjaciela.**

**Oczy się jej zaszklily, zapiekły od łez, głos zadrżał od tłumionego szlochu, przypominającego łopot łabędzich skrzydeł.**

**Poczuła na czubku głowy dotyk ręki. Shahr Baraz niemal natychmiast cofnął dłoń, ale i tak była to pierwsza od niepamiętnych czasów oznaka szczerzej czułości, którą jej okazano. Coś w niej pękło. Schyliła głowę i rozplakała się na dobre. Kiedy doszła do siebie, shahr Baraz klęczał przed nią na jednym kolanie i gładził ją delikatnie po rękę.**

**–Merducka królowa nie powinna płakać – powiedział łagodnym tonem. Uśmiechnął się.**

**–Dopiero od rana jestem królową. Może się przyzwyczaję.**

**–Osusz oczy, pani. Tusz spływa ci po twarzy. O, proszę.**

**Kciukiem starł jej tusz z policzka. Kwef spadł jej z twarzy.**

**–Mężczyzna, który dotknie którejś z kobiet sułtana, straci dłonie – upomniała go.**

**–Ja nikomu nie powiem. A ty, pani?**

**–Ja też nie. – Heria wzięła głęboki wdech. – Musisz mi wybaczyć. Dzień zaczął się tak ekscytująco...**

**–Jedna z moich córek jest mniej więcej w twoim wieku. Modłę się, żeby nigdy nie cierpiała tak jak ty. Wolałbym, żeby dożyła kresu swoich dni w filcowym namiocie u boku ukochanego mężczyzny niż... – Shahr Baraz umilkł i wstał. – Wezwę służące, pani. Pomogą ci poprawić makijaż. Nie powinienem przebywać z tobą sam, mimo że jestem starym człowiekiem. Sułtan byłby niezadowolony.**

**–Zaczekaj. Jeżeli chcesz mi wyświadczyć przysługę, każ przysłać do mnie tego małego ramusiańskiego mnicha. Chciałabym z nim porozmawiać. Jest uwięziony na**

**któryś z niższych pięter wieży.**

**–Nie wiem czy...**

**–Proszę, shahr Barazie.**

**Merduk skinął głową.**

**–Jesteś królową, pani.**

**Uklonił się i wyszedł.**

**Królową, powtórzyła w myślach Heria. Więc na tym polega królowanie? Przypomniała sobie piekło Aekiru i merduckiego żołdaka, który ją zgwałcił. Płomienie odbijające się w jego oczach niczym ognie piekielne. Straszna podróż na północ. Torunnan Johna Moga, zakutych w dyby, idących obok wozów. Tysiące ukrzyżowanych ludzi. Niemowlęta porzucone w śniegu na pewną śmierć. Tyle wspomnień. To one zmieniły część jej umysłu w martwą pustkę, od której musiała się odgradzić murem, żeby nie oszaleć.**

**Na jedną błogosławioną chwilę została całkiem sama. Nie było przy niej gromady nałożnic, wiecznie spiskujących, rozkapryszonych, skarżących się na wyimaginowane niedogodności. Mogła stanąć przy oknie, spojrzeć na kraj, który kiedyś był jej krajem, i poczuć się wolna. Nazwała się Heria Cear-Inaf, nie była żadną królową, tylko zwyczajną córką kupca jedwabnego i mogła swobodnie dysponować swoim sercem.**

**–Na brodę Proroka, cóż to ma znaczyć?! Jesteś sama? Na zęby Boga, tak być nie może. Gdzie ten łotr Baraz? Każę go wychłostać.**

**Sułtan Ostrabaru wpadł do komnaty jak huragan, otoczony przez oficerów sztabowych. Znowu – jak zwykle – pławił się w złocie i klejnotach, a lamowany futrem płaszcz wirował wokół niego jak chmura. Zakrzywione czubki butów były ozdobione srebrnymi pomponami.**

**Heria pośpiesznie zasłoniła twarz.**

**–Wysłałam shahra Baraza z pewną drobną misją, mój panie. To nie jego wina. Chciałam się przekonać, czy naprawdę będzie na każde moje zawołanie.**

**Aurungzeb wybuchnął tubalnym śmiechem. Pocałował ją przez kwef, przyciskając usta do jej ust z taką siłą, jakby chciał je posiniaczyć.**

**–Pięknie, moja żono, pięknie. Jego rodzinie przyda się odrobina pokory; zbyt wiele obowiązków próbują brać na siebie. Ale widzę, że poznałaś się na moim żarcie. W**

kwaterach oficerskich wrze: Baraz usługuje kobiecie! Poganiaj go ostro, to mu dobrze zrobi. Ale co widzę, ty jeszcze nie zdjęłaś ślubnej sukni! Ściągaj te stare szmaty. Tradycja tradycją, ale moja pierwsza małżonka nie może wyglądać jak stepowa żebraczka. Gdzie twoja służba? Następnym razem skopię Serrimowi to jego tłuste dupsko.

–Służący przygotowują dla mnie szaty – zełgała gładko Heria. – Kazałam im się tym zająć, ale są tacy opieszali...

–O tak, tak. Dlatego musisz być wobec nich stanowcza. Każ paru wybatożyć, a od razu zaczną ci nadskakiwać jak się patrzy. – Aurungzeb objął ją i przytulił. Czubkiem głowy ledwie sięgała mu do podbródka, chociaż jak na kobietę i tak była dosyć wysoka. – Ach, co za piękne ciało! Nie wiem, jak się bez niego obejdę do chwili narodzin dziecka. – Zanurzył twarz w jej włosach. – No, muszę uciekać, moja królowo. Shahr Johorze, znajdź mi zaraz te przeklęte służki. Kto to widział, żeby moja małżonka siedziała sama w komnacie jak jakaś płaczka żałobna! I przyślijcie tu jakieś meble, najlepiej te dostarczone z Aekiru.

Aurungzeb rozejrzał się po komnacie. Dopóki Wał się bronił, wchodziła w skład apartamentów Pietera Martellusa, które były urządzone istic po spartańsku.

–Nędzne to pokoje dla kobiety, choć lepsze niż rozbity w polu namiot. Będziemy musieli trochę je upiększyć. Może każę oszczędzić tę wieżę, żeby stała tu jako pomnik? Ale naprawdę na mnie już czas. Zjemy razem kolację, Aharo. Zaprosiłem ambasadorów. Znad morza przyślą nam homary. Jadłaś kiedy homara? O, jest i shahr Baraz. Co ty sobie wyobrażasz? Dlaczego zostawiłeś królową samą?!

Shahr Baraz stanął w progu z nieprzeniknioną twarzą.

–Proszę o wybaczenie, sułtanie. To się więcej nie powtórzy.

–Obyś się nie mylił, Barazie. Coś mi się widzi, że moja łania z zachodu zabawiła się twoim kosztem. – Aurungzeb zniżył głos i szepnął półgębkiem do Herii: – Bardzo przypomina swojego okropnego ojca. I jest tak samo krnąbrny. Trzeba go krótko trzymać, kochanie, to jedyny sposób. No, idę już. Włóż dziś niebieską suknię, tę z Nalbeni. Podkreśla kolor twoich oczu.

Sułtan wyszedł z komnaty, a po chwili jego głos zadudnił w korytarzu. Oficerowie z trudem nadążali za władcą.

Przed przybyciem Albreca Heria zdążyła pozbyć się surowych ślubnych szat. Błękitny jak bezchmurne niebo jedwab spowijał ją teraz od stóp do głów, na głowie miała srebrny diadem, a wyrazisty makijaż podkreślał wyczierające znad kwefu oczy. Odpoczywała półleżąc na niskiej otomanie, w otoczeniu pół tuzina siedzących na poduszkach dwórek.

Wysoki, starszy Merduk, którego Albrec widział pierwszy raz w życiu, stał przy drzwiach, wyprężony jak struna. Surowość ścian łagodziły wiszące na nich haftowane zasłony i kolorowe kobierce. W złotej kasolecie dymiło kadzidło. Kilka ażurowych piecyków, wypełnionych rozżarzonym do czerwoności węglem drzewnym, promieniowało przyjemnym ciepłem. Trzy dziewczynki podtrzymywały żar, dyskretnie dmuchając w kosze powietrzem z małych miechów. Ubogi mnich o zdeformowanym ciele zupełnie nie pasował do urządzonych z gustownym przepychem komnat.

Serrim szturchnął go pod żebro i Albrec posłusznie się uklonił.

–Wasza Wysokość, chyba powinienem ci pogratulować zamążpójścia.

–Usiądź, ojczy – odparła po chwili zastanowienia królowa. – Rokzanne, wino dla gościa.

Albrecowi podano taboret i srebrny pucharek pełen cienkiego, gryzącego płynu, który Merducy z upodobaniem nazywali winem. Nie odrywał wzroku od zasłoniętej twarzy władczyni.

–Przyjęłabym cię skromniej, ale Serrim uparł się, żebym zaczęła się zachowywać jak na moją obecną pozycję przystało.

Albrec rozejrzał się po pokoju, którego wystrój łączył cechy koszar i burdelu.

–To godne podziwu – mruknął.

–Owszem. Chodź, pokażę ci widok z tarasu.

Heria podała mnichowi rękę. Albrec wstał niezdarnie i ujął jej dłoń w resztki swojej. Wśród kobiet rozległy się szmery i szepty.

Wyszli na taras, z którego rozciągał się widok na ruiny fortyfikacji. Rześki wiatr dmuchnął im w twarze. Mur został zburzony. Tysiące żołnierzy mozoliły się przy ładowaniu gigantycznych skalnych bloków na barki i przewożeniu ich na drugi brzeg Searilu. Tam, po wschodniej stronie rzeki, powstawały już fundamenty nowej twierdzy. Wieża, w której się znajdowali, wkrótce miała być jedyną pozostałością

wielkiego dzieła Kaile'a Ormanna. Tysiące torunnańskich niewolników miały zatamować i zasypać fosę. Planowano odbudowę pomniejszych fortyfikacji na wyspie oraz budowę barbakanu w miejscu dotychczasowego muru. Aurungzeb budował lustrzane odbicie Wału Ormanna, zwrócone na zachód zamiast na wschód.

–Opowiedz mi o nim, ojcie – szepnęła Heria. – Mów, co wiesz. Szybko.

Służące i eunuchowie nie spuszczały ich z oka. Kiedy Albrec przemówił, skowyt wiatru niemal zagłuszał jego słowa:

–Niektórzy mówią, że odrodził się w nim sam John Mogen. Zaskarbił sobie łaski torunnańskiej królowej. Nie ulega wątpliwości, że to dzięki niej został wodzem naczelnym armii. Doszło do tego już po moim wyjeździe ze stolicy. Wiem, że walczył tu, na Wale, a potem na południu. Jego rozkazów słuchają nawet Fimbrianie.

–Jak on teraz wygląda?

Albrec spojrział na Herię. Ponad kwefem była blada jak kość słoniowa. Gruba warstwa farby na powiekach upodabniała jej zaciętą twarz do maski.

–Nie dręcz się, Herio.

–Mów.

Mnich cofnął się pamięcią do krótkiego spotkania na drodze do Torunnu. Miał wrażenie, że od tamtej pory upłynęły wieki.

–Bardzo cierpi. Widać to po jego twarzy i oczach. Jest szorstki w obejściu.

Jest zabójcą, dodał w myślach. Jednym z tych ludzi, którzy odkryli, że ich powołaniem jest zabijanie, tak jak artysta odkrywa, że umie rzeźbić czy komponować muzykę.

Nie powiedział tego na głos.

Merducka królowa stała nieruchomo. Wiatr odwiewał jej kwef jak smugę dymu.

–Dziękuję ci, ojcie.

–Może lepiej by było, pani, żebyś wróciła do komnat? – zabrzmiał za nimi piskliwy głos eunucha. – Robi się zimno.

–Masz rację, Serrimie. Zaraz przyjdziemy. Pokazywałam ojcu Albreceowi fundamenty nowej warowni naszego sułtana. Chciał je zobaczyć. – Zniżając głos, dyskretnie zwróciła się do mnicha: – Muszę cię stąd wyprawić, żebyś wrócił do Torunnu. Pomożemy mu wygrać tę wojnę. Ale nie mów mu, kim jestem. Jego żona nie żyje,

rozumiesz? Nie żyje.

Albrec skinął tępo głową i w ślad za Herią wrócił do ciepłego, pachnącego wnętrza.

# CZTERNAŚCIE

Padał deszcz, kiedy zmęczeni ludzie i konie gęsiego wchodzili przez wschodnią bramę. Pod ich nogami trakt zmienił się w głębokie do tydek grzęzawisko. Kolumna wycieńczonych żołnierzy ciągnęła się całymi milami na północ od miasta, a jej koniec ginął pośród wzgórz. Mniej więcej w środku szyku podążała pstrokata karawana złożona z kilkuset wozów, na których skuleni z zimna jechali milcząco, przemarznięci cywile; niektórzy naciągnęli na głowy natłuszczone płachty, inni, odrętwiali, zdawali się nie zauważać siąpiącego deszczu. Prawie przy każdym wozie szła grupka brudnych żołnierzy, którzy co i rusz musieli wyciągać jego koła z mlaskającego blocka. Cały ten niby-wojskowy konwój wyglądał co najmniej dziwacznie.

Corfe, Andruw, Marsch i Formio stali z boku, patrząc, jak ich armia i znajdujący się pod jej opieką ludzie wchodzą do Torunnu. Strażnicy miejscy tysiącami wylegli na mury, aby obejrzeć tę smutną procesję, a ponieważ dołączyły do nich tłumy wścibskich mieszczan, na blankach wkrótce nie było gdzie szpilki wetknąć. Nikt się nie cieszył, nikt nie wiwatował – nikt nie wiedział, czy obserwuje powrót zwycięzców, czy odwrót pokonanych.

–Jak myślicie, ilu ich w sumie jest? – zapytał Andruw.

Corfe przetarł zalewane deszczem oczy.

–Pięć, może sześć tysięcy.

–Dwa do trzech tysięcy Merducy zabrali ze sobą.

–Wiem, Andruw. Wiem. Ale przynajmniej ci tutaj są chwilowo bezpieczni. A zanim zarządziliśmy pościg, armia się nam posypała. Dobrze, że przynajmniej na jakiś czas wyzwoliliśmy północ kraju.

–Merducy są jak pies, który nie rozumie tresury – wtrącił Formio. – Kiedy się na ciebie rzuca, dostaje po pysku, więc przypada do ziemi. Ale za chwilę znów atakuje.

–Istotnie. – Andruw uśmiechnął się pod wąsem. – Uparte z nich łotry, to im trzeba przyznać.

Dowodzone przez Corfe'a wojsko pod Beronną praktycznie zmiotło z powierzchni ziemi armię nieprzyjaciela. Runęli na Merduków, kiedy ci rozpaczliwie próbowali sformować szyki przed obozowiskiem. Kiedy jednak obrona została przełamana, a wróg zepchnięty w głąb obozu, bitwa przerodziła się w bezładną rąbaninę. W namiotach znaleziono tysiące pobitych, zniewolonych torunnańskich kobiet, spędzonych z okolicznych miast ku uciechu merduckich żołdaków. Na ich widok podwładni Ranafasta wpadli w szal. Bez litości mordowali każdego Merduka, jaki im



**się napatoczył. Corfe szacował straty nieprzyjaciela na jedenaście tysięcy zabitych.**

**Kiedy jednak armia Torunny wdała się w rzeź na terenie obozu, kilka tysięcy żołnierzy wroga wymknęło się drugą stroną, zabierając ze sobą znaczną liczbę jeńców. Wyczerpani ludzie Corfe'a nie byli w stanie ich ścigać, tym bardziej że kąśliwy wiatr od gór przyniósł akurat śnieżycę. Pościg zarzucono więc i po pogrzebaniu czterystu własnych zabitych armia ruszył w długi marsz na południe. Wozy spowalniały pochód, a żołnierze musieli dzielić się resztkami zapasów z ocalonymi cywilami – efekt był taki, że nie jedli od trzech dni, a połowa Katedralników wróciła do Torunnu pieszo. Kiedy wycieńczone konie padały jeden po drugim, wygłodniali żołnierze zjadali je tego samego dnia. Z sześciuset pięknych rumaków zostały tylko ogryzione gnaty, rozwłócone po północnym trakcie.**

**Ale, upomniał się w duchu Corfe, kampania zakończyła się sukcesem. To, że nie potrafił się z tego cieszyć, to już inna sprawa.**

**–Piwo – rozmarzył się Andruw. – Duży kufel, z pianką. I kawał sera, ale taki solidny, po byku. I jabłko.**

**–Świeży chleb – dorzucił Marsch. – Z miodem. Z czymkolwiek, byle nie z mięsem. Przez miesiąc nie wezmę mięsa do ust. A koniny to już w życiu nie tknę. Wolę umrzeć z głodu.**

**Corfe pomyślał o apartamentach królowej, gorącej kąpieli, ogniu huczącym na kominku. Od tygodnia nie zdejmował butów, stopy miał przemoczone i opuchnięte. Paski pancerza porosły mu zielonkawą pleśnią, wzierająca spod czerwonej farby stal pokryła się żółtawym nalotem rdzy. Tylko klinga miecza Johna Mogeny błyszczała jak nowa. Pod paznokciami miał Corfe zakrzepłą merducką krew.**

**–Ludzie muszą odpocząć – stwierdził. – Trzeba uzupełnić wyposażenie i sprowadzić z południa świeże konie. Ciekaw jestem, jak sobie Rusio radził pod naszą nieobecność.**

**–Założę się, że nie ruszał za często tyłka sprzed kominka – prychnął Andruw. – Następnym razem weź ze sobą paru tych ołowianych żołnierzyków z garnizonu, Corfe. Niech sobie przypomną, jak to jest, kiedy wiatr wieje w oczy.**

**–Może tak zrobię, Andruw. Może... A na razie jedźcie do miasta. Dopilnujcie, żeby nasi ludzie dostali porządne kwatery. Nie dajcie sobie wciskać kitu, weźcie kwatermistrzów do galopu. O północy żołnierze mają być pijani na umór. Zasłużyli sobie na to.**

**–To czysta przyjemność, wykonać taki rozkaz – rozpromienił się Andruw. – Marsch? Formio? Słyszeliście. Mamy robotę.**

**–A pan, generale? – zapytał Fimbrianin.**

**–Chyba postoję tu jeszcze trochę. Obejrzę przemarsz wojsk.**

**–Daj spokój, Corfe, schowaj się przed deszczem – kusił Andruw. – Nie zagnają iść szybciej tylko dlatego, że tu stoisz.**

**–Nie, jedźcie sami. Muszę pomyśleć.**

**Andruw klepnął go w ramię.**

**–Tylko nie filozofuj za długo, bo piwa zabraknie.**

**Andruw i Marsch dosiedli swoich wychudzonych szkap i ruszyli w stronę bramy. Formio zwlekał z odejściem.**

**–Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, generale – mruknął.**

**–Wiem. Ale człowiek zawsze ma wrażenie, że to nie wystarczy.**

**Fimbrianin pokiwał głową.**

**–Nie wiem, czy to panu pomoże, ale moi ludzie cieszą się, że służą pod pańskim dowództwem. Wygląda na to, że w Torunnie też rodzą się prawdziwi żołnierze.**

**Corfe wbrew sobie uśmiechnął się.**

**–Wracaj do swoich, Formio – powiedział. – Dziękuję – dodał, zdając sobie sprawę, że właśnie usłyszał jedną z najcenniejszych pochwał w życiu.**

**Formio bez słowa ruszył w ślad za Andruwem i Marschem.**

\*

Stał bez ruchu, aż do chwili, gdy prawie godzinę później na horyzoncie pojawiła się straż tylna jego armii. Wtedy dosiadł konia i zjechał stępa w ich kierunku. Wierzchowce dwustu Katedralników, dowodzonych przez Ebra i Morina, niemal podpierały się nosami.

–Co słyhać, haptmanie? – zagadnął.

Ebro zasalutował. Pompatyczny młody oficer, którego Corfe poznał przed rokiem, zmienił się w doświadczonego dowódcę. Bardzo wydoroślał. Miał oczy weterana.

–Straciliśmy jeszcze pięć koni na ostatnich dwóch milach. Jutro chyba wszyscy szlibyśmy piechotą.

–Ani śladu nieprzyjaciela?

Ebro pokręcił głową.

–Są pewnie w pół drogi do Orkhanu, generale. Napelniliśmy ich serca najprawdziwszą bojaźnią Bożą.

–O to właśnie chodziło. Świetnie się spisałeś, Ebro.

Jeźdźcy w czerwonych zbrojach mijali ich stępa, brodząc w błotnistym strumieniu. Niektórzy podnosili wzrok i pozdrawiali dowódcę gestem. Wielu z nich miało przywiązane do łąków zasuszone głowy Merduków. Ciekawe, pomyślał Corfe, ilu jest wśród nich tych pierwszych, dawnych galerników. Poczekał, aż wszyscy go miną, i ostatni przejechał przez bramę. Okute żelazem wrota zamknęły się za nim z głuchym hukiem.

\*

Zrobiło się bardzo późno, zanim wreszcie wszedł do swoich komnat. Wcześniej zdążył odwiedzić rannych w szpitalach, wyteżając pamięć, żeby do każdego zwrócić się po imieniu. Przypominał sobie tych, którzy wyróżnili się w bitwie, i gratulował im odwagi. Jeden z cymbryckich barbarzyńców zmarł na jego oczach, kiedy Corfe ścisnął jego kościstą dłoń. Spędził tyle dni pod gołym niebem, jadł koninę, telepał się na twardym pościeli w pozbawionym resorów wozie – a wszystko po to, żeby przegrać tę ostatnią walkę w ciepłym łóżku, w czystej pościeli. Nie rozumiał ani słowa po normannijsku, ale zmarł z imieniem Corfe'a na ustach.

Zaszedł do stajni, żeby dopilnować, by ocalałe wierzchowce zostały otoczone należyłą opieką. Potem czekały go spotkania z kwatermistrzami, którzy odpowiadali

za należyte traktowanie sprowadzonych z północy cywilów. Większość dawnych merduckich jeńców zakwaterowano w domach mieszczan. Wreszcie przyszedł czas na kufel piwa w towarzystwie Andruwa, Marscha, Formia, Ranafasta i Ebra. Pili ciepłą ciec w hałaśliwych koszarach, na stojąco, stukając się kuflami, otoczeni tłumem raczących się tym samym piwem nagich i półnagich żołnierzy, którzy zdążyli się już pozbyć brudnych ubrań i zardzewiałych pancerzy. W końcu zostawił swoich oficerów i zataczając się poszedł do pałacu. Opuszczając ciepłe, przyjazne koszary czuł zarazem ulgę i żal.

W pałacu przywitał go tłum ludzi. Wszyscy kiwali głowami, kłaniali mu się, dotykali go z nabożeństwem. Przynajmniej raz ucieszył się, że otacza go tłum służby: rozpinali mu sprzączki u zbroi, zdejmowali buty, ktoś przyniósł ciepłą wełnianą opończę, ktoś inny napalił w kominku i pozamykał okiennice. Przynieśli dzbany z wrzątkiem, tace z jedzeniem i piciem. Gdyby im pozwolił, zapewne byli gotowi go umyć, ale wypędził wszystkich z komnaty i sam się sobą zajął. Nie miał dość siły, żeby po kąpeli sięgnąć po przygotowane ręczniki, więc siedział na ławie i gapił się w płomień, wyciągnąwszy nogi w stronę kominka. Na kamiennej podłodze uformowała się kałuża. Skórę miał bladą i pomarszczoną, pod paznokciami nadal tkwiły mu resztki ludzkiej krwi, ale nic go to już nie obchodziło. Był tak zmęczony, że nie chciało mu się nawet kosztować podanych smakołyków, chociaż napił się wina, żeby rozgrzało mu kości. Cieszył się, że może pobyć sam, w ciszy, i chwilowo nie musi podejmować żadnych decyzji. Rozkoszował się winem i słuchał, jak deszcz bębni w okna.

–Bądź pozdrowiony, zwycięzco – usłyszał. – A więc wróciłeś.

Nie odwrócił się.

–Wróciłem.

Torunnańska królowa stanęła w kręgu światła z kominka. Corfe nie słyszał, kiedy weszła do komnaty.

–Wyglądasz na wykończonego.

Miała na sobie zwyczajną płócienną suknię i rozpuszczone włosy, na których kładł się odblask ognia. Wyglądała jak młoda kobieta, która właśnie kładzie się spać.

–Czekałam na ciebie. Powiedziano mi jednak, że jesteś na mieście, z żołnierzami.

–Miałem sporo spraw do załatwienia.

–Nie wątpię. Nie było cię prawie sześć tygodni. Naprawdę nie mogłeś wygospodarować ani chwili dla swojej królowej? Opowiedzieć jej o kampanii?

**–Chciałem z tym poczekać do rana. O świcie mam spotkanie z oficerami sztabowymi.**

**Odelia przysunęła sobie krzesło.**

**–Opowiedz mi teraz, ale tak zwyczajnie, bez tego całego wojskowego żargonu.**

**Corfe spojrział w ogień przez wino w kieliszku, które nadawało mu szkarłatny kolor. Miał wrażenie, że w szkle bije małe serduszko.**

**–Nad Searilem, niedaleko Beronny, wytropiliśmy armię Merduków. Pobiliśmy ich. Pustoszyli okolicę, niewolili kobiety, mordowali mężczyzn. Kraj jest wyludniony, znaleźliśmy mnóstwo trupów. A powrót do Torunnu był... bardzo ciężki. Wozy spowalniały marsz, skończyło się nam jedzenie, straciliśmy połowę koni. Ale w sumie ponieśliśmy bardzo małe straty. Przesmyk Torrinu chwilowo jest bezpieczny.**

**–Pięknie. Moje gratulacje, Corfe. Twoja banda bohaterów znów spisała się na medal. Ilu Merduków tym razem zabiliście?**

**Corfe wrócił pamięcią do niewyobrażalnej rzezi w merduckim obozie. Wszelką dyscyplinę szlag trafił, obrońcy wili się w błocie, błagając o litość. Ludzie Ranafasta złapali dwustu Merduków, kiedy ci wypadli z namiotów. Poderżnęli im gardła. Nie było litości. Nie brano jeńców.**

**–A co słyhać w stolicy? – zapytał, jakby nie słyszał pytania Odelii.**

**–Niedaleko Kardikii okręty Berzy pobiły nalbeńską flotę. Morski szlak zaopatrzeniowy armii Aurungzeba przestał istnieć. Szpiegzy Fourniera donoszą nam, że sułtan znalazł sobie żonę. Kazał zburzyć Wał Ormanna i ożenił się z nią na jego zgliszczach. Mówi się, że to Ramusianka.**

**Corfe poruszył się niespokojnie.**

**–Wału Ormanna już...**

**–Przestał istnieć. Postawione przez Kaile'a Ormanna mury obalono, a Merducy stawiają twierdzę na drugim brzegu rzeki. Wygląda na to, że rozgościli się tam na dłużej.**

**–To chyba dobry znak. Może oznaczać, że sułtan zaczyna myśleć o obronie, nie tylko o ataku.**

**–Cieszę się, że tak mówisz.**

**–A ta jego żona... Po co miałby się żenić z Ramusianką? Podobno ma cały harem**

merduckich księżniczek.

–Wiadomo tylko, że jest niezwykle piękna.

–Może będzie miała na niego dobroczynny wpływ.

–Może. Ale nie przeceniałabym kobiecych forteli.

–Trudno mi uwierzyć w te słowa, kiedy słyszę je z twoich ust, Wasza Wysokość.

Odelia pochyliła się nad nim i go pocałowała.

–Ja jestem inna.

–Z pewnością.

–Chodź do łóżka, Corfe. Stęskniłam się za tobą.

–Zaraz. Chcę odzyskać czucie w nogach i przypomnieć sobie, jak się siedzi na krześle.

Roześmiała się, odrzucając głowę w tył. W tej chwili Corfe czuł, że ją kocha. Odepchnął jednak to uczucie, a jego miejsce zajęły wyrzuty sumienia, zakłopotanie, nawet wstyd. Nie kochał jej. I nigdy nie pokocha.

–Rozumiem, że Fournier nie próżnuje.

–O tak. Nie spotkałeś kiedyś przypadkiem takiego małego, okaleczonego mnicha? Ma na imię Albrec.

–Nie przypominam sobie. – Corfe zmarszczył brwi. – Chociaż... Zaraz... Tak, niedaleko Torunnu. Nie miał nosa.

–To ten. Macrobius powiedział mi, że Albrec udał się do Merduków, żeby ich nauczać.

–Głupich nie sieją... I co, ukrzyżowali go?

–Nie. Robi za błazna na sułtańskim dworze. Wygłasza kazania o braterstwie wszystkich ludzi.

–Wygląda na to, że nieźle się orientujemy w funkcjonowaniu merduckiego dworu.

–Do tego właśnie zmierzam. Nie wiem, jak to się Fournierowi udało, ale umieścił tam swojego szpiega. Fournier jest wprawdzie wredną gnidą, ale zna się na swojej robocie. Nawet ja nie znam imienia szpiega. Przez ostatni miesiąc Merducy dwa razy

dostarczyli do Torunnu jego raporty.

–Używa Merduków jako kurierów? I to po jednym na każdy meldunek? W takim razie wkrótce go złapią. Czegoś takiego nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Domyślam się, że nie mamy sposobu, żeby przekazać wiadomość w drugą stronę?

Odelia wzruszyła ramionami.

–Nie wyobrażam sobie, jak Fournier miałby to załatwić.

–A twoje... zdolności? Twoje...

–Czary? – Królowa parsknęła śmiechem. – Moja moc jest inna, Corfe. Co wiesz o Siedmiu Dyscyplinach?

–Słyszałem, że są. To wszystko.

–Prawdziwy mag powinien opanować cztery z nich. Ja znam tylko dwie: zaklinanie i prawdziwą teurgię. Jestem ciut lepsza od przeciętnej wioskowej wiedźmy, ale żadna ze mnie czarodziejka.

–Rozumiem. Chciałbym wobec tego porozmawiać z tymi merduckimi dezertierami.

–Ja też. Na dworze u sułtana dzieje się coś dziwnego. Ale Fournier zazdrośnie ich strzeże. Kto wie, może nawet już się ich pozbył.

–Jesteś przecież królową. Każ mu ich wydać. Albo niech przynajmniej pokaże nam meldunki, które przynieśli.

–Mógłby się poczuć urażony i odmówić dalszej współpracy.

Zmrużone oczy Corfe'a błysnęły złowrogim światłem, czerwonym jak ogień, w który patrzył. Odelia miała wrażenie, że dostrzega w nim przemoc i gwałt, które odcisnęły na nim swoje piętno. Wzdrygnęła się, jakby właśnie ktoś podeptał jej grób.

–Chcesz powiedzieć, że ten niebieskokrwisty skurwysyn celowo zataja informacje, które mogą być kluczowe dla przebiegu wojny? I że robi to dlatego, że jest na nas obrażony?!

–On nie jest jednym z twoich żołnierzy. To arystokrata. Z takimi trzeba postępować delikatnie.

–Arystokraci! – Corfe nie podniósł głosu, ale jego ton sprawił, że Odelii włoski na karku stanęły dęba. – Nie spotkałem jeszcze takiego, który byłby wart wiadra ciepłych szczyn. Wiedza na temat merduckiej armii, jaką posiadają ci dezertierzy, kurierzy czy cholera wie kto, może być dla nas bezcenna.

**–Nie waż się tknąć Fourniera! – ostrzegła go Odelia. – Powtarzam: to arystokrata. Nie możesz tak po prostu obalić fundamentów królestwa.**

**–W porządku. Skoro fundamenty królestwa są aż tak istotne, palcem go nie ruszę.**

**Ciekawe, jakim byłby królem? pomyślała Odelia. Czy naprawdę jestem szalona, że się nad tym zastanawiam? Tyle w nim złości... Mógłby ocalić Torunnę, a potem rozszarpać ją na strzępy. Gdyby tylko można go było uleczyć...**

**Położyła mu dłoń na czole.**

**–Co robisz? – zapytał ze złością.**

**–A jak sądzisz? Czytam w twoich myślach. Siedź cicho.**

**Dobrze, zaryzykuj. Nie była mówczynią umysłu, ale trochę знаła się na uzdrawianiu – a poza tym kochała go. To otworzyło furtkę, przez którą weszła do środka, niepewna, ale gotowa na wszystko.**

**Jego umysł pulsował krzywdą i tłumioną furią. Ich bezlitosny łoskot przypominał grzmot odległej nawałnicy. Odelia widziała sceny mordy, powódź krwi, okrutne rzezie. Zabijanie było jego żywiołem, jego powołaniem; umiał zabijać, ale nie czerpał z tego przyjemności. Ulżyło jej. Jego dusza nie przypominała duszy żadnego krwi barbarzyńcy, chociaż była nieokiełznana i dzika. Gardził sobą i był opętany pragnieniem odkupienia, które ją zaskoczyło i poruszyło do głębi.**

**Dogrzebała się do Aekiru, którego pożar był jak koniec świata. Próbowała sięgnąć głębiej, do wcześniejszych wspomnień – i znalazła tam zwykłego młodego człowieka o spokojnych oczach i łagodnym sercu. Zupełnie innego. I bardzo przeciętnego.**

**Zrozumiała, że nie wolno jej go uleczyć. Cierpienie uczyniło go tym, kim się stał, zrobiło z chłopca mężczyznę i zahartowało go jak stal. Podziwiała go – i zarazem szczerze mu współczuła. Nie mogła mu pomóc. Nie mogła nic zrobić.**

**Wycofała się. Nie chciała oglądać szczęśliwych czasów przed Aekirem i kruczowłosej dziewczyny, która na zawsze miała pozostać jego jedyną miłością. Chłopak, który ożenił się z córką handlarza jedwabiem, zniknął bez śladu. Został tylko generał. Z pewnością mógłby zostać królem, wielkim władcą, o którym przyszłe pokolenia będą opowiadały legendy. Jego dusza nigdy jednak nie zazna spokoju. To była jego siła napędowa, sprężyna, która popychała go do wielkości.**

**Odelia opadła na krzesło i przetarła palcami oczy.**

**–I co? – spytał Corfe.**



**–I nic. Jesteś zwykłym zagubionym prostakiem, który powinien się częściej upijać.**

**Kiedy się uśmiechnął, zrobiło się jej ciepło na sercu. W tym spojrzeniu nie było miejsca na namiętą miłość, na pewno nie do niej, ale Corfe ją szanował. I to jej będzie musiało wystarczyć.**

**–Rozczarowała mnie ta twoja magia.**

**–Z magią często tak bywa. Idę spać. Jestem już stara i muszę się czasem wyspać.**

**Wziął ją za rękę.**

**–Jeszcze nie. Posiedź chwilę ze mną. Pójdziemy razem.**

**Zaczerwieniła się – i ucieszyła, że w komnacie panuje półmrok.**

**–Dobrze. Będziemy siedzieć przed kominkiem i udawać.**

**–Co udawać?**

**–Że nie ma wojny, a armia nie istnieje. Jest tylko deszcz na szybie i wino w twoim kieliszku.**

**–Wypiję za to.**

**Siedzieli, trzymając się za ręce, aż ogień zaczął przygasać. Wyglądało na to, że w milczeniu cieszą się swoim towarzystwem, niczym stare małżeństwo na koniec ciężko przepracowanego dnia.**

**Dziwaczeję na starość, pomyślał Betanza. Jak inaczej wytłumaczyć te wieczorne spacery po krużgankach?**

**Dzwony charibońskiej katedry niedawno obwieściły środek nocy i krużganki były puste. Tylko odziany w czerń Betanza jak potępieniec błąkał się po nich w tę i z powrotem. Ostatnio często mu się to zdarzało: chodził tak długo, aż wdeptał swoje troski i wątpliwości w kamień i wyczerpany zasypiał snem bez marzeń. Z trudem zwlekał się z łóżka na jutrznię przed wschodem słońca.**

**Im człowiek starszy, tym mniej snu potrzebuje, powtarzał sobie w duchu. Znacznie lepiej zdaje sobie sprawę ze swojej śmiertelności.**

**Do Charibonu niedawno zawitała odwilż i wiatr znad Gór Cymbryckich zamiast śniegu niósł zimny, czarny deszcz, który wygładzał powierzchnię wzburzonego Morza Tor i grzechotał o kamienne dachówki klasztorne miasta. Ulewa przesuwała się powoli na wschód, zalewając Równiny Toriańskie i spływając po zachodnich stokach Thurianu. Rankiem chmury powinny zawisnąć ponuro nad północną Torunną i armią Corfe'a którą długi dzień marszu dzielił od domów i ciepłych łóżek.**

**Nagle Betanza się zatrzymał. W krużganku ktoś był: stał za kolumną i spoglądał na nasiąknięty wodą trawnik na dziedzińcu i widoczny nad nim skrawek czarnego nieba. Wysoka postać w habicie mnicha. Najwyraźniej w Charibonie było więcej ekscentryków.**

**Podszedł bliżej. Kiedy tamten odwrócił się w jego stronę, Betanza dostrzegł wyzierający spod kaptura orli nos, wysokie czoło i zarys krzaczastych brwi.**

**–Bóg z tobą – powiedział intruz.**

**–I z tobą – odparł uprzejmie wikariusz generalny. Zamierzał pójść dalej, wyminąć samotnego mnicha i nie przeszkadzać mu w medytacji, ale tamten znów się odezwał.**

**–Czy to ty jesteś Betanza? – zapytał. – Przełożony inicjantów?**

**–Owszem.**

**Betanza nie był pewien, jakiego koloru habit nosi jego rozmówca, ale materiał był delikatny i pozbawiony wszelkich ozdób.**

**–Wiele o tobie słyszałem, ojcze. Ponoć byłeś dawniej księciem Astaracu.**

**Zaciekawiony Betanza przyjrzał się uważnie swojemu rozmówcy.**

**–Zgadza się. Kim jesteś?**

**–Nazywam się Aruan. Przybywam z zachodu, aby w tych burzliwych czasach zasięgnąć rady.**

**Obcy mówił z astarackim akcentem, ale używał przy tym dziwnie archaicznych słów. Zupełnie jak postać ze starej opowieści albo romansu, pomyślał Betanza. Ale do Charibonu zjeżdżało się mnóstwo kapłanów, i to ze wszystkich zakątków świata. Poprzedniego dnia, na przykład, przybyli goście z samej Fimbrii, eskortowani przez czterdziestu pikinierów w czarnych mundurach.**

**–Pochodzisz z Astaracu – stwierdził Betanza. – Skąd dokładnie?**

**–Z Garmidalanu, ale od lat już tam nie mieszkam. Ech, Betanza... Posłuchaj tylko. Słyszysz?**

**Betanza przekrzywił głowę. Przez szum deszczu przebił się odległy, melancholijny skowyt. Po chwili dołączył do niego następny, i jeszcze jeden.**

**–Wilki – stwierdził. – O tej porze roku zapuszczają się nawet do miasta.**

**Aruan uśmiechnął się tajemniczo.**

**–Z pewnością.**

**–No, na mnie już czas. Nie będę ci przeszkadzał w rozmyślaniach, Aruanie.**

**Betanza ruszył dalej. Obecność intruza dziwnie go zaniepokoiła. Nie podobała mu się poufalskość, z jaką tamten próbował go traktować, ale nie był w odpowiednim nastroju, żeby robić mu awanturę. Schował zmarznięte ręce w rękawach i rozpoczął następną rundkę wokół krużganku, zmagając się z dobrze znajomymi dylematami.**

**Stanął jak wryty. Znow znalazł się twarzą w twarz z Aruanem. Zaskoczony cofnął się o krok.**

**–Jak...**

**–Wybacz. Potrafię poruszać się bardzo cicho, a ty się zamyśliłeś. Czy mógłbyś mi poświęcić chwilę, Betanza? Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać.**

**–Możemy się spotkać rano. A teraz zejdź mi z drogi – odburknął Betanza.**

**–Szkoda, wielka szkoda...**

**Zdumionym oczom Betanzy ukazał się niezwykle widok. Aruan nagle zaczął rosnąć, stawał się coraz wyższy i szerszy w ramionach, aż rąbek jego habitu podniósł się**

wyraźnie nad ziemię. Spod kaptura błysnęły dwa żółte ogniki, trochę podobne do płomieni świec. Rozległ się trzask pękającego materiału. Betanza nakreślił przed sobą Znak Świętego i zaczął się cofać. Zaniemówił z przerażenia.

– Jesteś zdolnym człowiekiem. – Ten głos nie był już do końca ludzki. – Tym bardziej żałuję. Cenię sobie niezależność w myśleniu. Brak ci jednak zdolności i słabości, na których mi zależy. Wybacz, Betanza.

Podarty habit zsunął się w strzępach z ciała wilkołaka. Para uszu sterczała z potężnej czaszki na podobieństwo rogów. Betanza odwrócił się, ale zanim zaczął uciekać, wilkołak chwycił go i podniósł jak dziecko. Ugryzł tylko raz, zatapiając kły w karku ofiary; ścięgnięta i kości trzasnęły mu w pysku. Betanza zadygotał gwałtownie i zwiotczał jak szmata. Niewidzące oczy wyszły mu z orbit. Stwór położył go delikatnie na zbryzganej krwią posadzce krużganka. Z czarnej kałuży habitu spoglądała na wilkołaka blada, wykrzywiona bólem twarz.

Na wzgórzach smutno wyły wilki. Padał deszcz.

# PIĘTNAŚCIE

–Masz mnie za głupca? Powiedz: masz mnie za głupca? – sułtan Ostrabaru wpadł w szał. – Mam uwierzyć, że piętnastotysięczna armia to zwykły patrol zwiadowczy?! Na brodę umiłowanego Proroka, otaczają mnie durnie! Co to ma znaczyć? Co to za gierki, shahr Johorze?! Wytłumacz mi, jak do tego doszło i dlaczego o niczym nie wiedziałem!

W wysoko sklepionej sali narad, gdzie kiedyś Pieter Martellus planował obronę Wału Ormanna, zapadła cisza. Zebrani w niej merduccy oficerowie usiłowali zachować obojętny wyraz twarzy.

Shahr Indun Johor, wódz naczelny armii Merduków, odchrząknął. Cieniutka warstewka potu pokrywała mu twarz.

–Wasza Wysokość, ja...

–Nie życzę sobie długich wywodów ani usprawiedliwień. Chcę usłyszeć prawdę!

–Być może przekroczyłem swoje uprawnienia, ale kazano mi przeprowadzić rekonesans w Przesmyku Torrinu i, jeśli okaże się to możliwe, ulokować tam garnizon, który przecięłby szlak komunikacyjny łączący Torunnę z Almarkiem.

–Na razie cytujesz moje pisemne rozkazy. Doskonale. A teraz wyjaśnij mi, jak to się stało, że je zlekceważyłeś.

–Wasza Wysokość, wcale ich nie zlekceważyłem. Napotkaliśmy jednak znikomy opór i uznałem, że to doskonały moment, aby zdobyć solidny przyczółek na północy. To właśnie... to właśnie próbowała osiągnąć armia kedywa Arzamira. Żaden z naszych patroli nie meldował o obecności w tamtej okolicy regularnych torunnańskich wojsk. Żaden! A już z pewnością nikt nie widział tych przeklętych czerwonych jeźdźców i ich fimbriariskich sojuszników. W tej sytuacji... przekroczyłem swoje uprawnienia. Kazałem Arzamirowi pójść na północ aż do Charibonu, jeżeli nie napotka bardziej zdecydowanego oporu. Teraz wiem, że to był błąd. – Shahr Johor wyprężył się, jakby w oczekiwaniu na cios. – Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. Zaryzykowałem – i przegrałem. Straciliśmy dziesięć tysięcy ludzi. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia.

Znów zrobiło się cicho. Nikt nie śmiał drgnąć, jakby w komnacie zasiadały same posągi w pancerzach. Z dołu, znad rzeki, słychać było pokrzykiwania *subadara* musztrującego żołnierzy oraz miarowy stukot tysięcy młotków. Merduccy kamień po kamieniu rozbijali resztki murów Wału Ormanna.

Aurungzeb zapadł się w siebie; gniew uszedł z niego jak powietrze z przekłutego

**balonu. Zgrzytnął głośno zębami i wysyczał:**

**–Co to za człowiek? Czarownik, który czyta w naszych myślach? Oddałbym pół królestwa, gdybym tylko mógł zatknąć jego głowę na włócznie. Batak!**

**Rozległ się trzepot błoniastych skrzydeł i homunkulus wielkości gołębia sfrunął spod sufitu na stół. Niektórzy oficerowie odruchowo odsunęli się od niego, inni skrzywili z niesmakiem. Stworzonko zwinęło skrzydła, przekrzywiło łeppek i przemówiło głosem dorosłego mężczyzny:**

**–Mój sułtanie?**

**–Do diabła, Batak, nie mógłbyś się tu pofatygować osobiście? Jak długo jeszcze zamierzasz siedzieć w tej swojej wieży z potworami?**

**–Moje studia są na ukończeniu, panie. Czym mogę służyć?**

**–Zapracuj na złoto, którym cię obsypuję. Usuń tego torunnańskiego generała.**

**Homunkulus podniósł ze stołu czyjeś zapomniane pióro, wziął je między zęby i wypluł, prychnąwszy jak kot. Blask w jego oczach zafalował, osłabł i znów zapłonął jasno.**

**–To nie byle jakie żądanie. Asasyni...**

**–Odrzucili moją ofertę. Stracili już w Torunnie jednego ze swoich i nie chcą ryzykować życia następnych. Ale ty jesteś przecież czarodziejem, mistrzem sztuki magicznej. Orkh, twój nieodżałowany mentor, bardzo cię cenił. W przeciwnym razie nie wyznaczyłby cię na swojego następcę w roli nadwornego maga. Nie zawieź jego zaufania. Generał ma umrzeć, i to jak najszybciej. Najdalej za kilka tygodni przypuścimy ostateczny szturm na Torunn i jego stolicę. Do tego czasu ten ich rycerz bez skazy ma leżeć w grobie.**

**–Zobaczę, co da się zrobić, mój panie.**

**Światło w oczach homunkulusa zgasło. Stwór powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach, obnażył maleńkie kły i wzbil się w powietrze. Podmuch rozrzucił leżące na stole papiery. Homunkulus zawisł na chwilę nieruchomo, a potem wyfrunął przez okno.**

**–To złe istoty – odezwał się ktoś. – Wyznawca Proroka nie powinien się nimi wysługiwać.**

**Aurungzeb odwrócił się. Do sali wszedł mehr Jirah w towarzystwie spowitej w granatowy jedwab Ahary. Za ich plecami stał z grobową miną shahr Baraz. Służący**

bez słowa zamknęli za nimi drzwi.

–Jest wojna. Cel uświęca środki – odparł bez przekonania sułtan. – Ale co cię sprowadza? Zamknięta *indaba* sztabu armii to nie miejsce dla mułłów. A twoją obecność, moja królowo, czemu zawdzięczamy? To męskie zgromadzenie, na którym kobiety nie powinny się pokazywać. Nawet królowe. Nie wypada.

Ahara nie odpowiedziała. Zerknęła tylko na swojego towarzysza.

–Chcieliśmy porozmawiać z tobą, mój sułtanie – odparł mehr Jirah. – Oboje. Chodzi jednak o sprawę wielkiej wagi. Pośpiech byłby niewskazany, dlatego poczekamy, aż *indaba* dobiegnie końca.

Jego spokój i pewność siebie uspokoiły Aurungzeba. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i odwrócił się do stołu. Oparł dłoń na rękojęści zatkniętego za pas kindżału.

–I tak już kończymy. Shahr Johorze, popełniłeś poważny błąd w ocenie sytuacji, ale rozumiem, dlaczego tak się stało. I z tego powodu będę pobłażliwy: dam ci jeszcze jedną szansę. Ostatnią. Chciałbym poznać plan ostatecznej ofensywy, w skrócie, jeśli łaska. Mehr Jirah i moja królowa się niecierpliwią.

W ostatnim zdaniu wyraźnie dało się słyszeć zaciekawienie.

Kedyw rozłożył na stole ogromną mapę i obciążył jej rolujące się końce kałamarzami.

–Plan jest już dalece zaawansowany, Wasza Wysokość. Straty, które ponieśliśmy na północy, nie będą miały wpływu na jego realizację. Jak wiadomo, po stracie morskiego szlaku zaopatrzeniowego jesteśmy zmuszeni przyspieszyć natarcie...

–Nalbeńskie pyszałki przechwalały się, że zmiotą z morza torunnańską flotę. I co? Jedną połowę okrętów stracili, a druga boi się teraz wyjść z portów!

–Istotnie. Mamy pewne problemy natury logistycznej, co powoduje...

–Co powoduje, że to nasza ostatnia szansa.

–Właśnie, Wasza Wysokość. Ostatnia szansa na zajęcie stolicy Torunny. Nie mamy ani dość ludzi, ani środków, żeby kontynuować kampanię przez kolejny rok.

Po tych słowach zapadła długa, nabożna cisza. Wszyscy oficerowie o tym wiedzieli, ale dopiero kiedy jeden z nich powiedział to na głos, bez ogródek, w dodatku w obecności sułtana, zdali sobie sprawę, jak bardzo prawdziwe są to słowa. Ramusianom siły Merduków mogły się wydawać niewyczerpane, ale sułtańscy

oficerowie wiedzieli swoje. Zbyt wielu żołnierzy poległo w ciężkich walkach po upadku Wału; szlaki zaopatrzeniowe zostały odcięte – została tylko jedna główna droga, niczym cienka nić, na której zawisł los całej armii; rozkaz odbudowania twierdzy nagle wydał im się oznaką dalekowzroczności, nie pesymizmu. Zwycięzcom z Aekiru przyszło przełknąć gorzką pigułkę.

–Mów dalej – odezwał się w końcu Aurungzeb.

Młody kedyw wziął do ręki suche pióro i postukał nim w mapę, która dość szczegółowo przedstawiała obszar od Torrinu po południowe zbocza Thurianu – ongiś spokojną, żyzną równinę, na której teraz rozgrywały się kluczowe starcia wojny.

–Główne siły ruszą tędy, Traktem Zachodnim: *minhraibowie*, *hraibadarzy*, nasze nowe oddziały arkebuźników, słonie, artyleria i maszyny oblężnicze. Łącznie około stu tysięcy ludzi. Ta armia uderzy na główne siły wroga i je unieruchomi. Tymczasem *ferinai*, konni pistoletnicy i niedobitki konnych łuczników z Nalbeni w sile dwudziestu pięciu tysięcy ludzi oddalą się na północ i będą posuwać się naprzód osobno.

–Te dwadzieścia pięć tysięcy... – wtrącił Aurungzeb. – To sama jazda.

–Zgadza się, Wasza Wysokość. Ta armia musi być ruchliwa i szybka. Pełni bowiem dwojaką funkcję. Przede wszystkim ma osłaniać główne siły przed atakiem z północy; to na wypadek, gdyby czerwoni jeźdźcy jeszcze gdzieś włóczyli się po okolicy. Jeśli jednak te środki ostrożności okażą się zbędne, a tak przypuszczam, kawaleria odczeka, aż główne siły zetną się z armią Torunny, i uderzą na wroga z flanki lub od tyłu. Będą jak młot, który uderzy w kowadło.

–Dlaczego sądzisz, że wróg wycofał się już z północy kraju?

–Torunnnanie uwolnili z naszej niewoli znaczną liczbę kobiet. Jestem przekonany, że odprowadzą je do stolicy. Przypuszczam zresztą, że tylko obecności branki zawdzięczamy fakt, że chociaż część armii kedywa Arzamira uszła z życiem.

–Młot i kowadło... – mruknął sułtan. – To mi się podoba.

–W ten sam sposób zniszczył nalbeńskich łuczników w bitwie pod Torunnem – wtrącił jeden z oficerów, starszy mężczyzna o pobliznionej twarzy.

–Kto?

–Ten torunnański generał, Wasza Wysokość. Zatrzymał ich salwą z arkebuzów, a potem oflankował kawalerią. Ponieśli srogie straty. Skoro ta taktyka podziałała przeciw konnym łucznikom, z pewnością okaże się skuteczna przeciw torunnańskiej piechocie.



–Cieszę się, że uczymy się od nieprzyjaciela – odparł z ironią w głosie Aurungzeb. Zmarszczył surowo brwi. – Ale niech będzie. Kiedy armia wyruszy w pole?

–Najdalej za dwa tygodnie, Wasza Wysokość – odparł shahr Johor.

–Co będzie, jeżeli ten ich słynny generał nie wyjdzie nam na spotkanie, lecz pozwoli się oblegać w Torunnie?

–Wyjdzie, mój sułtanie. Podobno po tym, jak stracił żonę w Aekirze, szczerze nas znienawidził. Cała jego taktyka opiera się na manewrach ofensywnych, nawet jeśli celem strategicznym jest obrona, nie atak. Ci jego jeźdźcy w czerwonych pancerzach świetnie z nim współpracują. Nie będzie się chował za murami.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz. Z pewnością zdobylibyśmy Torunn, ale wojna trwałaby wtedy co najmniej do lata, jeśli nie dłużej. A *minhraibowie* muszą na żniwa wrócić do Ostrabaru.

–W porze żniw, mój panie, będziesz używał tronu torunnańskich królów jako podnóżka. Ręczę za to własnym życiem.

–Żebyś wiedział, shahr Johorze. Żebyś wiedział. Podoba mi się twój plan. Armia Torunny liczy najwyżej trzydzieści tysięcy żołnierzy. Jeżeli przygwoździmy ją na otwartym terenie, a *ferinai* uderzą na nią od tyłu, nie ma mowy, żeby ocalała. Jeżeli czary Bataka nie wykończą tego ich generała, każę go zakuć w dyby, przegonię pieszo do Orkhanu i tam ukrzyżuję. – Aurungzeb parsknął śmiechem. – Ale jeśli jednak zginie na polu bitwy, nie będę po nim płakał.

Odpowiedział mu dyskretny chichot oficerów.

–To by było na razie wszystko. Jesteście wolni, wszyscy poza mehrem Jirahem, który przybył z pilnym posłaniem. Aharo, moje kochanie, siadaj, proszę. Shahru Barazie, aż taki z ciebie prostak? Krzesło dla królowej.

Oficerowie kolejno opuszczali salę, kłaniając się sułtanowi i Aharze. Kiedy wyszli, drzwi zamknięto.

–No, mehr Jirah, słucham. Jakaż to sprawa jest tak pilna, że prowadzi cię nieproszonego na *indabę*? I choć, jak wiesz, nie jestem wielbicielem protokołu, muszę także zapytać, dlaczego towarzyszy ci moja królowa?

–Proszę o wybaczenie, sułtanie, ale sprawy dotyczące bezpośrednio naszej religii i wiary uważam za dostatecznie ważne, by natychmiast zwrócić na nie twoją uwagę.

–Intrygujesz mnie i niepokoisz zarazem. Mów.

–Pamiętasz, panie, ramusiańskiego mnicha, który przybył do nas z Torunnu?

–Tego pomyleńca? Tak. Czemu pytasz?

–Wydaje mi się, mój sułtanie, że mnich wcale nie jest obłąkany. – Mehr Jirah wyprostował się, a na jego twarzy odmalowała się determinacja. – Sądzę, że mówi prawdę.

–Jak to? – zdziwił się Aurungzeb. – Prawdę o czym?

–Od dwóch miesięcy przeglądam nasze archiwa. W swojej łaskawości, sułtanie, udostępniłeś mi także wszystkie ocalałe dokumenty kościelne i historyczne z biblioteki Gadoriana Hagusa w Aekirze. Potwierdzają one prawdziwość tradycji, którą kultywujemy w naszym *hraibie*. Mówiąc krótko: Prorok Ahrimuz, niech jego imię będzie błogosławione, przybył do nas z zachodu i wszystko wskazuje na to, że w rzeczywistości był czczonym na zachodzie świętym Ramusiem...

–Ależ Mehr Jirah!

–Sułtanie, Święty i Prorok to jeden i ten sam człowiek. Nasza religia i wiara mieszkańców zachodu są wytworem jednego umysłu. Wyznajemy tego samego Boga i czcimy tego samego człowieka jako Jego wysłannika.

Aurungzeb zbladł.

–Mylisz się – wychrypiał. – To niedorzeczność.

–Wolałbym, żebyś miał racę, mój panie. Naprawdę. Ta wiedza wstrząsnęła mną do głębi. Mnich, którego mieliśmy za szaleńca, jest w istocie uczonym mężem i człowiekiem wielkiej wiary. Nie przybył do nas pod wpływem kaprysu. Przyjechał, aby głosić prawdę. Przywiózł ze sobą starożytny dokument, który potwierdza jego słowa. Wywiózł go potajemnie z Charibonu. Kościół ramusiański przez stulecia ukrywał prawdę, ale teraz Bóg uznał za stosowne nam ją objawić.

Milczenie, które zapadło po tych słowach, przedłużało się nieznośnie, dopóki Aurungzeb znów nie zabrał głosu:

–Jaka była twoja rola w tej sprawie, Aharo? – zapytał niechętnie.

–Kiedy mehr Jirah rozmawiał z bratem Albrekiem, byłam ich tłumaczką, mój panie. Mogę potwierdzić prawdziwość jego słów.

–Nie uważasz, mój sułtanie, że dziwny to zaiste zbieg okoliczności, który sprawił, że w tym samym czasie na twój dwór trafiła królowa z zachodu i ramusiański mnich? – zapytał mułła. – Ja widzę w tym palec Boży. Prawda o Nim zbyt długo już była

przemilczana i fałszowana. Powinna wreszcie wyjść na jaw.

Aurungzeb z gniewnym błyskiem w oku zaczął się przechadzać po sali.

–To jakaś sztuczka, ramusiański podstęp, który ma nas podzielić i omamić, kiedy ostateczne zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Moja królowa była kiedyś Ramusianką. Rozumiem, że dała się zwieść: zależało jej na pojednaniu jej dawnej religii z prawdziwą wiarą, w której miała szczęście się odrodzić. Ale ty, mehr Jirahu? Jesteś świętym mężem, człowiekiem światłym i uczonym. Jak możesz wierzyć w takie kłamstwa, w takie bluźnierstwa, w taki fałsz?

–Umiem rozpoznać prawdę – odparł oschle mehr Jirah. – Nie jestem ani głupcem, ani naiwnym marzycielem. Całe życie poświęciłem medytacjom nad słowami Proroka i krytyce nauk tego fałszywego świętego z zachodu. Tym większe było moje zdumienie, gdy zapoznawszy się z nimi bliżej odkryłem, że Ramusio i Ahrimuz, niech jego imię będzie błogosławione, przemawiali tymi samymi słowami, używali tych samych przypowieści, nawet zachowywali się podobnie! Jeżeli to jest ramusiański podstęp, to wymyślono go przed wiekami. Poza tym ramusiańskie teksty, z którymi się zaznajomiłem, pochodzą z czasów sprzed przybycia Proroka. On tam naprawdę był! Zanim przejechał przez Góry Jafrarskie i zaczął nauczać wśród Merduków, żył w Normanii. Był mieszkańcem zachodnich krain i nazywał się Ramusio, mój panie.

Aurungzebowi udało się okazać jednocześnie strach i gniew.

–Kto jeszcze wie o tym twoim odkryciu?

–Pozwoliłem sobie przedyskutować je w gronie mułłów z kilku sąsiednich *hraibów*. Początkowo słuchali mnie niechętnie, ale koniec końców zgodzili się ze mną. Zastanawiamy się teraz, jak należałoby upowszechnić tę wiedzę wśród wszystkich plemion i we wszystkich sułtanatach.

–Nic o tym nie wiedziałem. Kto ci pozwolił...

Mehr Jirah uderzył pięścią w stół, aż zatrzęsała się mapa Torunny.

–Z moich poczynań i podszeptów sumienia nie muszę się tłumaczyć ani tobie, ani nikomu innemu na świecie! Odpowiadam tylko przed Bogiem. Nie prosimy cię o pozwolenie, sułtanie, bo wiemy, że mamy słuszość. Po prostu informujemy cię o rozwoju sytuacji. Nie będziemy ukrywać prawdy, tak jak Ramusianie czynili to przez ostatnie pięć stuleci. Ich wiara w obecnej postaci jest Bogu niemiła jak ohydny odór, który zaleciał do Jego nozdrzy. Czy naprawdę chcesz, panie, abyśmy dopuścili się podobnego bluźnierstwa?

Aurungzeb skurczył się w sobie, przysunął sobie krzesło i usiadł na nim ciężko.

–Zdajesz sobie sprawę, jak to wpłynie na armię? *Minhraibowie* już teraz nie bardzo chcą walczyć. Jeżeli dowiedzą się, że Ramusianie są... w pewnym sensie... współwyznawcami, po co mieliby...

–Wolę myśleć o nich jako braciach w wierze – przerwał mu ponuro mehr Jirah. – Prorok uczył, że napaść na człowieka wyznającego tego samego Boga jest ciężkim grzechem. A nie da się ukryć, że tak właśnie rzecz ma się z Ramusianami, sułtanie. Są skłócenii, ale czczą tego samego Proroka co my.

–Wiara w jednego Boga jakoś nie przeszkadza ludziom się mordować. I nigdy nie przeszkodzi. Spójrz na swoich braci w wierze: my tu rozmawiamy, a oni pracowicie podrzynają sobie nawzajem gardła. W Hebrionie, Astaracu, nawet w Torunnie nieustannie trwają wojny domowe, kiedy my napieramy na ich zachodnie granice.

–Nie jestem naiwny, sułtanie. Wiem, że wojny się nie powstrzyma. Proszę tylko, abyś miał moje słowa na względzie, kiedy przyjdzie do zawierania pokoju. A prędzej czy później taka chwila nastąpi.

–Nie zapomnę ich, Jirahu. Obiecuję. Kiedy zajmiemy Torunn, okażę litość. Nie splądrujemy miasta.

Mehr Jirah na dłuższą chwilę utkwiał w Aurungzebie przenikliwe spojrzenie. W końcu się uklonił.

–Nie śmiem prosić o nic więcej. Pozwól, panie, że teraz się oddalę.

–Czy zamierzasz upowszechnić swoją wiedzę wśród żołnierzy?

–Na razie nie. Wiele elementów doktryny wymaga uprzedniego wyjaśnienia. Chcę cię jednak o coś prosić, sułtanie.

–Mów śmiało.

–Chciałbym, abyś oddał ramusiańskiego mnicha pod moją opiekę. Bieganie do podziemi i z powrotem zaczyna mnie męczyć.

–Proszę bardzo. Jeśli chcesz, możesz wziąć sobie tego małego pomyleńca na własność. Powiedz Akranowi, że kazałem go uwolnić. Możesz odejść. Ty, Barazie, również.

–Ale sułtanie, moja pani...

–Poradzi sobie przez pięć minut bez swojego cienia. Bądź tak dobry i odprowadź mehra Jiraha. Wkrótce dołączysz do swojej pani.

**Mehr Jirah i shahr Baraz uklonili się i wyszli. Aurungzeb wyciągnął rękę. Heria wstała.**

**–Nie, nie, siedź. Kiedy sułtan i jego królowa są sami, ceremoniał ich nie obowiązuje.**

**Podszedł bliżej i stanął nad nią jak góra. Uśmiechnął się i jednym ruchem zerwał jej z twarzy zasłonę. Ujął ją od dołu za szczękę i ścisnął policzki, przez co jej usta wydeły się jak róża. Kiedy przemówił, jego cichy głos brzmiał jak miłosny pomruk kochanka:**

**–Jeśli kiedykolwiek zrobisz coś podobnego bez mojej wiedzy, odeślę cię do burdelu polowego. Zrozumiałaś?**

**Heria bez słowa pokiwała głową.**

**–Jesteś królową tylko dlatego, że nosisz w łonie mojego syna. Przez wzgląd na niego będziesz traktowana z szacunkiem, ale na nic więcej nie licz. Nie wyobrażaj sobie, że dam się omamić twojej nieprzeciętnej urodzie. Czy wyraziłem się jasno?**

**Kolejne skinienie głowy.**

**–Doskonale.**

**Pocałował ją w usta i cofnął dłoń. Twarz Herii poróżowiała, zostały na niej tylko białe ślady palców.**

**–Przyjdiesz dziś w nocy do mojego łóża. Jesteś brzemienna, ale ja mam swoje sposoby. A teraz zasłoń twarz i wracaj do siebie.**

Heria wróciła do swoich komnat w starej, surowej wieży. Siedziała na stołku w garderobie jak lalka, pozwalając, żeby służące ją rozebrały. Kiedy przebrały ją w wieczorne szaty, odprawiła je i długą chwilę siedziała nieruchomo.

W końcu ktoś zapukał do drzwi.

–Pani? – odezwał się shahr Baraz. – Nic ci się nie stało?

Przymknęła oczy.

–Wejdz, Barazie – powiedziała spokojnie.

Stary Merduk spojrział na nią z troską.

–Jego niezadowolenie jest jak poryw wiatru, pani. Szybko przemija i odchodzi w zapomnienie. Nie turbuj się bez potrzeby.

Heria wreszcie się uśmiechnęła.

–Co sądzisz o odkryciu mehra Jiraha?

–Jestem zdziwiony, że przez pięćset lat kontaktów Merduków z Ramusianami nikt nie zwrócił na to uwagi.

–Może byli tacy, którzy to zauważali, ale za każdym razem ktoś postanawiał ukryć prawdę. Tym razem będzie inaczej.

–Sam nie wiem, pani, czy naprawdę szukasz prawdy, czy raczej chcesz, abyśmy rzucili się sobie nawzajem do gardeł. I to mnie martwi.

–Chcę tylko, żeby wojna się skończyła. Czy to źle? Zabito dość mężczyzn, zgwałcono dość kobiet, osierocono wystarczająco dużo dzieci. Jeżeli takie myśli są zdradą, to owszem, jestem zdrajczynią.

–Ramusianie bynajmniej nie stronią od zabijania – zauważył z przekąsem shahr Baraz.

–I właśnie dlatego trzeba koniecznie uwolnić tego mnicha i pozwolić mu wrócić do Torunnu. Tam też prawdę zatajono, tak jak niektórzy chcieliby to zrobić u nas.

–Ludzie zawsze będą się zabijać.

–Wiem o tym, ale niech przynajmniej przestaną udawać, że zabijają się w imię Boże.

**–Słusznie. Ale ostrzegam cię: uważaj z Aurungzebem.**

**–Podobno jego gniew jest jak poryw wiatru.**

**–Tak, dopóki dotyczy drobiazgów. Ale Aurungzeb nie bez powodu został sułtanem. Jeżeli coś zagrozi jego władzy, zostanie unicestwione, bez namysłu i bez litości.**

**–Nawet ja?**

**–Nawet ty, pani.**

**–Dziękuję za szczerość, shahr Barazie. Właściwie to dziwne... Odkąd zamieszkałam wśród Merduków, spotkałam więcej uczciwych ludzi niż wcześniej przez całe życie. Mam na myśli ciebie, mehra Jiraha i Albreca.**

**–Trzech to niewiele. Czy w Aekirze ludzie byli aż tak źli?**

**Heria spochmurniała i spuściła wzrok.**

**–Przepraszam, pani, nie chciałem...**

**–Nic się nie stało. Nic. Z czasem przywyknę. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja.**

**Zapadło niezręczne milczenie.**

**–Gdybyś mnie potrzebowała, pani, będę za drzwiami – odezwał się w końcu shahr Baraz.**

**Uklonił się i wyszedł z komnaty, chociaż najchętniej wziąłby Aharę w objęcia. Stanąwszy na posterunku skarcił się za tę nedorzeczną chwilę słabości. Ahara była zbyt piękna, by stać się zwykłą merducką klaczą rozplodową, ale miał wrażenie, że pod tą cudną powłoką może się kryć żelazny duch. Jej mąż, ten z Aekiru, musiał być prawdziwym mężczyzną. Zasługiwała na takiego.**

# SZESNAŚCIE

Zamyślony Bardolin siedział w kucki na posadzce i rozcierał obolałe nadgarstki. Rany obeschły i zagoiły się w jednej chwili, a jedynym ich śladem były srebrne blizny. Dotknął gładko wygolonego podbródka i zachichotał.

–Na Boga, znów jestem człowiekiem!

–Zawsze nim byłeś – odparł Golophin, siedzący na krześle przy kominku. – Napij się wina, Bard. Tylko pomalutku. Masz nieprzyzwyczajony żołądek.

Bardolin wstał z wysiłkiem.

–Do stania też muszę się przyzwyczaić. – Skrzywił się. – Pierwszy raz od trzech miesięcy mogę się przeciągnąć. Boże, w gardle mi zaschło na wiór. Od roku tyle nie mówiłem, Golophinie. Dobrze jest się tak w końcu wygadać, to pomaga w leczeniu. Nawet twoja magia nie może mnie tak od razu postawić na nogi.

–A twoja, Bardolinie? Co z nią? Powinieneś już odzyskać siły po stracie chowańca. A twoje dyscypliny? Są jeszcze gdzieś w tobie, czy może zmiana je zdusiła?

Bardolin nie odpowiedział. Sącząc ostrożnie wino, zerkał na złożoną pod ścianą stertę śmieci. Leżały tam łańcuchy, którymi był skuty, obrosnięte brudem i zakrzepłą krwią, i resztki drewnianej skrzyni, w której go przywieziono. Sześciu silnych robotników mało nie posikało się ze strachu, kiedy potwór ryczał na nich, warczał i tłukł całym ciałem o ściany drewnianego więzienia. Zrzucili skrzynię z wozu i zmusili przerażone konie do galopu, co sił uciekając spod samotnej wieży.

–Przychodzi i odchodzi kiedy chce – odparł w końcu. – Nie widzę w tym żadnej prawidłowości. Z każdym dniem coraz trudniej go kontrolować. Wilka, znaczy się.

–To minie. Z czasem wasze natury mocniej się przenikną i będziesz mógł na zawołanie zmieniać postać. Widziałem już takich zmiennych.

–Cieszę się, że trafiłem na eksperta – zauważył cierpko Bardolin.

Golophin przyglądał mu się w milczeniu. Jego dawny uczeń był chudy jak szczapa, kości twarzy sterczały mu pod skórą, oczy miał zapadnięte i okolone ciemnymi obwódkami, sinofioletowymi jak skórka winogron. Trzeba mu było zgolić włosy do gołej skóry, żeby pozbyć się gnieźdzących w nich pasożytów; wyglądał teraz przez to jak zbiegły więzień. Silny, zdrowy czarodziej-wojownik, którego dawniej znał Golophin, zniknął bez śladu.

–Raz udało ci się musnąć mój umysł – powiedział półgłosem. – Sięgnąłem daleko na



**zachód, próbując cię odszukać, i usłyszałem twoje wołanie o pomoc.**

**Bardolin zapatrzył się w ogień.**

**–Byliśmy już wtedy na morzu. Wyczułem cię, ale on zareagował natychmiast i przerwał nam łączność.**

**–Niezwykły z niego człowiek, o ile można go jeszcze nazwać człowiekiem.**

**–Nie wiem, czym jest, Golophinie. Nową istotą, tak jak ja. Jego nieśmiertelność i moc mają coś wspólnego z czarną zmianą. Powoli zaczynam to ogarniać. Tutaj, w Starym Świecie, uważaliśmy zawsze, że zmienny nie jest w stanie opanować żadnej z pozostałych sześciu dyscyplin, ponieważ drzemiąca w nim bestia narusza niezbędną do tego harmonię duszy. Teraz patrzę na to inaczej. Jeżeli zapanujesz nad bestią, możesz dzięki niej dogłębnie zrozumieć dweomer, poznać go jak nikt inny. Zmienny to w istocie przywołane zwierzę, zawdzięczające swoje istnienie siłom, które nie podlegają zwyczajnym prawom rządzącym wszechświatem. Można by powiedzieć, że kiedy człowiek zmienia się w wilkołaka, staje się, w pewnym sensie, stworzeniem utkanym z czystej magii. I jeżeli ma wystarczająco silną wolę, może odkryć w sobie wielką moc.**

**–Można by pomyśleć, że pogodziłeś się z losem.**

**–Hawkwood przywiózł mnie tutaj, bo myślał, że mnie ulecysz. Obaj wiemy, że to niemożliwe. Zresztą może ja nie chcę już być uleczony? Myślałeś o tym, Golophinie? Aruan ma niewiarygodną moc. Mógłbym być taki jak on, potrzebuję tylko czasu na medytacje i naukę.**

**–Możesz swobodnie korzystać z tej wieży i wszystkiego, co się w niej znajduje, Bard. Chyba o tym wiesz.**

**–Dziękuję.**

**–Ale mam jedno pytanie. Kiedy już uwolnisz tę całą moc, o ile w ogóle tego dokonasz, co z nią zrobisz? Aruan zamierza zająć wysoką pozycję w Starym Świecie, pewnie nie jutro, nie za miesiąc, może nawet nie w tym roku, ale niedługo. Chciałby stworzyć państwo magów. Z twoich słów wynika, że dąży do tego od wieków. Kiedy ten dzień nadejdzie, zwyczajni królowie i żołnierze staną przeciwko takim jak on. Takim jak my. No właśnie, gdzie dla ciebie leży granica?**

**Bardolin nie patrzył Golophinowi w oczy.**

**–Nie wiem. Ale nie uważasz, że ma trochę racji? Od stuleci jesteśmy prześladowani, torturowani i mordowani z powodu daru, z którym się rodzimy. Czas położyć temu kres. Lud dweomeru ma prawo żyć w pokoju.**

**–Zgoda. Tylko że wojna nie jest najlepszym sposobem na zapewnienie mu tego pokoju. Zwykli ludzie jeszcze bardziej nas znienawidzą.**

**–Najwyższy czas, żeby zwykli ludzie pożałowali swojej nietolerancji – warknął Bardolin.**

**W jego słowach brzmiała taka groźba, że Golophin nie wiedział, co powiedzieć.**

Hawkwood już zapomniał, kiedy jeździł konno. Na szczęście zwierzak, którego wypożyczył, najwyraźniej znał się na jeździectwie lepiej od niego. Podskakując w siodle, zmęczony i poobijany Hawkwood włókł się powoli do celu, który przypominał olbrzymi kamienny palec, sterczący ze spowitych letnią mgiełką wzgórz na północy. Drogą przed nim podążał jeszcze jeden jeździec – kobieta, sądząc po stroju. Jej koń okulał.

Zsiadła i zaczęła oglądać kopyta wierzchowca. Hawkwood zrównał się z nią i ściągnął wodze. Obudziły się w nim jakieś dawno zapomniane resztki rycerskości.

–Potrzebujesz pomocy, pani?

Kobieta była elegancka, wysoka, przeciętnej urody, pod trzydziestkę. Miała wydatny nos i piękne, ogniste włosy, lśniące złościście w słońcu.

–Raczej nie – odparła i znów zajęła się oględzinami konia.

Hawkwood zdawał sobie sprawę, że jego wygląd nie zachęca do bliższej znajomości. Wykąpał się wprawdzie, przebrał i dał ostrzyc donnie Ponerze, groźnej żonie Galliarda, ale w dalszym ciągu wyglądał co najwyżej jak włóczęga, który niedawno doprowadził się do porządku.

Postanowił spróbować jeszcze raz.

–Daleko jedziesz, pani?

–Zgubił podkowę. Na krew Boga! Jest tu gdzieś blisko kuźnia?

–Nie wiem. A dokąd zmierzasz, pani?

–Niedaleko. – Wyprostowała się. – Do tamtej wieży. – Otaksowała Hawkwooda szybkim, niepoehlebnym spojrzeniem. – Mam pistolet. Na pewno gdzie indziej znajdziesz łatwiejszą zdobycz.

–Nie wątpię – zaśmiał się Hawkwood. – Ale tak się składa, że też jadę do tej wieży. Rozumiem, że znasz czarodzieja Golophina?

–Być może.

Tym razem spojrzała na niego z większym zainteresowaniem. Podobała mu się szczerłość tego spojrzenia i siła emanująca z jej rysów. Nie była chodząca pięknnością, ale z pewnością miała charakter.

**–Nazywam się Hawkwood – powiedział.**

**–A ja Isolla – odparła i odetchnęła z ulgą, kiedy nie zareagował na jej imię. – Chyba możemy resztę drogi przebyć razem. To niedaleko. Golophin spodziewa się was, panie?**

**–Tak. A ciebie, pani?**

**Chwila wahania.**

**–Tak. Może zsiadłbyś z konia, zamiast tak patrzeć na mnie z góry?**

**–Oddam ci go, jeśli chcesz.**

**–Nie trzeba. Zresztą i tak jeżdżę tylko w damskim siodle.**

**Kobieta z dobrego domu. Mógł się tego domyślić po ubraniu. Mówiła z dziwnym akcentem. Astarackim.**

**–Dobrze znasz Golophina? – zapytał, kiedy ruszyli pieszo, prowadząc konie za uzdy.**

**–Nieźle. A ty?**

**–Tylko ze słyszenia. Opiekuje się moim chorym przyjacielem.**

**–A tobie nic nie dolega? Dziwnie chodzisz.**

**–Od dawna nie jeździłem konno. Zresztą od dawna też nie chodziłem po stałym lądzie.**

**–Masz skrzydła?**

**–Nie, statek. Dziś rano zawinęliśmy do portu.**

**Dostrzegł w jej oczach błysk zrozumienia. Kiedy tym razem zmierzyła go wzrokiem, był w nim szczery podziw.**

**–Richard Hawkwood, żeglarz... No tak! Ależ ze mnie gapa! Całe miasto o Tobie mówi.**

**–To właśnie ja.**

**Miał nadzieję, że kobieta powie coś więcej o sobie, ale się nie doczekał. Miło im się razem wędrowało, chociaż niewiele rozmawiali. Sam nie wiedział czemu poczuł się rozczarowany, kiedy wreszcie zastukali do drzwi wieży Golophina. Isolla miała w**

**sobie coś takiego, że nareszcie naprawdę poczuł, że wrócił do domu.**

**Chyba za długo byłem na morzu, pomyślał.**

**–Ciekawość! – mruknął zirytowany Golophin. – U mężczyzny jest cnotą, bo prowadzi do oświecenia, u kobiety zaś wadą, z której nic dobrego nie wynika.**

**Spiorunował wzrokiem Isollę, która się tym wcale nie przejęła.**

**–To męski punkt widzenia. Nie jestem dwórką, która nie umie utrzymać języka na wodzy.**

**–Tym bardziej nie powinnaś się zachowywać jakbyś nią była. Panu, kapitanie Hawkwood, dziękuję za dostarczenie księżnej całej i zdrowej, skoro już uparła się tu przyjechać.**

**–Księżnej? – zdziwił się Hawkwood, czując, jak gaśnie w nim światełko jakiejś niedorzecznej nadziei. Spojrzał pytająco na Isollę.**

**–Nieważne – mruknęła.**

**–Stoi przed tobą przyszła królowa Hebrionu, ni mniej, ni więcej – wtrącił Golophin. – Zupełnie jakby na świecie brakowało królowych. Ale przynajmniej się na coś przydasz, Isollo. Nalej nam wina. W pracowni jest schłodzony dzban.**

**Niewzruszona Isolla wyszła. Zrządzenie starego maga najwyraźniej nie robiło na niej wrażenia.**

**Ledwie zniknęła, Golophin się rozpromienił.**

**–Powinna była urodzić się mężczyzną – stwierdził z czułością.**

**Hawkwood był innego zdania, ale zachował tę opinię dla siebie.**

**–No, kapitanie, nareszcie się spotykamy. Cieszę się, że pan przyjechał.**

**–Gdzie Bardolin?**

**–Śpi. Dzięki temu szybciej odzyska siły.**

**–Czy on... czy...**

**–Bestia jest chwilowo uśpiona. Pomogłem mu ją okiełznać.**

**–To znaczy, że możesz go wyleczyć, Golophinie?**

**–Nie. Nikt tego nie potrafi. Ale mogę go nauczyć, jak panować nad zmianą.**

**Opowiedział mi o waszej wyprawie. To był prawdziwy koszmar.**

**–Był.**

**–Niewielu go przeżyło.**

**Hawkwood stanął przy oknie, z którego roztaczała się panorama południowego Hebrionu, zalanego słońcem, zielonego i spokojnego. Na horyzoncie wąski pasek oceanu mienił się refleksami.**

**–Chyba celowo darowano nam życie. W każdym razie Bardolinowi. Pozwolili nam uciec. Czasem zastanawiam się, czy nie pokierowali też statkiem w rejsie powrotnym. Bardolin na pewno ci o nich opowiadał. To rasa potworów. Podobno są już w Normanii, na razie niewielu, ale przybędzie ich znacznie więcej. Czarodzieje z zachodu mają wobec nas poważne zamiary.**

**–Przynajmniej dzięki panu zostaliśmy ostrzeżeni. Jakie ma pan dalsze plany, kapitanie?**

**To pytanie zaskoczyło Hawkwooda.**

**–Nie myślałem jeszcze o tym. Na Boga, dopiero dziś zszedłem na ląd, a już tyle się wydarzyło. Moja żona zginęła w Abrusio, straciłem dom... Został mi tylko statek, ale i on jest w opłakanym stanie. Myślałem, żeby iść do króla, może on by coś dla mnie miał...**

**Hawkwood nagle zdał sobie sprawę, jak to brzmi. Ugryzł się w język i poczerwieniał.**

**–Z pewnością zasłużyłeś na nagrodę, kapitanie – uspokoił go Golophon. – I nie wątpię, że Abeleyn doceni twój wyczyn. Ekspedycja zakończyła się wprawdzie klęską, ale przywieźliście bezcenne informacje. Powiedz mi, co sądzisz o lordzie Muradzie?**

**–Jest obłąkany. Może nie ślini się i nie wrzeszczy, ale coś mu się w głowie poprzestawiało. To przez ten zachodni kontynent.**

**–I przez Griellę, tę zmienną.**

**–Bardolin ci o niej mówił? Możesz mieć rację. To było dziwne: on czuł coś do niej, ona do niego, ale oboje źle na tym wyszli.**

**Isolla wróciła, niosąc dwa cynowe kufle zimnego wina. Hawkwood wziął od niej jeden. Nie mógł się na nią napatrzeć.**

**–Wasza Wysokość...**

Zmarszczyła brwi.

–Jeszcze nie.

–Jeszcze przez kilka tygodni nie. – Golophin się uśmiechnął. – Chociaż chyba pomału traci cierpliwość.

–Do ciebie na pewno. Czasem zachowujesz się jak dziecko, Golophinie.

–Naprawdę? Abeleyn zawsze porównywał mnie do starej baby. Jak widać jestem uniwersalny.

Hawkwood oderwał wreszcie wzrok od Isolli. Pociągnął maleńki łyk wina i odstawił kufel na stół.

–Na mnie już czas. Chciałem się tylko upewnić, że Bardolin dobrze się miewa.

–Porozmawiam z królem w twoim imieniu, kapitanie – obiecał Golophin. – Zrekompensuje panu poniesione straty i wynagrodzi pana za pańskie dokonania.

–Nie kłopotz się, Golophinie – uniósł się honorem Hawkwood. – I opiekuj się Bardolinem. To dobry człowiek, bez względu na to, co ten łajdak z niego zrobił. Sam zadbam o swoje interesy. Do zobaczenia. – Ukłonił się lekko. – Żegnaj, pani.

I wyszedł z komnaty.

–Dumny z niego człowiek, jak na plebejusza – zauważyła Isolla.

–Nie jest zwykłym plebejuszem. Zachowałem się jak dureń, składając mu taką propozycję. Zasługuje na nagrodę, ale kiedy uzna, że dostaje ją z litości, odrzuci ją. A tymczasem lord Murad łasi się pewnie do króla, opowiada cuda o wyprawie i przypisuje sobie wszelkie możliwe zasługi. Jaki ten świat jest paskudny, Isollo.

–Mogło być gorzej.

Golophin się roześmiał.

–Ach, ci zakochani...

Isolla zarumieniła się aż po cebulki włosów.

–Będzie miał król z ciebie pociechę, o ile wcześniej nie skradnie mu cię nasz dumny żeglarz.

–Słucham? Co ty wygadujesz?



**–Nic, nic. Hebrion ma króla, a niedługo będzie miał także godną królową. Dobrze mu zrobi chwila wytchnienia od wojen i intryg. Mnie zresztą też. Zaszyjemy się tu we dwóch z Bardolinem i oddam się pracy naukowej. Ostatnio bardzo ją zaniedbałem. Za wiele było w moim życiu polityki. We dwoje z Abeleynem poradzicie sobie z rządzeniem. Tylko miejcie oko na Murada. I na tę sukę Jemillę.**

**–Na dworze jest skończona. Żaden arystokrata nawet na nią nie spojrzy.**

**–Nie bądź tego taka pewna. Jemilla nadal nosi w łonie królewskie dziecko. Jest z nieprawego łoża, ale będzie starsze od wszystkich twoich.**

**–Miejmy zatem nadzieję, że to dziewczynka.**

**–Dobrze by było. A teraz wracaj do pałacu. Jest tam ktoś, komu jesteś potrzebna.**

**Isolla pocałowała czarodzieja w policzek. W Hebrionie znalazła męża, a także człowieka, który zastąpił jej ojca. Poza tym czarodziej miał rację: najgorsze mieli za sobą. Hebrion mógł odetchnąć z ulgą.**

# CZEŚĆ DRUGA

## ŚMIERĆ ŻOŁNIERZA

**Wielki wojownik**

**Wstrząśnie ziemią**

**I ujrzycie ją zasłaną**

**Odciętymi głowami.**

**Szczęk sinych mieczy**

**Poniesie się echem wśród wzgórz;**

**Krwawa rosa**

**Pokryje ciała ludzi.**

*Saga o Njalu*

## SIEDEMNAŚCIE

Pałac pontyfika Macrobiusa, dawne opactwo Inicjantów, zwykle pękał w szwach od rzesz urzędników, klerków, skrybów z umazanymi atramentem palcami i uzbrojonych strażników. Tego dnia ich liczbę uzupełniali torunnańscy żołnierze w galowych mundurach i w sile godnej królewskiego orszaku. Wśród nich jak szkarłatny grot włóczy wyróżniała się ósemka Katedralników w całej swej barbarzyńskiej chwale. Wojskowi krawcy pospiesznie sprokurowali dla nich czerwone opończe, nie wypadało bowiem, żeby w obecności pontyfika paradowali w podniszczonych pancerzach. Prezentowali się więc elegancko jak nigdy przedtem, ale długie włosy i tatuaże na twarzach i tak wyróżniały ich z tłumu.

Królowa Odelia i jej wódz naczelny przybyli z wizytą do Macrobiusa, należało więc przyjąć ich z całą pompą i ceremoniałem, na jakie stać było wymęczony wojną Torunn. W opactwie wystawiono dwa trony – królewski był znacznie mniej ozdobny od pontyfikalnego – oraz, nieco z boku, czarne krzesło dla odzianego w czerń generała.

Corfe był zdecydowanie najbardziej ponurym członkiem kawalkady, która zatłoczonymi uliczkami miasta zdążyła w kierunku pałacu – wzbudzał za to największy entuzjazm gapiów. Na jego cześć wznoszono ogłuszające wiwaty, a co bardziej wylewni z widzów przepychali się przez pilnujący porządku kordon wojska,

żeby dotknąć generalskiego buta albo nawet pogłaskać jego rozdrażnionego rumaka. Jadący u jego boku Andruw świetnie się bawił, ale sam Corfe czuł się jak oszust. Nazywali go „Wybawcą kraju”, lecz kraj miał jeszcze przed sobą długą drogę do prawdziwego wybawienia.

Na głównym dziedzińcu opactwa zsiadli z koni. Na okalających go krużgankach roiło się od roześmianych i wiwatujących mnichów i kapłanów; widok był niezwykle i cokolwiek komiczny. Corfe podał królowej ramię i przy dźwięku fanfar, w szpalerze klaszczących notabli weszli do sali audiencyjnej. Zebrane w pałacu niedobitki torunnańskiej arystokracji witały gości ze znacznie mniejszym zapalem niż zgromadzone przy drodze tłumy. Na wytatuowanych barbarzyńców patrzono z niesmakiem, na generała w czerni z niechęcią i podziwem, na starzejącą się królową – z dyskretną dezaprobatą. Twarz Corfe’a była jak wyrzeźbiona z drewna, kiedy stanął przed pontyfikalnym podwyższeniem i spojrzał na ślepego starca, duchowego przywódcę połowy zachodniego świata.

Monsignor Alembord nie zdążył nawet dobrze odchrząknąć, żeby należycie zapowiedzieć dostojnych gości, gdy Macrobius zszedł z podium i na oślep wyciągnął rękę przed siebie.

–Corfe.

Corfe ujął jego dłoń. Wydała mu się sucha jak jesienny liść i delikatna jak puch ostu. Spojrzał w okaleczoną twarz i przypomniał sobie długie, zimne noce na Trakcie Zachodnim, podczas ucieczki z Aekiru.

–Jestem tu, Wasza Świątobliwość.

W sali zapadła cisza. Zapowiedź Alemborda przeszła w zdławione kaszlnięcie. Wszystkie oczy zwróciły się na pontyfika i generała. Macrobius się uśmiechnął.

–Minęło dużo czasu, generale.

–Bardzo dużo.

–Powiedziałem ci kiedyś, że twoja gwiazda jeszcze się wznosi. I miałem rację. Daleką drogę przebyłeś od Aekiru, przyjacielu. Daleką i trudną.

–Obaj ją przebyliśmy.

Corfe’a zapiekło w gardle. Widok Macrobiusa budził wspomnienia z innego świata, z innych czasów. Pontyfik położył mu dłoń na ramieniu.

–Siądź przy mnie i opowiedz o swoich podróżach. Tym razem możemy podzielić się czymś więcej niż osmaloną rzepą.

Przeznaczone dla Corfe'a krzesło zostało pospiesznie przeniesione bliżej pontyfikalnego tronu. Macrobius powitał królową w nieco bardziej oficjalnym stylu i wszyscy troje zajęli swoje miejsca. Zagrała muzyka. W sali audiencyjnej rozległ się głośny szmer rozmów. Andruw, stojący na czele oddziału Katedralników u stóp podwyższenia, zwrócił uwagę na stojącego obok mężczyznę w inicjanckim habicie. Byli w podobnym wieku.

–Co słyhać, ojczulku? – zagadnął go pogodnie.

–Co słyhać *wasza ekscelencjo*, żołnierzu. Jestem biskupem.

Andruw zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

–I co w związku z tym? Mam cię pocałować w pierścień?

Avila parsknął śmiechem i wziął dwa napełnione po brzegi kieliszki od przechodzącego w pobliżu służącego.

–Jeśli chcesz, możesz mnie pocałować w biskupi zadek. Ale najpierw się napij. Takie spotkania zawsze są okazją do wypitki, ja zaś słyszałem, że wy i wasi czerwoni barbarzyńcy nieźle się na północy napociliście.

–Nie wiedziałem, że teraz mianuje się takich młodych biskupów.

–A ja, że pułkowników. Przybyłem tu z Charibonu z moim... przyjacielem.

–Zaraz, ja cię chyba skądś znam... Nie spotkaliśmy się już wcześniej? Na Trakcie Północnym, kilka miesięcy temu. Byli z wami dwaj Fimbrianie. Corfe coś do was zagadywał.

–Masz świetną pamięć.

–A twój przyjaciel... Nie miał nosa. Gdzie się podziewa? Unika spotkań z możliwymi tego świata?

–Ja... Nie wiem, co się z nim dzieje. Ale proponuję, żebyśmy za niego wypili. Zdrowie Albreca szalonego! Niech Bóg będzie dla niego łaskawy.

Stuknęli się kielichami i wypili dobre wino do dna.

–Mamy powody sądzić, że zbłąkany biskup Waszej Świątobliwości nadal żyje – stwierdziła Odelia. – Co więcej, wygląda na to, że dano mu na merduckim dworze wolną rękę i może swobodnie głosić swoje posłanie. Merduccy mułłowie cały czas prowadzą dysputy na jego temat.

–Wiedziałem, że mu się uda. – Macrobius pokiwał głową. – Otacza go taka sama aura przeznaczenia, jaką wyczułem wokół Corfe’a. Cóż, może to i dobrze, że tak się stało. Że nie mamy już wpływu na to, co się z nim dzieje. Nie widzę innego wyjścia niż głoszenie nowiny także tu, w Torunnie, wszem i wobec. Czas dyskusji minął. Musimy zacząć szerzyć nową wiarę.

–Ta nowa wiara to prawdziwe objawienie – wtrącił półgłosem Corfe.

Odelia wyjaśniła mu, co jest powodem zaciekłych sporów w pałacu pontyfika. Był, rzecz jasna, zdumiony, ale uznał, że to wewnętrzna sprawa Kościoła. Skoro jednak Merduccy również debatowali na ten sam temat, sprawa przedstawiała się inaczej. Ten fakt mógł mieć konsekwencje natury militarnej.

Na koniec długiego, nużącego dnia, wypełnionego przemowami i ceremoniałem, Macrobius, królowa i Corfe zamknęli się w prywatnych apartamentach pontyfika. Odelia podkreśliła, że spotkanie zakończyło się sukcesem. Kościół zatwierdził jej koronację i wszyscy zobaczyli, że Macrobius wita Corfe’a jak starego przyjaciela. Ktokolwiek chciałby zburzyć nowy ład, teraz dwa razy się zastanowi, mając w pamięci entuzjazm tłumów i najwyraźniej przyjazne stosunki łączące Kościół z Koroną.

–Założmy, że Merduccy wezmą sobie do serca słowa tego Albreca – zmieniła temat Odelia. – Jak to wpłynie na przebieg wojny?

–Nie wiem – odparł pontyfik. – Nigdy nie wątpiliśmy, że i wśród Merduków są ludzie obdarzeni czułym sumieniem. Ale tym, którzy mają sumienie, brakuje zwykle siły przebicia, by powstrzymać wojnę.

–Zgadza się – odezwał się Corfe. – Sultán się nie podda. Wszystko wskazuje na to, że obecna kampania ma być ukoronowaniem całej wojny. Chce zająć Torunn i nie pozwoli, żeby w takiej chwili mułłowie mu przeszkodzili. Ale jeśli dotrwamy do lata, będzie chyba można rozpocząć negocjacje i wojnę zakończyć.

–Zakończyć wojnę... – zamyśliła się Odelia. – Na Boga, myślicie, że to naprawdę możliwe? Zakończyć ją raz na zawsze?

–Rozmawiałem wczoraj z Fournierem. Był jak zwykle nieznośnie arogancki, ale ja

byłem niemiłosiernie uparty. W końcu zniżył się do szczerzej rozmowy ze mną i wyjawiał mi, że merducka armia jest wykończona. Liczba dezertersów rośnie z dnia na dzień. Jeżeli najbliższe natarcie zakończy się klęską, Fournier twierdzi, że sułtan nie będzie w stanie dalej wojować. *Minhraibowie* spędzili poprzednie żniwa na froncie. Jeżeli zdarzy się to drugi raz z rzędu, w Ostrabarze zapanuje głód. To dla Aurungzeba ostatnia szansa.

–Nie wiedziałam o tym. Chyba nie myślę o nich jak o ludziach, którzy mają rodziny, domy, pola... Bardziej mi przypominają... karaluchy. Zabijesz jednego, przylezie tuzin. Ale w takim razie jest nadzieja. Światelko w tunelu.

–Jest nadzieja – przytaknął ponurym tonem Corfe – Ale, jak powiedziałem, sułtan rzuci do ostatniego szturm wszystkim siły. Może się okazać, że staniemy naprzeciw armii liczącej sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

–Czy nie lepiej byłoby zatem skryć się za murami i pozwolić im nas oblegać? Przetrzymalibyśmy ich. Przegapiliby żniwa.

–Gdybyśmy to zrobili, sułtan mógłby odesłać *minhraibów* do domu. Do oblężenia wystarczyłyby mu skromniejsze siły. Musimy go zmusić do pełnej mobilizacji; niech rzuci na szalę wszystko, co ma. I dlatego musimy wyjechać w pole i stawić mu czoło.

–Corfe... – wtrącił cicho Macrobius. – Przy takiej przewadze liczebnej wroga nasza sytuacja wydaje się beznadziejna.

–Wiem o tym, ale też potrzebujemy innego zwycięstwa niż Merducy. Jeżeli uda nam się ich trochę poturbować, powstrzymać ten ostatni szturm, stępić armii zęby i nie dopuścić do oblężenia Torunnu, wygramy. Wierzę, że jesteśmy w stanie to osiągnąć, chociaż będziemy potrzebowali jakiegoś dodatkowego atutu. Czegoś, co pozwoli nam wyrównać szanse. Na razie nic takiego nie znalazłem, ale znajdę.

–Będę się modlił, żeby ci się udało.

Bezoka twarz pontyfika była wychudzona i zapadnięta. Stanowiła żywy dowód tego, co Merducy robią z pokonanymi.

–A jeśli tak się stanie? Jeśli uda ci się powstrzymać tę ich maszynę wojenną? – zapytała Odelia. – Co wtedy? Co możemy zyskać lub stracić, jeśli wynegocjujemy pokój?

–Wał Ormanna jest dla nas stracony – odparł wprost Corfe. – Musimy się z tym pogodzić. Nie odzyskamy Aekiru. Jeżeli terytorium kraju zostanie okrojone do linii Searilu, będziemy mogli uważać się za szczęśliwców. Wszystko zależy od tego, jak się spisze armia. Będziemy dosłownie wykupywać nasz kraj, płacąc torunnańską krwią. Nie znam się jednak na rokowaniach. Jestem od zabijania. Niech Fournier i

**jemu podobni prowadzą rozmowy, ja nie mam po temu ani ochoty, ani umiejętności.**

**Dopilnuję, żebyś je zyskał, odparła w duchu Odelia.**

**–Kiedy zatem wyruszysz? – zapytała na głos.**

**Corfe milczał tak długo, że zaczynała się z wolna irytować. Macrobius za to zachowywał spokój.**

**–Potrzebuję ponad dziewięciuset świeżych koni, żeby uzupełnić poniesione straty i dołączyć do armii nowych rekrutów, którzy cały czas napływają – odezwał się w końcu generał. – Z Passifalem i resztą kwatermistrzostwa muszę ustalić szczegóły logistyczne. To nie będzie krótki wypad. Kiedy wyjedziemy za mury, musimy być przygotowani na całe tygodnie albo nawet miesiące marszu. Z tego też względu należy wyremontować Trakt Zachodni i rozlokować przy nim magazyny. A poza tym zamierzam wcielić do wojska wszystkich zdolnych nosić broń mężczyzn, bez względu na pochodzenie i stanowisko.**

**–Nie możesz tego zrobić!**

**–Czemu nie? Takie jest prawo, które na dobrą sprawę cały czas obowiązuje. Po prostu nigdy nie próbowano wcielić go w życie.**

**–Nawet John Mogen się o to nie pokusił. Był rozsądny. Wiedział, że gdyby się na to poważył, arystokraci zatknęliby jego głowę na czubku włóczni.**

**–W Aekirze nie musiał się do tego uciekać. Tam kto żyw pomagał bronić miasta, nawet jeśli pomoc ograniczała się do donoszenia amunicji i łatania dziur w murach.**

**–To co innego. Aekir był oblężony.**

**Corfe z impetem wyrznął pięścią w stół, czym zaskoczył zarówno królową, jak i pontyfika.**

**–Nie będzie wyjątków! Tylko jeżeli przeprowadzę pobór, będę mógł zostawić solidny garnizon w mieście i poprowadzić w pole jaką taką armię. Na południu arystokraci mają prywatne armie; wiem o tym z własnego doświadczenia. Czas, żeby te samowolnie powołane pod broń oddziały przyłożyły ręki do obrony królestwa. Rozesłałem już rozkazy. Szlachetnie urodzeni panowie mają osobiście sprowadzić do stolicy swoje wojska. Jeżeli moje szacunki są słuszne, siły Torunnu wzmocnią się w ten sposób o piętnaście tysięcy ludzi.**

**–Nie masz prawa... – wtrąciła zapalczywie Odelia.**

**–Czyżby? Jestem wodzem naczelnym sił zbrojnych Torunny. Klerkowie mogliby**

mieć co do tego zastrzeżenia, ale dla mnie każdy mieszkaniec królestwa płci męskiej jest potencjalnym żołnierzem. Po zakończeniu wojny mogą mnie wykląć, ale na razie zbiorę tylu ludzi, ilu mi potrzeba. A tych, którzy odmówią, powywieszam, jak mi Bóg miły!

Twarz Corfe'a przybrała okrutny wyraz. Odelia spuściła wzrok. Nie sądziła, że mogłaby się przestraszyć jakiegoś mężczyzny, ale dzika natura wyczierała chwilami z oczu Corfe'a jak najprawdziwszy ogień piekielny. I niepokoiła ją. Dla ilu ludzi spojrzenie tych oczu było ostatnim widokiem w życiu? Chwilami miała wrażenie, że chociaż go kocha, wciąż nie ma pojęcia, do czego naprawdę jest zdolny.

–No dobrze – zgodziła się w końcu. – Przeprowadzisz pobór. Zaakceptuję twoje rozkazy, ale ostrzegam cię, Corfe: narobisz sobie potężnych wrogów.

–Jedyni wrogowie, którzy mnie interesują, obozują na wschód od Torunnu. Na resztę szczam. Wybacz, ojciec.

–Jej Wysokość ma rację, Corfe. – Macrobius uśmiechnął się słabo. – Nawet John Mogen nie zadzierał z arystokracją.

–Potrzebuję tych ludzi, ojciec. Ich tytuły będą nic niewarte, jeśli zniknie królestwo, w którym mogliby się nimi chełpić. Pozwól, że sam się będę tym martwił.

–Nie mów tak. – Odelia aż się wzdrygnęła. – To przynosi pecha.

Corfe wzruszył ramionami.

–Ja i tak nie wierzę w szczęście, pani. Jeżeli w ogóle istnieje, to trzeba je samemu sobie wykuć. Zamierzam w ciągu dwóch tygodni zebrać armię liczącą czterdzieści tysięcy ludzi i wyprowadzić ją na równinę. O ich życiu i śmierci zadecyduje taktyka i logistyka, a nie szczęście czy pech.

Macrobius dotknął lekko jego ręki.

–Miejmy nadzieję, że i wiara będzie miała wpływ na ich los.

–Kiedy ludzie wierzą w siebie, inna wiara nie jest im potrzebna.



Albrec i Mehr Jirah spotkali się w wieży obserwacyjnej Wału Ormanna, niedaleko apartamentów królowej. Była trzecia w nocy i po budynku snuli się tylko nieliczni rozespiani wartownicy. Za to na równinie tysiące ludzi mozoliły się przez całą noc w świetle ognisk. Roili się jak mrówki po obu stronach Searilu: rozbierali twierdzę na zachodzie i budowali od nowa na wschodzie. Na czarnych wodach rzeki tłoczyły się ciężkie barki i barkasy, po nadburcia wyładowane drewnem, kamieniami i zmęczonymi robotnikami. W pospiesznie skleconych przystaniach czekały cierpliwie dziesiątki słoń w uprzężach; poganiacze drzemali na ich szerokich karkach. Sułtan nakazał przed latem ukończyć budowę nowego Wału Ormanna, który miał się teraz nazywać *Khedi Anwar*, czyli „Twierdza nad rzeką”.

Pomieszczenie, w którym siedzieli, nie miało okien. Był to zakurzony składzik, na wpół wypełniony przeróżnymi rupieciami: kawałkami kolczug, których pordzewiałe ogniwa zlepiły się w pomarańczową masę, odłamanymi klingami szabli, butwiejącymi torunnańskimi mundurami, znalazłoby się nawet pudło sucharów, zapleśniałych i mocno nadjedzonych przez myszy. Dwaj kapłani przywitali się skinieniem głowy i czekali w milczeniu, nie mogąc rozpocząć rozmowy. Dopiero po dłuższej chwili zjawiła się królowa Ahara w towarzystwie shahra Baraza. Królowa była w przebraniu merduckiej służki, shahr Baraz zaś – w mundurze zwykłego szeregowca.

–Mamy mało czasu – zapowiedziała królowa. – Najdalej za kwadrans eunuchowie zaczną mnie szukać. Albrecu, jeszcze dziś wyruszysz do Torunnu. Shahr Baraz przygotował konie. Przydzielił ci także do ochrony dwóch służących. Odprowadzą cię na odległość wzroku od stolicy...

–Pani – wtrącił Albrec. – Nie jestem pewien...

–Nie czas na dyskusje. Shahr Baraz wypisał przepustkę, która pozwoli ci przejść przez posterunki. W całej Torunnie powinieneś głosić swoje posłanie, tak jak robiłeś to tutaj; pod tym względem jesteśmy zgodni z mehrem Jirahem. Na Wale Ormanna twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

Albrec skłonił się bez słowa, a potem podał rękę mehrowi Jirahowi i shahrowi Barazowi.

–Różnie układały się moje losy wśród Merduków – powiedział łamiącym się głosem. – Ale na pewno poznałem tu dwóch dobrych ludzi.

Heria przetłumaczyła tę krótką wypowiedź. Zakłopotani Merducy spuścili wzrok. Shahr Baraz podał mnichowi skórzany wór, z którego wystawał szarobrunatny strój.

–Włóż to – powiedział po normannijsku. – To ubranie merduckiego mułły. Świętego

**męża. Niech... Niech Bóg Zwycięstwa ma cię w opiece.**

**Spojrzał na Herię, skinął głową i wyszedł. Mehr Jirah bez słowa podążył za nim.**

**–Tu też mógłbym głosić słowo, pani – stwierdził półgłosem Albrec.**

**–Nie. Wróc do niego i daj mu to. – Heria podała mu opatrzony wojskową pieczęcią zwój. – To plany rozpoczynającej się kampanii. Tylko nie mów, od kogo je dostałeś, ojciec.**

**–Zaczynam się oswajać z faktem, że coraz częściej przenoszę ważne dokumenty. – Albrec ostrożnie wyjął jej zwój z dłoni. – Nie mogłaś inaczej przekazać go do Torunnu, pani? Nędzny ze mnie kurier.**

**–Posłaliśmy już dwóch ludzi – odparła półgłosem Heria. – Służących shahra Baraza, Merduków, w których żyłach płynie ramusiańska krew. Nie wiemy jednak, czy udało im się przedrzeć.**

**Albrec spojrzał na nią z podziwem.**

**–On jest po naszej stronie? Jak ci się udało go przekonać, pani?**

**–Powiedział, że jego ojciec by tak postąpił. Tamten shahr Baraz, który zdobył Aekir, nie prowadziłby wojny w taki sposób, jak to dziś czyni Aurungzeb. Poza tym mój shahr Baraz jest człowiekiem pobożnym. Uważa, że wojna powinna się zakończyć, skoro Ramusianie są naszymi braćmi w wierze. Mehr Jirah i wielu mułłów myśli podobnie.**

**–Jedź ze mną, Herio – zaproponował z ożywieniem Albrec. – Wróc do swoich, do męża.**

**Pokręciła głową. W jej oczach, widocznych ponad krawędzią kwefu, wezbrały łzy.**

**–Dla mnie jest już za późno. Poza tym najdalej za godzinę zauważono by moją nieobecność. Złapano by nas. Nie, ojciec, musisz wrócić sam. Pomóż mu ocalić moich rodaków.**

**–Pozwól przynajmniej powiedzieć mu, że żyjesz!**

**–Nie! Ja umarłam, rozumiesz? Nie nadaję się już na żonę dla Corfe'a. Tu jest teraz mój świat. Muszę w nim żyć najlepiej jak zdołam.**

**Albrec podniósł jej dłoń do ust i pocałował ją.**

**–W takim razie Merducy mają wspaniałą królową.**

**Odwróciła się.**

**–Muszę iść. Zejdź schodami na końcu korytarza na sam dół. Wychodzą na zachodni dziedziniec, gdzie będzie na ciebie czekała eskorta. Masz kilka godzin przewagi: zaczną cię szukać najwcześniej o świcie. Idź już, ojczy. Oddaj zwój Corfe'owi.**

**Albrec uklonił się nisko. Oczy zapiekły go z żalu nad Herią.**

**Zrobił to, o co prosiła.**

# OSIEMNAŚCIE

Ściągali do miasta od rana – przypadkowa zbieranina uzbrojonych ludzi, w mundurach we wszystkich kolorach tęczy. Niektórzy mieli tylko halabardy i kosy osadzone na sztorc na długich drzewcach, inni, lepiej wyposażeni, nieśli szable i arkebuzy. Większość szła pieszo, ale kilkuset dosiadało rozbrykanych rumaków w półpancerzach, dzierżąc w dłoniach zdobione jedwabnymi proporcami lance.

Corfe, generał Rusio i kwatermistrz Passifal stali na blankach południowego barbakanu, obserwując przybywających żołnierzy. Długa, równa kolumna skończyła się wreszcie i pod mury zajechał Andruw na czele pięćsetki Katedralników. Kiedy wjeżdżali do miasta, Andruw zasalutował i mrugnął do Corfe'a, a potem zniknął w tunelu bramy. Niosący się echem donośny łomot kopyt na bruku oznajmił ich przybycie.

–To ostatni oddział w tym tygodniu, panie generale – stwierdził Passifal, przeglądając plik zawilgoconych papierów. – Gavriar z Rone obiecał trzystu ludzi, ale długo będą do nas jechać. Książę Gebraru, stary Saranfyr, ma przysłać czterystu, tylko że do Gebraru jest stąd czterysta dwadzieścia mil. Przy odrobinie szczęścia za miesiąc się tu stawią.

–Ilu mamy w sumie?

–Okolo sześciu tysięcy zbrojnych wasali i pięć tysięcy wojska z poboru. Ci ostatni to głównie uchodźcy z Aekiru.

–Mniej niż myśleliśmy – mruknął ponuro Rusio.

–Mniej, ale lepsze to niż nic – zauważył Corfe. – Mogę zostawić sześć, siedem tysięcy na straży miasta, a i tak pod moją komendą zostanie... Ile? Trzydzieści sześć tysięcy? Trzydzieści siedem?

–Niektórzy z tych wasali to zwykli, niewyszkoleni chłopci – zauważył Rusio. Oparł się o krenelaż. – Wielu hrabiów z południa przysłało nam wioskowych głupków i drobnych przestępców, krótko mówiąc: męty.

–Wystarczy, żeby jeden z drugim stanął na blankach i pomachał piką. Weźmiesz pięciuset weteranów, Rusio, i zaczniesz szkolić nowych. Na szczęście są i takie oddziały, które można od razu włączyć w szeregi armii.

–A co powiesz na ich ubranka? – Passifal skrzywił się pogardliwie.

Lordowie chętnie przebierali swoich ludzi w jaskrawe kostiumy w heraldycznych barwach.

–Po paru dniach na deszczu i w błocie nie będą już takie śliczne. Tego jestem pewien.

–Co zrobić z samymi lordami? – zapytał Rusio. – Mamy tu sporą garść arystokratycznego narybku, który rwie się do walki. Ci młodzieńcy całkiem poważnie szykują się do poprowadzenia swoich miniaturowych armii w bój.

–Awansuj ich na chorążych i przydziel im rozgarniętych sierżantów.

–Ich tatusiowie nie będą zachwyceni. Oni sami zresztą też nie.

–Nic mnie to nie obchodzi. Nie oddam ludzi niewyszkolonym oficerom na zatracenie. To jest wojna, a nie jakaś gra salonowa. Ewentualne skargi mogą kierować prosto do królowej.

–Tak jest, panie generale.

Za ich plecami rozległy się kroki i na blankach pojawił się Andruw. W jednej ręce trzymał dyndający na pasku hełm.

–To już końcówka – powiedział. – Reszta chowa się po lasach i wśród wzgórz.

–Mieście kłopoty? – spytał Corfe.

–Żartujesz? Po tym, jak zobaczyli przerażających szkarłatnych jeźdźców, oddaliby mi swoje córki, gdybym poprosił. A powiem ci, że niewiele brakowało. Ale większość tych nowych z pospolitego ruszenia to nędza zupełna. Na murach może i postoją, ale na twoim miejscu, Corfe, nie zabierałbym ich poza miasto. W polu zostaną posiekani na kawałki.

–A wasale?

–No, są lepiej uzbrojeni, ale nie mają pojęcia o dyscyplinie i musztrze w oddziale większym niż *tercio*. Nadawaliby się na straż taborów.

–Tak właśnie myślałem. Dzięki, Andruw. Co z końmi?

–Stu ludzi pod dowództwem Marscha i Ebra prowadzi stado. Będą tu za trzy, cztery dni.

–Ile udało się wam zebrać?

–Tysiąc pięćset, ale z tego tylko trzecia część to rumaki z prawdziwego zdarzenia. Reszta to szkapiny oderwane od wozu i pługa i narowiste trzylatki.

–Będą nam musiały wystarczyć. Katedralnicy to nasza jedyna ciężka jazda. Jeżeli

**wszyscy dosiądą koni, będziemy mieli jakieś...**

**–Nieco ponad dwa tysiące konnych – wtrącił Passifal, spojrzawszy w dokumenty. –  
Dziś rano przybyła następna grupa barbarzyńców. Na mój gust to chyba Felimbri.  
Jest ich prawie dwustu i jeżdżą na takich małych, krępych kucach.**

**–Dziękuję, pułkowniku.**

**–Jak tak dalej pójdzie, połowę tej cholernej armii będą stanowili dzicy albo  
Fimbrianie – stwierdził cierpko Rusio.**

**–To nie byłoby wcale takie złe, generale – odparował Corfe. – Dobrze. Jak postępuje  
remont Traktu Zachodniego?**

**Stali na blankach i punkt po punkcie przeglądali sporządzoną przez Passifala listę  
zadań. Przygotowywane przez kwatermistrza spisy nie miały końca, a dni były za  
krótkie, żeby zmierzyć się choć z połową problemów, ale mała armia powoli  
przygotowywała się do nadchodzącej kampanii – być może ostatniej kampanii w tej  
wojnie. Taką mieli nadzieję. Tymczasem należało znaleźć kwatery dla rekrutów, tych  
chętnych, i tych wcielonych do wojska siłą; trzeba było ujeździć i wytresować konie,  
a także wyszkolić ludzi; niezbędna była inwentaryzacja taborów i zapasów dla  
trzydziestu paru tysięcy ludzi, którzy planowali długi pobyt na pustkowiu; sama  
droga, którą mieli wkrótce przemierzać, musiała zostać naprawiona, żeby armia nie  
ugrzęzła w błocie zanim oddali się od murów miasta poza zasięg wzroku. W żadnej  
kwestii nie można było zdać się na łut szczęścia – nie tym razem. Dla Torunnan  
nadchodziły decydujące chwile. Gdyby kampania zakończyła się klęską, królestwo  
stałoby bezbronne wobec okrutnej groźby merduckiej okupacji.**

Corfe został na wieczór zaproszony na kolację do domu hrabiego Fourniera. Nie miał właściwie czasu na bankiety, ale zaproszenie brzmiało intrygująco. Ubrał się więc w dworską czerń i udał na spotkanie, puszczając mimo uszu żartobliwe ostrzeżenie Andruwa, żeby uważał, co je.

Rezydencja hrabiego w Torunnie bardziej niż dom przypominała dworek; w łukowato sklepionej bramie w jednym ze skrzydeł, prowadzącej na dziedziniec, swobodnie zmieściłaby się karetą z czwórką koni. Znajdował się w modnej zachodniej dzielnicy, niedaleko pałacu królewskiego, na jego tyłach zaś rozpościerały się rozległe ogrody, opadające aż na brzeg rzeki. Nad Torrinem znajdował się mały pawilon, do którego zaprowadził Corfe'a krótko ostrzyżony paź, gdy tylko młody stajenny przejął od niego wodze konia. Fournier powitał go uśmiechem i uściskiem ręki. Pawilon był obficie oszklony; prawdę mówiąc, tyle szkła naraz Corfe widział dotąd chyba tylko w katedrze. Oświetlały go umieszczone w latarenkach świece. Znajdujący się w środku stół nakryto dla dwóch osób. Tuż za boczną ścianą pawilonu z bulgotem i pluskiem przewalały się wody potężnego Torrину, oddzielonego od ogrodu szeregiem wierzb. Kiedy Corfe rozglądał się po okolicy, jakieś siedzące dotąd wśród gałęzi zwierzę zerwało się do lotu. Sądząc po łopocie skórzastych skrzydeł, musiał to być nietoperz.

–Przybywa pan bez eskorty i orszaku, generale? – zapytał Fournier, unosząc brwi. – Jak na człowieka na tak eksponowanym stanowisku, zachowuje pan niezwykłą skromność.

–Uznałem, że dyskrecja będzie ważniejsza. Za każdym razem, kiedy Katedralnicy wyjeżdżają na ulicę, oblegają ich tłumy.

–No tak, powinienem był się domyślić. Proszę siadać. Wina? Mój kucharz spisał się dziś na medal. Jeśli się nie mylę, uraczy nas strzępielem dostarczonym z ujścia rzeki oraz mięsem dzikich gołębi.

Wyłożone na nieskazitelnie białym obrusie srebra lśniły w blasku świec. Wino, migoczące w zdobionej złotym filigranem karafce, wypełniało również kryształowe puchary. Przy kolacji obsługiwał tłumek młodych, niespełna trzydziestoletnich mężczyzn.

Fournier zauważył taksujące spojrzenie Corfe'a.

–Lubię otaczać się młodymi ludźmi. Pomaga mi to... zachować wigor. Marion? Proszę podać pierwsze danie.

Ryba. Corfe jadł mechanicznie. Wymiótł talerz do czysta, zanim gospodarz zdążył

trzy razy podnieść widelec do ust. Hrabia się roześmiał.

–Nie jest pan na wyprawie wojennej, generale. Powinien pan delektować się dziełem mojego kucharza. Pochodzi ze wschodu, z Calmaru. Nawrócił się na naszą wiarę. Podejrzewam, że w przeszłości mógł być korsarzem, ale nie powinno się przesadnie wnikać w rodowód geniusza, nie uważa pan?

Corfe nie odpowiedział. Fournier najwyraźniej świetnie się bawił, jakby posiadał jakąś tajemną wiedzę, która sprawiała mu o wiele większą przyjemność niż samo jedzenie.

Talerze zostały uprzątnięte, pojawiło się następne danie, później i ono zniknęło. Fournier skakał z tematu na temat: mówił o błahostkach natury gastronomicznej, o kurczeniu się torunnańskiej floty rybackiej, o sposobach przyrządzania karpia. Corfe sączył wino i odpowiadał monosylabami. W końcu zostawiono ich samych z karafką brandy i orzechowym deserem. Służący odeszli. Przez chwilę ciszę mąciła tylko cicha muzyka płynącej nieopodal rzeki.

–Okazał pan godną podziwu cierpliwość, generale – stwierdził Fournier, pociągając łyk fimbriańskiego alkoholu. – Spodziewałem się z pańskiej strony wybuchu jeszcze przed podaniem pierwszego dania.

–Wiem o tym.

–Proszę o wybaczenie. Uwielbiam te moje gierki. Dlaczego pana zaprosiłem? Co się święci w przeddzień tak wielkich wydarzeń? Wynagrodzę panu pańską pobłażliwość i zaraz wszystko wyjaśnię.

Fournier wyjął spod krzesła zakrwawiony zwój i położył go na stole. Pieczęć była złamana, ale zostało z niej dość wosku, żeby Corfe rozpoznał dwie skrzyżowane szable. Ostrabarska pieczęć wojskowa. Odruchowo wyprostował się na krześle.

–Może orzeszka? Polecam, generale, doskonale pasują do brandy.

Fournier wziął do ręki szczypcę o rękojeści z kości słoniowej i zgniótł w nich orzech.

–Do rzeczy, Fournier. Nie mam czasu.

–Moi agenci schwytali dziś ciekawą zdobycz. – Przekorna nuta w słowach hrabiego zniknęła bez śladu. Jego głos dźwięczał jak stal. – Ciekawą dla nas wszystkich: merduckiego mułę, podróżującego w towarzystwie dwóch żołnierzy. Muła wyglądał dość niecodziennie: niski, bez nosa i palców u jednej ręki. Doskonale mówił po normannijsku, z almarkańskim akcentem. Twierdził, że nazywa się Albrec, jest biskupem i przybywa prosto z merduckiego dworu.



**Corfe milczał. Tylko światło świec obudziło w jego oczach dwa piekielne ogniki.**

**–Nasz dzielny kapłan miał przy sobie ten zwój. Muszę przyznać, że przekonanie go, by go oddał, kosztowało nas sporo zachodu. Po dalszych namowach przyznał, że miał go dostarczyć panu, generale. Do rąk własnych. Wie pan, naturalnie, że mamy szpiega w obozie wroga. Zabrzmi to niewiarygodnie, ale do dziś nie znałem nawet jego imienia. Dziwne, lecz prawdziwe. Teraz wie pan wszystko, co trzeba. No, prawie wszystko. Może mi pan wyjaśnić, jak doszło do tego, że otrzymuje pan meldunki od człowieka ulokowanego na sułtańskim dworze?**

**–Nie wiem, o czym mówisz, Fournier. Co zawiera ten zwój?**

**–To w tej chwili nieważne. Znacznie bardziej niepokojąca jest perspektywa sekretnych konszachtów wodza naczelnego armii Torunny ze sztabem wojsk nieprzyjaciela. Na coś takiego, drogi panie Corfe Cear-Inaf, znam tylko jedno określenie. To zdrada stanu.**

**–Nie wydurniaj się, Fournier. Meldunek pochodzi od tego twojego genialnego agenta, którym przechwalasz się od tygodni. Co w nim jest? I co zrobiłeś z Albrekiem?**

**–Wszystko w swoim czasie, generale. Bo widzi pan, najciekawsze w całej historii jest to, że zwój nie pochodzi od mojego szpiega, lecz, jak po długich namowach przyznał nasz biedny, okaleczony biskup, od samej królowej. I co pan na to powie?**

**Corfe'owi zaparło dech w piersi.**

**–Nie mam pojęcia...**

**–Pułkowniku Willem! – powiedział Fournier, podnosząc lekko głos.**

**Z ciemności wynurzyła się grupa ludzi. Blask świec załśnił na ostrzach obnażonych mieczy. Do pawilonu wszedł łysy mężczyzna z przepaską na oku: Willem, jeden z wyższych stopniem oficerów Corfe'a. Za nim stał młody pułkownik Aras. Willem trzymał w ręce gotowy do strzału pistolet; w zamku tlił się lont.**

**–Proszę aresztować generała Cear-Inafa i zaprowadzić go do moich biur na nabrzeżu.**

**–Z przyjemnością, panie hrabio. – Willem odsłonił w uśmiechu pokiereszowane zęby. – Wstawaj, zdrajco!**

**Corfe ani drgnął. Błyskawicznie otrząsnął się ze zdumienia. Nagle wiele spraw stało się jasnych. Szybkim spojrzeniem obrzucił twarze przybyszów: znał tylko Willema i Arasa, ale nawet oni nie byli w mundurach. Zwrócił się do Fourniera, usiłując nie**

**okazywać żadnych emocji:**

**–Dlaczego od razu nie każesz mnie zastrzelić?**

**–Myślałem, że to oczywiste. Plebs by nam tego nie darował. Oni pana kochają, generale. Najpierw pana zdyskredytujemy, a dopiero potem powiesimy.**

**–Królowa wam nie uwierzy.**

**–Jej opinia się nie liczy, ponieważ jej władza nie ma podstaw prawnych. Ród Fantyrów wygaś. Torunna musi sobie poszukać nowych władców.**

**–Założę się, że nie będzie musiała daleko szukać.**

**Fournier uśmiechnął się w odpowiedzi.**

**–Willem, zabierzcie mi sprzed oczu tego parweniusza.**

Na dziedzińcu czekał kryty powóz, do którego wepchnęli skutego Corfe'a. Aras jechał z nim w środku, cały czas mierząc mu w pierś z nabitego pistoletu. Willem i pozostali dosiedli koni. Klekocąc i podskakując na wybojach powóz przemierzał ulice śpiącego miasta; Corfe przypuszczał, że jest już dobrze po północy. W głowie miał chaos, ale – o dziwo – udało mu się zachować całkowity spokój. Wreszcie zagrali w otwarte karty. Intrygi się skończyły. Od tej pory będzie się liczyć tylko siła.

Spojrzał Arasowi w oczy.

–Pamiętam, jak broniłeś swojej pozycji w Królewskiej Bitwie. Do głowy by mi nie przyszło, że mógłbyś przyłożyć ręki do czegoś podobnego.

Aras nie odpowiedział. Wnętrze powozu oświetlała jedna migocząca latarenka, przy której trudno było coś wyczytać z jego twarzy.

–Wybuchnie wojna domowa – ciągnął Corfe. – Armia was nie poprze. Merducy dostaną kraj na srebrnej tacy. Bo jemu właśnie o to chodzi: chce być gubernatorem prowincji w merduckim królestwie.

Kiedy Corfe milkł, ciszę mącił tylko turkot obitych metalem kół i stukot końskich kopyt na bruku.

–Na Boga, człowieku, czy ty w ogóle wiesz, co to jest lojalność?!

Powóz się zatrzymał. Drzwi zostały otwarte od zewnątrz, Corfe'a wywleczono ze środka. Powietrze pachniało martwą rybą, smołą i wodorostami. Znajdowali się w pobliżu południowych doków, niedaleko ujścia rzeki. Na tle nieba rysowały się kontury przysadzistych, ciemnych budynków; maszty statków gdzieniegdzie przesłaniały gwiazdy.

Nie stawiał oporu, kiedy go popychano i poszturchiwano. Willem najchętniej od razu by go zastrzelił. Corfe nie chciał mu dawać pretekstu do zwolnienia kurka.

Kołyszące się latarnie. Plamy światła na mokrym bruku. Ludzie w pancerzach. Piki i arkebuzy. Żołnierze mieli dziwaczne mundury; wchodzili w skład prywatnych armii, które na rozkaz Corfe'a sprowadzono do miasta. Przechytrzyli go. Sam ściągnął ich sobie na głowę. To dlatego byli tacy pewni siebie.

Do środka. Ktoś bez powodu uderzył go pięścią w ucho. W dół, po kamiennych schodach, do piwnicy, w której woda ściekała po ścianach. Pochodnie skwierczały i dymiły paskudnie. Ohydny zapach przyprawiał o mdłości.

**–Przytrzymajcie go – rozkazał Willem. Dwóch ludzi wzięło go w kleszcze. Jednooki pułkownik zmierzył go nienawistnym spojrzeniem. – Zaskoczyliśmy cię, co? Myślałeś, że wszystko załatwione, że nie masz się czego obawiać. No cóż, myliłeś się, ty zawszony łachmaniarzu...**

**Kolbą pistoletu uderzył go w skroń.**

**Corfe zachwiał się. Po drugim ciosie nogi się pod nim ugięły i świat rozplynął się w ciemności. Próbował się wyrwać, ale tamci dwaj trzymali go mocno, a Willem metodycznie okładał go po głowie. Nie czuł bólu, raczej eksplozje pod czaszką, jakby ktoś raz za razem strzelał mu w mózg z rurociągu. Jakoś nie mógł stracić przytomności. Krew kapiała na kamienną posadzkę, zlepiła mu powieki, zatykała nos. Słyszał własny oddech dobiegający gdzieś z daleka, chrapliwy i mozolny jak rżenie umierającego suchotnika.**

**Potem usłyszał brzęk kluczy i wrzucono go do ciemnej celi. Drzwi zatrzęsły się z łoskotem, dobiegający zza nich śmiech i odgłos kroków ucichły w oddali.**

**Miał wrażenie, że jego głowa już do niego nie należy. Pod powiekami migotały mu światełka, jakby obserwował nocną bitwę. Kajdany wrzynały mu się w ręce. Podłoga w celi była mokra i cuchnąca.**

**Usiadł. Ból powoli wygrywał z szokiem i stawał się coraz dokuczliwszy. W uszach mu dzwoniło, krew ściekała do ust. Zwymiotował żółcią.**

**–Kto tam? – usłyszał z ciemności. Głos brzmiał niewyraźnie, był dziwnie zdeformowany.**

**–A kto pyta? – wychrypiał.**

**–Nazywam się Albrec. Jestem mnichem.**

**Corfe z trudem wziął głęboki wdech.**

**–Znów się spotykamy. Nazywam się Corfe i jestem żołnierzem.**

**Ciemność otuliła jego umysł. Runął twarzą na posadzkę.**

O świcie zaczęły się aresztowania. Willem i jego ludzie chodzili po domach całymi oddziałami. Pierwszych zgarnęli Andruwa i Marscha, zaraz po nich Morina, Ebra i Ranafasta. Wyciągnęli z łóżek generała Rusio i pułkownika Passifala i zakuli ich w łańcuchy. Dowodzone przez Willema trzy tysiące arkebuźników otoczyły koszary Katedralników; pułkownik Aras na czele dwudziestu *tercios* aresztował Formia i jego Fimbrian. Armia otrzymała rozkaz pozostać w koszarach, w mieście wprowadzono godzinę policyjną. Na koniec Fournier we własnej osobie wziął pięćdziesięciu ludzi, pomaszerował do pałacu i zażądał widzenia z królową. Odelii przydzielono strażników – dla jej bezpieczeństwa, rzecz jasna. Pałac został odcięty od miasta.

Do południa nadrzeczne lochy zapełniły się. Trafił do nich prawie cały sztab armii, a przebierańcy, z których Andruw tak się nabijał, objęli władzę nad trzema czwartymi stolicy. Katedralnicy próbowali wyrwać się z oblężenia, ale arkebuźnicy z miejsca położyli trupem kilkudziesięciu z nich. Fimbrianie ograniczyli się do ufortyfikowania koszar: wszędzie stanęły improwizowane barykady. Ludzie Formia mieli jednak bardzo mało amunicji, a w walkach ulicznych piki nie na wiele by się im zdały. Chwilowo byli unieruchomieni, Fournier zaś, przekonany, że z czasem zaakceptują jakieś warunki rozejmu, dał im spokój.

Czas upływał. Po południu na rozkaz Fourniera sprowadzono ciężkie działa i rozmieszczono je na pozycjach wokół koszar Katedralników i Fimbrian. Pułkownik Willem północną bramą wyprowadził z miasta dwanaście tysięcy torunnańskich żołnierzy. Powiedziano im, że merducki oddział zapuścił się w pobliże Torunnu i wódz naczelny kazał nawiązać z nim walkę. Ledwie jednak opuścili Torunn, Willem poprowadził ich na wschód, ku wybrzeżu, gdzie można było mieć pewność, że nie będą nikomu wchodzić w drogę. Reszta żołnierzy, zagubiona i pozbawiona dowództwa, pozostała w koszarach. Uzbrojone patrole nie dopuszczały do nich cywili, tłumacząc nadzwyczajne środki bezpieczeństwa pogłoskami o infiltracji armii przez agentów sułtana. W ten oto sposób, dzięki rozsądnej mieszance kłamstwa, podstępu i siły Fournier przejął władzę w stolicy.

Zajął apartamenty w bocznym skrzydle pałacu, w których Lofantyr organizował narady sztabu. Wczesnym wieczorem zaroilo się w nich od wyjeżdżających i przybywających kurierów, oficerów odbierających nowe rozkazy i nic nie rozumiejących szeregowców, którym kazano trzymać straż. Hrabia zjadł skromną kolację, odesłał wszystkich i siedząc przy długim stole na fotelu, który dawniej zajmował król Lofantyr, skubał w zadumie naoliwioną bródkę. Nie odwrócił się, słysząc za oknem łopot błoniastych skrzydeł, tak jak nie zdziwił się, kiedy na stole, wśród papierów, map i kałamarzy wylądował homunkulus. Stworzonko złożyło skrzydła i przekrzywiło łeppek.

**–Moje gratulacje – przemówiło ludzkim głosem. – Cała operacja przebiegła sprawniej, niż się spodziewaliśmy.**

**–Na razie było łatwo. Znacznie trudniej będzie zachować pozory przez najbliższy tydzień. Mam nadzieję, że na bieżąco informujesz o wszystkim swojego władcę.**

**–Naturalnie. Jest z ciebie ogromnie zadowolony. Życzy sobie, aby zachować Cear-Inafa przy życiu. Sam zdecyduje, jak się go pozbyć, kiedy już wkroczy do miasta.**

**–A królowa? Co z nią zrobimy? Przecież nie może przeżyć.**

**–To zrozumiałe. Kłopot w tym, że Aurungzeb niechętnie myśli o mordowaniu władców. Uważa, że to może prowokować poddanych do różnych głupich zachowań.**

**–W takim razie powinna po prostu zniknąć bez śladu. Na przykład uciec. I nikt nigdy więcej by o niej nie usłyszał.**

**–To chyba byłoby najlepsze rozwiązanie.**

**–Kiedy ruszy armia twojego pana?**

**–Już ruszyła. Za niecały tydzień będziesz, mój drogi hrabio, nowym gubernatorem Torunny, odpowiedzialnym tylko przed samym sułtanem. A wojna się skończy.**

**–Wojna się skończy – powtórzył w zadumie Fournier. – Cear-Inaf to parweniusz i prostak. Nieźle sobie radził, ale nawet pod jego znakomitym dowództwem nasza armia byłaby bezradna w starciu ze stu pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy wroga. Oszczędziłem Torunnie katastrofalnej klęski. Ocaliłem tysiące ludzkich istnień.**

**–Bez wątpienia.**

**Zdawało mu się tylko, czy też w głosie homunkulusa naprawdę zabrzmiała delikatna kpina?**

**–Odejdź już – polecił ostrym tonem Fournier. – Powiedz swojemu panu, że utrzymam dla niego Torunn. Kiedy wasze wojsko stanie pod murami, bramy zostaną otwarte. Dopilnuję, żeby żołnierzy wyprowadzono z miasta. Nie napotkacie oporu.**

**–A co z prywatną armią Cear-Inafa? Miał przecież tych barbarzyńców i Fimbrian, nie wspominając już o weteranach z Wału.**

**–Są unieruchomieni, a w najbliższych dniach zostaną ostatecznie unieszkodliwieni.**

**Homunkulus rozpostarł nietoperzowe skrzydła.**

**–Mam nadzieję, że tak się stanie, mój drogi hrabio. Dla twojego własnego dobra. –**

**Już zrywał się do lotu, ale zawahał się jeszcze chwilę. – A właśnie... Doszły nas słuchy, jakoby na naszym dworze działał twój szpieg. Czy to prawda?**

**–To tylko plotki, nic więcej. Próbowałem umieścić swojego człowieka w otoczeniu Aurungzeba, ale nigdy mi się to nie udało. Możesz mu pogratulować ochrony.**

**–Dziękuję. Homunkulus wróci za dwa dni i będzie nadzorował postęp twoich działań. A na razie żegnam, hrabio.**

**Stworek wzbił się w powietrze, machnął skrzydłami i wyfrunął przez otwarte okno. Fournier odprowadził go wzrokiem. Kiedy homunkulus znikł mu z oczu, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot znad górnej wargi.**

Corfe obudził się, ale miał wrażenie, że koszmar, który prześladował go we śnie, wcale się nie skończył – ba, że siedzi w kącie i chichocze kpiąco. Podniósł rękę do twarzy. Ból przeszył mu oba nadgarstki, gdy szarpnął drugą rękę. Był skuty. Dłonie miał opuchnięte i prawie pozbawione czucia, praktycznie bezużyteczne; jeszcze jeden dzień w kajdanach i będą mu je mogli obciąć. Twarz, kiedy ostrożnie ją obmacał, wydała mu się kompletnie obca. Dziwnie się czuł, dotykając tej zdeformowanej karykatury ludzkiego oblicza. Jęknął głośno.

–Corfe? – usłyszał. – Nie śpisz?

–Nie.

–Co oni robią? Słyszałem strzały.

–Przypuszczam, że chcą opanować miasto.

–Od rana przyprowadzają nowych więźniów. Dziesiątkami. Słyszę, jak otwierają i zamykają drzwi.

Corfe nie mógł zebrać myśli. Głowę miał wypchaną wełną.

–Fournier cię złapał – wybełkotał.

–Tak, po drodze do miasta. Miałem dwóch towarzyszy. Merduków. Zginęli na torturach. Nic nie powiedzieli. – Rozległ się dźwięk przypominający szloch. – Tak mi przykro. Ja nie dałem rady.

–Ten list... Co w nim było?

–Plan merduckiej kampanii i opis taktyki.

Corfe ze wszystkich sił próbował się otrząsnąć i skoncentrować. Miał ochotę położyć się w cuchnącym bloku i zasnąć.

–Królowa Merduków... Mówił, że list był od niej. To prawda?

–Tak – odparł Albrec po długiej chwili milczenia.

–Dlaczego to zrobiła?

–Ona... Jest Ramusianką. Z Aekiru. Chce się zemścić.

–Szanuję ją za to.



**–Ale teraz nic z tego nie będzie. Do czego Fournier zmierza?**

**–Wydaje mi się, że chce poddać miasto. Musiał dobić targu z Merdukami. A ja byłem głupcem, aroganckim głupcem.**

**W celi zapadła cisza. Gdzieś za ścianą ciekła woda, z dołu dobiegał szum ścieków w kanałach. W kanałach.**

**–Ojczy! – Corfe nagle się ożywił. – Obejrzyj dokładnie podłogę. Musi tu gdzieś być odpływ, jakaś krata, pokrywa, coś w tym guście...**

**–Ale Corfe...**

**–Pospiesz się!**

**Zaczęli przeszukiwać po omacku śmierdzącą posadzkę, nurzając palce w jakichś nienazwanych miękkich paskudztwach. Corfe'owi udało się nawet złapać szamoczącego się, mokrego szczura. Kiedy wreszcie zorientował się, skąd dobiega szmer wody, znalazł kratę odpływu i odgarnął z niej gnijącą słomę. Obmacał ją na wpół odrętwiałymi palcami: była kwadratowa i mierzyła najwyżej pół na pół metra.**

**Szarpnął za kratę, ale nawet nie drgnęła. Była mocno osadzona w zaprawie. Niezdarnie przeszukał kieszenie i znalazł w jednej składany nóż. Willem zabrał mu sztylet, ale był tak zajęty biciem go, że zapomniał go zrewidować.**

**–Wy dranie! – warknął z triumfem Corfe.**

**Obolałymi rękami rozłożył nóż i zaczął wskrobywać zaprawę, która w paru miejscach skruszała już od wilgoci. Podważał bryłki i grudy, aż w pewnym momencie rozległ się trzask i czubek noża odłamał się. Prawie tego nie zauważył, pracował jak szalony. Co jakiś czas pod czaszką wybuchały mu oślepiające światła; musiał wtedy przerwać i odczekać, aż mdłości miną. Trwało to całe godziny – tak mu się przynajmniej wydawało – ale w końcu usunął calusieńką zaprawę mocującą kratę odpływu do podłogi. Schował nóż. Coś ciepłego ściekało mu po skroniach; nie wiedział, czy to krew, czy pot.**

**–Pomóż mi, ojczy.**

**Albrec wpadł na niego po ciemku.**

**–Mam tylko jedną sprawną rękę.**

**–Nie szkodzi. Trzy to i tak więcej niż dwie. Chwyć tutaj. – Przesunął dłoń mnicha w odpowiednie miejsce. – Na „trzy” ciągniemy.**

Zaparli się i ciągnęli ze wszystkich sił. Corfe miał wrażenie, że zaraz mu głowa pęknie. Coś zgrzytnęło, krata zadygotała, ale nie ruszyła się z miejsca. Padł ciężko na ziemię.

Po krótkiej przerwie spróbowali ponownie. Tym razem Corfe był pewien, że udało im się poruszyć jeden róg kraty. Pomacał go i stwierdził, że tkwi dobre pół cala nad poziomem posadzki.

W ciemności czas włókł się dziwnie, nienaturalnie, wypełniony oślepiającym bólem i potwornym wysiłkiem. Ciągnęli za kolejne narożniki odpływu, palce ślizgały im się na mokrym metalu, aż w pewnym momencie Corfe'owi udało się wsunąć pod kratę łańcuch, którym miał skute ręce. Szarpnął do góry. Miał wrażenie, że oderwie sobie dłonie od przegubów.

Metal zgrzytnął o metal. Corfe poleciał na plecy, a wyrwana z odpływu krata wyrznęła go boleśnie w rzepkę. Leżał nieruchomo i ciężko dyszał.

–Udało nam się... ojciec...

Długą chwilę nasłuchiwali w ciemnościach. Nikt nie dzwonił na alarm. Nikt nie przyszedł.

–Schodzimy? – zapytał w końcu Albrec.

–Jesteśmy na nabrzeżu. Kanały uchodzą tu wprost do rzeki, która musi być gdzieś blisko, nie dalej niż sto metrów od nas. Chodź, ojciec Albrecu. Za kwadrans obaj odetchniemy świeżym powietrzem. Pójdę pierwszy.

Szum ścieków w kanałach wydawał się bardzo głośny, gdy Corfe zaczął się ześlizgiwać w odpływ. Odrażający smród przyprawiał go o mdłości, ale nie miał już czym wymiotować. Dawno pozbył się resztek wykwintnej kolacji u Fourniera.

Zawisł na skraju otworu. Nogami wpadł w lodowatą wodę i poczuł chwilę ślepej, bezrozumnej paniki. A jeśli tam nie będzie jak oddychać? A jeśli...

Palce ześliznęły mu się z krawędzi. Spadł czymś w rodzaju krótkiego szybu i z pluskiem wylądował w ściekach, które przykryły go z głową. Prąd porwał go i rzucił na ceglaną ścianę. Nie tylko nie mógł oddychać, ale nawet nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół. Płuca rozpaczliwie dopominały się o choćby jeden haust powietrza. Kanał miał niespełna metr szerokości. Corfe zaparł się o ściany, zdzierając sobie skórę z knykci i kolan. Udało mu się zaczerpnąć powietrza, zanim nurt znów go porwał. Uderzył głową w ścianę. Chciało mu się wyć z bólu.

I nagle znalazł się w powietrzu: przeleciał kilka metrów i z impetem wpadł do wody. Poczucił powiew czystego, chłodnego powietrza. Wydostał się na zewnątrz i

wylądował w rzece.

Była noc. Z powodu bliskości morza woda miała słonawy smak. Zakrztusił się nią, kiedy młóćąc na oślep skutymi rękami próbował utrzymać się na powierzchni. Prąd niosł go w stronę morza, ale udało mu się dostrzec pochylone nad wodą drzewo. Sięgnął do jednej zwisającej gałęzi, chybił, druga uderzyła go w twarz, trzecią wreszcie złapał, choć dłonie ześlizgiwały mu się po liściach. Podciągnął się jak na linie i poczuł muliste dno pod nogami. Brodząc w wodzie wygramolił się na brzeg. Drżał z zimna. Otrząsnął się, zebrał myśli – i dopiero teraz przypomniał sobie o Albrecu.

Prawie po omacku znalazł na błotnistym brzegu długi kij, kątem oka cały czas obserwując powierzchnię rzeki. Czekał bardzo długo, ale nic nie zobaczył. Było za zimno, żeby tak stać w nieskończoność: Albrec albo został w celi, albo się utopił. Corfe nie mógł dłużej czekać. Światła Torunny płonęły jasno, miejskie mury piętrzyły się jak monolit nie dalej niż dwieście metrów od niego. Wyszedł na brzeg na odsłoniętym skrawku ziemi jeszcze w obrębie miasta, niedaleko południowego barbakanu. Był tu zbyt widoczny. Musiał się ukryć.

Przy brzegu gęsto rosły trzciny, które odcedzały z nurtu wszelkie śmieci i odpadki i cuchnęły wyziewami ścieków. Przedzierał się przez nie najciszej jak potrafił, gdy nagle znieruchomiał. Coś miotano się w wodzie. Człowiek.

–Mój Boże... – usłyszał Corfe. – Boże słodki...

–Albrec!

–Corfe?

Ruszył dalej. Mnich ugrzązł po uda w mule i przypominał teraz jakiegoś oślizłego potwora z bagien. Corfe wyciągnął go na brzeg i przez chwilę leżeli wyczerpani wśród trzciny. Na bezchmurnym niebie od horyzontu po horyzont iskrzyły się gwiazdy.

–Chodźmy – rzekł w końcu Corfe. – Musimy stąd iść. Tutaj zginiemy.

Albrec bez słowa dźwignął się na nogi i zataczając się jak para ubłoconych pijaków ruszyli przed siebie.

–Dokąd idziemy? – zapytał mnich.

–Do jedyne go ważnego człowieka, którego, jak sądzę, Fournier nie odważył się tknąć. Do Macrobiusa.

–A co z wojskiem?

**–Musiał je jakoś wziąć w karby. Na pewno pozbył się moich oficerów, mógł też odsunąć królową od władzy. Przede wszystkim muszę zdjąć te przeklęte łańcuchy, zanim mi ręce odpadną. Dużo słyszałeś strzałów, siedząc w celi?**

**–Sporo, ale kanonada trwała dosłownie parę minut.**

**–To znaczy, że na razie nie doszło do żadnej większej bitwy. Po prostu unieruchomili moich ludzi. A Merducy już pewnie ruszyli. Pospieszmy się, Albrecu, nie ma chwili do stracenia!**

# DZIEWIĘTNAŚCIE

Dwórki trzęsły się ze strachu, patrząc, jak królowa dygocze i wykrzywia twarz w bolesnych grymasach. Od dobrych dwóch godzin siedziała na fotelu, a spod jej przymkniętych powiek migwały białka wywróconych oczu. Dwórki miały szczerzy zamiar wezwać medyka lub przynajmniej aptekarza, ale stara Grania, która służyła w pałacu najdłużej ze wszystkich – chociaż w jej ciemnych oczach próżno by szukać oznak starości – kazała im zamknąć bezużyteczne jadaczki i udawać, że nie dzieje się nic niezwykłego. W przeciwnym razie, mówiła, stojący pod drzwiami strażnicy mogliby wpaść na pomysł, żeby zajrzeć do królewskich komnat. Skarcona gromadka dam dworu z roztargnieniem szydełkowała i haftowała, z nużącą regularnością kłując się po palcach i z trudem tłumiąc szloch. Grania tymczasem wznosiła oczy ku niebu i popijała wino.

Żadna nie zauważyła, kiedy owłosiony czarny stwór o rubinowych ślepiach wynurzył się z kominka i wrócił na swoje stałe miejsce wśród krokwi, pośrodku rozedrganej, czarnej od sadzy pajęczyny. Królowa westchnęła i osunęła się na oparcie. Przetarła oczy, wstała i przeciągnęła się. Przez tę krótką chwilę wyglądała na swoje pięćdziesiąt kilka lat. Rozszczebiotane dwórki otoczyły ją kręgiem, a ona wzięła podany przez Granię kieliszek i duszkiem wypła wino.

–Za stara już jestem na takie zabawy – stwierdziła, zwracając się do swojej dawnej mamki.

–Nie ty jedna, pani – odparła oschle Grania. – Zamknijcież się wreszcie! – warknęła pod adresem wystrojonych w kolorowe piórka dwórek.

–Nie, nie – zaprotestowała królowa. – Mówcie. Rozkazuję wam rozmawiać. Strażnicy powinni słyszeć, jak plotkujemy. Kiedy zrobi się cicho, nabiorą podejrzeń.

–Jest bardzo źle? – spytała Grania.

Zebrane w komnacie kobiety bez ładu i składu gadały o pogodzie i cenach jedwabów, próbując jednym uchem wychwycić słowa królowej.

–Bardzo. Zdziesiątkowali mu Katedralników. Biedacy, zaszarżowali z mieczami na arkebuzy.

–A Fimbrianie?

–Są dziwnie potulni. Coś mi jednak mówi, że Formio, ich dowódca, nie da sobie w kaszę dmuchać. Wprowadzono godzinę policyjną. Fournier rozgościł się we wschodnim skrzydle pałacu. Jest taki pewny siebie, że trzyma przy sobie zaledwie pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu ludzi. Reszta patroluje miasto. Na przystani

widać pożar, ale nie wiem, co to oznacza. Arach ma słaby wzrok, a poza tym czasem trudno mi zinterpretować to, co widzi.

–Usiądź, pani, jesteś wyczerpana.

–Jak mogłabym teraz usiąść?! – wybuchła Odelia. – Przecież nawet nie wiem, czy on żyje! – Dłonią otarła twarz. – Wybacz, jestem zmęczona. Powinnam była to przewidzieć. Byłam taka ślepa...

–Nikt tego nie przewidział – stwierdziła cierpko Grania. – Nie dręcz się, pani. Nie jesteś wieszczką.

Królowa znów osunęła się na krzesło.

–Ale on nie mógł umrzeć. Po prostu nie mógł.

Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Droga znad rzeki do pałacu pontyfika była długa, żmudna i zajęła Corfe'owi i Albrecowi większą część nocy. Bez trudu udawało im się unikać patroli Fourniera; żołnierze więcej uwagi poświęcali cudom wielkiego miasta niż łapaniu spóźnionych przechodniów – koniec końców byli przecież zwyczajnymi prowincjuszami, na których wielkość i przepych stolicy musiały zrobić wrażenie. Podsluchując ich rozmowy, Corfe zorientował się, że niektórzy nie wiedzą nawet, po co ściągnięto ich do Torunnu. Mieli tylko mgliste pojęcie o jakimś zagrożeniu ze strony Merduków.

Przy bramie opactwa zatrzymali ich Rycerze-Bojownicy. Z niedowierzaniem przyjęto ich prośbę o audiencję u pontyfika – nadal byli skuci i dosłownie oblepieni błotem i zaschniętym brudem ścieków. Było jednak w oczach Corfe'a coś, co kazało jednemu ze strażników sprowadzić monsignora Alemborda. Korpulentny inicjant nie był zachwycony, że wywleka się go po nocy z łóżka, ale za to natychmiast rozpoznał przemoczonych uciekinierów. Przy wtórze licznych szeptów pospiesznie zaproszono ich do środka i ulokowano w małym pokoju gościnnym. Corfe poprosił o sprowadzenie kowala lub płatnerza, który mógłby rozkuć im łańcuchy. Alembord oddalił się kolebiącym krokiem, z niedowierzaniem kręcąc głową. Praktycznie nie zdawał sobie sprawy, że w mieście doszło do przewrotu. Corfe miał rację: ludzie Fourniera nie odważyli się zapuścić na teren opactwa.

Wkrótce zjawiał się rozespany płatnerz, niosąc drewnianą skrzynkę z narzędziami. Zdjął kajdany obu więźniom. Corfe zacisnął z bólu zęby, kiedy krew zaczęła mu z powrotem napływać do odrętwiałych dłoni. Od opuchlizny zrobiły się niemal dwa razy większe niż normalnie, a na przegubach żelazne pierścienie wżarły się głęboko w ciało. Nawet nie próbował zatamować krwawienia; krew mogła wypłukać choć część brudu z ran.

Dostarczono im miski z czystą, ciepłą wodą i świeże ubrania – inicjanckie habity, jak się później okazało. I tak oto godzinę przed świtem Corfe w przebraniu mnicha trafił do prywatnych apartamentów Macrobiusa.

Apartamenty może i były prywatne, ale tłoczył się w nich spory tłumek zaaferowanych Rycerzy-Bojowników i podenerwowanych kapłanów. Wszyscy z ponurymi minami wysłuchali relacji Corfe'a z ostatniej półtorej doby; Albrec uzupełnił ją o swoją historię. Zgodnie z tym, co wcześniej między sobą ustalili, ani słowem nie wspomnieli o szpiegu na merduckim dworze.

Macrobius wysłuchał ich w milczeniu, a potem zapytał:

–Co chcielibyście, żebym zrobił?

–Ilu zbrojnych macie w opactwie? – zapytał Corfe.

**–Alembordzie?**

**–Okolo sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu, Wasza Świątobliwość.**

**–Doskonale. Musicie wyruszyć z nimi o świcie i udać się na główny plac miasta. Zwołajcie tam wiec, wezwijcie mieszkańców, sprowokujcie zamieszanie. Niech ludzie wylegną na ulice. Fournier ma za mało popleczników, żeby trzymać w szachu całe miasto. Nie zdoła też zastraszyć mieszkańców, jeśli się ich przeciw niemu pobuntuje. Trzeba wyciągnąć ludzi z domów, Wasza Świątobliwość.**

**–A co ty przez ten czas zrobisz, Corfe?**

**–Spróbuję dostać się do moich żołnierzy. Jeżeli wybuchnie zamieszanie, Fournier będzie musiał zabrać strażników, którzy ich pilnują. Wtedy będę miał szansę ich uwolnić. A potem gwarantuję Waszej Świątobliwości, że go pokonam.**

**–Co z Merdukami? – wtrącił Alembord. Oczy miał okrągłe jak spodki.**

**–Przypuszczam, że już ruszyli na Torunn. Jeżeli idą forsownym marszem, będą tu za cztery, pięć dni. Mamy mało czasu. Jeśli chcemy w porę wyjść w pole, do jutra musimy odbić miasto z rąk Fourniera.**

**–Dobrze. – Macrobius skinął głową. – Będzie, jak chcesz. Alembord, postaw na nogi całe opactwo. Chcę widzieć mnichów w najlepszych habitach, Rycerzy w pełnych zbrojach i na koniach. Niech zbiorą wszystkie chorągwie i proporce, jakie im wpadną w ręce. To ma być widowisko, które da Fournierowi do myślenia. Zajmij się tym natychmiast. – Wystraszony Alembord oddalił się pospiesznie, pontyfik zaś zwrócił się do Corfe'a: – Jak chcesz się przebić do swoich żołnierzy?**

**–Jeśli Wasza Świątobliwość pozwoli, zachowam to przebranie. Przedstawię się jako kapłan niosący pociechę wojakom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Z tego też powodu najpierw pójdę do Fimbrian. Nikt by nie uwierzył, że kapłan chce odwiedzić Katedralników.**

**–Pójdiesz sam?**

**–Tak. Albreca łatwo rozpoznać, nawet te matołki z południa nie dałyby się nabrać. Będzie musiał zostać tu, w opactwie.**

**–A co z królową, Corfe?**

**–Na razie musi sobie radzić sama. Potrzebuję żołnierzy, nie monarchów.**



Od ciągłego skubania broda hrabiego Fourniera zmieniła się ze szpiczastej w rozczochną. Chodził po pokoju jak dziki kot zamknięty w klatce. Oficerowie śledzili go obojętnymi spojrzeniami.

–Uciekł? Jak to: uciekł? Jest tylko jeden człowiek, którego za wszelką cenę powinniśmy trzymać w zamknięciu, a wy mi mówicie, że wydostał się na wolność. Jak to się mogło stać?

Twarz Gabriela Venuzziego była blada jak świeżo pobielona ściana.

–Udało mu się podważyć kratę zasłaniającą odpływ, panie hrabio. Tamtędy zszedł do kanałów, razem z tym mnichem bez nosa. Byli zamknięci w jednej celi.

–No właśnie, to jest drugi problem. Kazałem przecież trzymać więźniów osobno!

–W lochach nad rzeką jest za mało miejsca. Według moich ostatnich szacunków trzymamy tam około osiemdziesięciu więźniów, czasem nawet po trzech w celi. Zgarnęliśmy wszystkich oficerów powyżej stopnia chorążego. Może należałoby złagodzić ten przepis...

–Nie! Musimy odciąć głowę, jeśli nie chcemy, żeby ciało nas zmiążdżyło. Trzeba aresztować wszystkich, którzy są na liście, co do jednego. Jeśli to konieczne, możecie ich zamykać w miejskich więzieniach.

–Wedle rozkazu, hrabio.

–Co tam u królowej?

–Pilnujemy jej. Jest w swoich apartamentach.

–Niech strażnicy co jakiś czas do niej zaglądną.

–Hrabio Fournier! – Venuzzi nie posiadał się z oburzenia. – To przecież królowa! Nie oczekuje pan chyba, że prości żołnierze będą ją podglądać jak jacyś wścibscy gapie?

–Róbcie, co mówię, do stu diabłów! Nie mam czasu na tę twoją koronkową dyplomację pałacową, Venuzzi. Jeśli poniesiemy klęskę, wszyscy położymy głowy pod topór. Jakim cudem udało mu się uciec?! I dokąd poszedł? Do swoich, naturalnie. Ale przecież nie prześliznie się przez strażę. Chyba że użyje podstępów. Venuzzi, przekaz oficerom, żeby do Fimbrian i Katedralników nikogo nie wpuszczano. Absolutnie nikogo. Żeby mi się nawet mysz nie prześliznęła.

–Nie jestem idiotą, hrabio.

**–Dopóki nie straciliśmy Cear-Inafa, też byłem tego zdania. A teraz wracaj do swoich zajęć.**

**Kiedy Venuzzi wychodził, nie był już blady, lecz czerwony ze złości. Fournier odwrócił się do stojącego przy drzwiach barczystego mężczyzny.**

**–Sardinac! Sprowadź do pałacu więcej ludzi. I jakieś armaty.**

**Sardinac wyprężył się jak struna.**

**–Mamy mało artylerzystów, panie hrabio. Proszę nie zapominać, że dowodzimy zbieraniną cywilów, a nie przeszkolonym wojskiem.**

**–Tak jakbym o tym nie wiedział! Weź działa spod koszar Fimbrian. I wyślij następnego negocjatora do Formia. Z tymi samymi warunkami: gwarantujemy im bezpieczne opuszczenie miasta. Osioł jeden! Nie dość, że wmieszał się w nie swoją wojnę, to jeszcze się targuje, chociaż stoi na straconej pozycji.**

**Sardinac uklonił się i wyszedł w ślad za Venuzzim.**

**Fournier otarł czoło wyperfumowaną chusteczką. Otaczali go sami idioci – i to była prawdziwa tragedia. Miał taki piękny plan, ale jego powodzenie zależało od idealnego współdziałania wszystkich elementów. Margines błędu był minimalny.**

**Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wyszedł na taras, z którego widać było narożnik głównego placu. Odniósł wrażenie, że odbywa się tam jakaś karnawałowa szopka. Widział Rycerzy-Bojowników z chorągwiami, kapłanów w odświętnych habitach i dziki, kilkutysięczny tłum miejskiej biedoty, który nie bacząc na godzinę policyjną wyległ na ulice. To również wymagało jego reakcji. Miał ze swoimi ludźmi ten sam kłopot, co z masłem, kiedy rozsmarować je zbyt cienko na za dużej pajdzie chleba. Kto by pomyślał, że ten stary głupiec Macrobius wychynie z leża i zacznie głosić kazania?**

**Komnata była ogrzewana piecykiem węglowym; bryły węgla drzewnego żarzyły się w nim jaskrawą czerwienią. Fournier podszedł do stołu i z małej skrzyneczki wyjął postrzępiony zwój, opatrzony złamaną już merducką pieczęcią wojskową. Przez chwilę oglądał go w zadumie i już miał go wrzucić do piecyka, gdy nagle zmienił zdanie. Wetknął go za pazuchę kaftana i pogładził się wypielęgnowaną dłonią po piersi.**

**–Sierzancie! Przyszedł jakiś klecha! Mówi, że chce rozmawiać z Fimbrianami – zawołał młody żołnierz. – Można go chyba puścić, prawda?**

**Sierżant, korpulentny weteran wielu karczemnych awantur, dudniącym krokiem podszedł do barykady, gdzie czekał samotny inicjant w czarnych szatach. Otaczało go sześciu podenerwowanych młodzieńców z arkebuzami, w których zamkach złowieszczo tlił się wolnopalny lont. Sierżant wyjął szablę.**

**–Mamy nowe rozkazy, Fintanie. Przed chwilą przybiegł goniec. Nikogo nie przepuszczać. Przykro mi, ojcze, ale na próżno się fatygowałeś. Ale może pomodlisz się za nas, jak już pilnujemy tych przeklętych Fimbrian?**

**–Uczynię to z radością, mój synu.**

**Kapłan z twarzą ukrytą w kapturze nakreślił w powietrzu Znak Świętego. Szerokie rękawy habitu podjechały mu do łokci, odsłaniając paskudnie poranione nadgarstki. Żołnierze zdążyli wprawdzie pochylić głowy, przyjmując błogosławieństwo, ale na dźwięk rozkazu natychmiast wyprężyli się na baczność:**

**–Sierzancie! Przyprowadzić do mnie tego człowieka! – Pułkownik Aras stał przy pobliskim spichlerzu, otoczony tłumem niższych rangą oficerów i gońców. – Tego kapłana... Za chabety go i do mnie!**

**Inicjant zmartwił, widząc wycelowane w siebie lufy sześciu arkebuzów. Sierżant obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.**

**–Coś mi się widzi, że twoje modlitwy będą bardziej potrzebne gdzie indziej, ojczulku.**

**–Na to wygląda – przytaknął kapłan. – Uważajcie na tych Fimbrian. Słyszałem, że odcinają pokonanym uszy. Na pamiątkę.**

**–Zabierzcie go do mojej kwatery, sierzancie. Migiem! – ryknął blady jak płótno Aras. – Dość tej gadki.**

**Inicjant pod eskortą trafił do wnętrza olbrzymiego spichrza, odprowadzany spojrzeniami zaciekawionych żołnierzy. W środku znajdował się mały kantorek, oddzielony przepierzeniami od reszty budynku. Kilku młodych arystokratów pochylało się nad rozłożoną na stole mapą. Widok kapłana trochę ich zaskoczył. Wyprostowali się i powitali go skinieniem głowy. Aras odprawił ich gestem.**

**–Może pan odsłonić twarz, generale.**

**Corfe odrzucił kaptur habitu.**

**–Gratuluje, Aras. Masz bystre oko.**

**Dłuższą chwilę bez słowa mierzyli się wzrokiem. W końcu Aras odwrócił się i sięgnął po karafkę.**

**–Wina?**

**–Chętnie, dziękuję.**

**Napili się, nie przestając taksować się spojrzeniami.**

**–Co dalej? – zapytał Corfe. – Oddasz mnie w ręce swojego pana, tak jak on chce oddać kraj Merdukom? Czy może jednak przypomnisz sobie, co to jest lojalność?**

**Aras usiadł ciężko na krześle.**

**–Nie ma pan pojęcia, ile mnie to kosztowało – wyszeptał.**

**–Co? Zdrada kraju?**

**Aras zerwał się na równe nogi. Poczzerwieniał z gniewu, ale złość uleciała z niego jak woda z przebitego bukłaka. Wbił wzrok w kieliszek.**

**–Zrobił pan błąd – powiedział cicho. – Źle się pan zabrał do rzeczy. Nie można bezkarnie deptać godności moźnych.**

**–Czyli w ostatecznym rozrachunku osobisty prestiż znaczy dla nich więcej niż los królestwa. Znasz mnie, Arasie; jeżeli człowiek jest dobry w tym, co robi, dla mnie równie dobrze może być żebrakiem, jak i księciem. Spójrz na Rusia. Awansowałem go na generała, chociaż był jednym z moich najzacieklejszych wrogów. Zdajesz sobie chyba sprawę, że przez Fourniera przemawia coś więcej niż tylko urażona duma. On chce za wszelką cenę rządzić Toruną, nawet jeśli miałby być tylko pionkiem Merduków. A wy wszyscy jesteście jego narzędziami. Pozbędzie się was przy pierwszej okazji.**

**–Chce wynegocjować pokój – stwierdził Aras. – Zakończyć wojnę z honorem.**

**–Wcale nie. Ogłosi bezwarunkową kapitulację i będzie żerował na trupie królestwa, który zostanie po przejściu Merduków.**

**Aras odwrócił wzrok.**

**–Co mam robić? Zdradzić go?**

**–Zdrajcy nie można zdradzić. Pilnujesz Fimbrian, prawda? Przecież to ci sami ludzie, którzy służyli w bitwie pod twoim dowództwem. Trzymali szyk, kiedy im kazałeś; ginęli tam, gdzie stali, bo takie były twoje rozkazy. To twoi towarzysze broni, nie wrogowie. Czy Fournier chociaż raz stanął z tobą w pierwszej linii? Ruszył do natarcia u twojego boku? Daj spokój, Arasie, zrób to, co ci podpowiada honor. Zabierz swoich ludzi i pozwól mi ocalić miasto.**

**Aras długo milczał. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był stanowczy i donośny:**

**–Haptmanie Vennor!**

**Młody człowiek w liberii jednego z południowych rodów wetknął głowę przez drzwi.**

**–Słucham, pułkowniku?**

**–Kaźcie ludziom złożyć broń, rozebrać barykady i odstąpić. I proszę zaprowadzić tego kapłana do fimbriańskich koszar. Oblężenie skończone.**

**Haptman Vennor wytrzeszczył oczy.**

**–Ale... panie pułkowniku... Z czyjego rozkazu...**

**–Z mojego, do cholery! Ja tu dowodzę! Do roboty!**

**Zaskoczony oficer zasalutował i zniknął.**

**–Dziękuję – powiedział półgłosem Corfe.**

**–Mam nadzieję, że wstawi się pan za mną na sądzie wojennym, generale.**

**–Na sądzie wojennym? – Corfe wybuchnął śmiechem. – Aras, mój drogi, ty mi jesteś potrzebny w armii. Jak już zrobimy tu porządek, czeka nas randka z Merdukami. Nie mogę sobie pozwolić na stratę oficera z twoim doświadczeniem.**

**Podał Arasowi rękę. Pułkownik przez moment się wahał, ale uściśnął ją mocno.**

**–Nie zawiodę pańskiego zaufania, generale. Nie tym razem. Będę panu wierny do końca.**

**–Chyba musiałem to przeczuwać... – Corfe uśmiechnął się. – Przecież inaczej uciekłbym, gdy tylko mnie rozpoznałeś.**

**–Co mam zrobić z tymi najemnikami?**

**–Zostaną pod twoją komendą. Najemnicy czy nie, grunt, że są Torunnanami. Kiedy uwolnimy Formia i jego ludzi, razem ruszymy na pałac.**



Odelia z tarasu obserwowała snujące się nad miastem wojenne dymy. Od strony północnej bramy w dalszym ciągu dobiegały odgłosy strzelaniny. Nabrzeża stały w ogniu; czarny dym kłębił się nad nimi jak burzowa chmura. Maszty statków odcinały się kanciastymi sylwetkami od morza buzujących płomieni. Niektórym jednostkom przecięto cumy, żeby nie zajęły się ogniem; dryfowały teraz bezradnie na otwarte morze.

Znacznie bliższa kanonada artyleryjska wreszcie umilkła, ustępując miejsca chaotycznemu ostrzałowi z lekkiej broni i okrzykom ludzi walczących o życie. To Fimbrianie ruszyli do szturm na pałac. Przerażeni służący i dwórki zbiegli się do królewskich komnat jak króliki uciekające przed pożarem stepu i teraz kulili się po kątach, zbici w małe grupki. A Corfe żył. Razem z Formiem dowodził natarciem na pałac. Walczyli o każdy pokój. Fournier przegrał bitwę i wyglądało na to, że niedługo straci życie. Ta myśl bardzo się jej podobała.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do komnaty wparowała banda brudnych żołnierzy. Za nimi szedł hrabia Fournier we własnej osobie, prowadząc Gabriela Venuzziego i grupkę młodych arystokratów z południa, którzy niedawno z taką pompą przybyli do miasta. Byli umorusani sadzą i pokrwawieni, mieli przerażone oczy, w rękach trzymali nagie miecze. Tylko Fournier jak zwykle zachowywał całkowity spokój. Ba, sprawiał wrażenie, jakby tego dnia bardziej niż zwykle zadbał o toaletę. Miał granatowy strój, czarne pończochy i zawieszony u pasa rapier ze srebrną rękojeścią. Chustką zasłaniał nos przed gryzącym odorem prochowego dymu, który rozszedł się po całym pałacu. Na widok królowej z galanterią schował chusteczkę do kieszeni i ukłonił się nisko.

–Wasza Wysokość.

–Mój drogi hrabia... Co pana sprowadza?

Salwa arkebuzów zagłuszyła pierwszą odpowiedź Fourniera. Zmarszczył brwi.

–Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Pomyślałem, że wypada przyjść się pożegnać.

–Opuszcza nas pan, hrabio?

–Niestety – odparł Fournier z uśmiechem. – Nie wybieram się jednak daleko.

Odgłosy walki zdawały się dobiegać z najbliższego korytarza. Towarzysze hrabiego rzucili się z krzykiem w ich stronę – wszyscy poza Venuzzim, który osunął się na podłogę i zaczął głośno szlochać.

**–Zanim odejdę, chciałbym ci coś dać, pani – ciągnął tymczasem hrabia. – Niech to będzie prezent pożegnalny, który, być może, przyda się... hmm... nowej Torunnie, bo taka niewątpliwie powstanie po moim odejściu. – Z kieszeni na piersi wyjął zwój: obstrzępiony, zakrwawiony, ze złamaną pieczęcią. – Albowiem, moja pani, wbrew temu, co możesz myśleć, nigdy nie życzyłem źle temu królestwu. Po prostu nie widziałem innej możliwości jego ocalenia niż mój sposób. Innym może się udać, tego nie wykluczam, ale ratując Torunnę, zniszczą ją. I nawet jeśli w tej chwili nie do końca mnie rozumiesz, pani, jestem przekonany, że pewnego dnia to się zmieni.**

**Odelia wzięła od niego zwój i lekko skinęła głową.**

**–Każę pana powiesić, hrabio. A pańską głowę zatknąć na włóczni nad bramą miasta.**

**–Przykro mi będzie rozczarować Waszą Wysokość, ale jestem arystokratą starej szkoły i zamierzam zejść z tego padołu w sposób, jaki sam wybiorę. A teraz proszę o wybaczenie.**

**Podszedł do stojącego w kącie stolika, na którym wystawiono karafki z winami i brandy. Całkowicie ignorując zgiełk toczącej się za drzwiami bitwy nalał sobie wina i wsypał do kieliszka biały proszek z ukrytej w dłoni papierowej tutki. Wypił trunek jednym haustem.**

**–Gaderiańskie. I to chyba najlepszy rocznik, w sam raz na zakończenie.**

**Uklonił się, a kiedy się wyprostował, Odelia dostrzegła pot perlący mu się na czole. Zrobił jeszcze krok w jej stronę, a potem runął na podłogę.**

**Wbrew sobie uklękła przy nim i ujęła jego głowę w dłonie.**

**–Możesz być zdrajcą, Fournier – powiedziała cicho. – Ale odwagi nigdy ci nie brakowało.**

**Hrabia uśmiechnął się w odpowiedzi.**

**–To człowiek z krwi i żelaza, pani. Nie będziesz z nim szczęśliwa.**

**Przewrócił oczami i zmarł.**

**Odelia z marsem na czole przymknęła mu powieki. Strzelanina w korytarzu osiągnęła ogłuszające crescendo i nagle rozległ się metaliczny szczęk kling, krzyki ludzi, ginące w zgiełku rozkazy.**

**–Wstrzymać ogień! – zabrzmiał znajomy głos. – Powiedziałem: wstrzymać ogień! Rzućcie broń. Formio? Aresztować ich. Andruw, za mną.**



Zrobiło się dziwnie cicho, a potem podkute buty załomotały o marmur. Do komnaty weszli Corfe i Andruw w otoczeniu Fimbrian i toczących pianę z ust Katedralników. Twarz Corfe'a była paskudnie posiniaczona i czarna od prochu, jedno oko kompletnie mu zapuchło.

Królowa wstała. Głowa Fourniera stuknęła głucho o posadzkę.

–Witam, generale.

Z trudem się powstrzymała, żeby nie rzucić mu się na szyję.

–Mam nadzieję, że znajduję cię w dobrym zdrowiu, pani? – Corfe omiół wzrokiem pokój. Na widok Fourniera zmrużył oczy. – Widzę, że hrabiemu udało się uciec.

–Przed chwilą.

–Jego szczęście. Kazałbym go nabić na pal. Chłopcy, sprawdźcie sąsiednie komnaty. Ten wieśniak twierdzi, że więcej się ich tu nie pochowało, ale cholera ich wie.

Andruw wyprowadził żołnierzy z komnaty. Corfe dopiero teraz zauważył skulonego na podłodze Venuzziego i kopniakiem odsunął go sobie z drogi.

–Miasto jest bezpieczne, Wasza Wysokość – zameldował. – Wysłałem już ludzi, żeby przywieźli mi głowę pułkownika Willema, który z żołnierzami ukrywa się gdzieś na wschód od miasta.

–Co z resztą spiskowców?

–Rozstrzeliliśmy ich na miejscu. A właśnie, póki pamiętam...

Corfe dobył miecza. Ostrze mignęło jak błyskawica, rozległ się obrzydliwy chrzęst i głowa Gabriela Venuzziego poturlała się po podłodze. Z tułowiem łączyła ją tylko struga tryskającej krwi. Dworki zgodnie wrzasnęły; jedna zemdląca. Odelia tylko się skrzywiła.

–Czy to było konieczne?

Corfe spojrzał na nią bez cienia litości w oczach.

–Przez niego zginęło osiemdziesięciu moich ludzi. Ma szczęście, że tak szybko umarł.

Wytarł miecz o ubranie szambelana.

Królowa odwróciła się do niego plecami i odsunęła od rozlewającej się coraz szerzej

kałuży krwi.

–Posprzątajcie to – rozkazała jednej ze służących.

Znów wyjrzała przez okno. Czwarta część miasta płonęła, pożar szalał głównie w nadrzecznych kwartałach. Za to nie było już słycać strzałów. Macrobius przemawiał na głównym placu miasta, tak jak to czynił od bladego świtu. Ciekawe o czym mówi? pomyślała z roztargnieniem.

Corfe stanął obok niej. Wyglądał jak zawodowy bokser po przegranej walce.

–Ocaliłeś miasto, generale – stwierdziła Odelia. Była na niego wściekła z tysięcy powodów, których nie umiałaby nawet nazwać. – Moje gratulacje. Teraz musisz nas tylko uratować przed najazdem Merduków.

Czy to możliwe, żeby przedśmiertne słowa Fourniera wywołały w niej taką reakcję? To odrażające morderstwo, którego dokonał z zimną krwią... W dodatku na jej oczach! Jakim trzeba być człowiekiem...

–Marsch nie żyje – powiedział cicho.

–Co takiego?!

–Zginął, kiedy próbowali wydostać się z koszar.

Spojrzała na niego. Łzy płynęły mu po policzkach, chociaż w jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Była jak wykuta z marmuru.

–Corfe... Tak mi przykro.

Objęła go i przytuliła. W pierwszej chwili poddał się i wtulił twarz w jej szyję, ale zaraz odsunął się i otarł oczy.

–Muszę iść. Mamy mnóstwo pracy i bardzo mało czasu.

Odprowadziła go wzrokiem. Wyszedł, nie patrząc pod nogi, brodząc we krwi Venuzziego i zostawiając za sobą szkarłatny trop.

Historia puczu w Torunnie była krótka, choć krwawa. Regularne wojsko wkrótce zdławiło ostatnie ogniska buntu. Udało się również zmobilizować tysiące mieszkańców do pomocy przy gaszeniu pożarów i dzięki temu opanować ogień. Homunkulus obserwował to wszystko z bezpiecznego schronienia na czubku wiśni w pałacowym ogrodzie. Kiedy zrobiło się ciemno, odleciał na północ.

Tej samej nocy Aurungzeb, sułtan Ostrabaru, stojąc na blankach jedynej wieży ocalałej z Wału Ormanna uderzył pięścią w kamienny mur.

–Kto tu rządzi?! Kto dowodzi!? Shahr Johorze, możesz sobie być moim kedywem, ale to nie znaczy, że jesteś niezastąpiony. Raz już uległem twej prośbie, spełniłem twoją zachciankę i wybaczyłem ci klęskę, do której doprowadziła. Teraz ty zrobisz coś dla mnie!

–Ale... Wasza Wysokość, zmiana planów taktycznych, gdy armia dosłownie za kilka dni ma przystąpić do walnej bitwy, byłaby nierozsądna.

–Co powiedziałaś?

Zrezygnowany shahr Johor potarł palcami nasadę nosa.

–Proszę o wybaczenie, mój sułtanie. Jestem zmęczony.

–Z pewnością. Prześpij się przed bitwą, bo inaczej nikomu się do niczego nie przydasz. – Głos sułtana nie brzmiał już tak złowrogo. – Nie jestem dzieckiem, Johorze. Znam się trochę na prowadzeniu wojen i nie zamierzam wywracać naszego planu do góry nogami. Chcę w nim tylko wprowadzić drobną poprawkę.

Shahr Johor tylko pokiwał głową. Nie miał siły dłużej protestować.

–Batakowi nie udało się pozbyć tego torunnańskiego dowódcy. Zdrajca Fournier nie podda nam Torunnu. Batak twierdzi, że przewrót się nie powiódł; bunt stłumiono w zaledwie dwa dni. Te intrygi kosztowały nas sporo czasu, dlatego mam ich dość. Do zniszczenia Torunny wystarczy nam brutalna siła. No i, oczywiście, dobra taktyka. Zapoznałem się z twoimi planami. – Aurungzeb mówił teraz ciszej, rozsądniejszym tonem. – Podobają mi się i nie będę ci się do nich wtrącał. Chciałbym tylko, abyś wzmocnił oddział, który ma osłaniać flankę armii. Dołącz do kawalerii dziesięć tysięcy *hraiadarów*.

–Nadal nie rozumiem, dlaczego Wasza Wysokość postanowił nieoczekiwanie zmienić plany – upierał się shahr Johor.

**–Miedzy naszym obozem i Torunnem trwa regularna komunikacja. – Aurungzeb jeszcze bardziej zniżył głos. – Podejrzewam, że wśród nas jest zdrajca.**

**Shahr Johor wyprężył się jak struna.**

**–Wasza Wysokość jest tego pewien?**

**–Pewien nie jestem, ale odrobina podejrzliwości nie zaszkodzi. Ten obłąkany mnich uciekł. Ktoś na dworze musiał mu pomagać. A kto wie, jakie informacje miał w tym swoim pomyłonym łbie? Zrób, co mówię. Posłuchaj mnie. Poza tą jedną zmianą nie będę się wtrącał.**

**–Tak uczynię, sułtanie. Wielka jest twoja mądrość. Oddział na flance zostanie wzmocniony naszym najlepszym kontyngentem szturmowej piechoty. A dopóki nie wyruszy w pole, będziemy o nim wiedzieli tylko my dwaj, mój panie.**

**–Twoje słowa są balsamem dla mojej duszy, Johorze. Zapowiada się decydująca bitwa w tej wojnie. Nie możemy niczego pozostawić przypadkowi. Mehr Jirah przekonał pół armii, że Święty z zachodu to nasz Prorok. *Minhraibowie*, niech ich piekło pochłonie, są na tyle głupi, by sądzić, że to oznacza koniec wojny z Ramusianami. Niewykluczone, że Ostrabar już nigdy nie będzie miał drugiego takiego pospolitego ruszenia.**

**–Nie zawiodę Waszej Wysokości! Niewierni padną jak rażeni gromem. Najdalej za kilka dni zasiądziesz, mój sułtanie, na tronie Torunny, a jej królowa złoży ci hołd. Ten jej słynny generał będzie już tylko wspomnieniem.**

# DWADZIEŚCIA

Nie było czasu na narady wojenne, dyskusje o strategii i inne zostawiane na ostatnią chwilę zabiegi i podchody, uwielbiane przez wszystkie sztaby w dziejach ludzkich wojen. Ledwie ugaszono pożary – zgliszcza nad rzeką jeszcze dymiły – gdy armia wymaszerowała z miasta. Corfe wyruszył na czele trzydziesty pięciu tysięcy ludzi, zostawiając w Torunnie czterotysięczny garnizon. Niektórzy z nich całkiem niedawno stali po przeciwnych stronach barykady, ale w obliczu merduckiego zagrożenia musieli o tym zapomnieć. Trzeba było jednak uważać i nie mieszać Katedralników z wasalami z południa. Barbarzyńcy mocno przeżyli śmierć Marscha i nie zamierzali jej łatwo zapomnieć ani wybaczyć.

Andruw dowodził Katedralnikami; Ebro został jego zastępcą. Formio jak zwykle stanął na czele Fimbrian, a Ranafast wziął pod swoją komendę weteranów z Wału Ormanna. Głównymi siłami regularnej armii torunnańskiej dowodził generał Rusio; Arasowi przypadła w udziale rola jego zastępcy. Nowoprzyjętych rekrutów rozdzielono wśród *tercios* złożonych z weteranów, po dwóch, trzech na każdą kompanię. Dowódcą miejskiego garnizonu została królowa we własnej osobie, co budziło powszechne zdumienie – ale Corfe zwyczajnie nie mógł sobie pozwolić na to, żeby zostawić w mieście choćby jednego starszego oficera. Zbyt wielu zginęło w lochach. Poza tym gdyby armia polowa poniosła porażkę, dla miasta i tak nie byłoby ratunku.

Nie była to bynajmniej najlepiej wyekwipowana z torunnańskich armii. Większość rekrutów nie miała nawet mundurów, a niektórzy nadal nie umieli obchodzić się z bronią, chociaż najmniej zdolnych Corfe i tak zostawił w garnizonie. Tabory również pozostawiały sporo do życzenia, ponieważ większość zapasów dla wojska poszła z dymem, kiedy spłonęły nadrzeczne magazyny. Wojsko wyruszyło więc z miasta z tygodniowymi racjami pożywienia, a dwustu Katedralników z braku koni przekwalifikowano na żołnierzy ciężkiej pancерnej piechoty. Za to w jukach wiozł Corfe coś, co – miał nadzieję – mogło przeważać szalę zwycięstwa na jego korzyść: przetłumaczony przez sułtańską małżonkę i przyniesiony przez Albreca plan merduckiego natarcia. Wiedział, gdzie i kiedy znajdzie się która część nieprzyjacielskiej armii. Mimo że Merducy przyspieszyli wymarsz, przypuszczał, że będą się trzymać pierwotnych założeń. Niezwykle trudno jest bowiem zmienić taktykę olbrzymiej armii, zwłaszcza kiedy armia ta już maszeruje na spotkanie z nieprzyjacielem.

Bez tych informacji nie wierzyłby w zwycięstwo. Jego ludzie nie mieliby szans. W duchu dziękował bezimiennej ramusiańskiej królowej Merduków.

Mieszkańcy Torunnu nie żegnali ich wprawdzie wiwatami, ale tłumnie wylegli na mury. Wszyscy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz ostatnio tyle się w mieście działo, że wymarsz wojska wydawał się po prostu jednym z wielu interesujących wydarzeń. Zresztą nie było nawet czasu na pożegnania. Armia wybierała się na umówione spotkanie – i od początku wiedziała, że jest na nie spóźniona.

Pierwszego dnia przeszli osiemnaście mil. Kiedy przednia straż zaczynała rozbijać obóz, tyły pochodu były jeszcze trzy mile od niej. Corfe, jak to miał w zwyczaju, wjechał konno na pobliski pagórek. Niewidzącymi oczyma patrzył, jak reszta wojska ściąga do obozowiska. Jego myśli cały czas krążyły wokół wyzwolenca, który przysiągł mu wierność, mając jeszcze na rękach galernicze kajdany; wokół cymbryckiego barbarzyńcy, który został jego przyjacielem.

Dołączyli do niego Andruw i Formio – ten drugi w drodze wyjątku dosiadał w marszu wierzchowca; wybrano dla niego spokojną, ułożoną klacz. Zasalutowali i patrzyli, jak zapalają się kolejne ogniska, tworząc konstelacje, które wkrótce mogły iść w zawody z tymi na niebie.

Mrok gęstniał. Nie odezwali się do siebie ani słowem, ale każdy czerpał pociechę z towarzystwa pozostałej dwójki. W końcu Andruw obrócił się w siodle i spojrzał na północ.

–Corfe, Formio... Patrzcie.

Horyzont rozświetlała rdzawa luna, niczym poświata płonącego miasta. Tyle że w tamtym kierunku na przestrzeni wielu mil nie było żadnych miast.

–To ich obóz – zdał sobie sprawę Corfe. – Ich ogniska. Wyglądają jak światła miasta. Tam są nasi wrogowie.

Długo podziwiali ten niezwykle widok, w pewnym sensie równie niesamowity jak zorza polarna, którą zimą widywało się z podnóży Thurianu.

–Aż trudno uwierzyć, że to dzieło ludzkich rąk – zauważył Formio.

–Kiedy zbierze się dość ludzi, nie ma dla nich rzeczy niemożliwych – odparł Andruw. – Są zdolni do wszystkiego. – Zniżył głos niemal do szeptu. – Nigdy jednak nie słyszałem, żeby prowadzili taką wojnę. Nie było w niej żadnej, nawet najkrótszej przerwy, od zdobycia Aekiru do teraz. Wał Ormanna, Północne Wrzosowisko, Królewska Bitwa, Berrona, a teraz walka o Torunn. Wszystko w ciągu jednego roku.

**–Tak krótko? – zdziwił się Corfe. – To był tylko rok? A cały świat się zmienił...**

**Wszyscy pomyśleli o Marschu, chociaż nikt nie wypowiedział na głos jego imienia.**

**–Jak tylko tylna straż rozłoży się na noc, wezwijcie oficerów. Spotkamy się tutaj. Chcę wam coś pokazać.**

**–Wyciągniesz królika z kapelusza? – zażartował Andruw.**

**–Coś w tym guście.**

**Formio i Andruw zasalutowali i zjechali na dół. Corfe zsiadł z konia, spętał go, rozsiodłał i puścił wolno. Sam usiadł na omszałym głązie, wpatrzony w północny widnokrąg, rozświetlany blaskiem merduckich ognisk. Przez ten rok dziesiątki tysięcy ludzi straciły życie. Corfe zaczynał go jako podoficer, nikomu nieznany, ale szczęśliwy. Teraz zaś był dowódcą całej torunnańskiej armii, a serce miał czarne i puste jak zepsute jabłko. Wystarczył rok.**

Formio podniósł latarnię, żeby lepiej oświetlała mapę. Zgromadzeni wokół niej oficerowie przydepnęli krawędzie arkusza. Skupili się wokół światła, jakby próbowali się ogrzać przy ogniu. Corfe ułamanym patykiem wskazywał kolejne elementy ukształtowania terenu.

–My jesteśmy tutaj, nieprzyjaciel... mniej więcej tu. Sami widzieliście łunę ognisk. Na moje oko są najdalej pół dnia marszu od nas. Mają sto dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, z czego jedną piątą stanowi kawaleria. Merducki kedyw, shahr Johor, pośle tę jazdę na północ, żeby uderzyła na nas z flanki, kiedy zetrzemy się z głównymi siłami. Przejadą po nas jak walec. Młot i kowadło; proste, ale skuteczne. Kawaleria składa się z *ferinai*, konnych łuczników, oraz pistoletników, wybranych spośród *minhraibów*. *Ferina* stanowią trzon tego oddziału; jeżeli ich skruszymy, reszta pójdzie w rozsypkę. Jest ich najwyżej osiem tysięcy, bo w Królewskiej Bitwie stracili trzecią część ludzi w ataku na pozycje Arasa i Formia.

–Zaraz nam powiesz, co zjedzą na śniadanie – zakpił Andruw. – Wygląda na to, generale, że doskonale znamy możliwości i zamiary wroga.

–Owszem, a to dlatego, że udało mi się zdobyć kopię ich planów taktycznych – odparł z uśmiechem Corfe.

Wśród oficerów rozszedł się szmerek zaskoczonych szeptów.

–Panie generale... – odezwał się Aras. – Jak...

Corfe uciszył go gestem.

–Dość powiedzieć, że ją mamy; nie zwracajcie sobie głowy tym, jak weszliśmy w jej posiadanie. Chciałbym, żeby oddziały pułkownika Cear-Adurhala i adiutanta Formia, wspierane przez arkebuźników Ranafasta, rozprawiły się z tą kawalerią. Dowództwo nad całością obejmie pułkownik Cear-Adurhal. Powinniście dać sobie z nimi radę.

–Ależ naturalnie – mruknął ktoś w odpowiedzi. – Merduków będzie tylko trzy razy więcej.

–*Ferina* pojedą w przedniej straży. Jeżeli zadacie im ciężkie straty, reszta nie będzie groźna. Wiem z pewnego źródła, że *minhraibowie*, którzy stanowią ponad jedną trzecią całej armii, nie mają serca do tej bitwy. Sułtan będzie ich trzymał w odwodzie, z tyłu. Jeśli zobaczą, że sprawy nie układają się po ich myśli, mogą tam zostać na dobre.

Corfe nakreślił patykiem linię na mapie.



**–Tędy podążą główne siły. Traktem Zachodnim. Chciałbym na nie uderzyć, kiedy będą jeszcze w szyku marszowym. W ten sposób będziemy niszczyć Merduków po kawałku.**

**–Jak pan sądzi, generale, gdzie się z nimi spotkamy?**

**–Mniej więcej na tym skrzyżowaniu traktów. – Corfe nachylił się nad mapą. – Nieopodal tej wioski... Armagedir.**

**–To stara nazwa – wtrącił Andruw. – Po staronormannijsku znaczy „Kres podróży”.**

**Corfe się wyprostował.**

**–Andruw, Formio, Ranafast... Wasze zadanie polega na zmuszeniu jazdy nieprzyjaciela do odwrotu, a potem uderzeniu na Merduków z flanki, tak jak oni chcieliby uderzyć na nas. Od powodzenia tego manewru będzie zależał los całej bitwy. Panowie, szybkość i ruchliwość wojska będzie miała tu kluczowe znaczenie. Wszystko musi działać idealnie, bez opóźnień. Mniejszą liczebność musimy nadrobić naszym...**

**–Ferworem? – podsunął Aras.**

**–Właśnie. Tego słowa szukałem. Po każdym natarciu ścigamy wycofującego się wroga, żeby nie dać mu okazji do przegrupowania. Jeżeli Merducy zdołają wykorzystać swoją przewagę liczebną, zaleją nas. Ci, którzy byli ze mną w Berronie, pamiętają, jak uderzyliśmy na nich, zanim zdążyli pozakładać buty. Weszliśmy w nich jak w masło i to samo musimy zrobić tutaj. Nie można im dać nawet chwili na ustawienie szyków. Macie to włożyć do głów wszystkim swoim oficerom i podoficerom. Czy to jasne?**

**Odpowiedział mu pomruk ogólnej aprobaty.**

**–To dobrze. Nie muszę wam chyba przypominać, że odwody mamy skąpe...**

**–Jak zwykle – zauważył ktoś i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet Corfe się uśmiechnął.**

**–To prawda. Za wszelką cenę musimy utrzymać szyk. Jeżeli nasze szeregi pękną, to będzie koniec: dla nas, dla naszych rodzin, dla całego królestwa. Drugiej szansy nie dostaniemy.**

**Oficerowie spoważnieli, przetrawiając jego słowa. Corfe powiódł wzrokiem po twarzach Andruwa, Formia, Ranafasta, Rusia, Arasa, Morina, Ebra i tuzina innych. Ilu ich zostanie po tej bitwie, która miała być ostatnią? Czuł wyraźnie jak nigdy przedtem, że ich śmierć obciąży jego sumienie. Ale jednego był pewien: nie po to**

staną do walki, żeby po wojnie arystokraci w złotych karocach mówili im, jak mają rządzić krajem. Jeżeli dokonają tej sztuki, jeżeli ocala Torunnę, wiele się w królestwie zmieni. Zasłużą na prawo wprowadzenia tych zmian.

–Doskonale, panowie. Pobudka dwie godziny przed świtem. Andruw, Formio, Ranafast... Znacie swoje rozkazy. Generale Rusio, armia wymaszeruje z noclegu w szyku bojowym i będzie się w nim przemieszczać naprzód. Przodem pójdzie konny zwiad.

Rusio skinął głową. Tak jak inni, był blady i gotowy na wszystko.

–Jak pan ocenia, kiedy na nich wpadniemy, generale?

Corfe spojrzął na mapę. Oczyma wyobraźni ujrzał maszerujące naprzeciw siebie armie, niczym dwóch krótkowzrocznych tytanów, za wszelką cenę dążących do starcia.

–Tuż przed południem.

–Życzę szczęścia, generale.

–Dziękuję. Panowie, dobrze wicie, że wygłaszanie przemówień nie wychodzi mi najlepiej. Nie muszę was porywać do walki moją retoryką ani rozpalać w was ducha bojowego. Wszyscy jesteśmy zawodowcami. Mamy do wykonania robotę, od której nie możemy się wymigać. Wracajcie do swoich ludzi. Zróbcie odprawę podoficerom, a potem zdrzemnijcie się trochę. Życzę wam powodzenia.

–Niech Bóg będzie z nami – odpowiedział mu któryś z oficerów.

Kolejno salutowali i wracali do obozu, aż przy Corfie został tylko Andruw. Z jego twarzy zniknął ślad tradycyjnej pogody ducha.

–Oddajesz mi armię, Corfe. Całą naszą armię.

–Wiem. To nasi najlepsi ludzie. Wyznaczyłem im najtrudniejsze zadanie.

Andruw pokręcił głową.

–To ty powinieneś nimi dowodzić. Co będziesz robił? Niańczył Rusia? Włókł się z resztą wojska?

–Muszę mieć Rusia na oku. Jest zdolny, ale brak mu wyobraźni.

–Nie dam rady, Corfe.

–Dasz. Jesteś najlepszy.

**Spojrzeni po sobie bez słowa. Kiedy Andruw wyciągnął rękę, Corfe uścisnął ją mocno. A potem objęli się jak bracia.**

**–Uważaj jutro na siebie – wykrztusił Corfe.**

**–Wypatruj mnie po południu. Będę gnał na wschód i wrzeszczał jak kot, któremu ktoś podpalił ogon.**

**Andruw dał Corfe'owi kuksańca w brzuch i zszedł ze wzgórza. Corfe odprowadził go wzrokiem, aż zniknął mu wśród ognisk i cieni śpiącej armii. Wtedy ostatni raz widział Andruwa żywego.**

\*

Jak zwykle wybrał się na wieczorny obchód obozu. Zagadywał do wartowników; skinieniem głowy pozdrawiał tych żołnierzy, którzy nie mogąc zasnąć, patrzyli w gwiazdy; tu napił się z kimś wina, tam zażartował, gdzie indziej nawet przyłączył się do wspólnego śpiewania.

Pierwszy raz od dawna noc była ciepła. Ludzie spali na trawie, nie w mlaskającym błocie, a wiatr unoszący iskry z ognisk nie przeszywał zimnem do szpiku kości. Corfe gotów był uwierzyć, że nareszcie nadchodzi wiosna, że długa zima zwalnia swój morderczy uścisk. Nigdy nie był człowiekiem pobożnym, ale spacerując wśród ognisk i przyglądając się ludziom, którzy szykowali się do trudów następnego dnia, złapał się na tym, że bezgłośnie powtarza pozbawioną słów litanię. Znał się na zabijaniu jak nikt inny, ale modlił się, żeby wreszcie przyszedł jego kres.

\*

W czarnej godzinie przedświtku czworo ludzi stało na blankach najwyższej wieży Torunnu, czekając na wschód słońca: królowa Torunny Odelia, pontyfik Macrobius oraz biskupi Albrec i Avila.

Wreszcie firmament pojaśniał, z czarnego stał się kobaltowy, a potem zielonkawy, jak przed burzą. Płonąca szafranem kula słońca wytoczyła się ponad wschodni widnokrąg, rozpalając niebo, jakby rozproszone na horyzoncie chmury spalały się w żarze olbrzymiego, bezgłośnego pieca, znajdującego się gdzieś na krańcach ziemi. Światło dnia rozlało się po pogodnym nieboskłonie i rozciągające się u stóp czworga ludzi miasto zaczęło budzić się do życia. Tysiące ludzi wspinały się na mury i gromadziły na placach. Nad Torunnem zalegała cisza. Milczały nawet kościelne dzwony.

Aż w końcu zza wzgórz na północy niczym grzmot z jakiegoś innego, mroczniejszego świata dobiegła ich stłumiona odległością kanonada. Rozpoczęła się ostatnia bitwa.

# DWADZIEŚCIA JEDEN

*Do decydującej bitwy między Merdukami i Ramusianami na kontynencie normannijskim doszło dziewiętnastego forialona roku Świętego 552.*

\*

Oddział lekkiej jazdy osłaniał czoło merduckiej armii. Corfe pozbył się go, wysyłając naprzód arkebuźników, którzy jedną salwą skosili pół tuzina wrogich żołnierzy. Reszta konnych rozpierzchła się, by uprzedzić główne siły o nadciągającym wrogu. Armia Torunny parła naprzód. Na flankach i z przodu wystawili konnych zwiadowców, za nimi zaś podążała spocona piechota, z trudem utrzymując narzucone przez generała mordercze tempo. Szybkość była kluczem do sukcesu. Merducy zostali już ostrzeżeni; z pewnością przeformowywali się właśnie z kolumny marszowej w szyk bojowy. Pełne przegrupowanie wymagało jednak czasu, jak każdy manewr z udziałem dużej liczby ludzi. Gdyby Corfe miał więcej kawalerii, mógłby również wystawić konną straż przednią, i to w sile wystarczającej do zniesienia merduckiego zwiadu. Wtedy można by liczyć na pełne zaskoczenie – ale czas pobożnych życzeń minął. Katedralnicy byli potrzebni gdzie indziej, a więcej jezdnych w armii Torunny po prostu nie było.

Odwrócił się do Cerne'a, który w towarzystwie siedmiu innych barbarzyńców został przy nim. Razem pełnili rolę nieoficjalnej straży przybocznej generała.

–Trąb forsowny marsz.

Cerne przytknął róg do ust, przymknął oczy i zagrał skomplikowany, ale łatwo rozpoznawalny sygnał. Podchwycili go trębacze rozstawieni na całej długości trzymilowego szyku. Torunnie przeszli w trucht.

Wbiegli na łagodne wzniesienie. Corfe wyprzedził trudzących się żołnierzy, pierwszy znalazł się na szczycie – i pierwszy zobaczył ten widok: potężna merducka armia zatrzymała się pół mili od nich. Jej szyk miał na razie niespełna milę szerokości, ale żołnierze błyskawicznie rozbiegali się na boki, chcąc jak najbardziej rozbudować front, zanim nieprzyjaciel uderzy. Za pierwszą linią wojska jak okiem sięgnąć ciągnęła się chaotyczna, zbита masa ludzi, słoni, dział i taborów. Przy skrzyżowaniu traktów, na lewo i w tył od czoła merduckiego pochodu, przycupnął zapomniany przez Boga i ludzi Armagedir, zalany w tej chwili ludzką masą jak morska skała wodą podczas przyływu. Wśród domów powiewały proporce na długich drzewcach. Wyglądało na to, że merducki kedyw założył pod Armagedirem punkt dowodzenia.

Dobrze wybrał. Armia stanęła na grzbiecie łagodnego wzgórza, które musiało przytępić impet uderzenia szarżującej pod górę piechoty. Za plecami mieli wąski pas drzew, które jakiś dawno nieżyjący wieśniak posadził, by chroniły jego pola od

wiatru. Drugi szereg właśnie zajmował pozycję wśród drzew. Niespodziewane pojawienie się torunnańskiej armii z pewnością zaskoczyło kedywa, ale trzeba mu było przyznać, że szybko wziął się w garść.

Corfe spojrzął na zachód, gdzie aż po horyzont ciągnęły się łagodnie pofalowane wrzosowiska. Gdzieś tam Andruw polował na merducką kawalerię, ale na jego przybycie przyjdzie im poczekać jeszcze kilka godzin. O ile w ogóle się zjawi, upomniał się w myślach Corfe, jakby chciał uprzędzić pecha.

Żołnierze mijali go biegiem. Rozdrażniony koń kręcił się i prychał niespokojnie. Corfe miał wrażenie, że przez siodło wyczuwa drżenie ziemi, dudniącej pod stopami dziesiątków tysięcy ludzi. Słyszał, jak zdyszani wykrzykują jego imię. Chrząst panczerzy i grzechot ekwipunku niósł się daleko. Powietrze cuchnęło dymem z lontów i odorem wielu mozolących się ciał. To właśnie był zapach wojny.

Zadudniły kopyta i Rusio wstrzymał konia tuż obok Corfe'a. Towarzyszyła mu grupka oficerów sztabowych.

–Mamy ich, generale! – Rusio nie posiadał się z radości. – Rozniesiemy ich w puch!

–Lawety na pierwszą linię. Zdjąć działa. Chcę, żeby ostrzelali Merduków, zanim uderzy piechota. Pierwszy szereg zatrzymuje się, wali salwą. Drugi przez ten czas jedzie dalej i wyprzedza. Znasz procedurę. Do roboty!

Rusio spoważniał, zasalutował i oddalił się galopem.

Zaprężone w sześć koni sześćofuntowe armatki wysunęły się na czoło szyku. Artylerzyści ściągnęli je z lawet i zaczęli pospiesznie ładować. Potem ktoś pierwszy szarpnął za ciągiel, pierwszy pocisk wyprysnął po łuku z lufy – człowiek obdarzony bystrym wzrokiem mógłby nadażyć za jego lotem – i spadł, zabijając i raniąc formujących szyk Merduków. Strzał był znakomity, nawet biorąc pod uwagę bliski zasięg. Lufy dział trzeba było ustawiać prawie poziomo.

Rozstawiono dwadzieścia cztery działa, które regularnie pluły ogniem i odskakiwały wstecz po każdym wystrzale. Corfe był pełen podziwu. Kanonierzy znali się na swojej robocie.

Niektórzy przestrelili w pierwszej salwie. Ich kule, zamiast przeorać pierwsze szeregi armii nieprzyjaciela, spadły w głębi szyków, siejąc tam chaos i śmierć. Nie było w tym nic złego, tym bardziej, że z chwilą, gdy wyprzedzi ich piechota, i tak mieli maksymalnie podnieść lufy i wysokimi łukami ostrzeliwać tyły armii wroga, utrudniając przysyłanie posiłków.

Artylerzyści zdążyli oddać cztery salwy, zanim wyminęła ich biegnąca piechota, rozciągnięta w poczwórny szereg o długości trzech mil. Każdy żołnierz miał dla

**siebie metr wolnej przestrzeni. Wbrew wieczornym zapowiedziom Corfe zatrzymał w odwodzie trzy tysiące weteranów, których zamierzał pchnąć do walki dopiero w ostateczności, gdyby na placu boju doszło do jakiejś katastrofy. Stanęli w szyku niedaleko od stanowiska, z którego w towarzystwie straży przybocznej i grupy kurierów obserwował przebieg batalii.**

**Pierwszy szereg Torunnan zatrzymał się, żołnierze podnieśli arkebuzy na wysokość ramion i strzelili salwą. Rozległo się sześć tysięcy jednoczesnych wystrzałów. Rozdzierająca bębrenki palba doleciała do uszu Corfe'a sekundę po tym, jak ujrzał ulatujący z luf dym. Wał szarobiałego dymu przesłonił merducką armię. Trzy dalsze szeregi Torunnan wyprzedziły strzelców i wpadły wprost w gryzącą chmurę. Z ich gardeł dobywał się ogłuszający, nieartykułowany ryk. Kiedy zetrą się z wrogiem wręcz, rozpęta się piekło.**

**O to właśnie chodziło: wojsko było pełne zapału i udało się zaskoczyć nieprzygotowanych Merduków. Pierwsza część planu powiodła się znakomicie.**

\*

Andruw wstrzymał konia i dał znak uniesioną ręką. Długi sznur ludzi znieruchomiał.

–Słyszałeś?

Odwrócił się do Ebra i obaj wytężyli słuch.

–Artyleria – stwierdził Ebro. – Zaczęło się.

–Szybko, psiakrew. – Andruw zmarszczył brwi. – Trębacz, graj formowanie szyku. Morin, weź jeden szwadron i jedźcie na północ. Znajdźcie mi tych drani, i to szybko.

–Tak jest.

Barbarzyńca uśmiechnął się od ucha do ucha. Krzyknął coś po cymbrycku, grupa Katedralników odłączyła się od głównych sił i pocwałowała za nim na północ.

–Powinniśmy już ich wytropić – niepokoił się Andruw. – Powłazili do króliczych nor, czy jak? Chyba poruszają się wolniej niż myśleliśmy. Kurier!

Podjechał do niego młody chorąży. Był bez zbroi i dosiadał długonogiego wałacha. Oczy mu błyszcząły jak podekscytowanemu dzieciakowi.

–Słucham, panie pułkowniku?

–Jedź do generała Cear-Inafa. Powiedz mu, że na razie nie natknęliśmy się na nieprzyjacielską jazdę, w związku z czym możemy się spóźnić. Zapytaj, czy potwierdza dotychczasowe rozkazy. I pospiesz się.

Kurier zasalutował ostro i oddalił się galopem. Kępy darni furknęły w powietrze spod kopyt wałacha.

–Dwadzieścia pięć tysięcy konnych – mruknął zirytowany Andruw. – Jak kamień w wodę.

–Znajdą się – odparł z przekonaniem Ebro.

Andruw spojrział na niego spode łba. Nagle dotarło do niego, że łatwo jest zachować pewność siebie, kiedy ma się pod bokiem przełożonego, który podejmuje najtrudniejsze decyzje.

I znowu:

–Słyszałeś? – Z południa doleciał odgłos wystrzałów arkebuzowych. – Piechota



**doszła na odległość strzału. Związali ich walką. Jedni i drudzy siedzą w tym bagnie po uszy. Tylko gdzie się podziała ta przeklęta merducka jazda?!**

Siedząc na końskim grzbiecie, Corfe obserwował bitwę niczym porażający spektakl przygotowany specjalnie na jego cześć. Nienawidził tego. Patrzył, jak jego ludzie umierają, a sam był daleko. Nawet nie dobył miecza. Było to jeden z tych przywilejów wysokiej rangi, do których chyba nigdy się nie przyzwyczai.

Co by zrobił na miejscu merduckiego kedywa? Instynkt podpowiadał mu, żeby wzmocnić osłabioną pierwszą linię. Merducy zostali zepchnięci aż pod drzewa, tam jednak uporządkowali szyki, jak to często bywa, gdy armia napotka jakąś liniową przeszkodę terenową. W pierwszych minutach Torunnanie urządzili im prawdziwą rzeź, ale Merducy mieli wystarczającą przewagę liczebną, żeby przyjąć takie straty bez mrugnięcia okiem.

Nie. Drugorzędny generał rzeczywiście wzmocniłby czoło szyku. Jeśli jednak kedyw był dowódcą z prawdziwego zdarzenia, powinien kazać ludziom wytrzymać napór wroga, a posiłki skierować na skrzydła i w ten sposób okrążyć torunnańskie wojsko. Którą flankę by wybrał? Gdzieś po prawej miał jazdę, więc chyba prędzej wsparłby lewe skrzydło. Tak, zdecydowanie lewe.

Corfe odwrócił się do czekających na jego rozkaz weteranów, wspartych na podpórkach do arkebuzów.

–Pułkownik Passifal!

Siwowłosy kwatermistrz zasalutował.

–Słucham, panie generale?

–Weź swoich ludzi na prawą flankę, jak najszybciej. Nie prowadź ich do ataku, dopóki nie zobaczysz, że wróg próbuje nas oflankować. Kiedy ruszycie do szturmu, uderzcie mocno, z całej siły, ale nie próbujcie przebić się do środka. Musicie być ruchliwi. Rozumiemy się?

–Tak jest. Sądzi pan, generale, że tam właśnie uderzą?

–Ja bym tak zrobił. Powodzenia, Passifal.

Nieziemski tumult wielkiej bitwy... Nie da się go opisać, trzeba samemu usłyszeć. Ciężkie działa, ręczna broń palna, krzyk ludzi, którzy chcą dodać sobie odwagi i zastraszyć wroga. I jęki umierających, dźwięk jedyny w swoim rodzaju, niepodobny do wszystkich innych dźwięków. Razem tworzyły zgiełk, który groził przeciążeniem zmysłów. A kiedy człowiek znalazł się u źródła, w samych trzewiach tego morderczego obłędu, kakofonia oddziaływała bezpośrednio na umysł: jednych

dopingowała do niewytłumaczalnych aktów odwagi, innych tłamsiła jako tchórzów. Obnażała wnętrze duszy. Nikt nie wiedział, jak się zachowa, dopóki sam nie znalazł się w takiej sytuacji.

Oddalający się oddział Passifala stał się ruchomą, ciemną plamą. Z daleka żołnierze do złudzenia przypominali olbrzymią, najeżoną gąsienicę, pełznącą po powierzchni ziemi. Ludzie znajdujący się w głębi takiej formacji widzieli tylko plecy poprzedników; deptali sobie nawzajem po nogach, klęli, modlili się, pot zalewał im oczy. Twórcy heroicznych ballad nie mieli pojęcia o prawdziwej wojnie – a już na pewno nie o tym, jak wyglądała w tamtej epoce. To była zwykła, mordercza harówka, przerywana krótkimi wybuchami niewyobrażalnej przemocy i paraliżującego strachu.

Jest! Corfe poczuł niezwykłą satysfakcję, widząc merduckie posiłki na prawej flance. Przewidział ten ruch. Nieprzyjaciel nie zajął jeszcze pozycji, kiedy oddział Passifala uderzył z całym impetem trzytysięcznej, rozpędzonej masy ludzkiej. Merducy rzucili się do ucieczki; ze zdyscyplinowanej formacji zmienili się w zwykły tłum, a wszystko to w czasie, jakiego przeciętny człowiek potrzebuje na obranie jabłka. Passifal ustawił ludzi w szyk i zaczął metodycznie ostrzeliwać Merduków, uniemożliwiając im przegrupowanie. Może i był zwyczajnym kwatermistrzem, lecz nie zapomniał, jak się walczy.

Corfe przeniósł wzrok na środek szyku. Trudno było rozeznaczyć szczegóły, ale Rusio chyba kontynuował natarcie i zyskiwał teren. O to właśnie chodziło: trzymać wroga pod presją, nie dać mu czasu do namysłu. Na razie wszystko szło po myśli Corfe'a. Ale żadna armia nie może walczyć w nieskończoność.

Spojrzał na północ. Gdzie był Andruw? Co tam się działo?

–Znalazłem, Andruw! Znalazłem ich! – wołał Morin. Jego koń parsknął i prychnął, boki lepiły mu się od potu.

–Gdzie?

Morin z wyraźnym wysiłkiem przestawił się na torunnańską miarę odległości.

–Cztery mile i trochę na wschód stąd. Ustawieni w długą... – W skupieniu szukał odpowiedniego słowa.

–W tyralierę? Tak jak my teraz?

Barbarzyńca ze złością pokręcił głową.

–W kolumnę, Morinie? Maszerują kolumną, jak na trakcie?

Morin się rozpromienił.

–Tak. Kolumna. O to mi chodziło. Tylko że z przodu jadą *ferinaï*, w tej, no... tyralierze. A na tyłach mają ludzi bez koni. Piechotę.

Formio zbliżył się do nich na swojej niezmordowanej klaczy. Przesiadł się na siodło, żeby szybciej poruszać się po polu bitwy, ale ani on sam, ani klacz nie byli tym zachwyceni.

–Co się stało, Andruw?

–Mamy szczęście: Morin ich wypatrzył. Świetnie. Ogłoś to wszystkim, Formio. Uderzamy z marszu. Katedralnicy z prawej, Fimbrianie w środku, żołnierze Ranafasta na lewej flance. – Andruw zawahał się. – Powiedziałeś: piechota, Morin?

–Tak, ludzie bez koni, z arkebuzami. Idą za jeźdźcami.

Formio z kamienną twarzą podjechał do Andruwa i szepnął:

–Nie było mowy o piechocie. Myślałem, że będziemy mieli do czynienia z samą kawalerią.

–To pewnie strażnicy taborów albo coś w tym guście. Nie ma sensu się nimi przejmować. Grunt, że wreszcie ich znaleźliśmy. W razie potrzeby złamiemy lewe skrzydło i utworzymy kwadrat. Niech wtedy szarżują. Będą mieli do wyboru fimbriańskie piki albo torunnańskie arkebuzy. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

**Formio przez chwilę patrzył na niego bez słowa.**

**–No tak... – Skinął głową. – Ale my mamy ich zniszczyć, a nie przetrzymać natarcie.**

**Tym razem to Andruw musiał się zastanowić.**

**–Dobrze. Zatrzymam Katedralników w odwodzie, a w odpowiedniej chwili runiemy na nich z flanki. Zmiażdżymy ich, Formio, nie martw się.**

**–W porządku – odparł bez przekonania Formio. – Bierzmy się do roboty.**

**Armia zwróciła się ku wschodowi. Fimbrianie maszerowali na czele, Katedralnicy osłaniali boki pochodu, a torunnańscy arkebuźnicy zamykali formację. Było ich łącznie nieco ponad siedem i pół tysiąca. Słyszając z daleka bitewny zgiełk w okolicach Armagediru, maszerowali z zapalem, nie mogąc się doczekać starcia z nieprzyjacielem.**

**Czekało na nich trzydzieści pięć tysięcy merduckich żołnierzy.**

Zbliżało się południe i torunnańskie natarcie w Armagedirze utknęło w martwym punkcie. Oddział Rusia został powstrzymany samą masą mających ogromną przewagę liczebną Merduków. Szereg drzew w ciągu ostatniej godziny kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk; w ich cieniu trup po obu stronach słał się szczególnie gęsto. Bitwa powoli zmieniała się w krwawą jatkę, w której nikt nie posuwał się do przodu. Corfe jednak, w przeciwieństwie do merduckiego kedywa, nie miał nieprzeliczonych posiłków, które mógłby bez końca pchać w ten młyn. Wytrzyma jeszcze godzinę, może dwie, ale nie więcej. Ludzie będą wykończeni. Tymczasem Merducy trzymali w odwodzie całą jedną trzecią armii, która spokojnie formowała szyk za Armagedirem, tylko sporadycznie niepokojona przypadkowymi strzałami torunnańskiej artylerii. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli czegoś szybko nie wymyśli, najdalej za pół godziny trzydzieści tysięcy świeżych żołnierzy uderzy na niego z flanki.

Gdzie, do diabła, podział się Andruw?! Corfe miał nadzieję, że kawaleria jest już przynajmniej w drodze na pole bitwy.

Podjął decyzję i wezwał kuriera. Pisząc rozkaz, dyktował go jednocześnie na głos:

–Pojedziesz do Noniusa, dowódcy artylerzystów. Niech załaduje działa na lawety i przeciągnie do pierwszej linii. Tam ma je ustawić i ładować w nieprzyjaciela salwę za salwą. Wszystko, co ma. Kiedy odepchnie wroga, niech Rusio kontynuuje natarcie. Musimy przebić się do skrzyżowania i zająć Armagedir. Powtórz.

Kurier – blady jak ściana – powtórzył.

–Dobrze. Jedź najpierw do Noniusa, potem do generała Rusio. Powiedz Rusiowi, że Passifal wesprze go na prawej flance. Musi przełamać szyk Merduków. Słyszałeś? Przełamać szyk. Jedź.

Kurier chwycił pisemny rozkaz i odjechał galopem.

Gdzieś na wrzosowiskach coś złego przydarzyło się Andruwowi. Corfe czuł to przez skórę. Coś poszło nie tak, jak trzeba.

Przybył inny kurier, z północy. Jego koń ledwie trzymał się na nogach. Corfe'owi serce żywiej zabiło.

–Pułkownik Cear-Adurhal przesyła pozdrowienia, panie generale – wysapał posłaniec. – Na razie nie znalazł nieprzyjaciela. Pyta o nowe rozkazy.

–Kiedy się z nim widziałeś?

**–Przed godziną. Mniej więcej. I faktycznie, nikogo tam nie było.**

**–Na krew Boga... – mruknął Corfe przez zęby. Co tam się działo?! – Niech szuka dalej... Albo nie, zaczekaj. Powrót zajmie ci następną godzinę, prawda? Jeśli przez ten czas ich nie znajdzie, niech wraca i uderza z flanki na Merduków. Wszystkimi siłami.**

**–Wszystkimi siłami. Tak jest, panie generale.**

**–Zmień konia i w drogę.**

**Corfe bezskutecznie próbował otrząsnąć się ze złych przeczuć. Pchnął konia kolanami i zjechał kawałek na południe, gdzie czekali w gotowości ludzie Passifala. To były jego jedyne odwody, a on zamierzał właśnie posłać je w bój. Nie miał innego pomysłu.**

Oddział Andruwa spadł na wroga jak nawałnica. Wydawało się, że od bojowego okrzyku Katedralników trawa sama kładzie się pod końskimi kopytami. *Ferinaï*, elitarna merducka konnica, wyjechała im na spotkanie: osiem tysięcy ludzi, w takich samych jak oni pancerzach, dosiadało ciężkich bojowych rumaków. Barbarzyńcy pognali konie do szaleńczego galopu i wysforowali się daleko przed pieszych Fimbrian i Torunnan.

Ziemia zadrżała, kiedy masy jeźdźców się zderzyły. Konie kwiczały ogłuszająco; niektóre padały od samego impetu zderzenia; jeźdźcy spadali z siodeł wprost pod kopyta spanikowanych zwierząt. Lance pękały. Ludzie sięgnęli po miecze i zwarli się w walce. Szczęk broni był ogłuszający, jakby w pobliżu znajdowała się gigantyczna kuźnia. Impet jazdy opadł i bitwa zmieniła się w tysiące mniejszych potyczek i pojedynków. Znacznie liczniejsi *ferinaï* zaczęli spychać Katedralników wstecz, chociaż ci walczyli jak natchnieni – kiedy na scenę wkroczyli Fimbrianie, trzymając piki poziomo przed sobą. Osłonięci z boków i od tyłu przez arkebuźników Ranafasta, wycinali sobie drogę w ciżbie unieruchomionej merduckiej konnicy. Ciasna formacja przypominała zaciśniętą pancerną pięść i wyglądało na to, że nic jej nie powstrzyma. Andruw wycofał Katedralników i zaczął ich przegrupowywać. Wielu wyszło ze starcia na piechotę, niektórzy dosiedli się z tyłu na konie towarzyszy, inni zostali wywleczeni z ciżby trzymając się strzemion. Andruw stracił w tym zamieszaniu hełm, ale był podekscytowany i szczęśliwy. Dołączył do ogólnych wiwatów, towarzyszących coraz bardziej bezładnemu odwrotowi *ferinaï*. Nieustępliwi Fimbrianie napierali bez litości. Plan jednak się powiódł.

Nagle rozległa się nierówna palba arkebuzów. Ostrzał nasilił się i trwał, a Fimbrianie padali setkami. Kule kosiły ich jak zboże, przebijając pancerze z dźwiękiem do złudzenia przypominającym grzechot gradu o blaszany dach. Zwolnili kroku i pierwszy szereg runął. Ranni potykali się o ciała towarzyszy, kiedy ciężkie kule wyrwały im kawałki ciała, łamały nogi, z trzaskiem kruszyły piki. Natarcie się załamało. Szereg powykręcanych ciał, gdzieniegdzie zalegających po dwa, po trzy na raz, znaczył najdalszy punkt, do którego dotarli Fimbrianie.

Za plecami *ferinaï* znajdował się ogromny oddział piechoty, liczący co najmniej dziesięć tysięcy ludzi. Ci żołnierze położyli się w wysokiej trawie, wycofująca się konnica przejechała pomiędzy nimi, oni zaś zerwali się na nogi i z najbliższej odległości ostrzelali napierających pikinierów. Tej samej taktyki użył Corfe w Królewskiej Bitwie przeciw łucznikom z Nalbeni.

Andruw z przerażeniem patrzył na rzeź w szeregach Fimbrian. Merducy ustawili się w pięciu rzędach: kiedy jeden wystrzelił, przypadał do ziemi, i następny dawał ognia. Mordercza kanonada trwała bez chwili przerwy. Arkebuźnicy masakrowali Fimbrian.



**Andruw próbował się skoncentrować. Co by zrobił Corfe? Instynkt podpowiadał mu, żeby pchnąć Katedralników do szaleńczej szarży – tylko że w ten sposób niczego by nie osiągnął. Musiał wymyślić coś innego.**

**–Zachodzą nas ze skrzydeł! – Ranafast podjechał do niego. – Konni łucznicy zajeżdżają nas z flanki!**

**Andruw odwrócił się od umierających Fimbrian i powiódł wzrokiem po okolicznych wzgórzach. Na wzniesieniu przed nim zmasowane oddziały kawalerii właśnie rozjeżdżały się na boki. Za chwilę jego armia zostanie okrążona.**

**–Na Boga! – jęknął.**

**Co robić?! Cały plan walił się w gruzy na jego oczach. Nie mógł zebrać myśli w narastającym zgiełku. Ranafast spoglądał na niego wyczekująco.**

**–Weź swoich arkebuźników i powstrzymajcie tych nalbeńskich łuczników. Wycofujemy się.**

**–Wycofujemy się?! – Ranafast wytrzeszczył oczy. – Na krew Świętego, Andruw, Merdudy wycinają Fimbrian w pień. Jesteśmy otoczeni. Jak mamy się wycofać?! Pogonią nas i pójdziemy w rozsypkę!**

**Ale nagle wszystko wyklarowało się Andruwowi w głowie. Chwila paniki minęła, został spokój i pewność siebie.**

**–Nie będzie tak źle. Wyślij kuriera do Formia: niech jak najszybciej wycofa ludzi. Musi się oderwać od nieprzyjaciela, wtedy ja z Katedralnikami wjadę w Merduków. Zajmiemy ich na chwilę, a wy z Formiem przez ten czas wyrwiecie się z okrążenia. Mianuję cię moim zastępcą. Wyciągnijcie stąd tylu ludzi, ilu zdołacie, i prowadźcie ich do Corfe’a.**

**–A wy? – Ranafast zbladł jak płótno. – Andruw, nie macie szans.**

**–Jeśli mamy tu coś zmienić, potrzebna jest szarża ciężkiej jazdy. Poza tym Fimbrianie są zmęczeni, a twoi ludzie muszą szachować Nalbeńczyków. Nie mam wyboru: muszę wziąć Katedralników.**

**–Pozwól mnie ich poprowadzić.**

**–Nie. To z mojej winy doszło do tego bałaganu i sam go muszę posprzątać. A wy ruszajcie do Corfe’a, na litość boską! Jeśli chcesz, możecie po drodze zostawić jeszcze jakąś straż tylną, ale zabierz tylu, ilu zdołasz, i zaatakuj w Armagedirze z flanki. Bez wsparcia Corfe nie utrzyma swojej pozycji.**

**Podali sobie ręce.**

**–Co mu mam powiedzieć? – zapytał Ranafast.**

**–Powiedz mu... Powiedz, że w końcu zrobił ze mnie kawalerzystę. Żegnaj.**

**Andrzej zawrócił i podjechał do czekających Katedralników. Ranafast przez chwilę patrzył, jak się oddala – samotna postać na tle bitewnego chaosu – a potem otrząsnął się i zaczął wydawać rozkazy swoim oficerom.**

Fimbrianie wycofywali się, zgięci w pół jakby szli pod wiatr; bezużyteczne piki niczym kolce jeżyły się nad ich głowami. Stojący naprzeciw nich *hraibadarzy* wydali triumfalny okrzyk: zmusili fimbriańską falangę do odwrotu! Wyrwali się do przodu, z początku pojedynczo i parami, potem całymi kompaniami i *tercios*; widząc, że wróg naprawdę się cofa, nabierali odwagi. Starannie ustawiony szyk złamał się, zamiast strzelać salwami zaczęli ostrzeliwać Fimbrian bez rozkazu.

Rozległ się potworny tętent kopyt i na flance *hraibadarów* pojawili się Katedralnicy. Jechali ławą, galopem, śpiewając swój przenikający do szpiku kości hymn bojowy. Na czele jechał Andruw, zdzierając sobie płuca razem z innymi. Kiedy zderzyli się ze zbitymi w masę Merdukami, tłum *hraibadarów* zadygotał jak koń ukąszony przez gza.

Ciężka jazda – tysiąc pięciuset rozpędzonych jeźdźców – gładko weszła w piechotę. Ranafast śledził szarżę ze swojej pozycji w głębi szyku arkebuźników. Szeregi *hraibadarów* wygięły się i pękły. Jeden z ciężkich rumaków przekoziółkował w powietrzu, ale pozostałe tratowały pieszych jak zboże. Nagle poczuł przyływ nadziei. Na Boga, Andruwowi jednak może się udać! Na pewno się uda!

Lecz *hraibadarów* było dziesięć tysięcy. Barbarzyńcy przeorali wprawdzie jedną trzecią merduckiego regimentu, ale reszta wycofała się sprawnie i sformowała szyk do kontrataku. Sukces szarży – zgodnie z przewidywaniami Andruwa – był krótkotrwały. Otworzył jednak lukę w merduckim pierścieniu, którą strzelcy Ranafasta systematycznie poszerzali, oddając mierzone salwy z bliska wprost w napierających nalbeńskich łuczników. Fimbrianie zdołali się już wycofać i torunnańscy arkebuźnicy utworzyli wokół nich ochronny kordon. Zbili się w mały, gęsto upakowany kwadrat; całe szczęście, że Merducy nie mieli artylerii, bo taki ciasny szyk stanowiłby idealny cel dla kanonierów.

Ranafast grzmiącym głosem wydał rozkaz i kwadrat zaczął się przemieszczać na południe, w kierunku Armagediru, strząsając obskakującą ich z boków nalbeńską lekką jazdę jak nosorożec namolne teriery. Za ich plecami otoczeni Katedralnicy walczyli do końca: bez nadziei na zwycięstwo i bez litości dla pokonanych.

Grupa Fimbrian biegła w stronę Ranafasta, niosąc coś w ramionach. Ciało. Zsiadł z konia.

To był Formio. Został postrzelony w bark i w brzuch. Miał sine usta, ale patrzył i zachowywał się całkiem przytomnie.

–Odskoczyliśmy – zameldował. Miał krew na zębach. – Można by przeprowadzić kontrnatarcie. Andruw...

**–Andruw kazał mi dołączyć do Corfe’a – odparł Ranafast głosem ochrypłym jak krakanie starego kruka. – Zamierzam wykonać ten rozkaz. Barbarzyńcom i tak już nie pomożemy. Musimy jak najlepiej wykorzystać czas, który dzięki nim zyskaliśmy.**

**Formio popatrzył na niego bez słowa, zgiął się w pół, zakaszał i splunął ciemną krwią, która zbryzgała mu przebity napierśnik. Czerpiąc siły z jakichś isticie nieludzkich rezerw, wyprostował się jeszcze raz, wsparty na ramionach podwładnych, i spojrzał Ranafastowi w oczy.**

**–Nie możemy...**

**–Musimy, Formio. To Corfe toczy główną bitwę, tutaj rozgrywa się tylko marginalna potyczka. Musimy do niego dołączyć.**

**Formio zamknął oczy i skinął głową. Jeden z jego ludzi otarł mu krew z kącika ust.**

**–On umiera, pułkowniku – powiedział.**

**–Zabierzemy go. Nie zostawię go tu sępom na pożarcie.**

**Ranafast odwrócił się. Twarz wykrzywił mu gorzki grymas żalu.**

Torunnańska piechota natarła ze zdwojoną energią, wydierając wrogowi teren cal po calu i płacąc za każdy cal krwią. Żołnierze Rusia zajęli linię drzew, przy której poprzednio przegrupowali się Merducy. Na lewej flance Aras zatknął swój sztandar w samym środku Armagediru. Wokół wioski zebrało się piętnaście torunnańskich *tercios*, odpierając szturm dwudziestokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Strzechy stały w ogniu, toteż w kłębach dymu Corfe widział tylko rzadkie ogniki wystrzałów i błysk słońca na pancerzach.

Nonius starał się przenosić działa do przodu krok w krok za piechotą, ale szło to opornie. Sporo koni padło i kanonierzy musieli o własnych siłach wlec armaty po nierównym, zasłanym trupami gruncie. Merducka artyleria wciąż tkwiła w beznadziejnej kotłowaniu ludzi, zwierząt i sprzętu na Trakcie Zachodnim, dobre pięć mil od linii frontu.

Nieludzki zgiełk bitwy trwał bez przerwy, nie dając chwili wytchnienia udręczonym zmysłom. Na trzymilowym kawałku wyżynnego wrzosowiska dwa zbite szeregi ludzi próbowały unicestwić się nawzajem. Walczyli o rząd drzew, o zgliszcza wypalonych chałup, o kawałek błotnistej drogi. Każdy, nawet najdrobniejszy element krajobrazu nabierał znaczenia, kiedy ludzie zabijali się z jego powodu. Nieprzeliczone mnóstwo trupów zaścielało pole bitwy. Dalsze tysiące żołnierzy zmieniły się w okaleczone, żałosne ludzkie wraki, które klnąc i wrzeszcząc próbowały wydostać się z tego piekła.

Z prawej strony ludzie Passifala na dobre wdali się w walkę. To był koniec. Odwody się skończyły. Corfe nie miał już kogo posłać w bój. Tymczasem na merduckim prawym skrzydle, naprzeciw okrążonych *tercios* Arasa, wróg sposobił się do kontrataku. Generał Merduków wkrótce pchnie przeciw Torunnamom trzydzieści tysięcy świeżych ludzi – i będzie po wszystkim.

O dziwo, myśląc o tym, Corfe nagle poczuł się wolny. Zrobił, co mógł; to wprawdzie nie wystarczyło, ale teraz już nie musiał się o nic martwić. Nie ulegało wątpliwości, że Andruw wpadł w tarapaty. Ostatni dwaj kurierzy wysłani przez Corfe'a przepadli wśród wzgórz. Cała torunnańska jazda zniknęła bez śladu.

W końcu stało się to, czego się obawiał. Duże oddziały wroga brnęły przez dym, kierując się w stronę Armagediru. Merducki generał rozpoczął przeciwnatarcie, które miało zmiażdżyć kolumnę Arasa. Corfe rozejrzał się wokół siebie. Było przy nim ośmiu Katedralników ze straży przybocznej i dziesięciu młodych chorążych, pełniących rolę adiutantów i kurierów. Niewiele, jak na posiłki, ale lepsze to niż nic.

Zwrócił się do jednego z chorążych.

**–Arianie, jedź do generała Rusio. Każ mu za wszelką cenę utrzymać pozycję i przeć naprzód przy każdej nadarzającej się okazji. Powiedz, że my dołączymy do Arasa, który za chwilę przyjmie na siebie impet merduckiego kontrataku. Jedź!**

**Młody oficer zasalutował krótko i odjechał. Patrząc za nim Corfe zastanawiał się, czy kiedyś on też miał w sobie tyle zapału. Tęsknił za przyjaciółmi, za Andruwem i Formiem, za Marschem i Katedralnikami. Bez nich walczyło się całkiem inaczej. Nagle w przebłysku intuicji zdał sobie sprawę, że już nigdy nie będzie tak samo. Tamte chwile należały do przeszłości.**

**Wściekle skłął konia ostrogami, aż wierzchowiec stanął dęba. Corfe nie bał się śmierci, lecz porażki. Nic nie napawało go takim lękiem jak klęska – a przecież właśnie poniósł klęskę.**

**Pierwszy raz tego dnia wyjął z pochwy miecz Johna Mogaena. Odwrócił się do Cerne'a.**

**–Za mną.**

**Jeźdźcy ruszyli za nim, galopem, pod górę, wprost w dymiące piekło Armagediru.**

Na polu bitwy leżały setki rannych. Konie nie miały gdzie stąpać. Bitewny zgiełk był tu ogłuszający, wprost niewiarygodny. Corfe pierwszy raz doświadczył czegoś podobnego; nawet podczas zaciekłych szturmów na Wał Ormanna nie było aż tak głośno. Zupełnie jakby obie armie zdawały sobie sprawę, że toczą bitwę, która zadecyduje o wyniku całej wojny. Jedną czekało całkowite zwycięstwo, drugą – totalne unicestwienie. Torunnanie nie mogli się wycofać. Podobnie jak Corfe, bali się już tylko konsekwencji porażki. Umierali tam gdzie stali, kiedy zabrakło im amunicji uderzali szablami i kolbami arkebuzów, walczyli jak dzicy ludzie wszystkim, co akurat wpadło im w ręce, nawet kamieniami, po które wystarczyło się schylić. Drogo sprzedawali swoją skórę. Pierwszy raz od dawna Corfe czuł się dumny, że jest jednym z nich.

Zbliżywszy się do ruin wioski, w których bronił się Aras, zsiadli z koni. Nie dało się dłużej jechać przez zwały trupów, tym bardziej że nawet zahartowane w bojach rumaki płoszyły się słysząc niepospolity hałas.

Broniący się regiment przypominał wyspę zalewaną morzem Merduków. Wróg ogarnął już jego lewą flankę i mocno napierał na prawą, gdzie oddział Arasa łączył się z głównymi siłami armii Torunny. Gdyby udało się go oddzielić od wojsk Rusia, zostałby zmiażdżony. Ale natarcie na samą wioskę rozbijało się na razie jak sztorm o skalne urwisko. Żołnierze Arasa bronili się w ruinach Armagediru, jakby był ostatnią twierdzą zachodniego świata.

I w pewnym sensie tak właśnie było.

Torunnanie podnieśli wzrok, gdy Corfe ze skromnym orszakiem przedarli się w głąb stłoczonych szeregów. Znow usłyszał, jak wykrzykują jego imię, rozległy się nawet nieśmiałe wiwaty. Przepchnął się pod czarną chorągiew, wokół której skupili się Aras i jego oficerowie. Młody pułkownik rozpromienił się na widok dowódcy i żwawo zasalutował.

–Cieszę się, że pana widzę, generale. Myśleliśmy już, że reszta armii o nas zapomniała.

Podali sobie ręce.

–No, Aras, możesz się od teraz uważać za generała. Zasłużyłeś.

Na umazaną błotem i sadzą twarz Arasa wypłynął rumieniec. Corfe czuł się jak oszust. Miał świadomość, że młody generał nie zdąży się nacieszyć swoim awansem.

–Jakie rozkazy, panie generale? – Aras cały promieniał. – Na mój gust lada chwila

**powinniśmy się spodziewać powrotu naszej kawalerii.**

**Corfe nie musiał się bać, że ktoś podsłucha ich rozmowę, jeżeli nie zniży głosu. Ogłuszający tumult działał jak dźwiękoszczelna zasłona.**

**–Kawaleria chyba ma kłopoty, Arasie. Trzeba liczyć się z tym, że posiłków nie będzie i będziemy musieli wytrwać tu do końca. Do samego końca, rozumiesz?**

**Aras rozdziawił usta. Przez sekundę na jego twarzy malował się nieskrywany lęk, potem jednak wziął się w garść i parsknął wymuszonym śmiechem.**

**–Przynajmniej umrę jako generał. Proszę się nie martwić, moi ludzie nigdzie się nie wybierają. Równie dobrze jak ja znają swoją powinność.**

**Corfe ścisnął go za ramię.**

**–Wiem o tym – odparł półgłosem.**

**–Panie generale! – zawołał jeden z oficerów sztabowych. – Idą na nas! Całą falą!**

**Merducki kontratak wtoczył się do Armagediru niczym niemożliwa do powstrzymania machina zagłady. Powitała go wściekła salwa arkebuzów, która zmiotła pierwszy szereg, a potem na całej długości frontu rozgorzała walka wręcz. Pierścień Torunnan skurczył się, zgnieciony impetem natarcia; ludzie cofnęli się bliżej płonących ścian domostw – i tam stanęli. Corfe przepchnął się do przodu, do pierwszej linii, gdzie wreszcie udało mu się zapomnieć o strategii, polityce i innych generalskich troskach. Bił się o życie jak zwykły szeregowiec, otoczony przez swoich Katedralników, którzy zabijali ze śpiewem na ustach. Grupa żołnierzy w szkarłatnych pancerzach przyciągała Merduków, tak jak płomień świecy wabi o zmierzchu ćmy. Byli mocniej opancerzeni od swoich torunnańskich kompanów i wbili się w nieprzyjacielskie szyki niczym rozżarzony do czerwoności żelazny klin; noszący lżejsze zbroje *minhraibowie* rozbijali się o nich jak fala o skałę i ginęli dziesiątkami. W końcu Merducy przełamali obronę na lewym skrzydle i odcięli Armagedir od reszty wojsk Torunny. Wioska zmieniła się w krwawy kocioł, w którym walczone i zabijano bez troski o własne życie i bez nadziei na ocalenie. To był prawdziwy koniec. Apokalipsa. Corfe widział żołnierzy, którzy ginęli wgryzieni w gardła wrogów, i takich, którzy z obłędem w oczach i obnażonymi zębami dusili nieprzyjaciół gołymi rękami. *Minhraibowie* rzucali się na Katedralników jak psy na niedźwiedzia, po trzech, po czterech na raz; poświęcając życie, obalali zakutych w stal barbarzyńców na grząską od krwi ziemię, żeby idący za nimi mogli poderżnąć leżącym gardła. Corfe ciął na prawo i lewo w morderczym szale, przyjmując na pancerz ciosy nieprzyjaciela. Jedno cięcie trafiło go w hełm. Zadźwięczało mu w głowie, przed oczami eksplodowały gwiazdy. Coś dźgnęło go w udo. Padł na kolana i rycząc jak ranny zwierz siekł na wszystkie strony. Omal nie runął na ziemię pod**



naporem ciżby i ciężko obutych stóp. Zebrał resztki sił i dźwignął się z klęczek, nie bacząc na grad ciosów. Aras i Cerne pomogli mu wstać, gdy nagle czyjeś ostrze przebiło od tyłu czaszkę Cerne'a, wyszło okiem i trębacz bez jednego dźwięku osunął się na ziemię. Wystrzał z arkebuza oparzył Corfe'owi dłoń. Pchnął na oślep, poczuł, jak ciało i kość ustępują pod ostrzem miecza. Ktoś ciął go w kark. Przed oczami znów wybuchły mu gwiazdy, potem zrobiło się ciemno. Upadł.

*Ośłoneczniony stok wzgórza nad Aekirem w jakiejś dawno minionej epoce. Siedzi z Herią wśród szeleszczących paproci. Popijają wino. Jej uśmiech rozdziera mu serce.*

*Roześmiany Andruw, w tle huk armatnich wystrzałów. Radość życia rozświetla jego twarz i nadaje jej dziecięco beztroski wyraz.*

*Północne Wrzosowisko. Fimbrianie pod wodzą Barbiusa ruszają w chwale do ostatniej szarży w życiu.*

*Płonąca Berrona na horyzoncie.*

*Zadymiona chata. Matka płacze, a ojciec wpatruje się tępo w klepisko. Corfe właśnie oznajmił im, że zamierza zostać żołnierzem.*

*Plamy słońca i cienia na powierzchni Torrinu, w którym pluskał się i pływał w pewne letnie popołudnie.*

Zwielokrotniony jazgot trąb i dudnienie ciężkich bębnow wzniosły się ponad ogólną wrzawę. Nacisk otaczających Corfe'a ciał zelżał. Ktoś pomógł mu wstać. Przez zalewającą mu oczy kurtynę krwi dostrzegł poranioną twarz Arasa.

–Andruw! – krzyczał. – Andruw jedzie! Fimbrianie już uderzyli na Merduków!

Corfe z trudem uniósł głowę. Na tle przydymionego nieba ujrzął las pik. Obrońcy Armagediru wiwatowali głośno, Merducy zaś uciekali w panice. Arkebuźnicy z Wału Ormanna zajęli stanowiska na zboczu wzgórza na północ od wioski i z bliska pruli salwami w ściśniętego na małej przestrzeni nieprzyjaciela. Fimbrianie ścinali wrogów jak zboże, maszerując z taką determinacją, jakby chcieli zmieść wszystkich Merduków z powierzchni ziemi.

Corfe pochylił głowę i zapłakał.

# DWADZIEŚCIA DWA

Zdaniem Murada przyjęcie było całkiem udane. Była na nim obecna chyba z połowa ocalałej hebrionńskiej arystokracji. Słuchali jak zaczarowani opowieści Murada o jego przygodach na zachodzie. Miło ze strony króla, że pozwolił mu się tak popisać. Wszyscy dowiedzieli się, że lord Galiapeno naprawdę wrócił i, co ważniejsze, spotkał się z życzliwym przyjęciem ze strony monarchy. Musiał jednak przyznać, że kolacja była nieco męcząca.

Bajdy włóczęgi. Naprawdę myśleli, że tylko tyle ma im do powiedzenia? Cóż za ograniczeni głupcy.

Król kulejąc zszedł z podwyższenia i wmieszał się w tłum poddanych. Murad doceniał jego talent do takich gestów, chociaż w tym wypadku pokaz był nie na miejscu – zwłaszcza że ci sami pochlebcy, którzy dziś lizali mu buty, jeszcze niedawno spiskowali przeciw niemu i próbowali mu odebrać koronę.

Gdyby to on rządził Hebrionem, wyciąłby ich w pień.

Kręciło mu się w głowie. Od zejścia na ląd wymiotował wszystkim co zjadł; tylko wino dłużej zagrzało miejsce w jego żołądku. Wróciłem do swojego świata, pomyślał. Jakiż on mały...

Pora udać się na spoczynek. Tęsknił za snem bez marzeń, który przywróciłby wigor jego wymęczonej duszy. Za chwilą zapomnienia, wolną od nawiedzających go nocami krwawych wizji.

–Lordzie Muradzie – rozległ się kobiecy głos. – To dla mnie wielki zaszczyt poznać pana osobiście.

Stała przed nim ciemnowłosa, ładna kobieta o bystrych oczach, w sukni z głębokim dekoltem i w zaawansowanej ciąży. Ukłonił się jej.

–Pochlebiasz mi, pani. Mogę zapytać...

–Nazywam się Jemilla. Coś mi mówi, że już o mnie słyszałaś, panie.

Istotnie, słyszał. Abeleyn wszystko mu powiedział. Miał przed sobą kobietę, która nosiła w łonie królewskiego potomka, a niedawno próbowała zastąpić monarchę regentem.

Zaintrygowała go. Była naprawdę piękna, ale dlaczego pozostawała na wolności? Co za mięczak z tego Abeleyna. Powinien schować ją w mysiej dziurze, a bachora udusić zaraz po urodzeniu.

**–O ile mi wiadomo, panie, jesteś teraz najbliższym królewskim krewnym – dodała, trzepocząc trzymanym przy piersi wachlarzem.**

**–W rzeczy samej – odparł Murad z uśmiechem. Miło byłoby ją przelecieć. Nie miał wątpliwości, do czego zmierza: szukała nowej marionetki, którą mogłaby wykorzystać przeciwko królowi. – Trochę tu gorąco, pani. Może przejdziemy się po ogrodzie?**

**Ujęła go pod ramię. Jej oczy w jednej chwili straciły swój płochliwy wyraz.**

**–Jakaż kobieta mogłaby odmówić takiemu szlachetnemu podróżnikowi?**

Wzdychała i pojękiwała, kiedy w nią wchodził, przytrzymując za trzymaną pełnymi garściami suknię na biodrach. Zacisnął zęby, wytrysnął w niej, pchnął jeszcze raz z całej siły i wycofał się. Twarz miał spoconą. Jemilla osunęła się na kolana pod drzewem. Zmierzch szybko przechodził w noc. W cieniu jej twarz była rozmazaną czerwoną plamą. Ptaki wywodziły wieczorne trele, Murad słyszał jednak wyraźnie szmer rozmów i śmiech gości zebranych w sali audiencyjnej. Zapiął spodnie i oparł się o pień pachnącego żywicą cyprysu.

–Jesteś bardzo bezpośrednia, pani.

–Nie lubię tracić czasu.

–Rozumiem to. Rozumiem też, że wiążesz pewne nadzieje ze swoim dzieckiem, ale dlaczego właściwie zainteresowałaś się mną? Nie jestem mężczyzną ze snów młodej dziewczyny. W dodatku długo przebywałem z dala od dworu.

–O to właśnie chodzi. Nie nosisz piętna wydarzeń, które ostatnio przewaliły się przez Abrusio. Masz czyste ręce. Możemy być użyteczni dla siebie nawzajem.

Murad strzepnął suche liście z ramion.

–To znaczy: ja mogę być użyteczny dla ciebie, pani. Twoje imię na dworze jest warte tyle co nic. Król toleruje cię za sprawą jakiegoś staroświeckiego rycerskiego impulsu. Po urodzeniu twoje dziecko zostanie zesłane do jakiejś zabitej dechami wioski w Hebrosie, a ty razem z nim. Co mi możesz zaproponować, poza baraszkowaniem w trawie od czasu do czasu?

Przysunęła się bliżej, wyciągnęła rękę, przesunęła mu nią po brzuchu i sięgnęła za pasek spodni. Drgnął, kiedy jej gorąca dłoń zacisnęła się lekko na zwiotczonym członku.

–Ożeń się ze mną.

–Że co?! – Murad parsknął śmiechem.

–Nie mogliby mnie wtedy nigdzie zesłać, jak to ująłeś. A pretensje mojego syna do tronu nabrałyby większej wagi.

Zaczęła poruszać dłonią. Poczuł, że twardnieje w jej uścisku.

–Wszystko to prawda. Pozwól jednak, że powtórzę pytanie: co ja z tego będę miał?

–Będziesz prawnym opiekunem królewskiego dziedzica. Jeżeli królowi coś się

stanie, dziecko będzie za małe, żeby je koronować, a wtedy automatycznie zostaniesz regentem.

–Królobójstwo? To ci chodzi po głowie? – Wyciągnął jej rękę ze swoich spodni. – A nie przyszło ci do głowy, pani, że jeśli coś się przytrafi królowi, i tak będę następny w kolejce do tronu? Bez potrzeby wujkowania twojemu bękartowi?

–Jesteś kuzynem króla, ale nie pochodzisz z rodu Hibrusydów. Będzie ci trudno przekonać wszystkich arystokratów do słuszności twoich praw. A po ślubie ze mną, kiedy pod twoje skrzydła trafi jedyny syn króla, twoja pozycja będzie niezagrożona. „Regent” to tylko słowo; w rzeczywistości będziesz królem.

–A ty kim? Posłuszną żonką? Wolałbym wpuścić do łóżka żmiję.

Jemilla usiadła na ziemi i wzruszyła ramionami. Stanik jej sukni zsunął się jej do pasa, odsłaniając ciężkie piersi o ciemnych sutkach. Wzięła dłoń Murada i położyła sobie na biuście, ściskając jego palce.

–Zastanów się nad tym – zamruczała. – Abeleyn to żalosny strzęp człowieka, którego tylko magia trzyma w kupie. Nie nadaje się na patriarchę rodu.

–Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, ale nie jestem zdrajcą.

–Zastanów się – powtórzyła Jemilla. Wstała, poprawiła suknię, wytrząsnęła z włosów żdźbła trawy. – Czy kapitanem twojego statku nie był przypadkiem niejaki Richard Hawkwood?

–Był. Czemu pytasz?

–Co u niego? – zapytała wyraźnie zmienionym głosem. Przez chwilę Murad miał wrażenie, że pod maską dostrzegł prawdziwą Jemillę. – Jedna z moich służek cały czas o niego wypytuje.

–Służka, która podkochuje się w żeglarzu? Hawkwood ma się dobrze. Przeżył, tak jak ja. Niewiele więcej można powiedzieć.

–Rozumiem. – Jemilla otrząsnęła się z chwili słabości, pochyliliła nad Muradem i pocałowała go w poblżnione czoło. – Przemyśl moją propozycję. Mieszkam w zachodnim skrzydle pałacu, w apartamentach gościnnych. Możesz mnie odwiedzać, kiedy zechcesz. Porozmawiamy. Czuję się tam taka samotna.

Musnęła palcem wybruszoną bliznę na jego skroni, odwróciła się i trzepocząc wachlarzem wróciła do pałacu.

Murad odprowadził ją wzrokiem. Obudziła w nim dziwny głód. Podrażniła jego dumę

– i bardzo mu się to podobało. Jej knowania były niebezpieczne i nierealne, ale na pewno odwiedzi ją w pałacu. Jeszcze będzie się pod nim wić i jęczeć.

Wyszedł spod cyprysu i spojrzął w wiosenne niebo, na którym zapalały się pierwsze gwiazdy. Abrusio. Nareszcie w domu. Mógł zapomnieć o koszmarze, który zostawili daleko za sobą. Podróż zakończyła się klęską, ale wiele się podczas niej nauczył. Zdobył informacje, które pewnego dnia mogły mu się przydać.

Jutro zajrzy do koszar i spróbuje odzyskać swój stary oddział. Poza tym przyda mu się nowy koń, narowisty i ostry, najlepiej ze stajni Feramuno. Taki, żeby przyjemnie było go ujeżdżać.

Zresztą nie tylko konie będzie ujeżdżał w najbliższym czasie. Zaśmiał się głośno. Życie było piękne.

# EPILOG

Wyglądało na to, że do Normanii nareszcie zawitała wiosna. Powietrze było rześkie, a na obrzeżach Traktu Zachodniego zakwitły pierwiosnki. Stojąc na wieży, Corfe podziwiał przetaczające się po wzgórzach cienie chmur. Gdyby się odwrócił, ujrzałby morze migoczące na krańcu świata. Świata, w którym panował pokój.

–Wiedziałam, że cię tu znajdę – zabrzmiał kobiecy głos. Podeszła z cichym szelestem sukni i położyła mu rękę na ramieniu. Na głowie miała koronę.

Stara kobieta. Była dostatecznie stara, żeby być jego babcią, a tymczasem miała zostać jego żoną.

–Jaki spokój... – odparł, wodząc wzrokiem po kraju za murami miasta. – Jakby to wszystko było snem.

–Raczej koszmarem – zauważyła Odelia.

Nie odpowiedział. Z tej odległości nie było widać olbrzymich kurhanów w Armagedirze, ale zdawał sobie sprawę, że zawsze będzie czuł, jakby usypano je tuż obok niego. Spoczęli w nich Andruw, Morin, Cerne, Ebro, Ranafast, Rusio... I tysiące innych, bezimiennych, których poprowadził na śmierć. Takiego pomnika się nie zapomina.

–Już czas, Corfe – szepnęła królowa.

–Wiem.

Na wschód od miasta, od strony morza, stał olbrzymi, przepyszny obóz, merduckim zwyczajem ozdobiony proporcami z jedwabiu i końskiego włosia. Wróg przybył pod miasto wkrótce po klęsce w Armagedirze, może nie na kolanach, ale na pewno z odrobiną wymuszonej pokory. Corfe wyraził zgodę, aby sułtan wraz ze stosownym do jego rangi orszakiem rozbił obóz niedaleko Torunnu. Jego przedstawicielom pozwolono tego ranka wejść w pokój za mury miasta, które kosztowało ich tyle przelanej krwi. Chcieli być obecni na koronacji nowego monarchy, z którym wkrótce mieli rozpocząć negocjacje. Cała ta sytuacja była tak niezwykła, że Corfe nie znajdował dla niej słów. Andruw popłakałby się ze śmiechu.

Zamrugał, kiedy oczy go zapiekły. To było takie trudne... O wiele trudniejsze niż sobie wyobrażał.

–Zginął godną śmiercią – powiedziała Odelia. – Na pewno chciałby tak umrzeć. Tak jak oni wszyscy.

**Corfe skinął głową. Tamtego dnia on też z radością przyjąłby śmierć, wiedząc, że bitwa jest wygrana.**

**–Nie zapominaj o pokoju – dodała Odelia, jak zwykle drażniąc go tą swoją umiejętnością czytania w myślach. – Trzeba go wypracować. Dziś uczynisz pierwszy krok na tej drodze.**

**–Wiem o tym. Tylko nie jestem pewien, czy tego chcę.**

**–To najlepszy sposób. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Uwierz mi, Corfe. Najlepszy.**

**Kulejąc, cofnął się od okna i jeszcze raz spojrzął na rozciągające się w dole miasto. Cały czas czuł na ramieniu dłoń Odelii. Z tej wysokości Torunn wyglądał jak jakaś baśniowa metropolia. Tłumy wyległy na ulice; na głównym placu zebrało się ponoć ćwierć miliona ludzi. Wszystkie domy były ozdobione chorągiewkami i proporcami. Mieszkańcy tłoczyli się w oknach na piętrach niczym jaskółki w gniazdach. Na każdym skrzyżowaniu stali żołnierze w galowych torunnańskich mundurach.**

**–Załatwmy to jak najszybciej – powiedział Corfe.**



Formio dowodził ustawioną na dziedzińcu strażą honorową, złożoną ze sztywnych jak piki Fimbrian. Corfe z Odelią pojawili się w drzwiach i żołnierze wyprężyli się na baczność, perfekcyjnie jak maszyny. Kiedy Formio zasalutował generałowi, na jego twarzy zagościł rzadki u niego uśmiech. Jedną rękę nadal miał na temblaku, był blady i ciągle jeszcze przypominał ożywionego ducha, ale uparł się, że takiego dnia nie przeleży w szpitalnym łóżku. Ten widok nieco rozgrzał stężałą od wewnętrznego chłodu duszę Corfe'a.

Aras też czekał na dziedzińcu; rana twarzy prawie mu się zagoiła. Po bitwie królowa pracowała bez wytchnienia. Uratowała wielu żołnierzy, choć sama stała się zaledwie cieniem kobiety, którą dawniej była.

–Cieszymy się razem z panem, generale – odezwał się Aras.

–Dziękuję, generale.

Wsiedli z Odelią do czekającego na nich odkrytego landa i wyjechali z pałacu w eskorcie pięćdziesięciu konnych Katedralników. Tylko tyłu ich zostało.

Tłumy za bramą powitały ich gromkimi brawami i okrzykami. Powóz toczył się brukowanymi uliczkami przy wtórze ogłuszających wiwatów i donośnego klekotu kopyt pięćdziesięcioosobowej eskorty. Z górnych okien ludzie rzucali kwiaty.

–Pomachaj im, Corfe – zasugerowała półgębkiem Odelia. – To twój lud. Dla nich wygrałeś tę wojnę.

Zatrzymali się u stóp schodów prowadzących do katedry. Corfe i królowa wysiedli z powozu w powodzi kwiatów, wprost w tłum służby i dygnitarzy. Zagrały fanfary. Przystanęli na stopniach. Odelia z uśmiechem skinęła głową merduckiemu posłowi, niejakiemu mehrowi Jirahowi. Corfe obrzucił go chłodnym spojrzeniem i ruszyli dalej. Paziowie podnieśli tren sukni królowej i rąbek długiego płaszcza Corfe'a.

Katedra pękała w szwach. W przepelnionych ławkach cisnęli się wszyscy ocaleli z wojny arystokraci w towarzystwie co zamożniejszych stołecznych mieszczan. Na jednej z nich, blisko przejścia, Corfe dostrzegł admirała Berzę, który mrugnął do niego porozumiewawczo, zachowując przy tym kamienny wyraz twarzy. Wśród żołnierzy wypatrzył siwowłosego Passifala, ale poza nimi dwoma nikogo więcej nie znał. Z nieprzeniknioną twarzą, kulejąc, szedł środkiem nawy.

Przed ołtarzem czekał już uśmiechnięty, niewidomy Macrobius. Towarzyszyli mu biskupi Albrec i Avila, trzymający w rękach aksamitne poduszki. Na jednej spoczywała korona Torunny, na drugiej dwie zwyczajne złote obrączki. Jedno

**nierozłącznie spletało się z drugim: ślub i koronacja były niezbędne dla dobra królestwa.**

**Corfe i królowa zatrzymali się przed pontyfikiem. Corfe zauważył, że Albrec jest dziwnie zaniepokojony. Przez moment wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale chyba ugryzł się w język.**

**Znów zagrały trąbki. Woń kadzidła uderzała do głowy jak odór palonego prochu; smużki dymu pięły się pod sufit w skośnych promieniach słońca, wpadających przez wysokie okna. Przesączone przez witraże światło burzą barw kładło się na kamiennej posadzce, przyćmiewało blask rzędów świec, odbijało się ostro od złota i klejnotów, które połyskiwały dosłownie wszędzie, nawet na ubraniu Corfe'a.**

**Wspomnienia bombardowały go jak krople ulewnego deszczu. Pierwszy ślub, w małej kaplicy nieopodal południowej bramy Aekiru. Heria miała bukietik pierwiosnków. Była wiosna, tak jak teraz. Dwa lata po ich ślubie rozpoczęło się oblężenie miasta.**

**Rozbity wóz na tonącym w błocie Trakcie Zachodnim. Siedział pod nim ramię w ramię z człowiekiem, który za chwilę włoży mu koronę na głowę. Ocierali deszcz z twarzy i pogryzali na wpół surową rzepę.**

**Hedeby. Po pierwszej wspólnej bitwie popijał wino z jednego bukłaka z Andruwem i Marschem. Byli pijani zwycięstwem i swoją przyjaźnią. Nie było dla nich rzeczy niemożliwych.**

**–Tak – odpowiedział na pierwsze pytanie Macrobiusa.**

**Poczuł, jak zimny metalowy pierścień wślizguje mu się na palec. Odelia patrzyła Corfe'owi w oczy. Na jej twarzy nareszcie malowały się wszystkie przeżyte przez nią lata. Założył jej obrączkę. Zacisnęła pięść, jakby bała się, że obrączka mogłaby spaść, ale za żadne skarby nie chciała do tego dopuścić. Jej pocałunek był suchy i obojętny jak pocałunek matki. Chwilę później pontyfik włożył mu na głowę koronę – była zadziwiająco lekka, o wiele lżejsza niż hełm. Corfe miał wrażenie, że wykonano ją z piór i cynfolii.**

**Wyprostował się. Słońce zagrało w klejnotach korony, która zdawała się płonąć własnym światłem. Wszystkie dzwony w katedrze rozdzwoniły się w triumfalnym salucie. Na zewnątrz tłumy ludzi, którzy z tą chwilą stali się jego poddanymi, podniosły nieopisaną wrzawę.**

**Stało się. On znów miał żonę, a Torunna króla.**

Na wieczornym bankiecie merducki poseł pierwszy pospieszył z gratulacjami. Corfe z królową przyjęli go w olbrzymiej sali audiencyjnej, w asyście straży i urzędników pałacowych. Na audiencji był obecny nowy szambelan dworski – pułkownik Passifal, który królewskim dekretem został awansowany na to zaszczytne stanowisko. Stał nieco z boku trzech tronów; czuł się trochę niepewnie, ale był zdeterminowany wypaść jak najlepiej. Generał Aras awansował na wodza naczelnego torunnańskiej armii, Formio zaś został jego faktycznym zastępcą. Corfe widział Formia na czele wojsk, ale Odelia dała mu jasno do zrozumienia, że nawet król nie powinien pochopnie oddawać armii w ręce cudzoziemca.

Corfe jak nigdy potrzebował widoku znajomych twarzy, lecz było o nie coraz trudniej. Trzeci tron na podwyższeniu zajmował pontyfik Macrobius. Towarzyszyli mu Albrec oraz stary, zgarbiony mnich imieniem Mercadius, mówiący płynnie po merducku. Ze wszystkimi, których tu znał, łączyła Corfe'a wspólna przeszłość. Walczył u boku Arasa, Formia i Passifala; ocalił Macrobiusowi życie; z Albrekiem uciekł z lochów Fourniera. Wojna odebrała mu żonę i najlepszych towarzyszy, ale gdyby nie ona, nigdy nie zaznałby przyjaźni takich ludzi jak oni, jak Andruw i Marsch. Byłby uboższym człowiekiem.

Mehr Jirah wszedł do sali bez zbędnych ceremonii, w towarzystwie zaledwie dwóch merduckich kleryków, którzy do złudzenia przypominali ramusiańskich mnichów, tyle że bez tonsur. Mercadius z Orforu tłumaczył jego słowa na normannijski.

–Mój pan, sułtan Ostrabaru, kazał mi przekazać królowi Torunny co następuje. Przesyłamy pozdrowienia nowemu władcy Torunny i gratulujemy mu nieoczekiwanego awansu. Zaprawdę, Bóg był mu łaskawy. Chcielibyśmy porozmawiać z nim teraz jak żołnierz z żołnierzem, używając najprostszych słów. Rzeź naszej młodzieży trwa już wystarczająco długo. Zasłaliśmy świat ich ciałami, teraz zaś, w imię Boga i Jego Proroka, proponujemy Torunnanom zakończenie krwawego konfliktu. W naszej szczodroblewości powściągniemy gniew naszej potężnej armii i pozwolimy królestwu Torunny przetrwać, o ile król Corfe uzna zwierzchność Aurungzeba Wielkiego, sułtana Ostrabaru, zdobywcy Aekiru i Wału Ormanna. Wystarczy, aby pokłonił się nam, a wojna się skończy i między naszymi ludami zapanuje wieczny pokój. Jak brzmi odpowiedź torunnańskiego monarchy?

Kiedy Mercadius przełożył słowa posła, wśród publiczności zapanowało gniewne poruszenie. Aras postąpił krok naprzód, odruchowo sięgając do pasa, gdzie zwykle miał przypięty miecz – ale w sali audiencyjnej tylko król miał prawo nosić broń. Corfe wstał. Jego oczy ciskały błyskawice.

–Niektórzy z nas tu obecnych znają cię, mehr Jirahu. Słyszałem, że jesteś

**człowiekiem honorowym i z zasadami. Dlatego proszę cię, abyś pamiętał, że to, co teraz powiem, nie jest wymierzone przeciw tobie ani twojej wierze, religii, o której wszyscy wiemy, że prawie nie różni się od naszej. Moje słowa są przeznaczone dla twojego pana, Aurungzeba. Przekaż mu, że Torunna nigdy się nie podda, choćby sprowadził armię dziesięciokrotnie większą od tej, którą posiada. Próbowaliśmy go zniszczyć pod Armagedirem, ale go pokonaliśmy. Jeśli będzie trzeba, pokonamy go ponownie. Nie poddamy się, dopóki wśród tych wzgórz będzie się ukrywał choć jeden żywy Torunnanin. Będziemy walczyć do dnia, w którym nastanie koniec świata. Owszem, zgodzimy się na pokój, ale tylko pod warunkiem, że sułtan zabierze swoją pobitą armię i na zawsze odejdzie z torunnańskiej ziemi. Jeżeli tego nie zrobi, klęknę się na Boga, że go stąd przepędzę. Póki żyję, jego żołnierze nie zazną chwili spokoju. Choćby miało mi to zająć dwadzieścia lat, wypchnę go poza Ostian. Zabiję każdego merduckiego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, jakie dostanie się w moje ręce. Spalę merduckie miasta i wyjałowię ziemię. Przemienię merduckie królestwo w smagane wiatrem pustkowia. Zetrę z powierzchni ziemi Ostrabar, jego sułtana i wszelką pamięć o nim.**

**Sala odpowiedziała wiwatami. Mehr Jirah przez moment sprawiał wrażenie poruszonego, ale szybko odzyskał spokój.**

**–Oto nasza odpowiedź. Przekaż ją swojemu władcy i daj mu jasno do zrozumienia, że drugi raz nie przedstawimy mu równie szczodrej oferty. Jestem teraz królem i nie zawaham się zmobilizować wszystkich mężczyzn w królestwie, aby siłą poprzeć swoje słowa. Sułtan nie walczy już przeciw armii, lecz przeciw całemu ludowi. Drugiej szansy nie dostanie. Może wybrać pokój – lub wojnę, która potrwa następne sto lat. Przekaż mu, aby dobrze się zastanowił. Zdecyduje o losach świata nie tylko dla siebie, ale i dla przyszłych pokoleń. Możesz odejść.**

**Mehr Jirah uklonił się, skinął głową Albrecowi i wyszedł. Corfe usiadł na swoim tronie.**

**–Passifalu? – Musiał podnieść głos, żeby szambelan usłyszał go wśród głośnych szeptów. – Wprowadźcie następnego suplikanta.**

**Odelia oparła się o podłokietnik, nachyliła do Corfe'a i zaczęła mu szeptać na ucho:**

**–Czyś ty zwariował?! Wiesz w ogóle, co to jest dyplomacja? Mieliśmy szansę zakończyć tę wojnę, ale ty się uparłeś, żeby ją rozpętać od nowa!**

**–Wcale nie. Nie jestem dyplomatą, ale znam się na wojaczce. Sułtan nie jest w stanie kontynuować wojny. Pobiliśmy go i trzeba mu to wyraźnie powiedzieć. A poza tym nie po to walczyłem pod Armagedirem, żeby kłaść szyję w merduckie jarzmo. Wydaje mu się, że wie, na czym polega wojna, ale to nieprawda. Nie ma pojęcia. Jeżeli jest na tyle głupi i dumny, żeby walczyć dalej, pokażę mu, jak można toczyć**

wojnę.

**W słowach Corfe'a było tyle tłumionej złości, że riposta nie przeszła Odelii przez gardło. Nagle zdała sobie sprawę, że się przeliczyła. Myślała, że kiedy Corfe zostanie królem, zadowoli się dowodzeniem armią i prowadzeniem wojen, ona zaś będzie kierować polityką i negocjować traktaty. Myliła się. Nie dość, że zamierzał rządzić Torunną samodzielnie, to jeszcze inni władcy będą woleli układać się z nim, a nie z jego podstarzałą małżonką. Jak by nie patrzeć, to on wygrał wojnę, nie ona. To jego prosty lud oblegał na ulicach i jego imię skandował. Nawet jej służący najpierw spoglądali pytająco w jego stronę.**

**Parsknęła gorzkim śmiechem, który utonął w następnej fanfarze. Przez całe życie rządziła za pośrednictwem mężczyzn, teraz zaś jeden z nich doszedł dzięki niej do władzy – i wyznaczył jej rolę obserwatora.**

Aurungzeb przyjął mehra Jiraha w milczeniu. W zbyt kownie urządzonym namiocie wysłuchał słów mułły, a potem czekał cierpliwie, aż oficerowie i adiutanci wyrażą swoją złość na bezczelność Ramusian. Królowa siedziała obok niego, nie mówiąc ani słowa. Wziął ją za rękę, myśląc o synu, którego nosi, i o świecie, w którym dziecko niebawem się urodzi. W tej chwili ważyły się losy tego świata – a on, sułtan Ostrabaru, pierwszy raz w życiu naprawdę się bał.

–Bataku? – odezwał się w końcu. – Ten twój zwierzak dzień i noc fruwa po torunnańskim pałacu. Co mi masz do powiedzenia?

Czarodziej zamyślił się nad odpowiedzią.

–Wydaje mi się, że to nie są puste słowa, sułtanie. On nie należy do ludzi, którzy lubują się w czczych przechwałkach. Słowa popiera czynami.

–Wszyscy to chyba zauważyliśmy – zauważył z przekąsem Aurungzeb. – A co ty powiesz, Barazie?

Stary Merduk wzruszył ramionami.

–To najlepszy żołnierz w dziejach Torunny. Myślę, że rozumieliby się z moim ojcem.

–Czy nie znajdzie się tu nikt, kto udzieliłby mi mądrej rady?! Otaczają mnie same stare, tępe baby! Gdzie shahr Johor?

Zebrani w namiocie goście popatrzyli po sobie niepewnie.

–Kazałeś... – odezwał się w końcu Akran, sułtański szambelan – Kazałeś go ściąć, panie.

–Co takiego?! A tak, rzeczywiście. Cóż, to było konieczne. Powinien był zginąć ze swoimi ludźmi w Armagedirze. Co tam się właściwie stało, na krew Boga? Jak on tego dokonał? Powinniśmy byli wygrać!

–Przynajmniej zniszczyliśmy tych jego sławnych czerwonych jeźdźców, Wasza Wysokość – przypomniał Serrim.

–A tak, szkarłatne demony. Zabiliśmy również dziesięć tysięcy jego żołnierzy, prawda? Poniósł równie dotkliwe straty jak my, więc jakim cudem ośmiela się nam grozić?! Co to za pomylenie?! On nie ma pojęcia o subtelnościach rokowań pokojowych!

Zgromadzeni wokół sułtana służący, doradcy i urzędnicy milczeli. Słysząc było

wiwatujące tłumy Torunnan; namiot dzieliło od miasta niespełna półtorej mili. Ten hałas działał Aurungzebowi na nerwy. Dlaczego tak go oklaskiwali? Poprowadził na śmierć ich synów i ojców, a oni go za to kochali! Ci Torunnanie wszyscy byli obłąkani. Jak tu z takimi paktować?

Kiedy przemówił, miał głos rozkapryszonego dziecka, któremu odmówiono wymarzonej zabawki:

–Poprosiłem go o gwarancje bezpieczeństwa dla posła, wysłałem negocjatora... To ja zacząłem rozmowy z tym draniem! Powinienem dostać coś w zamian! Mam rację, Bataku?

–Niewątpliwie, mój panie. Pamiętaj jednak, że to podobno zwykły żołnierz, wiejski prostak. Nie ma pojęcia o protokole ani uprzejmości, jaka obowiązuje królów. Nie ogarnia rozumem zawiloci sztuki dyplomacji. Zna tylko język koszar.

–Co nie jest takie złe – zadudnił basowo shahr Baraz. – Przynajmniej można być pewnym, że dotrzyma danego słowa.

–Nie praw mi tu kazań o żołnierskich cnotach – warknął Aurungzeb. – Są przereklamowane.

Znów zrobiło się cicho w namiocie. Dworzanie nigdy dotąd nie widzieli, żeby sułtan tak się wahał, tak rozpaczliwie potrzebował rady. Zawsze wiedział, co robić i nigdy nie słuchał innych, nawet jeśli zaprzeczał przy tym oczywistym faktom.

–Wojna musi się skończyć – odezwał się w końcu mehr Jirah. – Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Pod Armagedirem straciliśmy trzydzieści tysięcy ludzi. Nasza armia jest niezdolna do walki.

–Jego też!

–Nie byłbym tego taki pewien, sułtanie. Dla Torunnan to nie jest walka o nowe zdobycze, lecz o przetrwanie. Nie złożą broni, zwłaszcza mając takiego przywódcę. W Armagedirze mieliśmy ostatnią szansę szybko wygrać tę kampanię; wie to każdy nasz żołnierz. Poza tym mają świadomość, że to już nie jest święta wojna; Ramusianie nie są niewiernymi, lecz czczą tego samego Proroka...

–To przez ciebie! Przez ciebie i te twoje przeklęte kazania!

Mehr Jirah nie dał się zastraszyć.

–Odrzucasz dogmaty swojej wiary, panie?

–Nie... Oczywiście, że nie. Niech wam będzie. Wygląda na to, że nie mam wyboru.

**Nie zerwiemy negocjacji. Mehr Jirah, Batak, shahr Baraz: rano pojedziecie we trzech do Torunnu i rozpoczniecie rozmowy pokojowe. Tylko bez żadnych ustępstw! Bóg mi świadkiem, że dość przełknąłem upokorzeń jak na jeden dzień. Aharo, byłaś kiedyś Ramusianką. Jakie jest twoje zdanie? Czy i ty uważasz, że ten nowy żołnierz-król będzie z nami walczył do ostatniej kropli krwi?**

**Nie patrząc na niego, Heria położyła rękę na powiększonym brzuchu.**

**–Wkrótce doczekasz się syna, mój panie. Chciałabym, aby dorastał w pokoju. Poza tym wierzę, że ten człowiek nigdy się nie podda. Jest... Ojciec Albrec twierdził, że ma prawdziwie żelazną wolę. Ale to dobry człowiek. Uczciwy. Dotrzyma słowa.**

**–Być może – chrząknął Aurungzeb. – Muszę przyznać, że mam dziwną ochotę poznać go osobiście, spotkać się z nim twarzą w twarz. Może po podpisaniu traktatu pokojowego złożymy mu oficjalną wizytę. – Zaśmiał się chrapliwie. – Czasy się zmieniają.**

**Nikt nie zauważył, że Heria pobladła jak pergamin. Kwef jednak na coś się przydał.**



Wojna Merduków z Ramusianami zaczęła się tak dawno, że poza historykami nikt już nie pamiętał, kiedy padły pierwsze strzały. Wszyscy jednak zapamiętali, kiedy padły ostatnie: w pierwszym roku panowania króla Corfe'a, tym samym, w którym wygasła dynastia Fantyrów.

Pięć i pół wieku po tym, jak po świecie wędrował Błogosławiony Święty, znany również pod imieniem Proroka Ahrimuza, uznano dwoistą naturę Ramusia, a dwie założone przez niego religie zbliżyły się do siebie i potwierdziły, że mają wspólne korzenie. Wszystko to zostało zapisane w Traktacie Armagedirskim, którego opracowanie zajęło żołnierzom i mędrcom kilka tygodni. Spotykali się w przestronnym namiocie, który specjalnie w tym celu rozbito w pół drogi między obozowiskiem Merduków i murami Torunnu.

Merducy zgodzili się, by Searil stanowił nową granicę ich państwa. Khedi Anwar, zbudowany naprzeciwko nieistniejącego już Wału Ormanna, stał się najdalej na południe wysuniętym merduckim osiedlem. Aekir przemianowano na Aurungabar i przeniesiono doń stolicę Ostrabaru. Katedrę Carcassona zamieniono na świątynię Pir-Sar, gdzie Ramusianie na równi z Merdukami mieli prawo oddawać cześć Bogu, ponieważ było to miejsce uświęcone duchem założyciela obu religii. Ci z aekirskich uchodźców, którzy chcieli wrócić do domu, mogli to zrobić, nie obawiając się prześladowań i pogromów. Władcy Torunny i Ostrabaru wymienili ambasadorów i otworzyli poselstwa w stolicy sąsiada.

Z realizacją większości tych założeń trzeba było jednak jeszcze poczekać. Na razie Torunn szeroko otworzył bramy, szykując się do uroczystego podpisania traktatu pokojowego. Wymęczone wojną miasto przygotowywało się na przyjęcie człowieka, który niedawno próbował je zdobyć.

Corfe żył jak w surrealistycznym śnie. Negocjował z Aurungzebem przez pośredników, ponieważ sułtan uznał, iż wyklócanie się o szczegółowe zapisy traktatu urągałoby jego godności. Dziś natomiast miał spojrzeć w twarz człowieka, którego od dawna próbował zniszczyć. Może nawet podadzą sobie ręce. Pozostawała jeszcze tajemnicza ramusiańska królowa, o której roli w ostatecznym zwycięstwie wiedzieli tylko on i Albrec. Zastanawiał się, jak historia oceni te wydarzenia. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że fakty i ich historyczna percepcja to dwie zupełnie różne sprawy.

Stał w swojej garderobie, zalewanej wpadającymi przez wysokie okna promieniami letniego słońca. Otaczała go gromadka niepokieszonych służących. Trzymali całe naręczka eleganckich strojów, ociekających klejnotami, lamowanych złotą koronką i futrem – ale Corfe nie chciał włożyć żadnego z nich. Wolał zwykły, czarny mundur torunnańskiej piechoty. Nie miał na głowie korony, dał się jednak namówić do

założenia starego srebrnego diademu, jaki przed wiekami fimbriańscy marszałkowie nosili na elektorskim dworze. Nie kto inny jak Albrec wygrzebał diadem z jakiegoś zapomnianego pałacowego kufra. Kiedyś był własnością Kaile'a Ormanna. Corfe uznał, że świetnie nada się na taką ceremonię.

Od bramy dobiegł dźwięk trąbek, sygnalizujący zbliżanie się sułtańskiego orszaku. Corfe miał wrażenie, że w ostatnich tygodniach więcej się ich nasłuchiwał niż przez pół życia w wojsku. W Torunnie trwał ostatnio prawdziwy karnawał, świętowano zwycięstwo, pokój, koronację – a teraz to. Po podpisaniu traktatu Corfe nie zamierzał w najbliższym czasie urządzać podobnych oficjalnych imprez.

Miał ochotę pojechać z Formiem i Arasem na wzgórze, zapolować, pospać pod gwiazdami, pogapić się w ognisko, napić taniego żołnierskiego wina. Wojna była piekłem, ale miała swoje miłe chwile. A może po prostu był nostalgicznym durniem, który na starość zgorzknieje, wiecznie rozpamiętując minioną chwałę. Tak, to było coś. Uśmiechnął się na samą myśl. Kiedy jednak odważny służący zaryzykował i podsunął mu obszyty gronostajowym futrem płaszcz, uśmiech zmienił się w złowrogi grymas.

–Mówię ostatni raz: nie. A teraz wynoście się stąd wszyscy.

–Panie, królowa prosiła...

–Odwal się.

–Mój panie, to naprawdę nie wypada, żeby król używał takiego języka – zauważyła Odelia, wchodząc do garderoby w towarzystwie dwóch dwórek.

Odwrócił się do niej. Mimo jej zabiegów, zanosilo się na to, że rana odniesiona w Armagedirze na zawsze uczyni go kaleką. Będzie kulął do końca życia. Cóż, wielu ludzi przywiozło z wojny znacznie gorsze pamiątki.

–Zawsze mi się wydawało, że król może mówić jak chce – odparł bez troski.

Odelia cmoknęła go w policzek i odsunęła się, z udawanym zatroskaniem oglądając jego strój.

–Będziesz musiał uważać, żeby sułtan nie wziął cię za zwykłego szeregowca.

–Raz już się pomylił. Wątpię, żeby powtórzył ten błąd.

Odelia parsknęła śmiechem. Ostatnio coraz częściej się śmiała. Słońce nie było łaskawe dla jej pomarszczonej twarzy, tym bardziej że magiczną moc, której dawniej używała do upiększania się, w dalszym ciągu przeznaczała na pomoc rannym. Były takie chwile, w których jej prawdziwy wiek niepokoił Corfe'a.

**Pocałował ją w rękę.**

**–Są już w mieście?**

**–Wjeżdżają do barbakanu. Na słoniach, wyobraź sobie. Można by pomyśleć, że to wędrowny cyrk odwiedził Torunn.**

**–Chodź, pani. Przywitamy klaunów.**

**Musnęła palcami jego skroń.**

**–Posiwałeś, Corfe. Wcześniej tego nie zauważyłam.**

**–Postarzałem się w Armagedirze.**

**–W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby stara kobieta wzięła cię pod rękę. Chodź. Lilie zdobiące podwyższenie, na którym stoją nasze trony, zaczynają więdnąć w słońcu. Samo podwyższenie jest bardzo precyzyjnie skonstruowane: wystarczająco wysokie, żeby Aurungzeb wyglądał przy nas jak suplikant, nie na tyle jednak, by poczuł się urażony.**

**–Ach, te subtelności dyplomacji.**

**–I ciesiołki.**

**Tłum powitał ich brawami i triumfalnym rykiem, kiedy wsiedli do powozu, który zawiózł ich tuż za bramy miasta. Odelia krytycznym spojrzeniem oceniła otoczenie, po czym usiedli na przygotowanych dla nich tronach. Za ich plecami stał Mercadius. Oślepiiony słońcem mrugał jak sowa, ale i tak miało się wrażenie, że śpi na stojąco. Miał być oficjalnym tłumaczem spotkania. Dwunastu Katedralników zajęło miejsca po bokach podium. W świeżo odmalowanych zbrojach wyglądali jak szkarłatne posągi.**

**Przed parą królewską ciągnęła się długa aleja; podwójny szpaler wojska odgradzał od niej napierające tłumy gapiów. Słońce prażyło niemiłosiernie, zgiełk był ogłuszający. Ale ręka Odelii w mocnej dłoni Corfe'a była lodowata i delikatna jak piórko.**

**Zatroskany Albrec wszedł na podwyższenie. Było widać, że coś go trapi.**

**–Wybaczcie, Wasze Wysokości. Poczytywałbym to sobie za zaszczyt, gdybyście się zgodzili, abym był obecny przy tym spotkaniu. Nie będę przeszkadzał.**

**Odelia chyba chciała odmówić, ale Corfe skinął przyzwalająco ręką.**

**–Naturalnie, ojczy. Lepiej od nas znasz merduckiego sułtana. – Czym on się teraz martwił? Corfe patrzył, jak Albrec rękawem habitu ociera pot z twarzy. – Dobrze się**

**czujesz? – zapytał półgłosem.**

**–Corfe... Muszę ci coś...**

**I znów te przeklęte trąby. W głębi alei pojawiła się kawalkada rozkołysanych słońi z palankinami na grzbietach. Zwierzęta były tak wymalowane, obwieszane ozdobami i klejnotami, że przypominały potwory z jakiejś jarmarcznej legendy. Na grzbiecie pierwszego z nich, pomalowanego na biało, Corfe dostrzegł masywną postać w turbanie, która nie mogła być nikim innym jak Aurungzebem we własnej osobie. Obok, w cieniu frędzlastego baldachimu, było widać drobną sylwetkę królowej.**

**Przedstawienie dla tłumu miało trwać zaledwie parę minut. W sali audiencyjnej czekały na podpisanie dwa egzemplarze traktatu pokojowego – i to miał być gwóźdź programu. Potem królewska para wydawała bankiet, urozmaicony zaplanowanymi przez Odelię rozrywkami. Na noc Aurungzeb wracał do obozu.**

**Aras i Formio stanęli u stóp podium. Zdaniem Corfe'a zasłużyli na to, żeby w takiej chwili być przy nim. Bardzo się zaprzyjaźnili. Aras ogromnie się zmienił i w niczym nie przypominał nadętego młodziana, którego Corfe spotkał w Staed. Jak to Andruw mawiał? Szczyry i ocet... Tak, właśnie tak. Corfe się uśmiechnął. Mam nadzieję, że to widzisz, Andruw, bo to dzięki tobie dziś tu siedzę. Dzięki tobie i tym przeklętym barbarzyńcom.**

**Duchy. Tak wiele duchów.**

**Jadący na czele słoń zatrzymał się i uklęknął jak dobrze wytresowany piesek pokojowy. Odziani w jedwabie służący wyrosli jak spod ziemi i pomogli sułtanowi i jego małżonce wysiąść z palankinu. Otoczył ich tłumek służby w strojach tak kolorowych, że przypominali trzepoczące motyle. Corfe zerknął na Odelię, a kiedy skinęła lekko głową, oboje wstali, żeby powitać gości.**

**Sułtan przerastał Corfe'a o pół głowy. Był barczysty i mocno zbudowany, chociaż rysujący się pod szarfą brzuszek trochę psuł ogólne wrażenie. Nosił długą brodę, szeroką jak szczotka, a w śnieżnobiałym turbanie miał wpiętą broszę z rubinem. W jego inteligentnych oczach pojawił się błysk irytacji. Nie podobało mu się, że dzięki podwyższeniu Corfe i Odelia patrzą na niego z góry.**

**O królowej trudno było powiedzieć coś ponad to, że jest w zaawansowanej ciąży. Była ubrana w jedwabną suknię o pięknym niebieskim odcieniu, który z miejsca spodobał się Corfe'owi. Sądząc po rąbku twarzy widocznym ponad kwefem – miała przedłużone brwi, na powieki nałożony kolorowy cień – musiała być mocno umalowana. Nie podniosła głowy; stała obok sułtana ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Za jej plecami stał stary Merduk o groźnym obliczu. Mógłby być nadopiekuńczym ojcem królowej.**

Sułtański szambelan nie zdążył nawet ogłosić przybycia swojego władcy, gdy Aurungzeb, nie bawiąc się w dyplomatyczne uprzejmości, wszedł na podium. Na ten widok Katedralnicy odruchowo sięgnęły po broń, ale Corfe uspokoił ich gestem.

Sułtan spojrział na Corfe'a z góry.

–Więc to z tobą walczyłem – powiedział zadziwiająco poprawnym normannijskim.

–Ze mną.

Patrzyli na siebie z nieskrywaną ciekawością. Aurungzeb uśmiechnął się.

–Myślałem, że będziesz wyższy.

Obaj się roześmiali. Corfe musiał przyznać, że sułtan chyba da się lubić.

–Widzę, że wasz obłąkany kapłan wrócił. Chociaż, oczywiście, wcale nie jest obłąkany. Bracie Albrecu, wywróciłeś nasz świat do góry nogami. Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony.

Albrec uklonił się bez słowa. Sułtan skinął głową Odelii.

–Mam również nadzieję, pani, że znajduję cię w dobrym stanie... to znaczy, w dobrym zdrowiu.

Ucałował dłoń królowej i spojrział na najbliższej stojącego Katedralnika, który obserwował go kątem oka.

–Myślałem, że wszystkich zabiliśmy.

Corfe zacisnął wargi.

–Paru jeszcze zostało.

–Niedługo zabraknie wam dla nich pancerzy *ferinai*. Mógłbym przysłać kilkaset kompletów.

–Nie ma takiej potrzeby – wtrąciła gładko Odelia. – Przywieźliśmy ich sporo z Armagediru.

Sułtan zmarszczył brwi, ale zaraz się rozchmurzył.

–Ach, gdzie się podziały moje dobre maniery... Pozwólcie, że przedstawię wam królową Aharę. Barazie, przyprowadź ją tutaj. Tak, dobrze.

Stary, surowy Merduk pomógł merduckiej królowej wejść na podwyższenie.

Zgromadzone dookoła tłumy z zapartym tchem śledziły wydarzenia, jakby oglądały wystawiane specjalnie dla nich misterium.

–Ahara pochodzi z Aekiru – wyjaśnił sułtan. – Wkrótce urodzi mi syna. W żyłach następnego sułtana Ostrabaru popłynie ramusiańska krew. Chociażby z tego powodu cieszę się, że wojna się skończyła.

Corfe zdziwił się niepomierne, czując na ramieniu dotknięcie dłoni Albreca. Spojrzał na niego. Mały mnich wpatrywał się w niego natarczywie. Trochę zdumiony i lekko rozbawiony Corfe podniósł rękę królowej do ust.

–Pani...

Oczy miała pełne łez. Zawahał się, nie wiedząc, co się dzieje, i w tej samej chwili ją rozpoznał. Rozpoznał ją. Albrec zacisnął dłoń z taką siłą, że Corfe'a zabolął bark.

–Może pewnego dnia nasze dzieci będą się razem bawić – mówił tymczasem sułtan, nie zdając sobie z niczego sprawy. Wyglądało na to, że chętnie popisuje się znajomością normannijskiego. – Wyobraźcie sobie tylko, jak nasze królestwa się rozwiną, jeżeli nie będą musiały toczyć wojen i strzec granic. Podpisanie tego traktatu otworzy zupełnie nową epokę w naszych stosunkach. To wielki dzień.

Tyle się wydarzyło w tej jednej krótkiej chwili. Burza emocji i impulsów, które natychmiast stłumił. Stracona nadzieja na szczęście w życiu. Dłoń Albreca, przykuwająca go do rzeczywistości w świecie, który nagle oszalał.

Mimo obfitego makijażu jej oczy prawie się nie zmieniły; może tylko pojawił się w nich cień mądrości, którego dawniej nie było. Delikatnie ścisnęła palcami jego dłoń – trwało to ułamek sekundy, nie więcej.

Coś w nim pękło.

Zamknął oczy i pocałował rękę kobiety, która kiedyś była jego żoną. Jeszcze przez chwilę przytrzymał jej dłoń, potem puścił ją i wyprostował się.

–Mam nadzieję, że znajduję cię w dobrym zdrowiu, pani – wychrypiął.

–Dziękuję, mój panie.

Jeszcze przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem świat się o nich upomniał. Dzień musiał się toczyć dalej. Sułtan i król mieli coś do załatwienia.

–Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Odelia. Zeszli z podwyższenia do czekających na dole powozów.

**Corfe pokiwał głową. Twarz miał szarą jak popiół. Chwiał się na nogach jak starzec, aż Albrec musiał mu pomóc wsiąść do landa.**

**Tłumy gapiów odzyskały wreszcie głos i donośne wiwaty towarzyszyły powozom przemierzającym krótką drogę do sali audiencyjnej. Tam czekali już na nich ustawieni w karnych szeregach Fimbrianie, torunnańscy żołnierze i mały czerwony oddział Katedralników. Aras i Formio jechali konno obok królewskiego powozu.**

**–Pomachaj im, Corfe – powiedziała Odelia. – To powinien być szczęśliwy dzień. Pamiętaj: wojna się skończyła.**

**Corfe ani drgnął. Kiedy patrzył na morze rozradowanych twarzy, wydawało mu się, że rozpoznaje w tłumie Andruwa, Marscha, Ebra, Cerne'e, Ranafasta, Martellusa... Ujrzał wśród nich także Herię, kobietę, która była dawniej jego żoną. Uśmiechała się tym swoim rozbrajającym uśmiechem, z jednym kącikiem ust uniesionym w górę.**

**Zamknął oczy. W końcu i ona dołączyła do umarłych.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*